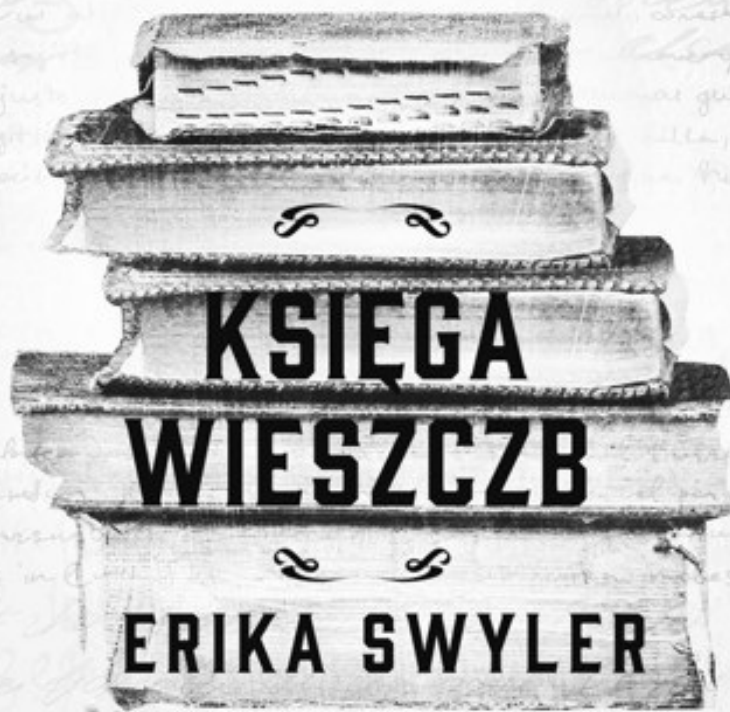


**KSIĘGA
WIESZCZB
ERIKA SWYLER**

„Oszalamiający debiut...

Ta ekscentryczna, niecodzienna i urzekająca saga
wciągnęła mnie natychmiast”.

SARA GRUEN



**KSIĘGA
WIESZCZB**

ERIKA SWYLER

przekład Magdalena Nowak

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2016

Tytuł oryginału:
THE BOOK OF SPECULATION

Redakcja:
Krystyna Podhajska

Projekt okładki:
© Anna Gorovoy

Adaptacja okładki:
Magdalena Zawadzka

Zdjęcia na okładce:
© hddigital/ shutterstock, © Luba V Nel/ shutterstock, © nevodka/ shutterstock, © pashabo/ shutterstock

Korekta:
Maciej Korbasiński, Beata Wójcik

Redaktor prowadzący:
Małgorzata Głodowska

Copyright © 2015 by Erika Swyler
Published by arrangement with Folio Literery Management, LLC and GRAAL Literary Agency.
Copyright for the Polish edition © by Wydawnictwo Czarna Owca, 2016
Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).
Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 978-83-8015-234-2

Wydawnictwo **Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.**
ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa
CZARNA www.czarnaowca.pl
OWCA
Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: redakcja@czarnaowca.pl
www.czarnaowca.pl Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: handel@czarnaowca.pl
Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: sklep@czarnaowca.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Dla Mamy.
Brak mi słów.

Dom przycupnięty na skraju klifu znajduje się w niebezpieczeństwie. Sztorm, który zeszłej nocy burzył wody oceanu i wdzierał się w ląd, zaśmiecił plażę butelkami, wodorostami i pancierzami skrzyploczy. Nie zanosi się na to, żeby miejsce, w którym spędziłem całe swoje życie, miało przetrwać porę burzową. Zatoka Long Island Sound jest usiana szczątkami domów i ludzkich istnień, startych na proch przez żarłoczne szczęki burz. To się nazywa głód.

Należało zbudować grodzie i umocnienia, lecz nie zrobiono tego w odpowiednim czasie. Apatia mojego ojca sprawiła, że dostałem w spadku problem nie do rozwiązania, a z pewnością zbyt kosztowny na kieszeń bibliotekarza w Napawset. Ale my, bibliotekarze, jesteśmy znani z zaradności.

Idę ku drewnianym schodom, które prowadzą w dół klifu na piasek. W tym roku skórze moich stóp opornie szło wytworzenie koniecznych zgrubień, dlatego wrzynające się w nie kamienie sprawiają mi ból. Na północnym wybrzeżu niewiele spraw liczy się tak bardzo jak wytrzymałe na ból stopy. Razem z Enolą, moją siostrą, zwykliśmy biegać na bosaka po ulicach tak rozgrzanych, że nasze palce zatapiały się w asfalcie. Przybysze z innych krain nie są w stanie chodzić po tych brzegach.

U podnóża schodów stoi Frank McAvoy: macha do mnie, po czym przenosi spojrzenie na klif. Ma ze sobą łódkę – piękny egzemplarz wyglądający tak, jakby wykonano go z jednego kawałka drewna. Frank jest nie tylko budowniczym łódek, lecz także dobrym człowiekiem, który zna moją rodzinę z czasów jeszcze sprzed moich narodzin. Kiedy się uśmiecha, na jego ogorzałej twarzy pojawiają się zmarszczki typowe dla Irlandczyka, który zbyt wiele lat spędził na słońcu. Jego brwi zawijają się do góry i znikają pod rondem starego płóciennego kapelusza, bez którego Frank nie potrafi się obyć. Gdyby mój ojciec dożył sześćdziesiątki, mógłby wyglądać jak Frank: mieć takie same pożółkłe zęby i rdzawe piegi.

Widok Franka przywołuje wspomnienia mnie samego z dzieciństwa: kręciłem się wokół drewna przygotowanego na ognisko, a wielka dłoń Franka odciągnęła mnie sprzed osuwającej się kłody. Przywołuje też wspomnienia ojca stojącego nad grillem i opiekającego kukurydzą – zapach zwęglonych liści i włosków

wieńczących kolbę – podczas gdy Frank raczył nas opowieściami rybackimi. Oczywiście łągał na potęgę. Moja matka i jego żona podpuszczały go, ich śmiech płoszył mewy. Dwojga uczestników tej sceny nie ma już wśród nas. Patrzę na Franka i widzę swoich rodziców. Wyobrażam sobie, że również on nie może patrzeć na mnie i nie widzieć swoich zmarłych przyjaciół.

– Widzę, że sztorm nieźle ci przyłożył, Simonie.

– Wiem, straciłem jakieś półtora metra.

„Półtora metra” to mało powiedziane.

– Mówiłem twojemu ojcu, że powinien być zrobić tę gródź, posadzić drzewa.

Działka McAvoyów znajduje się paręset metrów na zachód od mojego domu – z dala od wody, na umocnionym i obsadzonym drzewami klifie, co ma uchronić dom Franka dosłownie nawet przed potopem.

– Ojciec nigdy nie był dobry w słuchaniu rad.

– Nie, nie był. Jednak kilka lat na tej grodzi zaoszczędziłoby ci teraz całego mnóstwa problemów.

– Sam wiesz, jaki był.

Milczenie, rezygnacja.

Frank wciąga powietrze przez zęby, wydając głuchy gwizd.

– Pewnie myślał, że będzie miał więcej czasu, żeby wszystko naprawić.

– Pewnie tak – odpowiadam.

Kto wie, co myślał mój ojciec?

– Przez ostatnie kilka lat woda podchodzi coraz bliżej.

– Wiem. Tak nie może dalej być. Jeśli masz jakiegoś zaufanego fachowca, to będę wdzięczny.

– Oczywiście, mogę ci kogoś podesłać. – Drapie się po karku. – Nie mam zamiaru cię oszukiwać, to nie będzie tanie.

– Nic już nie jest, prawda?

– Nie, podejrzewam, że nie.

– Może się okazać, że będę musiał sprzedać dom.

– To by było okropne. – Frank zmarszczył brwi, kapelusz nasunął mu się jeszcze niżej na czoło.

– Działka musi być coś warta, nawet jeśli dom runie.

– Pomyślę o tym.

Frank zdaje sobie sprawę z moich ograniczeń finansowych. Jego córka, Alice, również pracuje w bibliotece. Śliczna rudowłosa Alice odziedziczyła po ojcu uśmiech i podejście do dzieci. Radzi sobie znacznie lepiej niż ja w kontaktach z ludźmi, dlatego zajmuje się oprogramowaniem, a ja prowadzę dział informacji bibliotecznej. Ale nie spotkaliśmy się przecież, aby rozmawiać o Alice albo o stanie mojego domu. Jesteśmy tutaj, aby zrobić to, co robimy od przeszło dekady:

wydzielić bojami obszar przeznaczony do pływania. Silny sztorm wyrzucił boje wraz z kotwicami na brzeg. Leżały tu teraz owinięte metrami pordzewiałego łańcucha i pomarańczowych lin oblepionych pąklami. Nic dziwnego, że ubył mi ziemi.

– Zaczynamy? – zapytałem.

– Możemy. Wcześniej już nie będzie.

Zdjąłem koszulę, przerzuciłem łańcuchy z linami przez ramię i rozpocząłem mozolną wędrówkę.

– Na pewno ci nie pomóc? – upewnia się Frank. – Skif orze piasek, kiedy spycha go do wody.

– Nie, dzięki, radzę sobie.

Równie dobrze mogę to robić sam, ale jest bezpieczniej, kiedy Frank płynie za mną. Tak naprawdę nie robi tego ze względu na mnie. Jest tutaj z tego samego powodu, z którego ja każdego roku podejmuję się tego zadania: aby wspominać moją matkę, Paulinę, która utonęła w tych wodach.

Zatoka Sound jest lodowata, choć to czerwiec, ale kiedy już się zanurzyłem, poczułem się jak w domu. Palce moich stóp oplatają porośnięte glonami kamienie, jakby zostały do tego stworzone. Łańcuchy mnie spowalniają, lecz Frank trzyma tempo, wiosłując. Wchodzę w głęb, woda sięga mi do piersi i dalej aż do szyi. Tuż przed całkowitym zanurzeniem wypuszczam z płuc całe powietrze. Potem biorę wdech, tak jak pewnego ciepłego ranka pod koniec lipca nauczyła mnie mama. I jak ja nauczyłem swoją siostrę.

Sztuczka z wstrzymywaniem oddechu polega na tym, aby poczuć się spragnionym.

– Szybki mocny wydech – łagodny głos matki tuż przy moim uchu. Jej gęste czarne włosy unosiły się na powierzchni płytkiej wody. Miałem wtedy pięć lat. Naciskała na mój brzuch, aż mięśnie zassały się do środka, a pępek niemal dotknął kręgosłupa. Naciskała mocno, jej paznokcie wbijały mi się w skórę. – Teraz wdech, szybko. Dalej, dalej, dalej. Rozszerz mocno żebra. Myśl szeroko.

Wzięła oddech: żebra się rozpostarły, ptasie kosteczki się rozgięły, brzuch stał się okrągły jak baryłka. Jej kostium kąpielowy raził w oczy swoją bielą na tle wody. Zmrużyłem oczy, aby widzieć lepiej. Stukała mnie palcem w mostek. Puk, puk, puk.

– Wpuszczasz powietrze za wysoko, Simonie. Jeśli tak zrobisz, utoniesz. To odcina przestrzeń w brzuchu. – Delikatny dotyk. Uśmiech. Matka powiedziała, żebym najpierw sobie wyobraził, że jestem spragniony, wyschnięty, pusty, a później żebym się napił powietrza. – Rozciągnij kości, zaczerpnij powietrza szeroko i głęboko.

Kiedy mój brzuch osiągnął rozmiary pękatego bębenka, wyszeptła:

– Cudownie, cudownie. Teraz pod wodę.

Teraz pod wodę. Promienie słońca miękko przenikały przez wodę wokół cienia łódki Franka. Słyszę czasem matkę unoszącą się na wodzie. Od czasu do czasu mignie mi gdzieś za zasłoną z wodorostów, zafalują jej czarne włosy zaplątane w listownice.

Mój oddech osadza się na powierzchni skóry w formie delikatnej mgiełki.

Paulina, moja matka, była artystką cyrkową, wróżbiarką, asystentką magika i syreną, która zarabiała na życie, wstrzymując oddech. Nauczyła mnie pływać jak ryba i sprawiała, że ojciec się uśmiechał. Często znikwała. Rzucała posady lub miała dwie, trzy naraz. Zatrzymywała się w hotelach tylko po to, aby wypróbować łóżka inne niż to, które miała w domu. Ojciec, czyli Daniel, był maszynowym w elektrowni i jej stałym partnerem. Siedział w domu, uśmiechając się i wypatrując jej powrotu, czekając, aż powie do niego „kochanie”.

Simon, kochanie. Do mnie też tak mówiła.

Tamtego dnia, kiedy weszła do wody, miałem siedem lat. Dawniej próbowałem wymazać to wspomnienie z pamięci; z biegiem czasu stało się dla mnie najcenniejsze. Zostawiła nas rankiem po śniadaniu. Jajka ugotowane na twardo, które należało rozbić o brzeg talerza i obrać – skorupki zawsze wciskały się pod paznokcie. Obrąłem jajko dla siostry i pokroiłem je na kawałki odpowiednie dla jej małych paluszków. Do tego zeschnięte tosty i sok pomarańczowy. Latem wcześniej rano cienie wydają się głębsze, skóra jaśniejsza, rysy twarzy ostrzejsze. Tamtego ranka tata poszedł do pracy. Paulina wyglądała pięknie niczym łabędź, niczym ktoś, kto nie pasuje. Siedziała z nami sama, przyglądając się i kiwając z uznaniem głową, kiedy kroiliśmy jajko dla Enoli.

– Jesteś dobrym starszym bratem, Simon. Opiekuj się Enolą. Będzie chciała od ciebie uciec. Obiecuj, że jej na to nie pozwolisz.

– Nie pozwolę.

– Ależ cudowny z ciebie chłopiec. Nie spodziewałam się tego. Nie spodziewałam się ciebie w ogóle.

Wahadło zegara z kukułką kołysało się w prawo i w lewo. Mama stukała piętą w linoleum, milczała. Enola obsypała się cała okruchami chleba i jajka. Usiłowałem równocześnie jeść i nie dopuścić, żeby ubrudziła się jeszcze bardziej.

Po chwili matka wstała i wygładziła przód swojej letniej żółtej spódnicy.

– Zobaczymy się później, Simonie. Do widzenia, Enolo.

Pocałowała Enolę w policzek i przycisnęła usta do czubka mojej głowy. Pomachała na pożegnanie, uśmiechnęła się i wyszła. Myślałem, że do pracy. Skąd mogłem wiedzieć, że to pożegnanie było prawdziwym pożegnaniem? Trudne myśli wyrażane są prostymi słowami. Mama, patrząc na mnie tamtego ranka, wiedziała, że zaopiekuję się Enolą. Wiedziała, że za nią nie pójdziemy. To był jedyny moment, kiedy mogła odejść.

Trochę później, kiedy z Alice McAvoy puszczaaliśmy samochodziki po dywanie w salonie jej domu, moja matka utopiła się w zatoce Long Island Sound.

Kładę się na wodzie, napierając na nią klatką piersiową, zapierając się palcami stóp o dno. Jeszcze kilka metrów i rzucam kotwicę – opada z przytłumionym łoskotem. Patrzę na cień łódki. Frank się niepokoi. Wiosło uderza o powierzchnię. Jak to jest: oddychać wodą? Oczami wyobraźni widzę wykrzywioną twarz matki, ale brnę dalej; wreszcie zarzucam drugą kotwicę. Wtedy wypuszczam całe powietrze z płuc i zaczynam iść ku brzegowi. Staram się przy tym jak najdłużej iść po dnie – moja i Enoli zabawa z dzieciństwa. Płynę tylko wtedy, kiedy nie mogę utrzymać równowagi – moje ramiona poruszają się miarowo, tną wody zatoki niczym wiosła Franka. W miejscu, w którym woda ledwo zakrywa mi głowę, z powrotem staję na dnie. Zaraz potem robię coś specjalnie z myślą o Franku.

– Powoli, Simonie – mówiła mi matka. – Miej oczy otwarte, nawet jeśli pieką. Pieką bardziej przy wychodzeniu niż przy wchodzeniu, ale miej je otwarte. Żadnego mrugania. – Sól piecze, ale matka nigdy nie mrugała: ani w wodzie, ani kiedy pierwszy powiew powietrza docierał do jej oczu. – Nie zaczerpuj powietrza, nawet kiedy nos masz już nad wodą. Jeśli za szybko zrobisz wdech, będziesz miał usta pełne soli. Poczekaj – powiedziała, ofiarując to słowo jak obietnicę. – Poczekaj, aż twoje usta wynurzą się z wody, ale wdech zrób nosem. W przeciwnym razie będziesz wyglądał na zmęczonego. Na koniec uśmiechnij się. – Chociaż usta matki były małe i o cienkich wargach, jej uśmiech był rozległy jak ocean. Nauczyła mnie właściwie się kłaniać: ręce wysoko, pierś wyprężona... Żuraw podrywający się do lotu. – Tłum uwielbia niskich ludzi oraz tych bardzo wysokich. Nie zginaj się w pół jak aktor, ponieważ to cię zmniejszy. Pozwól im myśleć, że jesteś wyższy niż w rzeczywistości. – Posłała mi uśmiech między swoimi uniesionymi rękoma. – A ty, Simonie, będziesz bardzo wysoki. – Skinięcie głową niewidocznej publiczności. – Rób to z wdziękiem. Zawsze z wdziękiem.

Teraz nie kłaniam się przed Frankiem. Ostatnio kłaniałem się, kiedy uczyłem Enolę i oczy piekły nas tak niemiłosiernie, że wyglądaliśmy, jakbyśmy się pobili. Niemniej jednak uśmiecham się i biorę wdech nosem, pozwalając żebrom się rozszerzyć, a żołądkowi napełnić.

– Już myślałem, że będę musiał po ciebie zanurkować – woła Frank.

– Jak długo byłem pod wodą?

Patrzy na swój zegarek na popękany skórzany pasku, wypuszcza powietrze z płuc.

– Dziewięć minut.

– Mama potrafiła jedenaście. – Strzepuję wodę z włosów, dwukrotnie uderzam dłonią o głowę, aby pozbyć się jej z ucha.

– Nigdy tego nie rozumiałem – mruczy pod nosem Frank, uwalniając wiosła.

Z łomotem wrzuca je na dno skifu.

Jest pytanie, którego żaden z nas nie zadaje: po jakim czasie utopi się ktoś, kto potrafi wstrzymać oddech tak długo?

Wkładam koszulę, która jest pełna piasku. Takie są konsekwencje mieszkania na wybrzeżu: piasek jest zawsze we włosach, pod paznokciami, w zagnieceniach pościeli.

Frank idzie za mną, sapiąc ze zmęczenia po wyciągnięciu łódki na brzeg.

– Trzeba było pozwolić sobie pomóc.

Klepie mnie po plecach.

– Jeśli nie wysilę się od czasu do czasu, to się po prostu zestarzeję.

Rozmawiamy o błahostkach z życia maryny. Frank narzeka na powszechność łódek z włókna szklanego. Oboje wyśpiewujemy hymny na cześć „Windmill” – żaglówki wyścigowej, którą Frank miał na spółkę z moim tatą. Po śmierci mamy tato sprzedał żaglówkę bez jakiegokolwiek wytłumaczenia. To było z jego strony okrutne wobec Franka, ale myślę, że gdyby tylko Frank chciał, mógłby ją wykupić od ręki. Unikamy rozmowy o domu, choć nie ulega wątpliwości, że myśl o potencjalnej sprzedaży go denerwuje. Ja również wolałbym domu nie sprzedawać. Wymieniamy uprzejme uwagi o Alice. Mówię, że mam na nią oko, choć to właściwie niepotrzebne.

– A co z tą twoją siostrą? Urządziła się gdzieś?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Prawdę powiedziawszy, nie jestem przekonany, że kiedyś to nastąpi.

Frank uśmiecha się nieznacznie. Oboje myślimy to samo: Enola jest niespokojnym duchem. Ma to po matce.

– Nadal stawia tarota?

– Radzi sobie. Przystała do wędrownej trupy cyrkowej. – Powiedziawszy to, wyczerpałem nasze zwyczajowe tematy rozmowy. Osuszyliśmy się i wciągnęliśmy skif na gródź.

– Idziesz na górę? – pytam. – Odprowadzę cię.

– Ładny dzień – mówi Frank. – Myślę, że posiedzę tu trochę.

Rytuał został odprawiony. Rozchodzimy się, utopiwszy swoje duchy.

Wchodzę po schodach. Staram się omijać trujący bluszcz, który pnie się po poręczy i bujnie porasta klif. Nikt go nie wrywa, ponieważ wszystko, co wiąże piasek, jest tu pożądane bez względu na konsekwencje. Idę do domu przez kępy trawy wydmowej. Mój dom, jak wiele innych domów w Napawset, zbudowano w stylu kolonialnym pod koniec osiemnastego stulecia. Niegdyś obok drzwi frontowych wisiała tabliczka Towarzystwa Historycznego; parę lat temu zwiął ją północno-wschodni wiatr. Dom Timoty’ego Wabasha. Jego wygląd: łuszcząca się biała farba, cztery wypaczone okna i stromy próg, dowodzi długotrwałego

zaniedbania i poważnego braku funduszy.

Na wyblakłych zielonych schodkach (muszę się kiedyś do nich zabrać) czeka na mnie pakunek położony tak, że drzwi z siatki są niedomknięte. Kurier zawsze tak je zostawia, mimo moich niezliczonych próśb, żeby tego nie robił. Tylko tego mi brakowało, żeby w tym domu, który od początku był krzywy, wypaczyły się drzwi. Niczego nie zamawiałem i nie przychodzi mi na myśl żadna osoba, która chciałaby mi coś przysłać. Enola rzadko pozostaje w jednym miejscu tak długo, żeby wysłać coś więcej niż pocztówkę. Zresztą nawet jeśli jakąś wysyła, nie pisze na niej niczego poza adresem.

Paczka jest ciężka, nieporęczna i zaadresowana pismem, które każe mi się domyślać niemłodego nadawcy. Dobrze znam takie staroświeckie zawijasy, ponieważ większość darczyńców biblioteki zalicza się do osób wiekowych. To mi przypomina, że muszę zapytać Janice, czy nie znalazłyby się jakieś dodatkowe pieniądze w budżecie biblioteki. Może nie będzie tak źle, jeśli udałoby mi się załatać gródź. Nie chodzi o podwyżkę, raczej o jednorazową premię za lata lojalnej pracy. Nadawca paczki jest mi nieznany – niejaki pan M. Churchwarry z Iowy. Sprzątam stertę papierów z biurka – kilka artykułów dotyczących cyrku i wesołych miasteczek. Gromadzę je od lat, żeby być na bieżąco ze stylem życia mojej siostry.

W paczce znajduje się starannie owinięta książka słusznego rozmiarów. Jeszcze zanim ją zobaczyłem, poczułem stęchły, cierpkawy zapach starego papieru, drewna, skóry i kleju. Kiedy zdjąłem spowijającą ją bibułę i gazetę, moim oczom ukazała się oprawa z ciemnej skóry pokryta misternym rollwerkiem, niestety, poważnie uszkodzonym przez wodę. Przeszywa mnie dreszcz. Książka jest bardzo stara, z pewnością nie należy jej dotykać bezpośrednio palcami, ale ponieważ jest tak zniszczona, ulegam cichej pokusie dotykania przedmiotu zawierającego w sobie historię. Rogi papieru, które nie zostały zalane, są miękkie i ziarniste. Dzięki znajdującej się w bibliotece kolekcji wielorybniczej param się pracą archiwistyczną i konserwatorską, dlatego od pierwszego dotknięcia wiem, że książka pochodzi najpóźniej z dziewiętnastego wieku. Takie książki udostępnia się na specjalne zamówienie, a nie wysyła pocztą bez uprzedzenia. Układam z papierów mały stosik do podparcia tomu – na razie wystarczy, choć to nędzna namiastka pulpitu, na który ta książka zasługuje.

Za okładkę jest wetknięty list napisany wodnistym atramentem tą samą ręką, która zaadresowała przesyłkę.

Szanowny panie Watson,

—

natknąłem się na niniejszą książkę na aukcji. Należała do większego księgozbioru, który kupiłem z nadzieją na zysk. Jej uszkodzenia sprawiają, że jest dla mnie

bezwartościowa. Pojawiające się w niej imię i nazwisko – Verona Bonn – pozwala mi przypuszczać, że może ona mieć znaczenie dla pana lub pańskiej rodziny. To piękna książka i mam nadzieję, że będzie jej u Pana dobrze. Proszę się nie krępować, jeśli miałby Pan jakieś pytania, na które być może potrafiłbym odpowiedzieć.

List podpisał Martin Churchwarry z Churchwarry & Son, poniżej znajdował się numer jego telefonu. Sprzedawca książek specjalizujący się w egzemplarzach używanych i antykwarycznych.

Verona Bonn. Nie umiem sobie wyobrazić, co imię i nazwisko mojej babci miałyby robić w tej książce. Ponieważ babcia była, podobnie jak moja matka, wędrowną artystką, z pewnością księga tych rozmiarów stanowiłaby dla niej tylko niepotrzebny balast. Opuszką palca obracam pierwszą stronę. Papier niemal trzeszczy ze starości. Muszę pamiętać, żeby przynieść sobie nie tylko pulpit, ale i rękawiczki. Wewnętrzną stronę okładki zapisano wyszukany pismem, a dokładniej przesadnie ozdobną angielską kursywą z fantazyjnymi ozdobnikami, które niemal uniemożliwiają odczytanie tekstu. Zdaje się, że to księga rachunkowa lub dziennik niejakiego Hermeliusa Peabody’ego związanego z czymś, co opisują między innymi słowa „obwoźny” i „cuda”. Pozostałe informacje dotyczące pana Peabody’ego zostały zatarte przez wodę i jego zamięłowanie do kaligrafii. Pobieźnie przeglądając książkę, natrafiam na rysunki przedstawiające kobiety, mężczyzn, budynki oraz wymyślne wozy z zakrzywionymi dachami – wszystkie narysowane brązowym atramentem.

Nigdy nie poznałem swojej babci. Zmarła, kiedy moja matka była dzieckiem, i matka nigdy wiele o niej nie mówiła. Mimo że nadal nie rozumiem, jaki związek z babcią ma ta książka, to wszystko wydaje mi się niezwykle interesujące.

Ignoruję brzęczenie sygnalizujące wiadomość pozostawioną w poczcie głosowej i wykręcam numer. Telefon dzwoni przez niewiarygodnie długi czas, wreszcie włącza się automatyczna sekretarka. Zmęczony męski głos informuje mnie, że dodzwoniłem się do Churchwarry & Son Booksellers, i prosi o nagranie wiadomości zawierającej godzinę i datę oraz szczegółowy opis poszukiwanej książki. Charakter pisma nie kłamał. To stary człowiek.

– Panie Churchwarry, mówi Simon Watson. Otrzymałem od pana książkę. Nie mam pewności, dlaczego pan mi ją przysłał. Zaintrygował mnie pan. Jest dwudziesty czerwca tuż po szóstej po południu. Ta książka to rarytas i z chęcią dowiedziałbym się o niej czegoś więcej.

Podaję wszystkie możliwe numery do siebie: komórkowy, domowy, biblioteczny.

Po drugiej stronie drogi Frank zmierza do warsztatu, który znajduje się w szopie na uboczu jego parceli. Pod pachą ma kawałek drewna i jakiś zacisk. Powinienem był poprosić go o pieniądze, nie o fachowca. Znaleźć robotników to dla mnie nie

problem, co innego z funduszami. Potrzebuję podwyżki. Lub innej pracy. Prawdopodobnie obu tych rzeczy naraz.

Migające światełko przykuwa moje spojrzenie. Poczta głosowa. Racja. Wciskam klawisz. Głos, który słyszę, nie jest tym, którego się spodziewałem.

„Hej, to ja. Cholera. Czy dzwonię wystarczająco często, żeby powiedzieć »to ja«? Mam nadzieję, że masz kogoś »to ja«. Byłoby dobrze. Tak czy inaczej, to ja, Enola. Dzwonię, żeby cię uprzedzić. Przyjeżdżam do domu w lipcu. Dobrze byłoby cię zobaczyć, jeśli masz ochotę poprzebywać ze mną. Właściwie chcę, żebyś ze mną poprzebywał. Czyli przyjeżdżam do domu w lipcu, więc masz być w domu. Okej? Cześć”.

Odtwarzam wiadomość ponownie. Enola nie dzwoni wystarczająco często, żeby mówić „to ja”. W tle słyszę hałas, ludzie rozmawiają, śmieją się, gra muzyka na karuzeli – to ostatnie być może tylko w mojej głowie. Żadnych dat ani numerów, tyle tylko, że zjawi się w lipcu. Enola nie funkcjonuje na zwykłej osi czasowej, w jej mniemaniu określenie miesiąca jest nadzwyczaj precyzyjne. Dobrze słyszeć jej głos, ale jest to również niepokojące. Enola nie dzwoniła od przeszło dwóch miesięcy i nie przyjeżdżała do Napawset od sześciu lat, czyli od chwili, kiedy oświadczyła, że umrze, jeśli spędzi choćby jeszcze jeden dzień ze mną w domu. Nastolatki mówią tego typu rzeczy pod wpływem chwilowych emocji, w tym wypadku jednak oboje wiedzieliśmy, że mówiła świadomie. Dla mnie był to poważny cios, ponieważ od śmierci taty, czyli przez ostatnie cztery lata, opieka nad nią spoczywała wyłącznie na moich barkach. Od dnia wyjazdu Enola dzwoni od czasu do czasu i zostawia chaotyczne wiadomości. Jeśli rozmawiamy, to krótko i przede wszystkim o tym, czego Enola potrzebuje w danym momencie. Dwa lata temu zadzwoniła, kiedy miała gripę żołądkową. Znalazłem ją w hotelu w New Jersey, klęczącą przed sedesem. Zostałem z nią trzy dni, bo odmówiła powrotu do domu.

Chce wpaść z wizytą. Może. Niczego nie ruszyłem w jej pokoju. Pewnie w nadziei, że wróci. Myślałem o tym, żeby zamienić go w bibliotekę, ale zawsze były bardziej naglące potrzeby: łatanie przeciekającego dachu, naprawa instalacji elektrycznej, wymiana okien. Zmiana przeznaczenia pokoju siostry, która odeszła z domu tak dawno, wciąż schodziła na dalszy plan. Chociaż może to po prostu wygodne wymówki.

Księga leży przy telefonie – kusząca mała tajemnica. Nie położę się dzisiaj. I tak często nie śpiam. Będę siedział, bijąc się z myślami. O domu, o siostrze, o pieniądzach. Kciukiem podążam za kształtem ozdobnej litery H. Jeśli ta książka jest mi przeznaczona, najlepiej zrobię, jeśli się dowiem dlaczego.

Chłopiec urodził się jako bękart na niewielkiej plantacji tytoniu na żyznych wzgórzach Wirginii. Gdyby ktoś próbował ustalić datę jego narodzin, powiedziałby, że to lata osiemdziesiąte osiemnastego wieku – po tym, jak plantatorzy tytoniu zaczęli dyktować ceny za beczkę piwa, a zanim zostali wchłonięci przez pożerający wszystko przemysł bawełniany. Małeńki domek jego rodziców, niewiele większy niż przybudówka, był porośnięty mchem i miał zawsze pozamykane okiennice, by chroniły wnętrze przed deszczem, muchami i wszechobecnym ostrym zapachem tytoniu dolatującym z suszarni.

Matką chłopca była żona plantatora – pracowita Eunice Oliver. Ojcem zaś Lemuel Atkinson, przystojny młody mężczyzna parający się obwoźną sprzedażą medykamentów. Wystarczyło niewiele więcej niż czułe słowo i dotyk urzekająco gładkich dłoni dżentelmena. Eunice po tym spotkaniu pozostały trzy butelki eliksiru Atkinsona i ciąża pozamałżeńska.

Plantator, William Oliver, miał już trójkę własnego potomstwa i nie patrzył na bękartą przyjaznym okiem. Kiedy chłopiec podrósł i zaczął chodzić, a resztki ze stołu przestały mu wystarczać, William zaprowadził go w głąb lasu i zostawił tam na pastwę losu. Eunice głośno płakała, kiedy odbierano jej syna. On natomiast trwał w ciszy. Jego największe nieszczęście polegało bowiem nie na tym, że był bękartem, ale na tym, że był niemy.

Chłopiec przetrwał kilka lat bez wypowiedzenia choćby słowa. Za dnia czuł głód, więc żywił się, czym mógł. Najczęściej jagodami. Jeśli napotkał na swej drodze gospodarstwo, kradł z niego cichaczem, co się dało. Suszarnia mięsa oznaczała dla niego ciepłe schronienie na noc i tygodniowy zapas jedzenia. Zwykle jednak spał tam, gdzie miał nadzieję na choć odrobinę ciepła. Jego dni zły się ze sobą: wypełniały je tylko mgła, widok pasm górskich i lasu tak gęstego, że pochłaniał cały świat. Chłopiec zanurzył się w to miejsce i to w nim po raz pierwszy odkrył, jak się znika.

Ludzie mogą przeżyć całe życie i nie odkryć sekretu znikania. Chłopiec go odkrył, ponieważ był wolny i mógł słuchać muzyki ziemi, delikatnych ruchów gleby i oddechu wody – szeptu nieco tylko głośniejszego od bicia serca. Woda stanowiła klucz. Jeśli wsłuchał się w jej głębię, dostosował do niej swój oddech, spowolnił rytm swojego serca tak, aż ledwie biło, jego drobne brązowe ciało zlewało się z otaczającym go światem. Gdyby ktoś mu się przyglądał, zobaczyłby, jak umorusany chłopiec obraca się i znika w drzewach, stając się jak ziarnko piasku na plaży – niemożliwe do odróżnienia od pozostałych. Tylko głód, jego

nieodłączny towarzysz, dawał mu pewność, że wciąż żyje.

Znikanie sprawiło, że kwestia przetrwania stała się łatwiejsza. Chłopiec mógł wchodzić do wędzarni i objadać się, dopóki nie wypędziły go stamtąd wysoka temperatura i kłęby dymu. Porywał chleby ze stołów, ubrania suszące się na drzewach i krzakach, by zaspokoić potrzeby swojego ciała.

Tylko raz zbliżył się do domu, z którego został wypędzony. Jego wspomnienia o nim stały się bardzo mgliste, więc doszedł do wniosku, że są wytworem wyobraźni. Zobaczywszy szary budynek z pochyłym dachem, był wstrząśnięty. Uchylił odrobinę okiennice i jednym świdrującym brązowym okiem zajrzał do środka. W polu jego widzenia znalazła się sypialnia oświetlona księżycowym blaskiem.

Na sienniku spali mężczyzna i kobieta. Patrząc na toporne rysy mężczyzny, szczecinę pokrywającą kwadratowy podbródek, chłopiec nie poczuł nic. Kobieta leżała na boku, jej brązowe włosy przykrywały poduszkę. W chłopcu odżyło wspomnienie tych włosów muskających wierzch jego dłoni. Zakradł się do środka przez niezaryglowane drzwi, przemknął koło długiego stołu i łóżeczka śpiącego dziecka do sypialni. Jego ciało znało drogę, jakby przemierzyło ją tysiąc razy. Ostrożnie uniósł kołdrę, wśliznął się pod nią i zamknął oczy. Zapach kobiety: mydło ługowe i suszony tytoń, wydał mu się znajomy. Mimo że o nim nie pamiętał, nosił go głęboko w sobie. Ciepło jej ciała sprawiło, że załkał.

Uciekł, zanim otworzyła oczy.

Nie widział, że kobieta obudziła mężczyznę, ani nie słyszał, co mu powiedziała: czuła się, jakby ktoś ją obserwował, i śniła o swoim wypędzonym synu. Chłopiec nie wrócił więcej do tego domu. Zagłębił się z powrotem w las w poszukiwaniu innego schronienia, innego jedzenia i miejsc, które nie sprawiały, że jego skóra płonęła.

Na brzegu mulistej rzeki Dan River, niedaleko Boyd's Ferry, znajdowało się miasteczko Catspaw. Nazwano je tak, ponieważ dolina, w której je zbudowano, przypominała kształtem kocią łapę. Całe miasteczko miało kolor ochry, nadały mu je szlam z rzeki i tumany pyłu wzbijanego kopytami koni i mułów. Powodowane roztopami powódzie, zmora Boyd's Ferry, w późniejszych latach doprowadziły do tego, że Catspaw zostało doszczętnie zniszczone i na powrót zlało się ze wzgórzami. Jednak w czasach, o których tu mowa, kwitło. Chłopiec wędrował wzdłuż krętych brzegów Dan River, aż dotarł do miasteczka. Przerazało go, lecz jednocześnie widział, jakie stwarza mu możliwości. Pracunki gotowały bieliznę w wielkich baliach, a mydliny i wodę z płukania wylewały prosto do rzeki, przewoźnicy pływali na niewielkich czólnach, odpychając się od dna długimi tyczkami, konie ciągnęły powozy, w których siedzieli mężczyźni i kobiety. Kakofonia dźwięków wydawanych przez wodę, ludzi i powozy napełniała chłopca

zgrozą. Jego spojrzenie nie mogło się na niczym zatrzymać. Wreszcie skupił wzrok na jasnoniebieskiej sukni i przez jakiś czas śledził zamaszysty ruch ciężkiego materiału, z którego ją uszyto. Później schował się za drzewem, zatkał sobie uszy i próbował spowolnić bicie serca, aby wsłuchać się w oddech rzeki.

Nagle – niesamowity dźwięk.

Wspaniały głos zapowiadał pojawienie się trupy wędrownych artystów: dość przypadkowej zbieraniny zonglerów, akrobatów, wróżbitów, kontorsjonistów oraz zwierząt. Przewodził jej Hermelius H. Peabody, samozwańczy wizjoner w kwestiach rozrywki i edukacji, przekonany, że zarówno wykonawcy, jak i żywy inwentarz (licząca świnia o reputacji uczonej, miniaturowy konik, plująca lama) to narzędzia na drodze do rozwoju umysłów gawiedzi oraz do napełniania jego osobistej sakiewki. W lepsze dni czuł się prawdziwym nauczycielem ludzkości, w gorsze mieszkańcy wiosek i miasteczek opierali się oświeceniu i kazali Peabody’emu wynosić się gdzie pieprz rośnie. Wóz świni, świeżo pomalowany na niebiesko i z dumnym napisem „Toby” na boku, nosił nawet ślady po niefortunnych spotkaniach z widłami.

Chłopiec przyglądał się ludziom stłoczonym przed zielono-złotym wozem, który wjechał na główny plac Catspaw. Tuż za nim jechały inne, nie tak wspaniałe, wozy i powozy, pomalowane na wszystkie kolory tęczy, zajmowane przez barwną zbieraninę ludzi i zwierząt. Kiedy wozy objeżdżały plac, kobiety przygarniały dzieci do swoich fałdzystych spódnic, aby nie powpadały pod koła. Główny wóz opisano literami tak wymyślnymi, że niemal niemożliwymi do odczytania. Stał na nim imponujący mężczyzna w ekstrawaganckim stroju – Peabody we własnej osobie. Mieszkańcy przyzwyczajeni raczej do pojedynczych wędrownych zonglerów i muzyków nie mieli jeszcze do czynienia z podobnym spektaklem.

Nigdy wcześniej nie było nikogo takiego jak Hermelius Peabody, co on sam z lubością podkreślał. Zarówno jego wzrost, jak i wygląd domagały się uwagi. Podkręcony koniuszek brody ocierał się o pierś, śnieżnobiałe włosy opadały mu na ramiona. Na głowie miał rozpadający się kapelusz z wywiniętym rondem – samo to, że kapelusz ten pozostawał wciąż w jednym kawałku, wyglądało na nie lada sztuczkę. Brzuch Peabody’ego jawnie drwił z siły grawitacji: okrągły i wysoko osadzony rzucał wyzwanie mosiężnym guzikom kamizelki i rozciągał czerwoną aksamitną marynarkę do granic możliwości. Jednak najbardziej niezwykłą cechą Hermeliusa Peabody’ego był jego głos rozbrzmiewający w całej dolinie donośnym dudnieniem, które wzbierało w czeluści jego brzucha.

– Panie i panowie, macie dziś niesłychane szczęście! – krzyczał.

Wykonał przy tym gest w kierunku stojącego za nim szczupłego mężczyzny, który przy kąciku ust miał szeroką bliznę. Szepnął on Peabody’emu do ucha: „Mieszkańcy Wirginii”.

Peabody krzyczał dalej:

– Przed wami najbardziej niezwykły spektakl, jaki kiedykolwiek zobaczycie. Przywożę wam największą kontorsjonistkę Orientu!

Gibka dziewczyna wspięła się na dach powozu, założyła nogę za głowę i pochyliła się do przodu, aby stanąć na jednej ręce.

Chłopiec patrzył i słuchał urzeczony. Wychylił się zza swojego drzewa.

– Z samego serca Karpat – kontynuował Peabody, wznosząc ręce do nieba – skrytych w oparach słowiańskiego mistycyzmu, wychowana przez wilki i biegła w starodawnej sztuce przepowiadania przyszłości madame Ryżkowa.

Tłum wydał pomruk, kiedy z wozu wyszła zgarbiona kobieta spowita w taką ilość jedwabiu, że starczyłoby go na kobierzec, i wyciągnęła zakrzywioną dłoń. Chłopiec krok po kroku przybliżał się do tłumu, do wozów, przeciskając się między ludźmi, aż znalazł miejsce za kołem, skąd miał świetny widok na białowłosego mężczyznę o głosie huczącym niczym rzeka. Przykucnął zasłuchany, balansując na palcach stóp, i zrównał swój oddech z oddechem mężczyzny.

– Panie i panowie, jedyny raz w życiu. Kiedy następnym razem będziecie mieli szansę zobaczyć siłacza, który podnosi dorosłego konia, i to jedną ręką? Kiedy, pytam, następnym razem spotkacie dziewczynę, która potrafi zawiązać się w węzeł marynarski, lub wróżbitkę, która powie wam, co sam Bóg dla was przeznaczył? Taka okazja nigdy więcej się nie powtórzy, panie i panowie!

W nagłej wrzawie cyrkowcy wskoczyli z powrotem na wozy, spuścili grube płócienne zasłony i zatrzasnęli drzwi. Na placu został tylko Peabody, wolno się przechadzając i głaszcząc guziki kamizelki.

– W południe i o zmierzchu, panie i panowie. Trzy pensy za wejście, przyjmujemy również hiszpańskie monety. W południe i o zmierzchu!

Ludzie rozeszli się i wrócili do przerwanych zajęć: wożenia, prania, handlowania. Chłopiec trwał na swojej pozycji przy wozie. Bystre niebieskie oczy Peabody’ego zwróciły się ku niemu.

– Chłopcze – zaczął.

Chłopiec aż się przewrócił na plecy i jęknął. Jego ciało odmówiło wykonania rozkazu natychmiastowej ucieczki wysłanego przez instynkt.

– Twoja sztuczka jest znakomita – kontynuował Peabody. – Rozpływanie się, znikanie i pojawianie. Jak to nazwałś? Efemeryczność, efemeryzacja, coś w tym stylu? Pomyślmy o nazwie lub sama się znajdzie.

Chłopiec nie rozumiał dźwięków wydobywających się z mężczyzny. Tylko „chłopcze” brzmiało znajomo, reszta była pięknym hałasem. Chciał dotknąć materiału, który opinał brzuch mężczyzny.

Peabody podszedł do niego.

– I co my tu mamy? Jesteś chłopcem, prawda? Wyglądasz, jakbyś się składał

z mułu i patyków. Ciekawe stworzenie. – Cmoknął językiem. – Co powiesz? – Położył rękę na ramieniu chłopca.

Od czasu, kiedy chłopiec miał kontakt z człowiekiem, minęły miesiące. Nienawykły do dotyku, wzdrygnął się pod ciężarem obcej dłoni. Podążając za tym, co podpowiadały mu lęk i instynkt, posikał się.

– Niech to szlag! – Peabody odskoczył. – Musimy cię tego oduczyć.

Chłopiec zamrugał oczami. Z jego ust wydobyły się ochryple dźwięki.

Wyraz twarzy Peabody'ego złagodniał, drgnięcie policzka zapowiedziało uśmiech.

– Nic się nie martw, chłopcze. Dogadamy się znakomicie. Powiem więcej, wiąże z tym duże nadzieje. – Złapał chłopca za ramię i postawił na nogi. – Chodź, oprowadzę cię.

Przerażony, ale i zafascynowany chłopiec podążył za nim.

Peabody zaprowadził go do złoto-zielonego wozu. Dobrze osadzone drzwi otworzyły się i weszli do wykwintnie urządzonego pomieszczenia z biurkiem, stertami książek, mosiężną lampką i wszystkim tym, co czyniło życie w podróży wygodnym.

W tym otoczeniu Peabody przyjrzał się chłopcu uważnie.

– Jesteś dostatecznie śniady, aby uchodzić za muzułmanina lub Turka. Pokaż no się. – Pochylił się i unióśł palcem jego podbródek, żeby się lepiej przyjrzeć.

Chłopiec się wzdrygnął.

– Nie, jesteś na to zbyt dziki.

Peabody usiadł ciężko na małym trójnożnym taborecie stojącym przy biurku. Chłopiec się zdziwił, że delikatny z wyglądu mebelek nie złamał się pod ciężarem potężnego ciała.

Mężczyzna myślał, chłopiec go obserwował. Zauważył nawet czyste dłonie i równo obcięte paznokcie, tak różne od jego własnych. Choć postura mężczyzny napawała strachem, była w nim jakaś łagodność, widoczna choćby w zmarszczkach wokół oczu. Chłopiec podszedł bliżej biurka i zaczął słuchać, co mężczyzna mruczy pod nosem.

– Nie przerabialiśmy wcześniej Indii. Indie – mówił sam do siebie. – Tak, tak myślę, dzikus prosto z Indii – zachichotał. – Mój nowy Dziki Chłopiec. – Wyciągnął rękę, jakby chciał poklepać chłopca po głowie, ale zatrzymał się w połowie ruchu. – Chciałbyś być dzikusem? – zapytał.

Milczenie było jedyną odpowiedzią. Peabody unióśł brwi.

– Nie umiesz mówić?

Chłopiec przywarł plecami do ściany. Napięta skóra mocno go swędziała. Wpatrywał się w skomplikowane przeszycia na butach mężczyzny i rozprostował na podłodze gołe palce swoich drobnych stóp.

– Nieważne. Nie dostaniesz roli mówionej – uspokoił go Peabody. – Raczej będzie w niej chodzić o znikanie.

Znów milczenie. Tylko ciemna dłoń przesunęła się powoli i dotknęła lśniących butów.

– Podobają ci się, tak?

Dłoń natychmiast się cofnęła.

Peabody zapewne skrzywił się lekko, ponieważ jego wąsy nieco się poruszyły. Spojrzał łagodnie i spokojnie przemówił:

– Coś mi się widzi, że nie byłeś dobrze traktowany. Zaradzimy temu, chłopcze. Zostaniesz na noc. Sprawdzisz, czy ci to odpowiada.

Wyciągnął z kufra koc i położył na podłodze. Chłopiec owinał się nim i umościł wygodnie, oparłszy się plecami o biurko. Podobało mu się to, jak szorstka tkanina ociera się o jego skronie. Jakiś czas później mężczyzna wyszedł i chłopiec się przestraszył, że został porzucony. Po niedługim czasie mężczyzna jednak wrócił – przyniósł chleb. Chłopiec pochłonął jedzenie i wrócił pod koc. Mężczyzna nic nie powiedział, tylko pisał coś w książce. Od czasu do czasu pochylał się i okrywał ramiona chłopca.

A ten, nasycony, stawał się coraz bardziej śpiący. Zanim usnął, podjął decyzję, że za tym mężczyzną pójdzie wszędzie.

Rankiem Peabody oprowadził chłopca po ustawionych w kręgu wozach cyrkowych. Szedł o kilka kroków przed nim, czasem przystawał, aby chłopiec go dogonił. Kiedy doszli do imponującej klatki umieszczonej na odkrytym wozie, Peabody się zatrzymał.

– Myślałem o tym. Jest teraz twoja. Masz być przecież naszym Dzikim Chłopcem.

Chłopiec przyglądał się klatce nieświadomy, że obserwują go liczne pary oczu. Podłogę klatki wysypano słomą i trocinami, by utrzymać ciepło. Nie bez powodu; chłopiec miał występować nago. Na zewnątrz klatki wisiały bogate aksamitne zasłony, z których Peabody ogołocił salon swojej matki. Obciążono je łańcuchami – aby przesłonić światło, powiedział Peabody – i wyposażono w mechanizm do zaciągania i rozsuwania. Podczas przedstawienia Peabody zaskakiwał widownię, rozsuwając je dokładnie w momencie, w którym Dzikie Chłopiec wypróżniał się lub oddawał innym równie odrażającym czynnościom.

– Należała do poprzedniego Dzikiego Chłopca, teraz jest twoja.

Chłopiec rozsmakował się w swojej roli. Dotyk zimnego metalu na skórze sprawiał mu przyjemność. Poza tym mógł zarówno być obserwowanym, jak i obserwować. Gapiono się na niego, a on bez strachu odwzajemniał spojrzenia. Próbował zrozumieć, po co kobiety układają włosy w tak skomplikowany sposób, dlaczego ich biodra wydają się szersze niż biodra mężczyzn i dlaczego mężczyźni

mają dziwne włosy na twarzy. Skakał, czołgał się, wspinał, jadł i wypróżniał się, gdzie i kiedy chciał. Jeśli nie spodobał mu się ktoś z widowni, mógł się do niego wykrzywić i nawet opluć go bez żadnych konsekwencji. Co więcej, czasem czekała go za to nagroda. Powoli zaczynał czuć się swobodnie.

Bez wiedzy chłopca Peabody przestudiował i wyreżyserował jego przedstawienie. Zgłębił tajniki zjawiska znikania i rozumiał je być może nawet lepiej niż chłopiec. Jeśli zostawił go w klatce przez cały poranek, chłopiec przywierał do podłogi, jego oddech stawał się coraz płytszy, pierś poruszała się coraz wolniej i wreszcie znikał. Peabody nauczył się powoli rozsuwać wtedy zasłony.

– Cicho sza, dobrzy ludzie – pouczał półgłosem. – Nic dobrego nie wynika ze straszenia dzikiej bestii.

Wystarczyło, by zasłony rozjechały się na boki – wytrącało to chłopca ze stanu niewidzialności. Widzowie podchodzili coraz bliżej do klatki, którą uważali za pustą, a on z powrotem stawał się widzialny. Jego niespodziewane pojawienie się sprawiało, że dzieci zaczynały krzyczeć. Był niemy i nagi – tylko tyle – i doprowadzał tłumy do szaleństwa. Cieszyło go nowe życie. Odkrył, że jeśli potrząśnie przyrodzeniem lub będzie je ostentacyjnie demonstrował, jedna czy dwie kobiety niezawodnie zemdleją. Peabody zaciągał wówczas zasłony i uznawał przedstawienie za udane. Chłopiec zaczął wynajdować nowe sposoby straszenia, syczenia, warczenia i ślinienia się. Czasem Peabody poklepywał go po plecach ze słowami „Dobra robota”. Chłopiec czuł wtedy w żołądku przyjemne ciepło, które syciło lepiej niż jedzenie.

Chociaż klatka Dzikiego Chłopca należała do niego, nie spał w niej. Pod warstwą siana i trocin znajdowały się drzwiczki. Po zaciągnięciu zasłon chłopiec otwierał zasuwkę i schodził na dno wozu, gdzie miał swój wełniany koc. Mógł także pójść do wozu Peabody’ego i tam się ubrać. Peabody zwykł siedzieć przy biurku. Przygryzając fajkę, pisał i rysował przy świetle latarni. Przerywał pracę od czasu do czasu, aby posłać chłopcu porozumiewawcze spojrzenie.

– Wspaniale, mój chłopcze – mówił na przykład. – Z pewnością masz do tego talent. Być może jesteś najlepszym Dzikim Chłopcem, jakiego miałem. Widziałeś? Jedna paniusia zemdlała! Spódnica zadarła się jej aż na głowę! – Poklepał chłopca po plecach.

Chłopiec rozumiał, że mężczyzna go lubi. Zaczynał przypominać sobie słowa z czasów przed życiem w lesie, takie jak „chłopiec”, „koń”, „chleb” i „woda”. Poza tym przypominał sobie, że śmiech jest dobry. Im więcej słuchał Peabody’ego, tym więcej znaczenia miał dla niego język.

Peabody mówił do chłopca w wyjątkowy sposób, łagodniej niż do innych.

Zaledwie po paru tygodniach uważał go już za swojego syna.

Zaczęło się to, kiedy Peabody nie chciał, aby chłopiec spędził w klatce noc niespotykane zimną jak na tę porę roku. Być może chude brązowe ciało chłopca wzbudziło w nim litość. Poza tym Peabody uznał, że zaoferowanie chłopcu noclegu w wozie jest dobrą inwestycją biznesową i ma dobry wpływ na jego duszę. Chłopiec zwinął się więc w kłębek na wypchanej słomą poduszce – tej samej, na której zwykł sypiać Zachary, syn Peabody’ego. W tej chwili w sercu Peabody’ego coś drgnęło. Zachary przed laty wyruszył w świat, by szukać szczęścia. Napawało to jego ojca dumą, lecz jednocześnie uczyniło niepokieszonym. Spojrzał teraz na śpiącego chłopca i zrozumiał, że jego najnowszy nabytek może wypełnić pustkę. Kiedy chłopiec się obudził, czekała na niego sarta ubrań od tej chwili stanowiących jego własność. Bryczesy do kolan i długie koszule nie były byle jaką jałmużną – należały niegdyś do Zachary’ego.

Wieczorami chłopiec przesiadywał na podłodze wozu Peabody’ego, podchwytyjąc nazwy miejsc, numerów scenicznych oraz imiona: Nat, Melina, Susanna, Benno, Meixel. Peabody uczył go obycia towarzyskiego, lecz szybko uznał to za bezużyteczne. Opowiadał mu, jak przyciągać uwagę, i o pewności siebie, jaką można zyskać, zrozumiałwszy widzów. Na początku chłopiec nie chciał nic wiedzieć o ludziach, którzy przyglądali mu się zza krat. Był zadowolony, że klatka trzymała ich na dystans. Pewnego dnia Peabody pokazał mu jednak występy akrobatów, dziewczyny gumy oraz siłacza i ciekawość wzięła wtedy górę nad obojętnością.

– Patrz – mówił Peabody. – Benno zerka na tę kobietę tylko przelotnie, wciąga ją. Za chwilę uda, że zaraz się przewróci.

Akrobata balansujący na jednej ręce zachwiał się niebezpiecznie, a kobieta głośno wciągnęła powietrze.

– Nie jest w większym niebezpieczeństwie niż ty czy ja – ciągnął Peabody. – Robi tę samą sztuczkę z identycznym zachwianiem się, odkąd go wypatrzyłem w Bostonie. Wabimy ich, chłopcze, wabimy i co nieco straszymy. Ludzie lubią się bać. Za to właśnie płacą.

Chłopiec zrozumiał, że widownia to inni. On sam, Peabody oraz pozostali artyści to my.

W ciągu kilku tygodni Peabody nauczył swojego Dzikiego Chłopca sztuki odczytywania ludzi. Przed każdym wieczornym występem siadał z Dzikim Chłopcem w jego klatce. Obaj przez szparę w ciężkich zasłonach obserwowali tłum.

– Ta kobieta tam – szepnął Peabody – ściska rękę mężczyzny. Ona już się prawie boi. Wystarczy, że rzucisz się w jej stronę, a wpadnie w histerię. – Zachichotał i z jego okrągłych policzków opadły okruszki białego chleba. – A tamten wielki

gość... Ten, który wygląda, jakby był spuchnięty.

Spojrzenie chłopca pomknęło do mężczyzny przypominającego wołu.

– Założę się, że ma ochotę na pojedynek z naszym siłaczem.

Peabody wymruczał pod nosem coś o tym, że podczas przedstawienia trzeba będzie użyć drugiego zestawu ciężarów.

Chłopiec zaczął myśleć o ludziach jak o zwierzętach. Peabody był niedźwiedziem: tęgi, opiekuńczy i skłonny do krzyku. Nat, cichy siłacz o szerokich brwiach, to koń pociągowy. Benno, z którym chłopiec zaczął jeść posiłki, miał figlarność kozy. Prążkowana blizna, która ściągała kącik ust Benna w dół, kiedy mówił, fascynowała chłopca. Madame Ryżkowa, wróżbitka, była zdecydowanie najdziwniejsza. Dostrzegał w niej jednocześnie coś z ptaka i z drapieżnego zwierzęcia. Poruszała się szybko i nerwowo, choć jej młodość dawno minęła. Patrzyła na ludzi, jakby byli zdobyczą, w jej oczach malował się głód. Słyszając, jak Ryżkowa mówi, chłopiec czuł, że włosy jeżą mu się na karku.

Opuścili niedawno miasteczko Rawlison i postanowili rozbić obóz, by nieco odpocząć. Niespodziewanie Peabody wziął chłopca na stronę.

– Spisałeś się doskonale. – Delikatnie poklepał go po plecach. – Przerwij na chwilę sprzątanie klatki. Czas, żebym i ja dobrze cię potraktował. Uważam, że nie możemy wciąż mówić do ciebie „chłopcze”.

Peabody zaprowadził go do środka kręgu utworzonego przez wozy. Płonęło tam ognisko, przy którym członkowie trupy na zmianę doglądali królika i ryby piekących się na rożnie. Śniadzi mężczyźni, których można było wziąć za Cyganów, grali w kości. Susanna, kontorsjonistka, rozciągała się oparta o topolę, aż trzeszczały jej kości. Nat siedział ze skrzyżowanymi nogami, trzymając na kolanach miniaturowego konika i głaszcząc jego sztywną sierść. Kilka tygodni wcześniej chłopiec bałby się ich, teraz był zaintrygowany.

Peabody wziął chłopca pod pachy, podniósł wysoko i postawił na pniu nieopodal ogniska.

– Przyjaciele i towarzysze – jego dźwięczny głos sprawił, że wszyscy znieruchomieli i umilkli. – Dziś wieczorem spoczywa na nas ciężki, acz radosny obowiązek. Oto w osobie tego Dzikiego Chłopca podróżuje z nami cud.

Cała trupa zaczęła gromadzić się przy ognisku. Melina, zonglerka o przeszywającym spojrzeniu, zeszła ze swojego wozu. Meixel, drobny jasnowłosy mężczyzna, który zajmował się woltyżerką, wynurzył się z lasu pokryty słomą i płwociną lamy. Drzwi wozu Ryżkowej lekko się uchyliły.

– Ten chłopiec zarobił już tyle, ile sam waży, i zapewne niedługo uczyni nas wszystkich bogatszymi. Naszym obowiązkiem, moi zacni towarzysze, jest nadać mu imię, aby pewnego dnia mógł się stać panem sytuacji.

Płomienie ogniska strzelały wysoko i posyłały w noc iskry niczym gwiazdy.

– Silne imię – kontynuował Peabody.

– Benjamin – odezwał się ktoś.

– Prawdziwe imię.

– Peter.

– Imię, które niesie znaczenie – powiedział Peabody.

Jego głos, przed którym nie dało się uciec, rozbrzmiewał we wnętrzu chłopca i łaskotał jego czaszkę. Chłopiec wpatrywał się w ogień. Czuł coraz szybsze bicie serca.

– On się nazywa Amos. – Madame Ryżkowa odezwała się cicho, ale ton jej głosu sprawił, że nikt więcej się nie odezwał. – Amos to ktoś obciążony brzemieniem. Amos to imię, które oznacza siłę i smutek.

– Amos – powtórzył Peabody.

Amos, pomyślał chłopiec. Jasnowidząca zatopiła w nim spojrzenie czarnych oczu, połyskujących niczym paciorki. Amos. Dźwięk był krótki i długi, okrągły i płaski. Był jego.

Meixel sięgnął po swój flet i zaintonował skoczną melodię, która porwała Susannę do tańca. Zaczęły się śmiechy, do kubków nalano piwo. Chłopiec przyglądał się temu i przysłuchiwał przez jakiś czas, ale wymknął się, kiedy tylko poczuł, że o nim zapomniano. Noc nadania imienia spędził wyciągnięty na materacu w wozie Peabody'ego. Po cichu powtarzał je sobie, słysząc każdą sylabę osobno – tak wypowiadała je madame Ryżkowa. Amos, myślał, jestem Amos.

Późno w nocy Peabody wrócił do wozu i usiadł, aby naszkicować coś w swojej księdze. Minęły długie godziny, zanim zgasił lampę. Skończywszy, popatrzył przez ramię na śpiącego chłopca.

– Dobranoc, mój chłopcze. Słodkich snów, Amosie.

Amos uśmiechnął się w ciemności.

O takiej godzinie nie wypada do nikogo dzwonić. Ale im bardziej nie wypada, tym większe jest prawdopodobieństwo, że zostanie się kogoś w domu. Chociaż słońce ledwo weszło ponad wodę, Martin Churchwarry miał głos człowieka, który od dawna nie śpi.

– Pan Churchwarry? Tak się cieszę, że pana zastałem. Mówi Simon Watson. Dostałem od pana książkę.

– Och, pan Watson. Cieszę się, że książka dotarła w jednym kawałku. – Słysząc, że Churchwarry jest podekscytowany, niemal zapiera mu dech w piersiach. – Jest cudowna, nie sądzi pan? Żałuję, że nie mogłem jej zatrzymać, ale Marie zabiłaby mnie chyba, gdybym przyniósł do domu kolejną znajdę.

– Oczywiście – mówię odruchowo. A po krótkim zawahaniu dodaję: – Chyba jednak nie rozumiem.

– To ryzyko zawodowe sprzedawcy książek: im dłużej jest się w tym interesie, tym bardziej zaciera się granica między sklepem a domem. Och, powiedzmy to uczciwie. Nie ma żadnej granicy. Tylko że Marie, moja żona, nie zgadza się, żeby kolejne książki, których nie mogę sprzedać, a na które lubię patrzeć, gromadziły się w naszym domu.

– Rozumiem.

– Ale nie dzwoni pan przecież, aby rozmawiać o mojej żonie. Zakładam, że ma pan do mnie pytania.

– Tak. Przede wszystkim chciałbym wiedzieć, gdzie kupił pan tę książkę i dlaczego przysłał ją pan do mnie.

– Oczywiście, oczywiście. Wspomniałem, że specjalizuję się w książkach antykwarycznych, tak? Właściwie jestem tropicielem książek. Wyszukuję konkretne pozycje na życzenie klientów. Książka, którą panu przysłałem, wchodziła w skład licytowanego księgozbioru. Poszedłem na licytację nie po nią, ale po *Moby'ego Dicka*. Jeden z moich klientów ma na jego punkcie obsesję. – W głosie mojego rozmówcy słyszę jowialność, która sprawia, że wyobrażam go sobie jako chochlika. – W tym księgozborze znajdował się piękny egzemplarz *Moby'ego* wydany przez Lakeside Press w 1930 roku, musiałem go mieć. Szczęśliwie udało

mi się złożyć najwyższą ofertę. Nie koniec na tym. Kupiłem ponad dwadzieścia innych tomów. Nic niezwykłego, za to sporo chodliwych okazów... W większości Dickens i trochę Wolf. No i była tam jeszcze pańska księga.

Moja księga. Nie myślałem o niej w ten sposób, chociaż jej skórzana oprawa doskonale leży w mojej dłoni.

– Czyj to był księgozbiór?

– Do zorganizowania licytacji zatrudniono firmę. Próbowałem się czegoś od nich dowiedzieć, ale okazali się niezbyt pomocni. Jeśli coś nie ma wysokiej wartości, nie przywiązują większej wagi do proveniencji, a ten księgozbiór był nierówny. Chodziło w nim bardziej o ilość niż o jakość. Księga należała do niejakiego Johna Vermilliona.

Nazwisko nic mi nie mówiło. Nie wiem zbyt wiele o swojej rodzinie. Tata był jedynym dzieckiem dość starych rodziców, którzy zmarli przed moimi narodzinami, mama żyła zbyt krótko, aby mi cokolwiek opowiedzieć.

– Dlaczego więc przysłał pan ją mnie, a nie jego krewnym?

– Chodzi o to imię i nazwisko: Verona Bonn. Pięknie brzmi. Połowa uroku starych książek tkwi w odciśniętych na nich śladach życia. Sposób, w jaki napisano to imię, dowodzi, że Verona była właścicielką tej księgi. Występowała w cyrku, skakała z trampoliny. Dość nietypowe zajęcie, prawda? Odnalazłem jej nekrolog, który zaprowadził mnie najpierw do pańskiej matki, a później do pana.

– Wątpię, żeby ta księga należała do mojej babki. – Z tego, co wiem, ona ciągle była w podróży, żyła na walizkach.

– Cóż... Może należała zatem do jakiegoś innego pańskiego krewnego? A może do jakiegoś wielbiciela pańskiej babki? Ludzi fascynuje wszystko, co dotyczy cyrku. Wie pan, ile krąży opowieści związanych z tym tematem...

Tak, opowieści. My zdecydowanie tworzymy niezłą opowieść. Kubek niespodziewanie wyslizguje mi się z rąk. Kawa ląduje na podłodze, rozlewa się kałużą na splekanym kuchennym linoleum. Sięgam po papierowy ręcznik, aby ją zetrzeć, i przewracam pojemnik z cukrem. Zadawnione gorzkie uczucie odzywa się w mojej piersi, dobrze znane wrażenie bycia głównym bohaterem miejscowej tragedii. Matka, która się utopiła, ojciec, który umarł z żalu, młody chłopak, który sam wychowuje siostrę.

– Czy często odnajduje pan rodziny osób, do których należały kupione przez pana książki?

– Częściej, niżby pan myślał, panie Watson. Simonie. Mogę mówić do pana: Simonie?

Spod mojej stopy zaczyna wypływać krew, ciemnoczerwona smużka miesza się z kawą i cukrem. Musiałem nastąpić na kawałek stłuczonego kubka.

– Jeśli pan chce.

– Wspaniale. Nie dalej niż w zeszłym roku natknąłem się na cudowne wydanie *Pani jeziora* Scotta w miękkiej, pięknie wytłaczanej oprawie. Wewnątrz znajdował się zasuszony fiołek, który miał co najmniej czterdzieści lat. Czysta magia. Właścicielka, Rebecca Willoughby, podpisała się na wewnętrznej stronie okładki. Rebecca nie żyła, ale udało mi się odnaleźć jej siostrzenicę, która była zachwycona, że dostała książkę najwyraźniej wysoko cenioną przez ciotkę. Powiedziała, że to było trochę tak, jakby poznała ciotkę na nowo. Miałem nadzieję, że coś podobnego przydarzy się i z tą książką. Czy poruszyła ona coś w tobie?

Nasza rozmowa przywołała wspomnienia, niestety, nie te przyjemne.

– Odnalazł mnie pan, więc musi pan wiedzieć, że moi rodzice nie żyją.

Zmieszanie zamaskowane kaszlnięciem.

– Bardzo mi przykro. Przepraszam, jeśli zadałem ci ból.

– Zmarli dawno temu. – Zrobiłem głęboki wydech. – A książka jest fascynująca i w jakiś sposób powiązana z kimś, kto miał coś wspólnego z moją babką.

– Jestem w stanie zrozumieć, jeśli nie zechcesz jej zatrzymać. Proszę jedynie, żebyś odesłał mi ją z powrotem, a nie pozbywał się jej w inny sposób. Z przyjemnością zapłacę za przesyłkę. Po prostu to piękny egzemplarz i do tego taki stary. Postaram się przekonać Marie, żeby pozwoliła mi zatrzymać jeszcze tę jedną.

Myśl, żeby wyrzucić przedmiot z taką przeszłością, wydała mi się straszna.

– Nie, zatrzymam ją. Jestem w stanie dobrze się nią zaopiekować. Dziwnym zrządzeniem losu przysłał ją pan właściwej osobie. Jestem bibliotekarzem. Zajmuję się archiwaliami.

– Trafiłem idealnie. – Churchwarry śmieje się z ulgą.

Zaczynam rozumieć, jaką przyjemność czerpie on z rozsyłania książek. Czuję w sercu płomyk nadziei.

Niespodziewanie Churchwarry prosi mnie o przysługę. Robi to ostrożnie, jakby oczekiwał odmowy.

– Proszę, daj mi znać, jeśli się dowiesz, czemu w książce pojawia się nazwisko twojej babki. Lubię znać historie swoich książek. Taki mój bzik.

Zajmę się ustaleniem tego. Powinienem to zrobić. Zbyt wielu członków mojej rodziny pograżyło się w odmętach czasu i niepamięci.

– Tak zrobię – zapewniłem go, zanim odłożyłem słuchawkę.

Moje dłonie wydały mi się duże i niezgrabne. Nakleiliśmy plaster na podeszwę stopy, wsunąłem buty i przyglądałem się wędrówce słońca nad taflą wody. Nie sprzątnąłem z podłogi kawy ani cukru. Później. Minęły godziny od momentu, w którym odwiesiłem słuchawkę po rozmowie z Churchwarrym, która zmąciła mój spokój. Nie potrafię powiedzieć, co robiłem przez cały ten czas.

Aby zamknąć drzwi, należy zatrzasnąć je zdecydowanym ruchem. To typowe dla starzejącego się domu, który stoi na osuwającej się ziemi. Muszę ponownie osadzić drzwi na zawiasach. Wsiadam do samochodu, rzucam księgę na siedzenie dla pasażera i natychmiast się reflektuję. To zbrodnia traktować brutalnie przedmiot tak stary jak ten.

Droga do Grainger Library wiedzie przez całe Napawset, przez ciągnącą się trzy przecznice historyczną część miasta. Wszystkie domy należały tu kiedyś do rodziny Williamsów – kolonialne sześciany wybudowane przez braci, którzy w 1694 roku podzielili miasto. Dzielnica ta otacza port za mariną, w której cumują znieawidzone przez Franka łodzie z włókna szklanego, wije się wzdłuż domów kapitańskich, „czarujących” zdaniem większości turystów. Na przystani tłoczą się samochody w oczekiwaniu na prom do Connecticut, czyli tak naprawdę wielką łódź, otwierającą swoje ogromne szczęki, aby połknąć wszystkie te sedany i modele sportowe. Droga portowa najpierw pnie się dalej na wzgórze, na którym stoi klasztor, potem opada w dół wzdłuż słonych błot i skręca ku centrum wyspy. Tam stoi budynek Grainger Library.

W wypożyczalni Leslie i Christina potwierdzają moje podejrzenia, że jestem spóźniony. Z samego rana nie ma tam nikogo, a kluby czytelnicze dla dzieci nie zaczynają pracy przed dziesiątą, ale kiedy przechodzę obok gabinetu Janice Kupferman, dyrektorki, jest mi wstyd. Słyszę głuchy odgłos kroków w jej gabinecie. Tak, widziała mnie.

Zazwyczaj, kiedy siadam na swoim krześle, czuję się jak w domu. Nie dziś. Kładę księgę przed sobą na blacie i wpatruję się w nią. Powinienem zacząć wypełniać podanie o grant lub pisać prośby o zakup książek. Podejmuję kilka nieudanych prób i wreszcie dociera do mnie, że gapię się bezmyślnie na księgozbiór podręczny. W bibliotece czuć pleśnią i można mieć wrażenie, że popada ona w ruinę.

Trzonem naszych zasobów jest archiwum wielorybnicze. Chociaż nikt w Napawset nigdy nie zajmował się łowieniem wielorybów, Philipa Graingera, fundatora biblioteki, trawiła obsesja na ten temat. Po jego śmierci cały zgromadzony przez niego zbiór dokumentów dotyczących wielorybnictwa oraz historii Long Island przypadł w spadku bibliotece. Dzienniki portowe, dzieła sztuki, mapy morskie, wykazy cen rynkowych oleju i mydła, listy załadunkowe – owoc sześćdziesięciu lat pasji zgromadzony w dwóch obszernych pomieszczeniach bez okien na drugim piętrze. To oczko w głowie Janice i źródło dotacji, choć większość z nas nie jest do tej kolekcji w żaden sposób przywiązana.

Alice McAvoy układa książki na półkach, pochylona nad przestarzałym czytnikiem mikrofilmów. Wpatruję się w jej rudy warkocz jak zahipnotyzowany. Nie jest właściwie rudy, raczej w kolorze określanym jako truskawkowy blond. Patrzę,

jak się kołysze, i synchronizuję swój oddech z jego ruchem. Niemal słyszę cichy szelest włosów i prawie rozpływam się w tym dźwięku.

Alice obraca się w kierunku chropawego szmeru tweedowego kostiumu, który się do mnie zbliża. Janice Kupferman w akcji.

– Simonie, czy mogę cię prosić na minutę do swojego gabinetu? – pyta Janice.

– Oczywiście.

Gabinet Janice z powodu niskiego sufitu idealnie pasuje do jej krępej sylwetki, która kojarzy mi się z hydrantem, ale ja czuję się tam niekomfortowo. Siadam na krześle, a kolana mam tuż pod brodą.

– Wybacz – mówi Janice, bo widzi, jak mi jest niewygodnie. – Nigdy nie ma pieniędzy na nowe meble.

– W porządku. Przywykłem.

– Tak, z pewnością. – Zmęczony uśmiech sprawia, że jej szczeka zarysowuje się wyraźniej nad nieco obwisłym podbródkiem. – Jak długo tutaj pracujesz? Chyba co najmniej dziesięć lat.

– Możliwe. Straciłem rachubę.

Siedzi naprzeciwko mnie, dzieli nas metr drewnopodobnego laminowanego blatu biurka.

– Nie cierpię tego – mówi Janice, akcentując każde słowo potrząśnięciem głowy, które sprawia, że pobrzękują kolczyki w kształcie delfinów wystające spod jej idealnie przyciętych brązowych włosów. – Po prostu tego nienawidzę.

Z chęcią zapadłbym się w krzesło, ale jest na to zbyt małe. Wiem, co się szykuje.

– Budżet?

– Miasto ograniczyło w tym roku nasze środki. Znacznie. Próbuję z nimi walczyć...

– Wyciskanie wody z kamienia?

Kiwa głową. Nadzieje na premię umożliwiającą naprawę grodzi rozwiewają się jak mgła.

– Może jest jakiś grant, o który się jeszcze nie ubiegaliśmy? – pytam.

– Cały czas próbuję, ale rzeczywistość jest, jaka jest.

Nie musi tego mówić. Recesja nie sprzyja zainteresowaniu historią wielorybnictwa.

– Bardzo tego nie chcę, ale być może będę musiała kogoś zwolnić. To nic osobistego. Odbywam tę rozmowę z każdym. Jeśli miasto nie da nam dodatkowych środków, ktoś będzie musiał odejść.

Ktoś. Nieprzypadkowo Janice zaczęła od pytania o mój staż. Jediną osobą, która pracuje w bibliotece niemal tak długo jak ja, jest Alice. Zatrudniono ją trzy lata po mnie. Zajmuje się między innymi programowaniem, więc jest niezastąpiona.

– Rozumiem.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, Simonie. Nic nie zostało jeszcze postanowione, ale byłoby nie w porządku z mojej strony, gdybym nie poinformowała wszystkich, na co się zanoszą.

– Oczywiście.

Kiedy zaczynałem pracę w Grainger, Janice wydawała mi się skąpa. Po latach obserwowania jej wiem, że już wtedy walczyła ze skutkami cięć budżetowych oraz odrzuconych podań o dotacje, że niemal musiała zebrać o pieniądze. Gdyby teraz zwolniła dwie dziewczyny z wypożyczalni, mogłaby uratować mnie lub Alice. Z jej zrezygnowanego spojrzenia, nawet ze sposobu, w jaki pochyla się nad biurkiem, jakby chciała dodać mi otuchy, jasno wynika, że nie zwolni dwóch osób, aby uratować jedną. Grodzie, tarasowanie klifu, naprawa fundamentów, roboty na dachu... Nic z tego nie będzie możliwe. Muszę znaleźć inny sposób zdobycia funduszy.

– Postaram się – mówi, kiedy wstaję, żeby wyjść. – Czy możesz poprosić do mnie Alice?

– Jasne. Zdobędziesz te pieniądze, Janice. Jak zawsze. – Zapewnienia bez pokrycia. Oboje to wiemy.

Nie muszę prosić. Ściany gabinetu Janice nie są grube i z twarzy Alice z łatwością wyczytuję, że słyszała wszystko.

– Jestem pewna, że to będę ja.

– Jestem pewien, że to nie będzie nikt – mówię z wymuszonym uśmiechem.

Drzwi gabinetu Janice zamykają się z trzaskiem.

Dwie kobiety siedzą przy oknie frontowym. Robią na drutach, których stukanie odbija się echem od regałów pełnych książek. W dziale informacji nadal jest spokojnie. Znów siedzę sam przy biurku. Dzwonię do bibliotek w Springhead i Moreland, żeby się przekonać, czy ich także dotknęły cięcia. Okazuje się, że i owszem, co jest przygnębiające. Dzwonię do Liz Reed w North Isle.

– Powiedz mi coś dobrego, Liz.

– Jak bardzo dobrego?

– Wystarczy wiadomość o nadprogramowych środkach lub nowych miejscach pracy.

– Nie mów mi takich rzeczy, Simonie. Mam męża.

Śmieję się, mimo to Liz wie, że jestem poważny.

– Szukasz pracy?

– Jeszcze nie. Nadal spodziewam się spontanicznego wybuchu powszechnego zainteresowania regionalną historią wielorybnictwa.

Liz się nie śmieje.

– Zaraz wyślę link do listy dyskusyjnej, która może ci pomóc. Tylko pamiętaj; jesteśmy nie bibliotekarzami, ale specjalistami do zarządzania informacją. Możesz

się na mnie powołać.

– Dzięki, Liz.

Rozłączam się i czekam na e-mail od Liz. Księga przyciąga moje spojrzenie. Interesująca sama w sobie, wydaje się zarówno dziennikiem, jak i księgą rachunkową wędrownego trupy. *Obwoźna magia i cuda Peabody'ego* – z trudem odczytuję dziwaczny, niedorzeczny tytuł. Co na ostatniej stronie robi nazwisko mojej babci, jest dla mnie tajemnicą. Na początku znajdują się notatki na temat prowadzenia całego przedsięwzięcia, wykazy odwiedzonych miasteczek, zarobionych pieniędzy, szlaków podróży. Wymyślne pismo utrudnia odczytanie części opisowej, dotyczącej w większej mierze dopracowywania występu niemego chłopca o imieniu Amos. Ostatnia część książki jest mocno zniszczona. Skórzanej tylnej okładki nie da się uratować, rozmyty atrament tworzy brązowe, niebieskie i czarne smugi, rozłożony na podstawowe składniki przez działanie światła i upływ czasu. Pobieżne przekartkowanie pozwala stwierdzić, że księga miała drugiego właściciela, ponieważ dalsze strony są zapisane starannym pismem, pozbawione rysunków i wypełnione liczbami, datami oraz nazwami. Na samym końcu nie widać nic poza uszkodzeniami spowodowanymi przez wodę.

Drzwi Janice otwierają się i zamykają, kiedy odbywa rozmowy ze wszystkimi członkami zespołu. Właśnie do środka weszła Marci, bibliotekarka dziecięca, kiedy nagle coś rzuca mi się w oczy. Zapisane pismem bez zawijasów imię i nazwisko. *Bess Visser. Zmarła. Dwudziestego czwartego lipca 1816 roku. Przez utonięcie.*

Znam to imię i nazwisko. Co gorsza, znam tę datę. Mimowolnie wzdygam się niemal z bólem. Moja matka utopiła się dwudziestego czwartego lipca.

– Simonie?

Alice zerka przez moje ramię. Wygląda na zmęczoną. Cudowna kobieta. Znam ją zbyt dobrze, żeby dostrzegać jej urodę, choć zadarty nosek, spiczasty podbródek i zamyślane oczy składają się na piękną całość. Dla mnie to po prostu Alice, co znaczy wszystko i nic. Widuję ją codziennie, odkąd tylko sięgam pamięcią. Nieuświadomione lub nieodwzajemnione uczucie – przebieranie w słowach nie zmieni tego, co jest między nami, ani tego, że Alice znajduje się zdecydowanie poza moim zasięgiem. Ze względu na Franka. Ze względu na moich rodziców. Przecieram twarz dłonią. Alice wzdycha.

– Janice wydobędzie skądś pieniądze – mówię.

– Zawsze jej się to udaje – odpowiada Alice. – Cała nadzieja w archiwach.

– W archiwach pokładamy ufność. Liz z North Isle przesyła właśnie inne namiary. Na wszelki wypadek.

– Na wszelki wypadek. Jasne.

Jej spojrzenie pada na księgę. Alice przesuwa palcem po okładce.

– Naprawdę stara.

– Ktoś mi ją przysłał. Nie jestem pewien dlaczego.

– Ach, zagadka. Ty uwielbiasz zagadki.

Przytaknąłbym, ale moje uczucia wobec księgi się zmieniły, kiedy zobaczyłem w niej zapisane to znajome imię. Bess utonęła dwudziestego czwartego lipca, jak moja matka. Coś okropnego.

– Jest trochę zniszczona. Pojawia się w niej nazwisko mojej babki. Rozmawiałem z gościem, który mi ją przysłał. Jest sprzedawcą książek antykwarycznych. Mówi, że zdobył ją na licytacji. Nie wiem, co o nim sądzić.

– Próbowałaś dowiedzieć się czegoś o nim? Pracujesz w bibliotece, takie poszukiwania mają nawet uzasadnienie zawodowe.

Alice opiera się o biurko. Subtelna krzywizna jej biodra na tle książek... Alice kontra encyklopedie.

– Nie miałem czasu. Janice...

Oboje milczymy przez chwilę. Trudno oddychać powietrzem gęstym od zapachu zbliżających się zwolnień.

– Kolacja. Zabierz mnie na kolację – prosi Alice.

– Słucham?

– Pomogę ci. Daj mi nazwisko gościa od książki, sprawdzę go dla ciebie. W zamian za to zaprosisz mnie na kolację. I to nie do Pump House. Chcę pójść w jakieś miłe miejsce z dobrym winem. Mam dziś okropny dzień i muszę się stąd wyrwać. – Odepchnęła się od biurka, balansując na palcach stóp.

– Obiecuję, że nie zabiorę cię do Pump House. – Z tak wielu powodów. Ponieważ jest tam mnóstwo głośno grających telewizorów i ocięzanych ludzi siedzących nad kufkami stęchłego piwa. A także dlatego, że kiedyś tam pracowałem. Zjadłem taką liczbę obiadów pracowniczych, że sama myśl o tym miejscu przyprawia mnie o mdłości.

– Doskonale. Przyjedź po mnie o siódmej, żebyśmy zdążyła wziąć prysznic. Jak się nazywa ten gość?

– Martin Churchwarry. Churchwarry & Son Booksellers. Iowa.

Alice mieszka w Woodland Hights niedaleko dawnej plantacji truskawek. Kiedy przyjeżdżam po nią, jest gotowa i czeka. Zabieram ją do La Mer, ponieważ to miejsce, do którego zabiera się kobietę na kolację. Restauracja znajduje się na wodzie i nocą można z niej podziwiać światła Connecticut. Kelnerzy mówią z akcentem, potrawom zawsze towarzyszy sos – pewnie w kuchni pracuje nawet *saucier*. Alice część włosów upięła za uchem, reszta spływała jej swobodnie po plecach. Włożyła krótką różową sukienkę uszytą tak, aby ludzie mogli podziwiać jej nogi. W każdym razie ja je podziwiam. Do pracy Alice ubiera się w praktyczne spodnie i buty na płaskim obcasie, w których bez problemu może się schylać albo

wspinać i którym nie szkodzi biblioteczny kurz. W liceum widywałem jej nogi w spódnicy do hokeja na trawie. Już wtedy wyglądały świetnie, teraz są nawet lepsze... To nie jest randka. To jest Alice. Kiedy mówię jej, że ładnie wygląda, uśmiecha się, nieznacznie krzywiąc usta.

– Widzę, że i ty się umyłeś – mówi.

Pojawia się kelner. Alice zamawia kieliszek wina.

– Nie obawiaj się, nie nadwerzęzę twojego portfela.

Śmieję się. Trudno nie przyglądać się jej wargom dotykającym brzegu kieliszka.

– Udało ci się znaleźć coś o Churchwarrym?

– Ledwo udało mi się zacząć. Jego sklep istnieje naprawdę. Firma Churchwarry & Son specjalizuje się w książkach antykwarycznych. Wygląda na to, że Churchwarry i syn to dwa w jednym. Biznes jest jednoosobowy. Nie udało mi się dowiedzieć o nim niczego więcej. Może dokucza mu samotność i wysłał ci tę książkę, aby móc z kimś porozmawiać?

Wzruszyłem ramionami.

– Jeśli tak, to wybrał dziwny sposób. Nie wydawał mi się aż tak samotny. Właściwie brzmiał radośnie. Tryskał życiem.

– Chciałam dogrzebać się czegoś więcej o jego firmie, ale musiałam pomóc w sali dla dzieci.

– Coś się stało Marci?

– Płakała w łazience po spotkaniu z Janice.

Oboje byliśmy zgodni, że potrzebujemy się napić, póki jeszcze nas na to stać.

– Tobie nic nie grozi, wiesz o tym – powiedziała. – Tylko ty umiesz poradzić sobie z działem informacji.

– Możliwe. Ale połowę mojej pracy może wykonać komputer. Czy kiedykolwiek składałaś podanie o grant, który mógłby cię pozbawić połowy obowiązków?

– Nie, ale to dlatego, że nie zajmuję się grantami. – Stuka paznokciem o brzeg kieliszka. – Pytanie brzmi, czy ty kiedykolwiek starałaś się o grant, który mógłby mnie pozbawić połowy obowiązków?

– Nigdy nie przeszło mi to nawet przez myśl.

– Widzisz? Dlatego cię kiedyś zwolnią.

Dopijamy wino i zamawiamy następne. Po chwili jesteśmy wręcz rozanieleni. Wspominamy święto Czwartego Lipca, kiedy to Frank nieomal spalił fajerwerkiem rękę mojemu ojcu. Alice przysięga, że było na odwrót, że pamięta, jak jej matka przykładała gazę do poparzonej ręki Franka. Kobieta siedząca przede mną w niczym nie przypomina dziewczynki, która zwykła zeskakiwać z rozbujanej huśtawki. Jeżeli dobrze pamiętam, Alice zawsze miała jakiegoś chłopaka. Pochodzili z Rocky Point i Shoreham. Niewiele o nich słyszałem, nie dane mi było poznać żadnego z nich. Pewnie teraz ona też kogoś ma.

Przyniesiono zamówione dania.

– Mój tata martwi się o twój dom – mówi Alice, bawiąc się jedzeniem na swoim talerzu. – Dzwoniłam do niego w zeszłym tygodniu i nie mogłam przestać o tym mówić.

– Też się martwię.

– Nie rozumiem, czemu go nie sprzedałaś.

– Wiąże się z nim kawał historii.

Mój telefon zaczyna dzwonić. Alice przewraca oczami. Obiecuję spławić rozmówcę, kimkolwiek jest. Odbieram i natychmiast staje się dla mnie jasne, że nie dotrzymam obietnicy.

– To ja.

Bezgłośnie daję znać Alice, że to moja siostra. Macha ręką, dając mi znać, że bym się nie krępował. Na szczęście, jeśli zna się kogoś całe życie, nie trzeba mu tłumaczyć, czemu niektóre telefony trzeba odebrać. Wychodzę przed restaurację.

– Hej, gdzie jesteś?

– W jakiejś zabitej dechami dziurze. Możesz rozmawiać?

W tle słychać jakby brzęk uderzających o siebie szklanek. Ponawiam pytanie.

– Nie wiem. Na parkingu centrum handlowego. Czy to ważne?

– Chyba nie. Nie brzmisz dobrze. Co się dzieje? Jem kolację.

– Miałam bardzo złe odczytanie.

– Co? Chodzi o karty?

– Tak. Jestem niespokojna i chcę z tobą porozmawiać. Mogę?

Patrę przez witrynę, jak Alice je i sączy wino. Kiedy napotyka moje spojrzenie, znów macha do mnie uspokajająco.

– Tak, przez chwilę.

– Pamiętasz, jak pocięłam sobie nogi? Nie wiem, czemu o tym pomyślałam, ale jechałam i bolały mnie nogi. Poczułam, że muszę z tobą porozmawiać.

– Czemu? – Przez chwilę wydaje mi się, że rozmowa została przerwana. Powtarzam więc: – Enola... Enola... Enola...

– Pamiętasz? – odzywa się wreszcie. – Ześliznęłam się z tych skał i musiałeś mnie nieść. Musiało być ci ciężko.

– Ależ skąd. – Miałem trzynaście lat, Enola osiem. Była lekka jak piórko. – Chcesz, żebym po ciebie przyjechał? – Mogę ją zawieźć do lekarza lub do hotelu, przywieźć jej jedzenie, zrobić wszystko, czego potrzebuje. – Jestem z Alice, ona też może przyjechać, jeśli chcesz. – Zakładam, że nadal będzie przy stoliku, kiedy wrócę.

– Wspinaliśmy się po tych głazach pokrytych pąklami. Nie pamiętam czemu. Może szukaliśmy ślimaków?

– Tak. Enola, czy mam po ciebie przyjechać?

– Nie, nie. Poradzę sobie. Miałam na sobie kostium kąpielowy, czarny w różowe kropki. Ty stałeś na tej wysokiej skale. Głupio, że nazywaliśmy ją Tosterem. Chciałam do ciebie podejść.

W środku Alice gawędzi z kelnerem, który śmieje się i najwyraźniej z nią flirtuje. Moja randka – bo to randka, prawda? – toczy się dalej beze mnie.

– Tak, pamiętam.

Podczas odpływu skały tętniły życiem, roiło się na nich od pąkli, wodorostów, pcheł piaskowych i ślimaków. Szliśmy prawie na czworakach, staraliśmy się utrzymać równowagę na wystęпах, zaczepialiśmy palce o najmniejsze szczeliny.

– Noga mi się pośliznęła na wodorostach.

Pamiętam plaśnięcie, kiedy ciało Enoli zetknęło się ze skałą. I to, że próbowałem ją złapać, ale ona była mała i mokra, a ja nie stałem pewnie.

– Enola? Mogę do ciebie oddzwonić?

Nie słucha.

– Poraniłam się o pąkle, a słona woda tak cholernie piekła. Myślałam, że się rozpuszczę. Ból był przeszywający. Później zakręciło mi się w głowie i wszystko zniknęło.

– Zobaczyłem, że się zsuwasz, a w następnej chwili już byłaś pod wodą.

– Opadłam na samo dno. Stopy ugrzęzły mi w piasku. Krzyczałam i krzyczałam... Nagle zjawiłeś się tuż za mną. Dotarłeś do mnie tak szybko.

Złapałem ją i poczułem poszarpaną skórę na jej nogach. Nie, właściwie to były mięśnie – strzępy skóry zostały na skałach. Obróciłem Enolę na brzuch i wziąłem na rękę.

Alice patrzy na mnie. Bezgłośnie szepczę: „Minuta”. Wzrusza ramionami i pije wino.

– Niosłeś mnie do domu – powtarza Enola.

Nie widziała krwawego śladu, który zostawiliśmy za sobą na piasku. Wreszcie dotarliśmy do domu. Wydawał się pusty, choć tata siedział w kuchni z gazetą. Pił dawno wystygłą kawę, a na stole stały puste kubki z wielu poprzednich dni. Nawet na nas nie spojrział. Zaniósłem Enolę do jej pokoju i położyłem na łóżku plecami do góry. Zacząłem przeszukiwać apteczkę, która w połowie była wypełniona lekami mamy. Sześć lat temu upłynął ich termin ważności, mimo to tata nadal je trzymał.

Z punktu widzenia mikrobiologa skałeczenie pąklą jest fascynujące – do ciała wnika tyle różnych rodzajów bakterii... Nie sposób uniknąć infekcji.

– Połałeś mnie jodyną, ty idioto.

– Nie wiedziałem, co robić.

Przygniotłem ją swoim ciałem, by nie uciekła, a ona wiła się i krzyczała. Wydawało mi się, że trwaliśmy tak przez całe godziny: ja na plecach Enoli, Enola

na łóżku, lekarstwa mamy rozrzucone po podłodze łazienki, ojciec w kuchni przy stole zastawionym kubkami po kawie.

– Byłeś dla mnie dobry, Simonie.

Robiłem, co mogłem. Enola uspokoiła się trochę.

– Jesteś pewna, że sobie poradzisz?

– Jasne. Po prostu chciałam usłyszeć twój głos. Czasem sprawiaasz, że czuję się lepiej.

– W porządku.

Bess Visser. Niespodziewanie przypominam sobie, skąd znam to nazwisko. Matka zapisała je na kawałku papieru razem z dwoma innymi. Znalazłem go w zeszłym roku, kiedy przesuwałem jej toaletkę, żeby załatać przeciek. Pożółkły papier schowany z tyłu szuflady. Mama знаła to nazwisko.

– Zaraz, czy powiedziałaś, że jesteś z Alice McAvoy?

– Tak.

– Alice. Fajnie. Muszę iść. Do zobaczenia za parę tygodni.

– Enola?

– Dzięki. – Trzask i potem cisza.

Wracam do stolika. Okazuje się, że Alice skończyła jeść i zapłaciła rachunek. Muszę wyglądać źle, ponieważ natychmiast pyta, jak się czuję. Odpowiadam, że Enola po prostu potrzebowała porozmawiać. Alice unosi brwi, milczy. Przepraszam ją za swoje zachowanie, ale atmosfera jest zwarzona. Wychodzimy i idziemy do samochodu. Zauważam, że Alice się chwieje. Mamrocze coś o obcasach i wspiera się na mnie. Przyjemny ciężar.

– To niesprawiedliwe – mówi Alice w drodze powrotnej. – Ty zawsze się o nią troszczyłeś. Wiem o tym. A ona po prostu odeszła, ale oczekuje, że rzucisz wszystko, jak tylko zadzwoni.

Wydaje mi się, że będzie ciągnąć ten temat w nieskończoność. A tu zaskoczenie.

– Przepraszam, jestem pijana. – Alice niespodziewanie ucina swoją wypowiedź.

Uśmiecham się.

– Nie jesteś. Masz rację, ale tak już jest.

– Cóż, to do bani.

– Czasem tak.

Zwlekamy przy drzwiach do mieszkania Alice. Ponownie przepraszam i obiecuję oddać jej pieniądze za kolację. Zapewnia mnie, że nie muszę się tym przejmować. Opiera dłoń o framugę. Skóra na tle ciemnego drewna wydaje się bielsza niż zwykle.

– Muszę się napić kawy – wzdycha. – Masz ochotę na kawę?

W tym momencie, ponieważ narzekała za mnie na moją rodzinę, zafundowała mi kolację, włożyła krótką sukienkę, ponieważ już za kilka tygodni możemy zostać

bez pracy, a także z powodu sposobu, w jaki jej oczy się przymknęły, kiedy powiedziała „kawa”, ryzykuję i pochylam się nad nią. Jej usta są miękkie, zachęcające. W tym również Alice jest lepsza ode mnie – doskonała.

W jej sypialni praktyczność miesza się z fantazją. Pod ścianą stoi imponujące drewniane biurko. Czyste półki wypełnione są idealnie poukładanymi książkami i zdjęciami. Koło okna wisi niewielki mobil zrobiony z muszli brzegówek, ślimaków księżycowych i maleńkich skrzyploczy – coś, co może podobać się tylko dziewczynie wychowanej na plaży. Łóżko pochodzi z innej bajki: góra poduszek z różnych materiałów, różnych wielkości i w różnych odcieniach różu. Zaczynam się śmiać, ale jej ręce są już na moich ramionach i popychają mnie na te poduszki. Lądowanie jest cudowne.

Po zatraskach, fiszbinach, zamkach i haftkach wreszcie skóra. Piegi na piersiach Alice są równie intrygujące jak te przy jej pępku, na szyi i po wewnętrznej stronie ud. Odkrywamy miejsca, które chowaliśmy przed sobą. Szepczemy – nawet nasz śmiech jest ściszony, ukradkowy. Jej dłonie zsuwają się w dół moich pleców.

– Cześć – mówi.

– Cześć.

A później są tylko smak i dotyk.

Alice śpi na boku z kolanami podciągniętymi niemal do piersi. Dokładnie w taki sposób zwykła zasypiać na plaży, gdy byliśmy dziećmi. Leżę, myśląc o telefonie Enoli, o książce, domu i pracy. Nie uda mi się zachować domu, jeśli stracę pracę. Mimo tego, co powiedziałem Frankowi, nie chcę go sprzedawać, bo tylko tyle zostało po moich rodzicach. Potrzebuję pieniędzy. Czasu. Muszę sprawdzić zamiary podesłane mi przez Liz. Na biurku stoi zdjęcie Alice z ogromnym skrzelołuskim w rękach. Na podstawie sposobu przycięcia grzywki wnioskuję, że Alice miała wtedy jakieś trzynaście lat. Pewnie Frank zrobił to zdjęcie. Roześmiana twarz Alice ma jego rysy. Powinienem teraz objąć Alice, lecz czuję się trochę niezręcznie. Przespałem się z córką Franka.

– Nie śpisz? – pyta zaspana i szczęśliwa.

– Śpię.

– Kłamczuch. Czuję, że bębnisz palcami o zagłówek. Jesteś taki nerwowy.

– Przepraszam.

– Martwisz się?

– Nie.

– Jesteś okropny.

– Nie chcę, żebyś przeze mnie nie spała. Tak ładnie wyglądasz we śnie.

Naprawdę wygląda idealnie.

Alice wtula policzek w poduszkę i spogląda na mnie brązowym okiem.

- Dzięki. Wiesz, że nie musisz zostawać.
- Ale chcę.
- Nie wiem, czy jestem gotowa, by zobaczyć twoją poranną odsłonę. Idź. Wszystko w porządku.
- Na pewno?
- Tak. Wiem, gdzie mieszkasz.

Na wysokości słonych błot skręcam zbyt gwałtownie i koła mojego forda przez chwilę buksują. Serce staje mi w gardle. Pojawia się strach, którego tak próbowałem uniknąć. Stracę pracę. I dom – przespałem się z córką jedynej osoby, która była skłonna pożyczyć mi pieniądze na remont. Nie czuję się dostatecznie źle z tego powodu. Właściwie to w ogóle nie czuję się źle, co jest jeszcze gorsze.

Wreszcie wchodzę do domu. Wiem, że nie ma sensu się kłaskać. Szybko odnajduję poślizgnięty skrawek papieru, ponieważ nadal jest w szufladzie. Okrągłą, szeroką kursywą zapisane są na nim trzy nazwiska: mojej babci, niejakiej Celine Duvel i Bess Visser. Alice miała rację – nie potrafię oprzeć się zagadce.

Światło z werandy Franka niemal wystarcza do oświetlenia mojego salonu. Na poręczu Frank zawiesił pancierz skrzypłocza, żeby go wysuszyć. Myślę o Alice leżącej samotnie w łóżku i żałuję, że nie zostałem.

Przepisuję imiona i nazwiska do notesu. Jutro spróbuję czegoś się dowiedzieć o Celine i Bess. Następnie sporządzam listę osób z rodziny mojej matki, o których kiedykolwiek słyszałem – jest ich zaledwie garstka. Sięgam po księgę. Otwiera się sama na szczegółowym, choć dość prymitywnym szkicu karty tarota: wysoki biały budynek na ciemnym tle rozciętym przez błyskawicę. Pod szkicem delikatnie naniesione litery układają się w nazwę karty: Wieża. Z okna budynku na skały wznoszące się z wody wypada mężczyzna.

Hermelius Peabody przywarł plecami do półki. Jego gardło ścisnęła dłoń zaskakująco silnej rosyjskiej wiedźmy. Początkowo odpowiedział odmownie na prośbę madame Ryzkowej, obecnie stawał się coraz bardziej skłonny do ustępstw.

– Uczeń? – kaszlnął. – Ależ madame, Amos jest najbardziej dochodowym Dzikim Chłopcem w dziejach tego cyrku, no i jest niemową. Na czym dokładnie miałyby polegać wasza współpraca?

Ryzkowa wydała dziwny dźwięk: ni to warknięcie, ni to skrzek.

– Nasza współpraca będzie pomyślna. Tak mówią karty.

Protesty Peabody'ego spotkały się z potokiem rosyjskich słów, które brzmiały naprawdę złowieszczo.

Ryzkowa od początku napawała go lękiem. Pewnego dnia, kiedy wytaczał się z szynku na nadbrzeżu East River w Nowym Jorku, po prostu zjawiła się przed nim. Wyciągnęła rękę, zwróciła się do niego po imieniu i oświadczyła, że od tego momentu będzie z nim podróżować, ponieważ tak zdecydowały karty. Chociaż Peabody jej nie ufał, nie mógł sobie pozwolić na zignorowanie kogoś z takim instynktem teatralnym. W ciągu zaledwie kilku godzin Ryzkowa przeobraziła przydzielony sobie wóz w egzotyczne pomieszczenie pełne tkanin, poduszek i zapachów, które przyprawiały o zawrót głowy. Peabody był pewien, że znała się na truciznach: raz wsypała mu do jedzenia jakiś proszek, kiedy odmówił jej wypłacenia zaliczki na kupno beli jedwabiu.

– Nie można kupić czegoś, na co się jeszcze nie zapracowało – powiedział.

Ryzkowa uśmiechnęła się tylko i odeszła. Kiedy na zegarze wybiła ósma, Peabody dostał takiego skrętu żołądka, że aż zwinął się w kłębek. Następne trzy dni spędził w swoim wozie zlany potem i w drgawkach. Ryzkowa odwiedziła go ponownie.

– Na szczęście umiem uśmierzyć ból – stwierdziła, wsypując mu do ust garść gorzkiego popiołu.

Do zachodu słońca Peabody ozdrowiał. Ryzkowa otrzymała zaliczkę jeszcze tej samej nocy.

I tym razem nie był głupi. Odbił rozmowę z Amosem, zanim minęły trzy godziny od momentu, kiedy Ryzkowa przyparła go do ściany.

– Mój chłopcze, czas, żebyś ruszył ku lepszemu. – Uśmiechnął się promiennie.

Amos, siedzący na stołeczku, poruszył się nerwowo i obrócił dłonie wnętrzem do góry w pytającym geście.

– Nie obawiaj się, nie zrobiłeś nic złego. Byłeś najlepszym Dzikim Chłopcem,

jakiego kiedykolwiek miałem. W tym właśnie tkwi problem, widzisz?

Amos nie widział.

– Nie jesteś już chłopcem. Trzymać cię jako Dzikiego Chłopca to ograniczać twój potencjał. – Peabody w zamyśleniu przeczesał brodę palcami. – Przekonasz się, że znalazłem dla ciebie ekscytującą rzecz. Przypadłeś do gustu madame Ryżkowej. Wydaje mi się, że ona potrzebuje asystenta.

Amos położył dłoń na ustach i pokręcił głową. Wiedział trochę o tym, co robiła Ryżkowa: jej karty opowiadały historie, za które ludzie płacili grube pieniądze. Istniała zatem przeszkoda, która wydawała się nie do pokonania: asystent musiał mówić.

Peabody delikatnie odciągnął dłoń Amosa.

– To bez znaczenia. Myślałem o tym i zacząłem rozumieć jej plan: będziesz atrakcją. Niewiele jest postaci bardziej frapujących niż niemy wróżbita. Niewypowiedziana przyszłość. Ty i ona rozgryziecie to. Zyski, mój chłopcze, tylko pomyśl! Niewiarygodne zyski. – Peabody uderzył dłonią w swoje małe biurko tak mocno, że niemal przewrócił kałamarz. Ze wszystkich sił starał się nie dostrzegać przerażenia malującego się na twarzy Amosa. – Zmiana to coś wspaniałego. To ona przywiodła cię do mnie.

Amos patrzył na poduszkę, na której sypiał w nocy, zastanawiając się, czy i to ulegnie zmianie.

– Nigdy nie kazałbym ci odejść – zapewnił Peabody. – Możesz tu zostać dopóty, dopóki zechcesz. Bardzo bym sobie tego życzył.

Przejście Amosa do madame Ryżkowej zostało odnotowane w księdze Peabody'ego: *19 czerwca 1794 roku. Dzikie Chłopiec awansowany na ucznia wróżbitki.*

Amos stanął przed wozem Ryżkowej. Otworzyła mu, zanim zapukał. Włosy miała zebrane znad czoła i schowane pod zieloną chustką związaną na karku. Uśmiechała się szeroko. Nie mógł sobie przypomnieć, czy wcześniej widział jej uśmiech. Zamrugał.

– Wejdz. Mam ci tak wiele do pokazania, a jesteśmy spóźnieni. – Machnęła ręką.

Przyglądał się jej spuchniętemu, powykręcane mu kciukowi, mocno oddzielonemu od pozostałych palców. Jakaś część tego kciuka przywarła do jego ramienia. Amos podążył za zgarbioną, małą kobietą do jej kryjówki nieprzypominającej niczego, co znał.

Wóz okazał się zadziwiająco przestronny. Na ścianie wisiało kilka niewielkich portretów przedstawiających smagłych mężczyzn i młodą kobietę o anielskiej urodzie.

– Moja rodzina – powiedziała Ryżkowa, zauważywszy zainteresowanie Amosa. – Ojciec. – Wskazała mężczyznę z gęstą brodą. – Bracia. – Palec celował w dwóch

młodszych mężczyzn o przenikliwym spojrzeniu. – Katerina, moja córka. – Ten portret był ostatni w rzędzie. – Moja piękna Katia...

Poza tym w środku nie było nic ładnego. Madame Ryzkowa spała na szorstkim materacu ułożonym na kufrze podróżnym. Chłopiec pomyślał, że muszą ją od tego boleć kości.

Jakby czytając w jego myślach, Ryzkowa powiedziała:

– Jasnowidz jest jak ostrze. Zbyt dużo wygodę stępił umysł. Jedwabie i zasłony są dla gości. – Aż podskoczył, a ona się roześmiała.

Ten dźwięk skojarzył się Amosowi z szelestem wiatru wśród traw.

– Peabody zbyt lubi wygodne życie. Tak, dobrze, że zjawiłeś się u mnie, zanim zupełnie cię zmiękczył. Teraz siadź. Słuchaj.

W miejscach, w których twarz Peabody'ego była pełna, twarz madame Ryzkowej była zapadnięta, pomarszczona i zmięta. Nos zginał się pod kątem prostym: duży garb sprawiał, że jego koniuszek był skierowany w dół. Włosy, które wystawały spod chustki, przypominały druciki sterczące we wszystkie strony. Jej oczy wydały się Amosowi fascynujące: ciemnoszare. Takiego koloru są oczy zwierząt, na przykład kozy, zanim zaatakuje ona kogoś rogami.

Ryzkowa wyciągnęła pustą skrzynkę na środek podłogi i pokazała Amosowi, aby usiadł obok. Na wierzchu położyła czarną szkatułkę z laki ozdobioną jaskrawoczerwonymi i pomarańczowymi rysunkami obwiedzionymi złotą kreską. Uwagę Amosa przykuł ptak w klatce, którego długie pióra z ogona zakręcały się wokół krawędzi klatki.

– Żar-Ptak – powiedziała Ryzkowa. – Podoba ci się, prawda? To, co jest w środku, spodoba ci się jeszcze bardziej.

Otworzyła szkatułkę i oczom Amosa ukazała się talia kart. Wierzch każdej karty miał głęboki pomarańczowy kolor.

– Patrz i słuchaj – powiedziała Ryzkowa, ciągnąc się za płatek ucha.

Ustawiła szkatułkę na podłodze i zaczęła pokazywać spód kart. Za każdym razem odsłaniała małe arcydzieło: wysoka kobieca postać trzymająca ostry miecz, słońce świecące nad polem, ręka trzymająca gwiazdę, wszystko to pokazane z najdrobniejszymi detalami. Stara kobieta dotykała ich z czcią.

Wkrótce karty pokryły całą skrzynkę.

– Zdradzę ci ich nazwy, a ty nauczysz się, jak wyglądają, jak i gdzie je rozkładamy. W ten sposób będziemy rozmawiać. – Wskazywała na obrazki i objaśniała mu ich znaczenie. Tak samo kiedyś Peabody tłumaczył mu zachowanie ludzi. – Głupiec jest głupi, ponieważ jego szczęście czyni go ślepym. On nie zauważa zagrożenia. – Karta przedstawiała młodego mężczyznę, który radośnie stąpa w przepaść. – Duma przed upadkiem. Jest jak dziecko. Jest jak ty. – Ryzkowa się uśmiechnęła.

Amos odwrócił wzrok od jej połamanych żółtych zębów i przeniósł go na kartę. Głupiec miał buty z zadartymi noskami. W jeden z nich wgryzł się pies.

– Pies oznacza wiele rzeczy. Obrońcę, wroga. To zależy. – Madame mówiła przez wiele godzin, a jej wykrzywione dłonie rysowały linie i krzyże nad symbolami. Była późna noc, kiedy stuknęła dłonią w skrzynkę i wesoło podsumowała:

– Potrafisz słuchać. Będzie się nam dobrze pracowało. Widzę, że zaczynasz ziewać. Zmęczony umysł nie chłonie dobrze. Idź do łóżka. – Lekkim kopniakiem w łydkę wyprosiła go z wozu. – Jutro przyjdiesz znów i będę cię uczyć.

Ryżkowa uczyła go wieczorami po przedstawieniach. Jeśli była zmęczona, nie zdejmowała porozwieszanych przed przyjściem klientów pysznych niebieskich i czerwonych tkanin, które sprawiały, że sala lekcyjna zamieniała się w przytulną izbę. Amos przyglądał się kartom, słuchał swojej nauczycielki, a od czasu do czasu znikał. Monotonny głos Ryżkowej kołysał go, sprawiał, że stawał się częścią kart, stapiał się z nimi i pozwalał swojemu ciału, by się rozpuściło. W takich wypadkach madame tupała i wykrzykiwała jedno jedyne gardłowe słowo. Kiedy chłopiec pojawiał się ponownie, trącała jego rękę i podejmowała urwany wątek.

Amos zaczął przyswajać sobie wiedzę. Nauczył się kochać Głupca skąpanego w żółtych i pomarańczowych barwach. Lubił też jego psa za to, że w ostatnim momencie ratuje swojego pana. Przyzwyczał się do głosu Ryżkowej, który przypominał mu powiew wiatru w gałęziach drzew i przywoływał obrazy z dni przeżytych w lesie. Po jakimś czasie zorientował się, że nawet kiedy Ryżkowej nie było w pobliżu, jej głos wibrował mu w ciele. Wieczorami, kiedy podróżowali z jednego miasteczka do drugiego, przyglądał się, jak Ryżkowa rozkładała karty – krzyż i jeden dodatkowy rząd z boku. Dwie karty na krzyż jedna na drugiej, następnie jedna na górze i jedna na dole, jedna po lewej i jedna po prawej. Cztery karty z boku niosące odpowiedź na następujące pytania: Co miało z tego wyniknąć? Co mogło mieć na to wpływ? Co rządziło danym momentem? Jakie są możliwe rezultaty? Ryżkowa robiła odczytanie bez zadawania pytań, odpowiadała czystej nicości.

– Rydwan – powiedziała, obracając kartę na prowizorycznym stoliku. Mężczyzna na tronie ciągniętym przez zwierzęta z ludzkimi głowami. Amos poruszył się niespokojnie na widok tych tajemniczych postaci. – Podbój i podróż. Tryumf. Widzisz? Człowiek panujący nad zwierzętami. – Potarła kłykciami jego włosy i zagruchała do niego, jakby był jej dzieckiem. – W parze z tą kartą oznacza dużo dobrego. – Mówiąc to, odwróciła następną kartę. – Świat, widzisz? – Wyciągnęła rękę, jakby chciała wskazać na niebo. – Nie ta kobieta w środku, lecz wszystko wokół niej, tak?

Pokiwał głową, skupiając się na rysunku przedstawiającym nagą tańczącą

kobietę. Na podstawie wyrazu twarzy kobiety zorientował się, że jest ona bardzo mądra.

Przed lekcją i po niej Ryżkowa oczyszczała wóz za pomocą mieszanki tłących się ziół o zapachu końskiego potu. – Okadzanie – wykaszała. – Tak się oczyszcza ogniem, tak sprawia się, że karty dają jasne odpowiedzi. – Dymem kreśliła słowa w powietrzu. – Przyszłość przepowiadają nie tyle karty, ile osoba, która je trzyma. Ja, ty, ktoś, kto zadaje pytanie. – Postukała naczyniem z ziołami o drzwi wozu, aż popiół i węgielki podskoczyły. – Ludzie dotykają kart, zostawiają część siebie. Marzenia. Nadzieje. Wszystko uwięzione w kartach. – Kiedy wewnątrz wozu zrobiło się duszno nie do zniesienia, Ryżkowa otworzyła drzwi na oścież, wpuszczając świeże nocne powietrze. – Ty. Ja. Nie potrzebujemy marzeń innych ludzi. Czasem złe myśli, złe pomysły są uwikłane w te marzenia. Ty i ja oczyszczamy karty. Dobre, czyste karty. – Rzuciła niedopalone zioła na poczerniałe miejsce na podłodze i obcasem zgasiła ostatek żaru. Poklepała chłopca po głowie. I chłopiec, i zwierzątko wewnątrz niego uśmiechnęli się.

Madame Ryżkowa nauczyła Amosa wiązać coś w rodzaju turbanu. Dała mu nawet jedną ze swoich pięknych jedwabnych chustek ozdobioną złożonym purpurowo-żółtym wzorem. Najpierw zwinęła jego włosy w kok, następnie okręciła je chustką, na koniec owinęła nią całą jego głowę.

– Dobry wizerunek.

Naciągnięta skóra na głowie bolała, ale z czasem ból zelżał, a efekt był spektakularny. Amos przeobraził się z chłopca o orzechowej skórze, którego z łatwością można było wziąć za dzikusa, w eleganckiego młodego cudzoziemca. Ryżkowa aż klasnęła z zachwytem:

– Teraz wyglądasz jak młodzieniec, który ma do czynienia z losem i przeznaczeniem.

Sam czuł, że pod spojrzeniem jej czujnych, zmrużonych oczu następuje w nim zmiana. Nie rozumiał, dlaczego zaczął myśleć o małym domku i brązowowłosej kobiecie, której zapach tak dobrze pamiętał.

Amos był samotnikiem. Kiedy czuł na sobie zbyt wiele spojrzeń, stawał się niespokojny. Podczas posiłków z całą trupą czuł się jak uwięziony w grze, której reguł nie znał. Lubił spędzać deszczowe poranki, przeglądając księgę Peabody'ego, wodząc palcem po szkicach. Kiedy Ryżkowa z powodu zmęczenia wypraszała go z wozu, spędzał wieczory w towarzystwie małego konika, uroczego stworzenia nazwanego Cukrowym Kąskiem. Była to klacz, kasztanka z białą strzałką na pysku – doskonała pod każdym względem, oprócz tego że była jednej ósmej wielkości normalnego konia. Najwyraźniej jednak nie przejmowała się tym, parskiała i uderzała kopytem o grunt jak każdy koń pociągowy. Przy Amosie zawsze cichła.

Czasem kuczał na słomie i dotykał czołem jej czoła, czuł wtedy przyjemny spokój, lubił też czesać jej grzywę. Wykradał dla niej jabłka i marchewki i przemycał je poutykane w kieszeniach bryczesów.

Ryżkowa, trzy dni po tym, jak owiązała mu głowę jedwabną chustką, po trudnej lekcji na temat odwróconych kart kazała, by sobie poszedł.

– Czas do łóżka, chłopcze. Zmęczyłeś mnie.

Zamiast się położyć, poszedł do wozu, który Cukrowy Kąsek dzieliła z lamą. Zaabsorbowany szukaniem po kieszeniach rzodkiewki, którą dla niej schował, wpadł na Benna, akrobatę w pasiastych pantalonach. Przestraszony, aż się wzdrygnął.

Benno się roześmiał.

– Zaskoczyłem cię? Nie sądziłem, że to w ogóle możliwe.

Akrobata oparł się o wóz i płynnie rozciągał swoje szczupłe ciało. Wydawało się, że jego kolana zginają się w przeciwną stronę niż kolana zwykłych ludzi.

Amos wzruszył ramionami, po czym pokiwał głową. Od czasu do czasu siadywał koło Benna podczas posiłków, a także przyglądał się jego występom, ale wiedział o nim zaledwie tyle, że jest przyjacielski i cieszy się sympatią kobiet.

– Melina zobaczyła, że wychodzisz z wozu madame Ryżkowej.

Wypowiadając imię żonglerki, uśmiechnął się niemal niezauważalnie. Blizna sprawiała, że połowa jego ust zawsze pozostawała nieruchoma.

Amos ucieszył się ze wzmianki o Melinie. Jej również przyglądał się przez szparę w kotarach klatki Dzikiego Chłopca. Miała rude kręcone włosy, słodką twarz i poruszała się bardzo zwinnie. Bez widocznego wysiłku sprawiała, że łyżki, noże i jajka wirowały w powietrzu.

– Zdaniem Meliny madame sprawiła, że się zmieniłeś. Całkowicie się z tym zgadzam. – Benno dotknął swoich brązowych włosów, schludnie związanych czarną tasiemką. – Może jeśli upnę włosy do góry, nie na karku, Melina spojrzy i na mnie. Jak myślisz?

Brwi Amosa się ściągnęły. Zobaczywszy to, Benno zachichotał.

– Nie przejmuj się. Śmieję się z siebie samego, nie z ciebie, przyjacielu. Dzięki madame Ryżkowej zyskałeś sposobność pokazania, że masz zaciętą twarz, a ja... – wzruszył ramionami i dotknął blizny.

Amos spojrzał na bliznę, która sprawiała, że Benno wyglądał, jakby cały czas się krzywił, wziął go za rękę i zaprowadził do wozu Cukrowego Kąska. Podał mu rzodkiewkę, aby mógł nakarmić nią klaczkę, i dzielić z nim niezmacony spokój podczas głaskania jej po pysku.

Spędzili tak godzinę w ciszy, którą w końcu przerwał Benna:

– Myślałem, że jesteś po prostu interesujący. Myliłem się. Ty jesteś przyjacielem. W odpowiedzi Amos poklepał go lekko po plecach w sposób zaobserwowany

u Peabody'ego.

Ryżkowa zaczęła uczyć Amosa zachowania się przy klientach, z których większość stanowiły kobiety.

– Historia jest mężczyzną – powiedziała. – Przyszłość kobietą. Dlatego przychodzą.

Tak więc kobiety wchodziły do wozu, a ich spódnice wypełniały przestrzeń całymi jardami materiału. Przestrzeń, w której było gęsto od szalwiowego dymu, blasku łojowych świec i ciepła trzech ciał. Wóz stawał się onirycznym sanktuarium. Amos zauważył, że ludzie, mówiąc do Ryżkowej, jękali się. On sam kiedyś czuł podobny niepokój. Ryżkowa potrafiła być przerażająca. Przekonał się jednak, że była też łagodna. Podczas dywinacji dotykała rąk swoich klientek: a to aby dodać im otuchy, a to aby je do czegoś zachęcić.

Wymagała precyzyjnego stawiania pytań, wymuszała bolesne szczegóły.

– Prawda niesie ze sobą prawdę, tak?

Mężczyźni pytali przede wszystkim o swoje interesy, przyszłe zbiory lub o to, kto ukradł im świnie. Prawie wszystkie kobiety pytały o miłość. Te seanse Amos lubił najbardziej, ponieważ podczas nich Ryżkowa mówiła słodkim głosem, chwaliła i dopieszczała klientki. Myślał wtedy o okrągłych policzkach Meliny, o jej zwinnych dłoniach i zastanawiał się, czy ona także śni o miłości.

Po wyjściu niejednej kobiety Ryżkowa przeklinała jej głupotę.

– Czy ona nie widzi, że on sypia z żoną innego? Widzisz tę kartę? Spójrz, spójrz. – Dźgnęła palcem Asa Kielichów, zajmującego pozycję karty rządzącej danym momentem. – Widzisz wodę? – Strumienie wody wypływały z kielicha trzymanego w górze przez mistyczną dłoń. – Informacja. Komunikacja. Rzeki kłamstw, które on opowiada. – Zaśmiała się.

Amos z przyjemnością patrzył na zmieniający się wyraz jej twarzy: ze słodkiego i uprzejmego w pełen obrzydzenia. Później wszystko stapiało się w jednym zmęczonym śmiechu.

Miesiące upływały Amosowi najpierw na nauce i słuchaniu, później także na obracaniu kart dla Ryżkowej, oczyszczaniu ich dymem z ziół oraz wyjmowaniu ich z intrygującej szkatułki i wkładaniu do niej z powrotem. Posiłki jadał w towarzystwie Benna, rzucając ukradkowe spojrzenia w kierunku Meliny. Noce zaś spędzał na słuchaniu tego, co Peabody mamrotał nad swoją księgą lub rzadko pisanymi listami od Zachary'ego. Pewnego dnia Peabody zauważył, że Amos częściej się uśmiecha.

– Nabrałeś pewności siebie – powiedział, zerkając znad listu.

Amos przytaknął, choć czuł się pusty w środku. Chciał się rozciągnąć, lecz jego wnętrze pozostawało małe. Jego sny nadal pachniały suszonym tytoniem.

Minął rok od dnia, w którym Amos został uczniem Ryzkowej. Pewnego wieczoru trupa zatrzymała się na brzegu rzeki Schuylkill w drodze do Filadelfii. Nad wodą zalegała gęsta mgła. Amos siedział na schodkach spuszczonej z wozu Peabody'ego i przyglądał się Natowi noszącemu w wiadrach wodę z rzeki. Niespodziewanie Ryzkowa chwyciła go sękatymi dłońmi i pociągnęła do swojego wozu. Knykciami niemal miażdżyła mu palce. Pod wpływem tego bólu pomyślał o kurzych kościach rozrzuconych po posiłku wokół ogniska.

– Chodź, czas się dowiedzieć, kim jesteś – powiedziała.

Nie miał wyboru, więc dał się prowadzić. Między wozami dostrzegł Benna, który puścił do niego oko.

– Odczytam twoje karty, a później nie będziesz już moim uczniem.

Niedawno kupili w Croton dwa niskie taborety, ale ze spojrzenia Ryzkowej odgadł, że powinien usiąść na ziemi. Postukała go po ramieniu i ponagliła, żeby zrobił to szybciej.

– Potrzebujemy uziemienia. – Poklepała deski podłogi. – To dobre dla kart.

Ryzkowa udrapowała chusty na ścianach i suficie jak na przyjęcie klientów, ale osoby z portretów patrzyły na nich przez szpary w materiale. Wskazując na nie, wyjaśniła:

– Dobrze, żeby oni to widzieli. Namalowałam ich z pamięci. Wszystkich oprócz Kateriny. Moja Katia mi pozowała. – Każdy portret był iluminowany złotem. – Jeszcze w czasach, kiedy miałam pewną rękę, zanim palce mi się wykrzywiły.

Rozpoczęła rytuał oczyszczania i jej spojrzenie go spętało. Wyciągnęła zioła z niewidocznej kieszonki fartucha, podpaliła je od świeczki i dymem zaczęła kreślić symbole.

– Dziś ty – powiedziała. – Przekazać innym, co będzie, oznacza stać się częścią ich losu. – Usiadła. Trzasnęły jej stawy w biodrach i ramionach. Skrzywiła się, podwinęła nogi i przesunęła się tak, by mieć twarz Amosa dokładnie przed swoją twarzą. Zrozumiał, że mieszkanie w wozie musi być ciężkie dla kobiety w jej wieku.

– Jeśli masz czytać z kart, musisz znać swój własny los, aby nie wplątywać swojej historii w cudzą. Rozumiesz?

Wyłożyła kartę na podłogę. Paź Denarów, młody mężczyzna o smagłej skórze i ciemnych włosach trzymający pojedynczą gwiazdę, miał reprezentować Amosa w tym odczytaniu.

– Sprytny, co? Jak ty. Uparty. Przestraszony. Młode ciało, stary umysł. – Postukała w środek jego czoła ostrym paznokciem, zanim odwróciła kolejną kartę. Jej ruchy były tak szybkie, że Amos ledwie je dostrzegał.

– Królowa Kielichów. Dużo wody. Zmiana. Ona śni, tak? Rządzi tobą. – Kobieta o jasnej karnacji, ciemnych włosach i jasnych oczach. Wykrzywione palce Ryzkowej tańczyły i drgały, kiedy mówiła. Amos miał wrażenie, że wóz staje się

ciasny, zbyt ciasny, aby ich pomieścić, a jego ciało może go rozsadzić. Coś się działo. Ryżkowa obróciła kartę i zbladła. Ciemna karta z tłem przeszytym błyskawicą.

Przygarbione plecy starej kobiety stały się proste jak strzała. Spod powiek błysnęły same białka, oczy przestały widzieć. Amos wyciągnął do niej rękę. Uwięziła jego nadgarstek w silnym uścisku. Po chwili wydobył się z niej dziwny głuchy głos.

– Idzie woda, dusi wszystko, co napotka, jakby była ciałem. Ojciec, matka, wszyscy przeminą. Będiesz się zużywał i łamał, aż nic nie zostanie. Woda draży kamień.

Amos dostał gęsiej skórki. Wyrwał rękę z uścisku Ryżkowej, aż krzyknęła.

Nachylił się gwałtownie, żeby zobaczyć układ kart, lecz Ryżkowa szybko je zasłoniła i włożyła z powrotem do talii, mamrocząc coś w języku, który był hipnotyzującą mieszanką głuchych i melodyjnych dźwięków. Owinęła karty chustką i włożyła do szkatułki, po czym przymknęła oczy i zaczęła głośno oddychać. Nie wiedział, ile czasu minęło, zanim znów się poruszyła.

– Silna przyszłość. Dużo zmian. Strzeż się kobiet – powiedziała i wyszła.

Minął miesiąc. Ryżkowa słowem nie wróciła do tamtego odczytania kart, ale zaczęła nalegać, żeby spędzał z nią więcej czasu pod koniec dnia. Nie pytał czemu.

Latem drogi w New Jersey były zalane i koła wozów grzęzły w błocie, co spowalniało podróż na północ ku obietnicy dobrobytu w dolinie rzeki Hudson. Dla trupy Peabody’ego nastaly dni pchania, ciągnięcia i kopania. Amos i Benno byli zbyt zmęczeni, żeby wyprostować plecy, nawet Nat doszedł do granicy wytrzymałości. W końcu dojechali do celu. Amos był wtedy tak wykończony, że usypiał zaraz na początku lekcji o kartach.

Któregoś wieczoru w takim momencie Ryżkowa potarła jego ubłocony policzek.

– Namalowałabym cię – wyszeptła. – Umieściłabym twój portret wśród portretów swojej rodziny.

Tej nocy Amos usiłował zasnąć w wozie Peabody’ego, lecz sen nie przychodził. Nogi świerbiły go z niepokoju, materac uwierał. Zdziwiło go to, ponieważ nigdy wcześniej nie było mu niewygodnie. Przez jego głowę pędziły niepokojące obrazy: rozkład kart Ryżkowej, ręce wróżbitki tasujące talię, mroczna karta, którą widział jedynie przelotnie. Nie potrafił przypomnieć sobie jej wyglądu. Siedział z Ryżkową podczas niezliczonej liczby seansów i nigdy nie widział, żeby miała taki napad. Może była chora? Ta myśl go zmartwiła. Otworzył drzwi wozu, przyłożywszy dłoń do zawiasów, aby ich skrzypnięcie nie zaniepokoiło Peabody’ego, który mamrotał do siebie, szkicując i pisząc w księdze i od czasu do czasu rzucając jakiś komentarz o „niemożliwych drogach”. Amos uśmiechnął się mimo odczuwanego niepokoju.

Niebo zamigotało od dalekiej błyskawicy, której nie towarzyszył grom.

Balsamiczne powietrze spowolniło jego ruchy. Słyszał trzask płonącego ogniska i przyglądał się ceniom ludzi oświetlanych przez płomień; Susanna prężyła się i wyginała, ćwicząc swoje figury.

Coś wyszło z lasu.

Salwa elektryczności rozświetliła niebo jasną purpurą, sprawiła, że w obozowisku zrobiło się jasno jak w środku dnia. Gdyby nie ta błyskawica, Amos nie dostrzegłby dziewczyny, która, potykając się, wyszła zza drzew – przemoczona, drżąca, ubrana w mokrą i brudną koszulę nocną oblepiającą jej nogi. Zakrwawione stopy były białe. Czarne włosy sięgały do pasa, splątane i pełne liści. Ciało dziewczyny tworzyło kąty ostre i zaokrąglone linie, plamy światła i mroku. Amos bezgłośnie zmierzał w jej kierunku.

Peabody widział, że Amos wyszedł z wozu i pomknął do lasu. Popatrzył za nim i oczy aż otwarły mu się szerzej ze zdumienia. We mgle rozświetlonej błyskawicą i księżycową poświatą dostrzegł dziewczynę wyglądającą jak nie z tego świata. Gdyby nie był sceptykiem, człowiekiem obeznanym z magicznymi sztuczkami, wziąłby ją za leśnego ducha. Patrzył na biegnącego Amosa i nie mógł powstrzymać uśmiechu.

20 maja 1796 roku. Nad rzeką Hudson, za miasteczkiem Croton. Wiosenna burza z piorunami przynosi doskonałe możliwości i kobietę o niedoścignionej eterycznej urodzie.

Zdmuchnął świecę, przy której pracował, i pełen nadziei stanął w drzwiach.

– Tak, drogi chłopcze, przyprowadź ją do nas.

Z progu swojego wozu madame Ryzkowa dostrzegła błądliwość dziewczyny, jej włosy czarne jak atrament i to, że była przemoknięta do suchej nitki. Podczas burzy nie padało, rzeka płynęła daleko stąd. Pod warstewką brudu skóra przybyłej migotała, jakby była zrobiona z wody. Żadna kobieta, żadna dziewczyna tak nie wyglądała. To było coś, czego Ryzkowa nie widziała od lat, od dnia, kiedy zniknął jej ojciec. Porzuciła wszystko, aby się od tego uwolnić. Nie wypowie tej nazwy. Nazwać coś takiego znaczyło dać mu siłę. Nie mogła się jednak powstrzymać, żeby nie szeptać w duchu.

Pomysł, żeby znaleźć informacje o Veronie Bonn, to psikus spleatany samemu sobie. Zacząłem od oczywistych miejsc: stron internetowych zajmujących się genealogią i archiwów państwowych. Przeszukiwałem je między realizowaniem zamówień na książki a katalogowaniem nowości. Znalazłem właściwie tylko wycinek z gazety przedstawiający smukłą kobietę balansującą na trampolinie. Więcej informacji znajdowało się na stronach, do których dostęp jest płatny, lub powiązanych z instytucjami. W tej chwili nie mam pieniędzy, które mógłbym przeznaczyć na badanie swojego drzewa genealogicznego. Wydaje mi się, że babcia, podobnie jak mama, występowała pod różnymi pseudonimami. Verona Bonn to ostatni z nich. Nie wiadomo, dlaczego ktoś zapisał go na końcu bardzo starej i tajemniczej księgi.

Poza tą książką nie ma żadnego śladu po Obwoźnej Magii i Cudach Peabody'ego, podobnie jak po większości trup cyrkowych istniejących w tamtych czasach. Podczas wojny o niepodległość krzywo patrzono na ten rodzaj rozrywki. Zmieniło się to trochę dopiero po 1792 roku, kiedy John Bill Ricketts postawił swój namiot w Filadelfii. A według mnie Hermelius Peabody występował ze swoimi ludźmi od 1774 roku.

Przedemną na biurku leżał wydruk strony zeskanowanej z gazety „Catskill Recorder” z 26 lipca 1816 roku. Dotarcie do niej zajęło mi trzy pełne dni. Jedną notkę na tej stronie zdążyłem przeczytać tyle razy, że kiedy zamykam oczy, pod powiekami mam jej negatyw:

24 lipca 1816 r. Ciało Bess Visser, artystki cyrkowej, wyłowiono z rzeki Hudson w pobliżu przeprawy promowej w Fishkill. Ofiara tragedii najprawdopodobniej sama odebrała sobie życie. Kobieta w ostatnim czasie była przygnębiona, cierpiała na napady bezsenności i manii. Osierociła czteroletnią córeczkę Clarę.

Utonęła dwudziestego czwartego lipca... Co więcej, popełniła samobójstwo, tak jak moja matka. Trudno to uznać za zbieg okoliczności. Ponieważ nie mogłem znaleźć niczego na temat Clary Visser, zajrzałem do księgi. Na ostatniej dającej się odczytać stronie, tuż nad całkowicie rozmazanym tekstem, dostrzegłem wzmiankę o Clarze Petrovej.

Dlatego ponownie zadzwoniłem do Martina Churchwarry'ego.

– Pomyślałem, że chciałby się pan dowiedzieć, co ustaliłem.

– Fantastycznie. Zatem księga należała do twojej babki?

– Nie, nie mam tak dokładnych ustaleń. Znalazłem w niej także imię i nazwisko Bess Visser oraz Clary Petrovej, prawdopodobnie jej córki. Moja matka znała skądś imię Bess, więc istnieje jakiś związek. Imię i nazwisko moim zdaniem nie są popularne. – Coś powstrzymało mnie przed powiedzeniem mu o samobójstwach popełnionych tego samego dnia. To zbyt osobiste. Natomiast mówię mu: – W pewien sposób zwrócił mi pan jakąś część mojej rodziny.

Niemal słyszę, jak się uśmiecha.

– Miło, że tak mówisz, Simonie. Dziękuję. Cieszę się, że księga trafiła w dobre ręce.

– Jest naprawdę fascynująca. Chcę pokazać ją siostrze. Zwłaszcza szkice kart tarota, które się w niej znajdują. Moja siostra wróży z kart. Zajmowała się tym także nasza matka. Chciałbym dowiedzieć się o szkicach czegoś więcej. Są bardzo interesujące. Niespotykane. – Myślę o Enoli, o tym, jak ciężko się z nią porozumieć. Nie mogę sobie wyobrazić, że się od niej czegoś dowiem. – Nie ma pan przypadkiem jakiejś dobrej książki o tarocie?

– Kartomancja? – Uśmiech wyraźnie brzmi w jego głosie. – Z pewnością coś mam. Zawsze jest jakieś, choćby najmniejsze, zainteresowanie tym tematem. Poczekaj chwilę.

Słyszę jego tłumione przez kaptcie kroki, po chwili dochodzi do tego dźwięk pazurów drapiących o twarde drewno i mamrotanie: „Siad, Sheila”. Czyli do sklepu zabiera ze sobą psa. Wyobrażam sobie, że to beagle. Jakiś element osobowości Churchwarry'ego zdecydowanie domaga się beagle'a. Skrzywienie desek świadczy o tym, że schodzą po schodach.

– Zobaczmy – odzywa się Churchwarry po przerwie. – Nie mam dużego działu okultystycznego. Mój ojciec zdecydowanie wolał klasyków, ale nigdy nie zaszkodzi mieć kilku pozycji na wszelki wypadek. Ach. O, tu jesteś, ty przebiegła bestio. *Doktryna dywinacji*. To wszystko, co mam w tej chwili. Prześliczne wydanie z 1910 roku.

Zapisuję tytuł na kopercie i wkładam ją do notesu.

– Czy mógłby pan sprawdzić opis konkretnej karty? Jeśli nie jest pan zajęty, oczywiście.

– Ależ skąd. Marie będzie zachwycona, że rozmawiam z klientem – chichocze.

Oczywiście wyobraźni widzę kobietę o cienkich siwych włosach i puciołowatych policzkach, mającą cierpliwość anioła. Opisuję kartę przy cichym dźwięku przewracanych przez niego stron.

– Tak, to to. Wieża. Najprostszą interpretacją jest taka, że oznacza ona zmiany,

najczęściej gwałtowne. – Mruczy coś pod nosem. – Jest też znacznie bardziej skomplikowana wykładnia, której zrozumienie przerasta moje możliwości. Nie wiem, w jakim stopniu to będzie pomocne, ponieważ nasza księga jest wcześniejsza od *Doktryny* o dobre sto lat. Sam możesz do niej zajrzeć. *Doktryna* to dość popularna książka, choć mój egzemplarz jest wyjątkowy, jeśli byłbyś zainteresowany. Połączone rogi. Wytłaczana okładka.

– Coś mi mówi, że mnie na nią nie stać.

– A ja im dłużej ją trzymam, tym bardziej nie mogę sobie na to pozwolić. Obustronny problem – wzdycha.

– Bibliotekarze i księgarze.

– Obaj bez grosza przy duszy – mówi radośnie. – Przyjemnie się z tobą rozmawia. Mam nadzieję, że dasz mi znać, jeśli dowiesz się czegoś jeszcze.

– Tak zrobię, Martinie – obiecuję i ze zdziwieniem uświadamiam sobie, że naprawdę mam taki zamiar. Brak mi czasu, żeby zanalizować to dokładniej.

Biorę prysznic i golę się. Twarz, którą widzę w lustrze, jest zmęczona. Rozczochrane czarne włosy, broda z dołkiem, czerwone krostki od tępej maszynki i wilgoci, która sprawia, że pot nigdy nie wysycha. Jednak Alice całuje tę twarz. Idziemy dziś na drinka do The Oaks. Będzie muzyka na żywo – kwartet jazzowy albo funkowy. Muzyka, drinki... Zatem randka. A może jednak spotkanie dwojga przyjaciół? Przyciskam palec do skaleczenia na brodzie. Czy Alice będzie mnie takiego oglądać co rano?

Chwytam księgę i kopertę. Siedząc w samochodzie, spoglądam przez tylną szybę na dom. Rynna zwisa pod dziwnym kątem. Kiedy się przekrzywiła? Patrząc na zegarek. Muszę znaleźć jakieś klamry i z łatwością sam to naprawię.

Rozmyślając o ciekącym i gnijącym dachu, kwartetach jazzowych i funkowych, dojeżdżam do biblioteki. Dziewczyny z wypożyczalni unikają mojego spojrzenia. Marci odwraca się, kiedy przechodzę obok niej. Na ich twarzach maluje się poczucie winy, które wyklucza serdeczne powitanie.

Zwalniają mnie.

Osoba z poczuciem godności poszłaby prosto do gabinetu Janice, ale ja się do takich nie zaliczam. Muszę usiąść przy swoim biurku na krześle, które przez te lata stało się niemal częścią mnie. Na nic więcej nie potrafię się zdobyć.

Nie mija pięć minut i słyszę zbliżający się stukot obcasów. Janice włożyła ciemnoróżowy kostium za ciepły na lipcowy dzień. Kolczyki to srebrne muszle brzegówek.

– Simonie?

– Czy możemy omówić to tutaj, Janice?

Wygląda tak, jakby czuła się niezręcznie, oczy jej nawet trochę błyszczą. Łzy?

– Będzie łatwiej, jeśli porozmawiamy w moim gabinecie.

– Wszystko jedno. Wolałbym po prostu nie przechodzić znów obok wszystkich. Jej usta otwierają się w niemym „ach”.

– Rozumiem. Oczywiście.

Rozpoczyna od tego, że bardzo o mnie walczyła, że jeśli tylko byłaby możliwość oszczędzenia mnie, z pewnością by ją znalazła. Nie mogę jej słuchać, nawet kiedy przechodzi do rozpływania się nad tym, jak bardzo lubiła ze mną pracować i obserwować mój rozwój. Udawanie, że słucham, to maska, w której czuję się najlepiej.

– Dział informacji bibliotecznej znacznie na tym ucierpi – mówi Janice.

Nawet jeśli tak myśli, co jest możliwe, brzmi to żałośnie. Koło czasopism dostrzegam gruby rudy warkocz. A niech to. Alice wszystko słyszy.

– Bardzo mi przykro. Po prostu wyczerpałam wszystkie możliwości.

Słyszę swój własny głos mówiący, że się zgadzam na dwutygodniowy okres wypowiedzenia. Janice proponuje, że podzwoni w moim imieniu w różne miejsca.

– Okej.

Teraz dziękuję jej za to, że mnie zwolniła, co samo w sobie jest upokarzające.

Naprawa rynny nie ma sensu, jeśli brakuje pieniędzy na resztę remontu. W ciągu zaledwie kilku minut tracę oba swoje domy.

Janice pomyliła się podczas naszej poprzedniej rozmowy. Przepracowałem w tej bibliotece nie dziesięć, lecz dwanaście lat, układając, sortując, skanując, katalogując, wyszukując, pisząc listy i podania o granty, błagając o fundusze, sklejjąc książki. Stałem się częścią księgozbioru. Dwanaście lat obcowania z niezliczonymi stronami i woluminami. Teraz została mi jedna książka.

W moją stronę zmierza Alice. Biblioteki są wylęgarnią plotek – wszyscy wiedzieli o tym, że mąż Marci pije, niemal zanim ona się o tym dowiedziała. Ja i Alice staramy się zatem nie spędzać razem czasu w pracy. Do tej pory zachowywaliśmy się ostrożnie i profesjonalnie, rozmawialiśmy ze sobą tylko wtedy, kiedy czegoś potrzebowaliśmy. Na przykład ja prosiłem Alice o grafik jednej z sal albo ona nie mogła czegoś osiągnąć i pytała, czy mógłbym jej pomóc. Jak będą zdejmować rzeczy z wyższych półek, kiedy odejdę?

Alice staje obok kserokopiarki. Widzę, co dla mnie ma: litość. Wyraża się ona w jej zaciśniętych ustach, w lekko opuszczonych powiekach. Spojrzenie, które idzie w parze z frazą: „Tak bardzo, bardzo mi przykro”. Nasze oczy się spotykają. Ona bezgłośnie pyta, czy wszystko u mnie w porządku. Wzruszam ramionami, bo co mogę zrobić. Niespodziewanie podchodzi do niej starszy mężczyzna i stuka ją w ramię. Wygodne półbuty, białe skarpetki, staromodna koszula, szorty. Starsi panowie uwielbiają Alice. Dzięki Bogu. Nie mogę z nią teraz rozmawiać. Podnoszę słuchawkę i wybieram numer Millerston Library.

– Leslie? Cześć, mówi Simon Watson z Grainger.

Czterdzieści pięć minut później byłem po rozmowie z dyrektorami niemal wszystkich bibliotek od Babylon do Mattituck lub przynajmniej zostawiłem im wiadomość. Gina z Comsewogue uprzejmie poinformowała mnie, że Janice już do niej dzwoniła w moim imieniu.

– Serce jej krwawi. Można by pomyśleć, że jesteś jej synem. Przyjęlibyśmy cię, gdybyśmy tylko mogli, ale jedziemy na jednym wozie. Moglibyśmy ci zaproponować wolontariat do czasu, kiedy dzieci wrócą z wakacji, a potem pracę na pół etatu. To byłoby dla ciebie jak zniewaga.

Szczypanie skóry na nosie nie zmienia sytuacji, jednak nieco odwraca moją uwagę od sensu tych słów.

Wieści od Laury z Outer Harbor są jeszcze gorsze.

– Chciałabym pomóc, ale sama szukam pracy. Dwa tygodnie temu rozmawiałam z Janice w nadziei, że wygospodarujecie jakieś miejsce. Nie dostajecie dotacji na księgozbiór wielorybiczny?

– Jest niewystarczająca.

Odłożyłem słuchawkę. Zmieniła się tylko godzina wskazywana przez zegar. Reszta bez zmian. Klub książki ma spotkanie w fotelach przy oknie frontowym, kilkoro dzieci wchodzi po schodach. Ktoś musi wydawać książki, odkładać je na półki i naprawiać. Nadal mam do skończenia podanie o grant na katalog cyfrowy. To się będzie ciągnęło nawet po moim odejściu. Zaczynam przeszukiwać stronę, do której link podała mi Liz Reed. Dział nowojorski wypełniają oferty pracy – są poszukiwani archiwiści cyfrowi, architekci informacji, cokolwiek to znaczy. Nawet gdybym wiedział, nie dałbym rady dojeżdżać. Ofert pracy na Long Island widzę niewiele – przeważnie potrzebują stażystów lub specjalistów od budżetu, a ja nie jestem ani jednym, ani drugim. Na samym dole strony w zielonej ramce znajduje się ogłoszenie o posadzie dla opiekuna rękopisów w Sanders-Beecher Archive, specjalistycznej bibliotece w Savannah w Georgii. Kliknięciem przenoszę się na stronę archiwum. Widzę, że ma siedzibę w pięknym starym budynku z kolumnami. Zdjęcia wnętrza ukazują cudowne półki z ciemnego drewna – orzech lub wiśnia – i sale zapełnione od podłogi po sufit oprawionymi w skórę woluminami. Krótki opis informuje, że Sanders-Beecher to archiwum „z osobistym podejściem do szeroko rozumianej historii”. Szczęcą się książkami wydrukowanymi na pierwszej prasie drukarskiej w Georgii i pamiątkami wczesnych osadników oraz częścią muzealną. Spoglądam na naszą kolekcję wielorybniczą – zatrzymane w czasie przejawy obsesji Phillipa Graingera stłoczone w dwóch sterylnych pomieszczeniach. Archiwum Sanders-Beecher sprawia wrażenie tętniącego życiem. A może wywiera na mnie tak pozytywne wrażenie, ponieważ odległość między Napawset a Savannah uniemożliwia mi traktowanie tej oferty poważnie, zwłaszcza jeśli mam się zająć domem? No i przyjeżdża Enola.

– Hej. – Alice kładzie przede mną stertę książek z połamanymi grzbietami.

Opiera się o nią, gładząc uszkodzone miejsca. Jej paznokcie są krótko obcięte i starannie opiłowane. Moje obgryzłem do tego stopnia, że prawie nie istnieją. Jej współczucie wyraża się w westchnieniu i to jest w porządku. Potrzebuję trochę współczucia.

– Hej – odpowiadam.

– Przykro mi, że to nie ja.

– Miło, że tak mówisz, ale nie musisz kłamać.

– Okej. Cieszę się, że to nie ja, przykro mi, że to ty. Lepiej?

– Lepiej.

– Dzisiaj ja stawiam, dobrze? Tyle, ile będziesz chciał wypić i czego tylko zapragniesz. Możesz się rozkleić, przespać u mnie. Nie powiem nikomu.

Nie wiem nawet, co powinienem pić.

– Co się pije, kiedy traci się pracę?

– Myślę, że żytnią.

– Brzmi okropnie.

Uśmiecha się.

– Brzmi odpowiednio.

Trwamy tak wśród buczenia drukarek, jęku kserokopiarki, stuku klawiszy.

– Wszędzie nosisz ze sobą tę książkę. Dlaczego?

Właściwie nie wiem. W zapiskach i szkicach dostrzegam coś mgliście znajomego. Poza tym jest jeszcze kwestia utonięć, zbieżność dat oraz to, że moja matka знаła imię i nazwisko Bess Visser. Ta zagadka zaczęła mnie wciągać.

– Myślę, że ten gość, który mi ją przysłał, miał rację. Jestem niemal pewien, że ta książka ma coś wspólnego z moją rodziną.

Alice rzuca okiem na zegar nad komputerem i lekko się przeciąga. Jest jedenasta. Musi zacząć przygotowywać wszystko do odczytu. Prelegentem ma być Don Buchman, który będzie mówił o ptakach zamieszkujących słone błota.

– Nie można znaleźć rodziny w książce, Simonie.

Wzruszam ramionami.

– Nie naprostujesz mnie za pomocą frazesów, Alice.

– Nie, ciebie nie da się naprostować.

Cichy chichot jej i mój. Podziwiam rysunek jej ust. Alice łapie mnie za rękę i wymieniamy uścisk dłoni.

– Mogę coś dla ciebie zrobić?

Poczułem, że chcę odnaleźć swoją rodzinę w tej księdze lub gdziekolwiek indziej i zrozumieć, co się z nami stało.

– Miałabyś coś przeciwko dalszym poszukiwaniom? Szukam wszystkiego na temat dwóch kobiet: Verony Bonn i Celine Duvel. Doszedłem do ściany.

– Myślałam raczej o tym, że może chciałbyś wyjść wcześniej... Jasne, nie ma sprawy. Wyszukam wszystko, zanim zaprosisz je na randkę.

– To są moje krewne. Jest coś, co mnie ciekawi. Myślę, że dostrzegam w ich losach pewną prawidłowość.

Alice unosi brwi.

– Zechciałbyś mnie oświecić?

– To nic takiego. Muszę się czymś zająć. Znasz mnie, radzę sobie lepiej, kiedy mam jakieś zajęcie.

– Wiem.

Ranek mija mi na podklejaniu grzbietów książek i szlifowaniu języka podań. W przerwie obiadowej rozsyłam swój życiorys. Dla draki piszę również do archiwum Sanders-Beecher, do muzeum w Teksasie i biblioteki w Blue Point. Urok starania się o pracę drogą elektroniczną tkwi w braku ograniczeń dla fantazji – tysiące kilometrów pokonane za jednym kliknięciem. Później pomagam dziewczynce imieniem Lucinda znaleźć książkę w dziale folklorystycznym. Chodziło o gruby tom opowieści o selkie, mitycznych istotach, z których każda mogła być czasem kobietą, a czasem foką, oprawiony w zielony bukram. Przypadkowo dostrzegam tuż obok znacznie cieńszą, mocno zaczytaną książkę. Baśnie, rosyjskie podania ludowe, legendy i wiersze znad Bałtyku. Mama mi z niej czytała. Choć nie powinienem tego robić, wkładam książkę pod pachę i wracam z nią do biurka. Potrzebuję jeszcze jednej...

Znajdująca się w naszej bibliotece kopia *Doktryny* ma zwykłą czerwoną okładkę z płótna, nie wytłaczaną jak ta Churchwarry’ego. To nowsze wydanie opatrzone ilustracjami w stylu art nouveau, raczej hołd oddany mistycyzmowi niż źródło rzetelnych informacji. Churchwarry miał rację. Rysunek karty w mojej księdze to najwyraźniej archetypiczne przedstawienie Wieży, choć jest zdecydowanie bardziej prymitywny niż rysunek w *Doktrynie*. Ukazuje jednego wypadającego z okna mężczyznę, na rysunku w *Doktrynie* jest ich dwóch. Ilustracje w *Doktrynie* są piękne i subtelne, nie takie jak w mojej księdze. Wieża oznacza zmianę, w równym stopniu wskazuje na początek i na koniec. Odpowiednia karta do kontemplowania dla kogoś, kto właśnie stracił pracę. Spędziłem jakąś godzinę w schowku i wertowałem *Doktrynę*. Schowek to moje królestwo: stoją w nim zatechłe regały pełne materiałów, na które zapotrzebowanie jest znikome. Historia drukarstwa w koloniach, hodowla zwierząt, zapomniane biografie... niedługo ktoś inny będzie się tu chował. Wróciwszy do biurka, zauważam stosik artykułów gazetowych, kserokopii i wydruków zostawiony przez Alice. Na wierzchu leży karteczka zapisana jej zbitym, ukośnym pismem:

—

S – trochę informacji o tych imionach. Dlaczego wszystko na ich temat znajduje

się w łatwym dostępie? Czy powinnam się martwić tym, że interesujesz się zmarłymi kobietami?

—

PS Dzwonił mój tata. Rynna ci odpada. Upijmy się. Przyjedź po mnie o ósmej.

Wkładam papiery między książki i na tym kończę pracę. Wychodzę na zewnątrz. Czuję się, jakbym płynął, ledwie poznaję drucianą rzeźbę trawnikową, której nienawidzę od pięciu lat, czyli od momentu, w którym się pojawiła. Wrzucam skradzione książki na siedzenie pasażera razem z rejestrem Peabody'ego. Powinienem dać Janice dwa tygodnie, ale nie zamierzam już tu wracać – w mojej rodzinie nie przeciągamy pożegnań.

Przez całą drogę do domu jadę za szybko. Wybucham śmiechem, kiedy podwozie zahacza o jakąś nierówność na spadku w pobliżu portu.

Zatrzymuję się na podjeździe. Nagle dociera do mnie, jak niedaleko krawędzi klifu stoi mój dom. Zamiast zająć się wydrukami od Alice lub przygotowywać się na wieczór w The Oaks, zaczynam naprawiać rynnę. Tłukę młotkiem, mocuję się z powyginanym metalem. Obejmy i śrubki są nadal na miejscu, jakby to dach się poruszył. Po godzinie walenia, prostowania i wyklepywania mam zmasakrowane dłonie, ale rynna nadaje się do ponownego zamocowania. Tylko że drewno się rozszczepia, kiedy próbuję wkręcić pierwszą śrubę. Próbuję w innym miejscu, drewno ponownie się rozszczepia, spory kawałek odpada. Trzecia i czwarta próba jedynie poluzowują płyty dachowe i przyczyniają się do pogorszenia stanu okapu. Rynna odpada. Początek końca tego domu. Dach gnije. Powinienem był się tym zająć lata temu, powinienem był wiedzieć, że to wymaga troski, lecz nikt mnie tego nie nauczył. Tymczasem krawędź klifu jest coraz bliżej.

Zwykliśmy z niego zbiegać, Enola i ja, a nasze stopy zapadały się głęboko w piasek. Trzymaliśmy się za ręce i nawzajem ciągnęliśmy na brzeg, wrzeszcząc z szeroko otwartymi ustami. Po każdym skoku upadaliśmy, licząc sekundy spędzone w powietrzu. Lądowaliśmy na ugiętych kolanach, ziemia przyjmowała nas i osuwała się razem z nami do morza. Każdy nasz krok odbierał grunt okolicznym domom.

Cofnąłbym każdy z tych kroków.

Zostawiam rynnę tam, gdzie upadła. Przeskakuję nad nią, wchodzę na schody, popycham te cholerne drzwi, które nigdy od razu się nie otwierają, i wchodzę do salonu. Podnoszę słuchawkę, aby zadzwonić do Alice.

– To ja.

– Uciekłeś.

Ciężko wyczuć, co o tym myśli.

– Przepraszam – mówię na wszelki wypadek. – Czy masz coś przeciwko temu, żebym przyjechał wcześniej? Nie mogę teraz tu być.

Minęły długie lata, odkąd w domu w Krommeskill pojawiło się dziecko. Było to miejsce skryte w mgiełce znad rzeki Hudson i rządzone twardą ręką Sarah Visser – babci Visser.

Problemy z Evangeline zaczęły się na długo przed tym, jak Amos zobaczył ją w mroku rozświetlonym błyskawicą. Problemem było to, że ona w ogóle się urodziła.

– Nic nie jest z tobą w porządku – powiedziała babcia Visser, oglądając Evangeline. – Ale ja to naprawię.

Ciężkie policzki babci trzęsły się lekko. Dziewczynka była niezwykła. Patrzyła na tych, którzy ją trzymali, oczami swojego ojca, dziwnego mężczyzny, który zwykł stukać w okno jej matki nocami, kiedy nad rzeką snuła się mgła. Oczami koloru miedzi i przekwitłych mniszków, oczami, w których babcia Visser widziała hańbę swojej córki.

Amelia Visser, matka dziecka, miała szesnaście lat, kiedy tamten mężczyzna zastukał w jej okno. Tchnął innością, w jego wnętrzu płonęło tajemnicze światło. Można było mieć wrażenie, że wylewało się ono z niego, gdy mówił. Jego skóra miała nikły żółty odcień przywodzący na myśl mosiądz lub złoto, jego włosy były kruczoczarne, jego rysy – równocześnie chłopięce i męskie. Całość niezwykle intrygująca, zwłaszcza dla Amelii.

Zapukał cichutko. Amelia podniosła zasłonę i trafiła wprost na te oczy koloru zblakłego metalu. Otworzyła okno.

Jego głos przypominał łagodny szum.

– Widziałem cię nad rzeką. Czy mógłbym nazajutrz popatrzeć, jak pływasz? – Łagodność może być stanowcza, głos może hipnotyzować, jak hipnotyzował zaśpiew mężczyzny.

Amelia czuła jego obecność, kiedy pływała – w tataraku i w cieniu rzucanym przez las, w samej wodzie, ponieważ łaskotała ją i pobudzała jej skórę do życia. Po powrocie znad rzeki znalazła dziwną muszlę na parapecie swojego okna – prezent od mężczyzny. Gładki, twardy pancerz z ostrym odwłokiem i kolczastymi kończynami, których nie śmiała dotknąć. Pogłaskała kruchą kopułę pancerza. Miała kształt końskiej podkowy. Za zaciągniętą zasłoną Amelia zostawiła szeroko otwarte okno. Na pytanie matki o powód odparła: „Dla mężczyzny o skórze błyszczącej jak mosiądz i oczach w kolorze miedzi”, i dostała różgą w dłoń za zmyślanie.

Po pocałunku w policzek przyszedł czas na pocałunek w usta, później dzikość mężczyzny przelała się w Amelię. Jej oczy stały się nieokrzesane, jej śmiech

niepohamowany, a temperament nieokiełznany. Jej brzuch się zaokrąglił.

Matka zabiła okno gwoździami.

Po kilku miesiącach Amelia poczuła ostry ból w brzuchu. Ból przyniósł krew, krew przyniosła strach, strach przyniósł samotność. Z samotności wynikła najbardziej niesamowita sprawa: córka.

Evangeline ssała pierś Amelii, z mlekiem ciągnęła od niej siły życiowe i rosła okrągłutka, podczas gdy Amelia marniała. Wylewała tyle łez, że starczyłoby na pranie pościeli. Wychudła, jej skóra nabrała woskowego połysku. Wstawała z łóżka tylko raz w ciągu dnia i cały czas trzymała przy sobie dziecko. W oczach Evangeline Amelia widziała mężczyznę, który odwiedzał ją przez całe lato aż do jesieni.

Chociaż Amelia nikła w oczach z powodu bólu i tęsknoty, babcia Visser widziała jedynie cenę grzechu i swoje niedopatrzzenie. W uśmiechu dziecka rozpoznawała uśmiech uwodziciela i poprzysięgła sobie, że wypędzi grzech z Evangeline i wychowa ją lepiej niż własną córkę. Amelia umierała. Oczy Evangeline były wtedy zamknięte jak u świeżo wyklutego pisklaka. Babcia Visser wzięła ją do siebie.

– Zmyję z ciebie plamę – obiecała, przeszedłszy niespodziewanie na mieszaninę holenderskiego i angielskiego.

Jej pierś okrywała szorstka, czarna wełna żałoby – skromny strój, na który zdecydowała się przed wielu laty po śmierci swojego męża Johannes Vissera, dobrego i cnotliwego człowieka. Evangeline spała, choć tkanina drapała jej skórę. Obudził ją szok wywołany lodowatą wodą ze zlewu.

– Ja ciebie chrzczę.

Pląkała, lecz zimne pomyje tłumiły jej krzyki. Babcia Visser podtrzymywała główkę wnuczki, mamrocząc nad nią modlitwy. Z każdym werselem wpychała główkę głębiej pod mętną wodę.

– Żałujemy za nasze grzechy i drżymy przed popełnianiem nowych, oczyszczamy się w wodzie łaski.

Rozwarła palcem malutkie usteczka, ponieważ grzech gnieździ się w sercu i brzuchu. Wlało się tam tyle wody, że mała mogła się utopić.

– Bez łaski jesteśmy niczym, naczyniami, które ma wypełnić święta rzeka.

Evangeline zaczęła łykać wodę. Połykała ją, jakby oddychała, po czym zacisnęła wargi wokół palca babci i zaczęła ssać. To poruszyło serce babci Visser, przypomniało jej, że niegdyś uwielbiała trzymać Amelię przy piersi. Wyciągnęła Evangeline z wody, a ta się uśmiechnęła, nadal ssąc palec, nieświadoma, że właśnie uniknęła utopienia.

Na łożu śmierci Amelię oblał pot, włosy przylgnęły jej do skóry, tworząc wokół jej głowy aureolę. W oczach Sarah Visser córka emanowała anielskim blaskiem.

– Wychowam dziewczynkę jak swoją – obiecała.

I Amelia odeszła.

Sarah Visser czytała Evangeline z mocno zniszczonej Biblii, śpiewała hymny i postarała się, aby pierwsze poznane przez dziewczynkę imiona należały do apostołów. Dni zaczynały się od modlitwy jeszcze przed wschodem słońca, potem trzeba było zająć się kurami i kozami, następnie w kuchni uczyć się gotowania, jak przystało szanującej się holenderskiej gospodyni. Modlitwa, pranie, sprzątanie, przedzenie. Każdy dzień zaplanowany tak, żeby nie było chwili wytchnienia – tylko modlitwa i zajęcia odpowiednie dla cnotliwej kobiety.

Babcia Visser kochała Evangeline, choć obawiała się grzechu, z którego dziewczynka została poczęta. W duszy wychwalała Boga za to, że dał jej szansę zacząć wszystko od nowa.

Z posłusznego dziecka Evangeline wyrosła na młodą kobietę o kociej twarzy, oczach wielkich jak talerze i czarnych włosach do kolan. Mimo nadzoru babci Visser rzeka ją wzywała, kusząc, aby nurkowała w jej wodach.

Babcia Visser starała się temu zapobiec, schowała zatem buty Evangeline i wydłużyła wieczorne modlitwy tak, że ze świec zostawały jedynie ogarki. Evangeline leżała w łóżku, dopóki babcia nie wyszła, po czym wspinała się na okno, zeskakiwała na ziemię i pełną piersią wdychała nocne powietrze. Biegła przez ogród, nie zważając na kamienie raniące jej stopy. Biegła do rzeki, której zimne, gładkie wody ją witały. Ustępował wówczas silny niepokój towarzyszący jej nieustannie. Nie wiedziała, że tą samą drogą chodziła jej matka na spotkanie z jej ojcem.

Babcia Visser zobaczyła poranione stopy Evangeline i przed oczami stanęła jej Amelia. Zaczęła bardzo mocno wiązać gorset wnuczki – ten, kto nie oddycha swobodnie, nie może biegać.

– Dobre kobiety nie biegają. Stawiają ostrożne kroki, ponieważ grzech tkwi w beztrosce. – Zaciągała sznurówkę, aż fiszbiny stały się więzieniem.

Evangeline uwolniła się: za pomocą noża do listów poprzecinała kolejne tasiemki. Jej płuca napełniały się coraz bardziej i pomknęła nad rzekę. Nieważne, w którą stronę płynęła. Wiedziała, że rzeka zabierze ją ze sobą, jeśli za nią podąży.

Spotkanie z Willem Abenem spowodowało zmianę w sercu Evangeline. Will, syn młynarza, powiedział Evangeline, że jej matka zadawała się z wędrowcem, który skradł jej duszę. Ojciec Willa dobrze to pamiętał – kiedy nieznajomy odszedł, opuszczona kobieta chudła i chudła. W końcu niemal zupełnie zniknęła i wiatr zwiął ją niczym pyłek.

Evangeline nie wierzyła, że można umrzeć z powodu złamanego serca.

Kiedy zaczęła rozmawiać z Willem, miała szesnaście lat. On był młodzieńcem siedemnastoletnim o silnych plecach i włosach tak jasnych, że wydawały się

pozbawione koloru. Choć miał złamany ząb, uśmiechał się czarująco. Evangeline łaknęła jego towarzystwa, aby rozmawiać o czymś innym niż unikanie grzechu i zajęcia stosowne dla cnotliwych kobiet. Will, zafascynowany dzikimi oczami dziewczyny Visserów, również się wymykał, nie miał w tym jednak takiej wprawy jak ona.

Późną wiosną Dorę Aben obudziło w środku nocy skrzywienie bramy młyna. Przyglądała się przez okno, jak jej syn idzie nad rzekę, aby spotkać się z Visserówną. Wyszła z domu w koszuli nocnej, na którą narzuciła ciężki szlafrok. Will, skonfrontowany z gniewem matki, uciekł. Dora Aben chwyciła Evangeline za rękę i za włosy i zaciągnęła do domu jej babci. Waliła w drzwi, dopóki Sarah Visser nie otworzyła. Wtedy poinformowała ją, że jej wnuczka jest latawicą, która chciała uwieść jej syna.

Babcia Visser nie zwracała uwagi na prośby Evangeline, mimo że od dawna nie uważała Dory Aben za osobę wiarygodną. Zrozumiała, że mimo okazywanej miłości, mimo lat poświęconych na wykorzenianie grzechu brzuch Evangeline urośnie, jak urósł brzuch Amelii. Przejęła włosy wnuczki z zaciśniętej pięści Dory Aben.

Zaciągnęła szarpiącą się wnuczkę do kuchni, przełożyła ją przez stół, przytrzymała całym ciężarem swojego ciała. Ręce Sarah były poznaczone bliznami: własna matka wymierzała jej razy łyżką z długim trzonkiem zawsze, kiedy upuściła jajko, okazała się krnąbrna lub niedbała. Ona, Sarah, była zbyt pobłażliwa i Amelia przypłaciła to życiem. Sięgnęła po ciężką łyżkę, która wisiała na ścianie w oczekiwaniu na ponowne zetknięcie się z ciałem w gniewnym ciosie.

– Uchowaj mnie od woli ciała. – Ramię Sarah wystrzeliło do góry, jakby ktoś mocno ściągnął w nim sznurki, i opadło z trzaskiem.

Łyżka uderzyła w ciało i Evangeline zwinęła się z bólu. Skóra stała się czerwona, rozdarła do żywego mięsa, piekąca. Kolejne ślady od uderzeń wykwiwały, kiedy obrywała za rzekę, za Willa Abena, za swoją matkę i ojca, których nigdy nie знаła, za sosnowe igły we włosach, za brud pod paznokciami, za pokaleczone stopy.

Ponieważ Evangeline starała się osłonić twarz, nie mogła zobaczyć łez babci, jej smutku i strachu.

Kolejne razy spadały na nią za każdą zerwaną tasiemkę gorsetu, za straszenie kur, przez co się nie niosły, za wykradanie się przez okno, za bycie nieczystą. Po każdym uderzeniu babcia Visser błagała Pana o wybaczenie, że nie starczyło jej sił, aby zamienić dziewczynę w stal, z której wykuwa się cnotliwe kobiety.

Utrata męża i córki oraz wychowywanie tego kochanego, lecz swawolnego dziecka wyczerpały siły Sarah Visser. Evangeline rosła, Sarah podupadała. Jej włosy posiwiały, warkocz stał się cienki jak szczurzy ogonek, twarz się zbyt

zaokrągliła, wewnętrzny płomień przygasł pod warstwą tłuszczu i skórą pełną zmarszczek. Ramiona osłabły, oddech świszczął.

Evangeline udało się wyswobodzić rękę. Rozpalona i dzika wyrwała babci łyżkę. Poruszyła się w niej jakaś siła, która napełniła jej usta smakiem pomyj. Łyżka leżała w ręku jak ulana, jakby była częścią jej ciała. Evangeline popchnęła starą kobietę, podcięła jej nogi i powaliła ją na podłogę, którą szorowały i zamiatały tego ranka. Ręka się uniosła. Łyżka uderzała mocno i szybko. Najpierw Evangeline nie mogła uwierzyć, że sama zadaje ciosy. Później nie mogła przestać.

Babcia Visser zawodziła. Łyżka uderzyła ją w usta. Ręka Evangeline poruszała się z szybkością błyskawicy.

– Przestań, przestań, skarbie, proszę – na próżno błagała babcia.

Ciało Evangeline krzyczało, każde ścięgno i każdy staw przypominały o kolanach fioletowych od klęczenia, o żebrach posiniaczonych od ciasno zasnuwanego gorsetu i o bólu bycia daleko od rzeki.

Łyżka wibrowała, śpiewała i przyzywała ją, błagała Evangeline, by pozwoliła jej się wyszaleć. Trafiła w gardło babci Visser i wtedy rozległ się głuchy odgłos.

Oczy babci Visser otworzyły się szeroko jak u przestraszonego królika. Łyżka opadła. Twarz babci była czerwona i wylewały się z niej łzy niczym z pękniętego garnka. Panika. Evangeline się cofnęła. Patrzyła na babcię, która na próżno usiłowała złapać oddech. Jej brzuch podnosił się i opadał w spazmach, twarz stała się szkarłatna.

Evangeline usiłowała posadzić babcię. Przeprosiny zaczęły wypływać z jej ust z taką samą żarliwością, z jaką jej babcia się modliła. Babcia uwiesiła się na jej ramieniu. Rzęziła i wydawała świszczące dźwięki. W końcu ich splątane ciała oparły się o piec. Evangeline klepała babcię po policzkach i błagała, żeby zaczęła oddychać. Głowa babci Visser opadła. Cienki warkocz wił się na jej piersi.

Obejmując ramiona babci, Evangeline zaczęła ją kołysać.

Sarah Visser wzięła wnuczkę za rękę.

Evangeline poczuła, że babcię opuściło życie. Kiedy była mała, babcia nauczyła ją fastrygowania, ściegu krytego i ściegu gałązkowego na szwy. Pamiętała dłonie babci trzymające jej małe dłonie, kościany napaśtek na jej palcu i to, jak przebijała igłą muślin. Pamiętała także świeży zapach rąk babci, która wcześniej zagniała ciasto.

Ciepło ulatywało z ciała babci Visser. Evangeline próbowała wchłonąć je swoim ciałem, ponieważ trzęsła się z zimna oparta o żelazny piec. Płakała. Pomyślała o swojej miłości do babci stłumionej przez gniew, ale to bolało jak świeże uderzenie.

Kogut zapiał, świt zaróżowił szparę w drzwiach. Za dźwiękiem przyszła myśl: Uciekaj.

Wyszła przez okno na podwórko i wśród wysokiej trawy pobiegła między sosny. Biegła po sarnich ścieżkach. Czasem robiło się jej niedobrze, przyciskała wtedy kciuk do siniaka, aż ból rozpalał się tam tak mocno, że spalał wszystko oprócz potrzeby, aby biec. Znajdź wodę, podążaj za rzeką, myślała. Biegła ku rzece, ku Hudson płynącej daleko od ciała kobiety, która ją wychowała. Biegła, dopóki jej stopy nie wybłagały przerwy. Spragniona piła wodę z rzeki, która karmiła i dawała życie. Podążała z biegiem Hudson na południe, nie wiedząc dokąd, byle dalej i dalej. Jestem morderczynią – te słowa przylgnęły do niej i stały się jej drugim imieniem.

Czas i pora roku sprawiły, że trupa Peabody'ego wraz z niemym wróżbitą podróżowali na północ. Tego dnia Peabody zanotował na marginesie swojego rejestru, że kozy dały skwaśniałe mleko.

14 lipca

7

Jest. Nie ma wątpliwości. Utonęła dwudziestego czwartego lipca 1937 roku.

Celine Duvel, artystka z Cirque Marveau, znaleziona martwa w wodach nieopodal Ocean City, najprawdopodobniej sama odebrała sobie życie. Duvel osierociła córkę, Veronę Bonn. Nie przewidziano nabożeństwa.

Króciutka wzmianka w „Daily Sentinel-Ledger”, ale jej wydźwięk jest wstrząsający, ponieważ obok leży wydruk zachowanego na mikrofiszce nekrologu Verony Bonn. Królowa Nurków Cyrku Littles-Lightford, moja babcia, utonęła w zatoce Maryland. Dwudziestego czwartego lipca 1962 roku. Osierociła córkę, Paulinę. Zbieżność dwóch dat może być dziełem przypadku, ale czterech?

Coś tu jest bardzo nie w porządku.

To, co zaczęło się jako chwilowa fascynacja księgą, przerodziło się w coś mrocznego, napędzanego przerażającym odkryciem, że kobiety w mojej rodzinie miały w zwyczaju nie tylko umierać młodo, ale także tonąć dokładnie dwudziestego czwartego lipca. Pierwszy właściciel książki był bardziej zainteresowany zyskami i potencjalnymi szlakami wędrówki trupy cyrkowej niż ustalaniem genealogii tonących kobiet. W dodatku na kartach wspomniano zbyt wiele osób: Amosa, Hermeliusa Peabody’ego, Evangeline, Benna Koeniga, madame Ryżkową i jeszcze inne. Do tego ich wzajemne relacje opisano mniej szczegółowo niż ich zarobki. Daty notowane są nieregularnie, nigdzie nie wspomina się, żeby dwudziesty czwarty dzień lipca miał jakieś szczególne znaczenie. Peabody zapisywał tylko to, co jemu wydawało się interesujące, i zdecydowanie nie brał pod uwagę faktu, że przeszło dwa stulecia później pewien bibliotekarz będzie posługiwał się jego rejestrem jako podstawowym źródłem informacji.

Poszukiwania prowadzone przez Alice torują mi drogę. Dodatkowo mogę korzystać z jej identyfikatora ze Stony Brook, ponieważ była tak zapobiegliwa, że nie pozwoliła mu wygasnąć. Dzięki temu mam dostęp do materiałów, które w innym wypadku byłyby dla mnie nieosiągalne bez składania prośby o możliwość przeprowadzenia badań. Sensowne wydało mi się stopniowe posuwanie do tyłu,

zaczęłam więc od swojej matki, od artykułu z gazety opatrzonego jej zdjęciem: twarz o ostrych rysach, kruczoczarne włosy – wyniosła piękność. Mimo moich wspomnień, ciepłych wspomnień, zdjęcie świadczy o tym, że matka nie była szczęśliwa. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Uświadomienie sobie, że życie z nami może być dla kogoś nie do wytrzymania, powoduje wstrząs. Moje dni wypełniały poszukiwania w archiwach państwowych i przeglądanie magazynów oraz wycinków prasowych. Doprowadziły mnie one do momentu, w którym patrzę na „Daily Sentinel-Ledger” i zaczynam być pewny tego, co wcześniej tylko mi się wydawało.

Jest po dziesiątej. Alice powinna być już w pracy i przebrnąć przez najważniejsze rzeczy do zrobienia. O tej porze zazwyczaj robi sobie krótką przerwę na uporządkowanie biurka, układa długopisy po prawej stronie, wyrównuje stos papierów. Dzwonię.

– To ja.

– Nie mogę długo rozmawiać. Wypożyczanie szwankuje. Nikt nie może niczego znaleźć, książki stojące na półkach figurują w systemie jako wypożyczone. Giną książki.

Patrzę na dwie, które sam ukradłem. Gdybym był lepszym człowiekiem, czułbym się winny.

– Pewnie coś z czytnikiem kodów kreskowych.

– Lub z katalogiem. W każdym razie co u ciebie?

– Czy nie wydaje ci się dziwne, że prawie nic nie wiem o swojej rodzinie?

– Raczej nie. Dziwność jest w waszym przypadku względna. Weź choćby to, jak twoi rodzice nazwali twoją siostrę. Kto robi dziecku coś takiego?

– Wiem.

Kiedy się dowiedziałem, że Enola dostała swoje imię po samolocie, z którego zrzucono bombę atomową na Hiroszimę, nieodwracalnie zmienił się mój sposób myślenia o moich rodzicach i mojej siostrze. Raz zapytałem tatę o powód tego wyboru. Odpowiedział mi, że to mama miała taki pomysł. Uważała, że jeśli coś strasznego wynikło z czegoś pięknego, mamy obowiązek przywrócić to piękno. W przypadku mojej siostry ta próba się nie powiodła, jej życie przypomina stan po wybuchu bomby. Nigdy nie starczyło mi odwagi, aby zapytać o moje imię.

– Jednak znalazłem coś dziwnego, nawet jak na nas – dodaję. – Pamiętasz te kobiety, o których sprawdzenie cię prosiłem? Zmarły tego samego dnia co moja mama. Kobiety w mojej rodzinie mają w zwyczaju umierać dwudziestego czwartego lipca.

Cisza. Alice przekłada słuchawkę do drugiego ucha. Przewracanie stron. Oczami wyobraźni widzę, jak porządkuje podajnik na listy.

– No nie wiem... Atak melancholii? Takie rzeczy są rodzinne. Dodaj do tego

lekkie sezonowe zaburzenia afektywne i starczy tego na niezły zbieg okoliczności, a nawet na dwa.

– Możliwe. Ale sezonowe zaburzenia afektywne zdarzają się w zimie, kiedy jest mało światła.

– Zaczynasz gonić w piętę?

– Jeszcze nie. Rozsyłałam życiorysy, dzwonię do różnych ludzi. – Prawda jest jednak taka, że bezrobocie rozmiękcza umysł i sprawia, że godziny zlewają się ze sobą, a poranny zastrzyk energii przeradza się około południa w apatię. Jeśli ma się nieograniczoną ilość czasu, zrobienie czegoś okazuje się niemożliwe. Zasłużyłem na odpoczynek, pracowałem bez wakacji, odkąd skończyłem szesnaście lat. Dwa tygodnie bez pracy przecież mnie nie zabiją, choć wiele wskazuje, że może jednak tak. Zarzuciłem wszystkie znajdujące się w pobliżu biblioteki e-mailami i telefonami, aby dać znać, że jestem do wzięcia, i aby przypomnieć im o każdej najmniejszej przysłudze, jaką wyświadczyłem im przez te wszystkie lata. Pomoc przy składaniu aplikacji o fundusze, zasugerowanie odpowiedniego narzędzia do renowacji. Na razie zero odzewu. Cisza powoduje specyficzny rodzaj napięcia. W Commak jest wolne stanowisko dyrektora. Trochę to dla mnie za wysoko, ale może się udać, przynajmniej jest nadzieja. Specjalnie wysłałem tam swój życiorys w osobnym e-mailu. Rozmowa telefoniczna została umówiona na jutro.

– Przeszedł informatyk – oznajmia Alice. – Muszę lecieć. Wieczorem o ósmej, zgadza się?

– Tak. Cześć.

Skończywszy rozmowę, czuję się dziwnie niespokojny i bezużyteczny. Potrzebuję pracy. Sprawdzam ofertę w Georgii. Ogłoszenie Sanders-Beecher jest aktualne. Wykręcam ich numer niemal bez zastanowienia. Odbiera kobieta o głosie sztywnym i słodkim. Przedstawia się jako miss Anne. Podaję jej swoje nazwisko, pytam o bibliotekę i posadę opiekuna.

– Och, panie Watson, nasza biblioteka jest bardzo mała – mówi. – Zajmujemy się głównie czymś, co nazywamy osobistą socjologią regionu, ale lubimy myśleć o sobie jako o artystach. Nasze zadanie polega na przekształcaniu posiadanych materiałów w obraz. Tym zajmują się u nas opiekunowie.

– Nie mogę zapewnić pani o swoich umiejętnościach malarskich, za to doskonale znam się na sortowaniu materiałów.

W odpowiedzi słyszę śmiech.

– Proszę mi wybaczyć. Mam skłonność do kwiecistych wypowiedzi i kocham Sanders-Beecher. To szczególne miejsce.

– Zdecydowanie – mówię, żałując, że nie potrafię dodać czegoś bardziej błyskotliwego.

– Mamy brudnopis Konstytucji, wiedział pan? Nie jest autentyczny, piękna

podróbka. Znajduje się w zbiorze dokumentującym niesławną działalność lokalnych fałszerzy. Towarzystwo Historyczne Georgii ma prawdziwy egzemplarz, ale ja wolę nasz. – Robi przerwę, aby odkaszląć. – Jest to jednak ciężka praca. Ludzie często coś nam przekazują. Każdy chce czuć się ważny i w naszej okolicy jest tak wiele starych rodzin. Bardzo ciężko wyjaśnić komuś, że rachunki jego babci od Woolwortha nie są istotne.

I nagle wiem, co powiedzieć.

– Chyba że są to rachunki za pierwsze zakupy w pierwszym sklepie na terenie stanu lub jeśli potrzeba udokumentować wydatki typowego gospodarstwa domowego w konkretnym czasie.

Słyszę, jak miss Anne się uśmiecha.

– Och, wydaje mi się, że chyba umie pan malować, panie Watson. Powiedział pan, że skąd pan jest?

– Nie powiedziałem.

Miss Anne jest zdumiona i jednocześnie zachwycona, że ktoś z Nowego Jorku interesuje się ich niewielkim archiwum. Jej zachwyt rodzi chęć wyolbrzymienia moich kwalifikacji. Awansuję siebie na opiekuna księgozbioru wielorybniczego. Zanim skończymy rozmawiać, zapamiętuję, że pracę można znaleźć nie tylko w Napawset czy Nowym Jorku. Ale tam nie ma Alice. A Enola może zechcieć wrócić do domu.

Rozłączam się i nagle słyszę dźwięk łamanego drewna podobny do wystrzału z pistoletu. Podskakuję, rozrzucając papiery. Zanim się uspokoję, serce uderza trzy... cztery... pięć razy. Wychodzę do przedpokoju. Widzę krzywo wiszące zdjęcia, lecz nadal nie wiem, co jest źródłem tego dźwięku. Wszystko wygląda w porządku. Dochodzę do pokoju rodziców...

Cienka szczelina w ścianie obok toaletki mamy biegnie na całej wysokości, prosta jak strzała. Przykładam do niej palec, dom zaczyna jęczeć jakby z bólu. Przechowuję w pamięci na pół wyblakłe wspomnienie. Oto bawię się na podłodze tego pokoju pociągami, a mama śpiewa coś po francusku. Nie pamiętam słów, tylko obraz mamy zaplatającej włosy przed lustrem toaletki. Powinienem sprawdzić pozostałe pokoje.

U Enoli bez zmian. Poplamiony jodyną koc, dziura w ścianie koło łóżka, biurko pełne obgryzionych ołówków. Drzwi do mojej sypialni ledwo się otwierają: albo tak nasiąkły wilgocią, albo framuga się wypaczyła – nie, one również są źle osadzone. Niech to. Spędzam tu niewiele czasu. Równie dobrze mogę przenieść swoje rzeczy do salonu, zanim tego nie naprawię.

Trzy kursy z ciuchami z komody, stos książek, dwie poduszki, letnia pościel sprawiają, że salon zamienia się w moją sypialnię i gabinet w jednym – jestem uchodźcą w swoim własnym domu. Nic więcej nie da się zrobić, muszę zadzwonić

do Franka. Wolałbym tego nie robić, ale Alice z pewnością nic mu o nas nie powiedziała. Poprosiłem ją, żeby nie mówiła ojcu także o tym, że straciłem pracę, ponieważ wiem, że to tylko chwilowe, a Frank potrafi być bardzo opiekuńczy. Nadal jesteśmy ostrożni, nadal nie mamy pewności, co jest między nami.

Frank odbiera po piątym sygnale i natychmiast przechodzi do rzeczy.

– To niedobrze, kiedy rynny nie ma tak długo, wiesz? Woda spływająca z dachu może podmyć fundamenty.

A już chciałem się przyznać, że śpiam z jego córką. Cudownie. Rozmawiając z nim, będę wspominał jej łydkę przyciskającą moje plecy.

– Tak. Pracowałem nad tym trochę. Chyba trzeba naprawić też cały okap. Wydaje mi się, że dom osiada. W ścianie w pokoju rodziców zrobiła się szczelina.

Frank aż gwizdnął.

– Znajdę kogoś do roboty – zapewniam. – A może wiesz, jak to załatać? – pytam na wszelki wypadek.

– Coś mi mówi, że tu łatanie nic nie da.

– Wiem, muszę kogoś wynająć.

Za oknem widzę niespokojną i wzburzoną zatokę.

– Simonie, przykro mi widzieć twój dom w takim stanie. Musisz się pospieszyć, jesteś cholernie blisko wody. Domy nie potrafią same troszczyć się o siebie.

Protekcjonalny ton Franka dopieka mi do żywego. Jakbym nie potrafił zająć się własnym domem, jakbym nie zwisał z dachu ani nie łątał przecieków. Domy nie potrafią same troszczyć się o siebie, ale wymagają nakładów finansowych.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– Wszystko w porządku?

– Jestem zmęczony. Może mógłbyś podesłać kogoś, kto obejrzałby dom? Nie wiem, od czego zacząć. – Spoglądam na księgę Peabody'ego. Leży otwarta na zajmującym pół strony szczegółowym rysunku karty tarota. Naszkicowany na brązowo Diabeł w stroju dworskim, z kopytami wystającymi z pantalonów i podkreconą bródką. Uśmiecha się, w obu rękach trzyma łańcuch, do którego są przykuci kobieta i mężczyzna.

Doktryna dywinacji podaje znaczenie tej karty: tajemnice, brak wiedzy lub nieuświadomione zniewolenie. Nie ma mowy o złu. Diabeł w tym kluczu do tarota jest mroczny i przerażający. Ten w mojej księdze wygląda raczej na rozrywkowego gościa, kogoś, z kim chętnie idzie się na piwo. To odwzorowanie karty madame Ryżkowej w wykonaniu Peabody'ego. Rodzi się pytanie, kim była osoba z tak interesującym poglądem na zło. Przydatne byłoby dowiedzieć się czegoś o niej i o innych postaciach, które przewijają się przez karty księgi. O Koenigu, o Meixelu. Im pełniejszy obraz świata zdołam odtworzyć, tym wyraźniej będę mógł dostrzec powtarzające się wzory i źródło ich pochodzenia. Dotykam palcem końca

ogona Diabła.

– Znam jednego gościa. Dowiem się, czy ma czas w przyszłym tygodniu. Słuchaj, przykro mi, że krzyczałem. Twój rodzice kochali ten dom.

Wierzę mu, ale od śmierci mamy ojciec nie ruszył w domu nawet palcem.

– Wiem.

Dziękując Frankowi, słyszę dźwięk kół na żwirze, znajomy dźwięk przerdzewiałego oldsmobila. Enola wraca do domu.

Jestem na podjeździe, kiedy ona otwiera drzwi wozu od strony kierowcy. Wygląda jak worek kości. Wyciągam ramiona, a ona się w nie rzuca. Przez sekundę czuję się dobrze, naprawdę dobrze, podnoszę ją i ściskam. Śmierdzi drogą i alkoholem. Enola wierzga, trafia mnie w łydkę. Niemniej dobrze móc znów ją przytulić.

– Simon, wyglądasz jak gówno! – Język trochę się jej płacze.

– A ty pachniesz jak gorzelnia.

– Zdarza się czasem. – Jej śmiech nie pasuje do jej ciała.

Enola szybko wyswobodziła się z moich objęć.

– Prowadziłaś w takim stanie?

– Najwyraźniej. – Obraca się powoli, przygląda domowi i wacha powietrze. – Mogę wejść do środka czy będziemy tu sterczeć cały dzień?

– Oczywiście, to też twój dom. – Jakbym trzymał go dla niej. – Jadłaś? – Przyglądam się jej, zapraszając ją do środka. Ubranie na niej wisi. Długa hipisowska spódnica, ogromna bluza z kapturem, prawdopodobnie męska, wystający spod spodu podkoszulek, dziury po molach w materiale. Pod tym wszystkim jest moja siostra.

Wzrusza ramionami, popycha siatkowe drzwi i zatrzaskuje je za sobą. Podchodzę do jej samochodu. Szukam jakiegoś bagażu między stertami opakowań po fast foodach, butelkach po napojach i puszkach po piwie. Podłoga samochodu jest usłana zapałkami z barów znajdujących się wzdłuż całego wybrzeża. Przepalone żarówki leżą na tylnym siedzeniu. Ani śladu torby lub walizki.

– Gdzie masz rzeczy? – wrzeszczę.

– W bagażniku. Nie przejmuj się, nie przywiozłam wiele – odkrzykuje.

– Nie przyjechałaś na dłużej? – zamykam samochód i wchodzę do domu.

– Nie wiem.

Słyszę przekleństwa i dźwięk dartego papieru. Wchodzę do salonu w momencie, w którym Enola wydiera z książki Peabody'ego szkic, który właśnie oglądałem, i szarpie go na strzępy.

– Przestań. Jak mogłaś to zrobić? – krzyczę.

Wzdryga się i skrawki papieru lecą na dywan.

– Zdajesz sobie sprawę, jakie to jest stare?

– Dlaczego trzymasz to otwarte? Nie można takich rzeczy zostawiać byle jak. – Jej oczy się zwięzają.

– A ty nie możesz niszczyć, co ci się podoba. To moje.

– Skąd w ogóle wytrzasnąłeś tę księgę? Czyje to gównno?

Jest w domu od zaledwie kilku minut, a już skaczymy sobie do gardeł. Nic dziwnego, że wyjechała.

– Dał mi ją sprzedawca książek. – W momencie kiedy to mówię, dociera do mnie, jak dziwnie to brzmi. Ludzie nie rozdają książek ot tak. Przynajmniej nie takich.

– Oczywiście. Przecież to jasne. – Enola opada ciężko na szarą kanapę, aż z poduszki unosi się tuman kurzu. – Musisz mi to wyjaśnić. Pieprzysz się teraz za książki?

– Nie.

– Szkoda.

Opowiadam jej, jak dostałem paczkę, i o moich rozmowach z Churchwarrym. Wspominam o Bess Visser i o tym, że mama też знаła to nazwisko.

Enola przygląda mi się, nagle zupełnie trzeźwa. Po długiej ciszy mówi:

– Nie ufam mu. – Przyciąga kolana do piersi, obejmując rękami łydki. Na nadgarstku ma mały niebieski tatuaż, którego wcześniej nie widziałem, przedstawiający małego ptaszka.

– Jest nieszkodliwy, nawet dość zabawny.

– Aleś ty łatwowierny! Czego on od ciebie chce?

Rozglądam się dokoła. Nie mam pieniędzy. Nie mam niczego.

– Jest ekscentrykiem. Może odrobinę samotnym.

– A ty? Jesteś samotny? Dotarł do ciebie przez mamę. Masz świra na jej punkcie i to sprawia, że jesteś łatwym celem. – Włożyła ręce do kieszeni bluzy i zaczęła ciągnąć coś w środku. – Ona nie żyje, wiesz, nie ukrywa się w książce.

– Trudno się tym nie przejąć. Ta książka zwraca uwagę na coś istotnego: kobiety w naszej rodzinie mają niepokojący nawyk umierania młodo.

Usta jej drgnęły, jakby chciała się skrzywić.

Nie mówię nic o dacie. Są granice, których z Enolą nie mogę przekroczyć, a właśnie niebezpiecznie zbliżam się do jednej z nich.

– Nie chciałabyś wiedzieć czemu? Oczywiście jeśli istnieje jakiś powód.

– Nieszczególnie – odpowiada. – Wolałabym po prostu żyć.

– I pracować w cyrku. Ponoć to ja mam obsesję na punkcie mamy.

Rzucamy sobie nawzajem nieprzychylnie spojrzenia. Ona pierwsza odwraca wzrok, szukając czegoś w rękawie. Trudno jest spotkać się z nią po tak długiej przerwie. Mogłaby odejść choćby teraz, a ja nie mógłbym jej zatrzymać.

– Jak się miewasz?

– Jestem głodna. – Idzie do kuchni, stopy szurają o linoleum. Trzaskanie szuflad.
– Nic tu, do cholery, nie ma. Co ty jesz?

– Szafka po lewej stronie. Tak jak zawsze. Trzecia półka.

Grzebanie.

– Ramen? Jezu, po co ja tu w ogóle wracałam?

– Sam się zastanawiam.

– I dlaczego wszystkie twoje bety są w salonie? Zaraz, dlaczego ty jesteś w domu? Nie powinieneś być w pracy?

– Cięcia budżetowe. – Dwa słowa wagi ciężkiej. Nie wypowiedziałem ich wcześniej, nie do kogoś, kto się liczy.

– Bez bibliotekarzy w tygodniu?

– Zostałem zwolniony.

Po prostu podoba mi się, że znów mnie obejmuje jak wtedy, kiedy była mała i chciała, żebym wziął ją na ręce – jakbym znów był jej potrzebny.

– To idioci.

– Są spłukani.

– Tylko ty potrafisz usprawiedliwiać kogoś, kto cię zwolnił.

Być może.

– Twoja kolej.

– Moja kolej na co? – Puszczą mnie i idzie z powrotem do kuchni, skąd po chwili wraca z ciastkiem.

– Wiesz, czemu jestem w domu, a ty?

– Chciałam cię zobaczyć. Minęło trochę czasu. – Trudno mi patrzeć na Enolę i nie przypominać sobie, jak wrzuciła plecak na tył tego samego samochodu i zostawiła mnie tutaj samego. – Powinieneś pojechać ze mną – mówi, odłamując kawałek zeschniętego ciastka i wrzucając go sobie do ust. – Nie masz pracy. Cyrk u Rose'a, w którym pracuję, jest fajny. Tom Rose mnie lubi, coś ci znajdzie do roboty.

– Jestem bibliotekarzem.

– Byłeś bibliotekarzem.

To nie powinno mnie zabołec aż tak bardzo.

– Jesteś też pływakiem, bez problemu zrobisz numer z wpadaniem do wody.

Ona wcale nie myśli o moich uczuciach. Ponownie siada na kanapie, żując ciastko.

– Mają już pływaczkę.

– Nie. To był numer twój i mamy. Ja stawiam karty.

Jakbym nie pokazał jej wszystkiego, czego nauczyła mnie mama. Jak wypuścić powietrze i rozszerzyć żebra, kiedy pozwolić, aby woda ściągnęła ciało w dół, kiedy się uśmiechnąć. Pamiętam ją całkiem małą, w kostiumie kąpielowym

w kropki, jej czarne włosy unoszące się na falach jak włosy mamy. Uśmiechała się do mnie z wody, kiedy liczyłem: osiemdziesiąt dziewięć Missisipi, dziewięćdziesiąt Missisipi.

– Mam jakieś namiary. Rozsyłałam CV, na jutro mam umówioną rozmowę telefoniczną. Uda się.

– Byłoby fajnie, gdybyś ze mną pojechał. Martwię się o ciebie samego w tym domu. – Rozgląda się dokoła, odnotowuje każdą dziurę, każdą szczelinę, która pojawiła się od czasu jej wyjazdu. – Czasem za tobą tęsknię.

Siedzę na podłodze, a ona na kanapie, ale w jakiejś małej części jesteśmy razem.

– Przestraszyłaś mnie tym telefonem. Coś o złych kartach?

– Nie chcę o tym rozmawiać. – Zaczyna skubać podłokietnik kanapy, wpycha mały palec do dziury w wytartym materiale. – Dlaczego twoje rzeczy są w salonie?

– Tak jest mi wygodniej. Tu mam komputer. Łatwiej mi szukać ofert pracy.

– Śmiesznie tu pachnie. Zawsze tak było?

– A jak powinno pachnieć?

Kiedyś pachniało kawą, gotowanym jedzeniem i odrobinę oceanem. Enola siada koło mnie, zwinnie zsunawszy się z kanapy. Podnosi gazetę i w zamyśleniu gnije jej róg, skrobiąc go paznokciem. Zwija brzeg między kciukiem a palcem wskazującym – tak Europejczycy trzymają papierosa. To „Cirrus Ephemera” z 1981 roku. Niewielki fragment o skokach z wysokości, w którym wspomniana jest nasza babcia.

– Przestań. Wróciłaś tylko po to, żeby niszczyć moje rzeczy?

– Nie patrz tak na mnie. Minęły całe wieki. – Zaczyna coś mówić, ale zmienia zdanie. – Rozmawiałam z Frankiem. Mówi, że dom może runąć.

– Dzwoniłaś do Franka? Czemu miałaś dzwonić do Franka?

– Żeby dać mu znać, że przyjeżdżam. Pomyślałam, że dobrze będzie go zobaczyć. Czy to prawda?

– O domu? Nie wiem. Być może.

– Powinieneś pojechać ze mną. – Sięga po książkę i ściąga ją z biurka. *Legends i wiersze nad Bałtyku* Petera Bołochowskiego. Enola otwiera tomik tak, że niemal łamie grzbiet.

– Zostaw to, dobrze? Ta książka jest trudna do zdobycia. – I do tego kradzioną.

Enola rzuca książkę na kanapę. Strony się rozchylają i widać obrazek przedstawiający mężczyznę opartego o drzewo nad rzeką. Pamiętam tę opowieść. Mężczyzna zostaje uwiedziony przez wodną zjawę, wydaje mi się, że rusałkę. Były to duchy dziewic i dzieci, które zmarły bez chrztu. Każda kultura ma swoje duchy, syreny, topielice. W Ameryce nie nadajemy im nazw.

– Przykro mi, że wyjechałam w taki sposób.

– W porządku.

– Wiem, że się starałeś.

– Dzięki.

Obejmuje mnie ramieniem i opiera o mnie głowę. Siedzimy tak, patrząc na ściany, patrząc wszędzie, byleby nie na siebie nawzajem. Wskazuje na książkę.

– Wyświadczysz mi przysługę?

– Jasne.

– Poczytaj mi. Kiedyś bardzo to lubiłam. Dorosłym nikt nie czyta.

Chce, żebym przeczytał jej o Eglé, więc czytam. Powoli, jak zwykła to robić mama, snując historię chłopskiej córki, która została królową węży, oraz jej dzieci zamienionych w drżące drzewa. We wszystkich podaniach ludowych mówi się o cenie, którą bohater musi zapłacić. Enola słucha w ciszy, przyciskając czoło do mojego ramienia.

Słońce zaszło. Zmieniam pozycję, aby przywrócić krążenie w zdrętwiałej nodze.

– Długo jechałam i bardzo boli mnie głowa. Muszę się przespać.

Czochram jej włosy, miękkie nastroszone pasma. Chcę zapytać, czemu je ścięła, ale zmieniam zdanie.

– Twoja sypialnia jest taka jak kiedyś. Nie tknąłem jej palcem.

Szura, idąc korytarzem. Drzwi skrzypią.

– Nie mogłeś chociaż dać nowego koca?

Nie życzymy sobie dobrej nocy.

Wpatruję się w niewyraźny wydruk, wtem światła nadjeżdżającego samochodu zniecka oświetlają salon. Patrę na zegar. Dziewięta trzydzieści. Miałem być u Alice o ósmej. Tak, to jej samochód, i tak, to jej kroki na podjeździe. Jest w dzinsach i podkoszulku, rozpuściła włosy. Rozglądam się po pokoju. Moje rzeczy są wszędzie: ubrania, papiery, książki, opakowania po batonach. Cholera.

Wychodzę na schody i staję, opierając się o dom. Dobrze byłoby zaprosić ją do środka, ale jej mieszkanie jest czyste, zadbane i stoi w nim łóżko z górą poduszek.

– Zupełnie zapomniałem. Przepraszam.

Alice kręci kluczykami i uderza nimi o biodro.

– Często to powtarzasz.

– Naprawdę. Daj mi pięć minut i będę gotowy.

– Czyj to samochód? – kiwa głową w kierunku oldsmobila.

– Enoli. Przyjechała dzisiaj. Rozmawialiśmy i straciłem poczucie czasu.

– Enola jest tutaj? – Alice skrzyżowała ramiona w talii i zaczęła się kołysać na palcach.

Właściwie nie wiem, co Alice sądzi o Enoli. Cokolwiek to jest, opiera się na tym, co było dawno temu, lub na tym, co jej powiedziałem. Wstrętna, samolubna, niedojrzała, nienormalna. Pewnie tak mówiłem o Enoli, nawet do Alice.

– Powinnam się przywitać.

Spoglądam na okno i mówię, że Enola śpi.

Uniesienie brwi.

– Nie chcesz, żebym weszła?

– Nie. Tak. Ona naprawdę śpi. Chcę, żebyś weszła, ale wstydzę się, ponieważ dom jest w ruinie, moje rzeczy walają się wszędzie i już raz dzisiaj nawaliłem.

Uśmiecha się. Przez sekundę odwzajemniam jej uśmiech.

– Okej.

Wyminęła mnie i weszła do środka, zanim zdołałem ją powstrzymać.

Staje na środku salonu i obraca się powoli, jakby była w galerii. Piasek chrzęści pod jej klapkami. Razem patrzymy na papiery, książki i poluzowane deski podłogowe. Zaczynam obgryzać paznokcie.

– A niech to!

– Wiem. Zapropnowałabym ci, żebyś usiadła, ale musielibyśmy pójść do kuchni.

– Nie, nie. W porządku.

Zagląda do przedpokoju. Jest tam troje drzwi: jedno do pokoju Enoli, drugie do pokoju, który nie nadaje się do podejmowania gości, a trzecie do sypialni należącej do zmarłych. Musielibyśmy zwinąć się na kanapie obok moich ciuchów i książek.

– W pracy zawsze byłeś taki uporządkowany.

– Eskapizm?

Śmieje się cicho. Dzięki Bogu. Proponuję, żebyśmy pojechali z powrotem do niej.

– Wystarczy mi pięć minut.

Alice mówi, żebym się tym nie przejmował.

– Enola przyjechała. Powinniście spędzić trochę czasu razem.

Już jest na schodach i daje mi zdawkowego całusa. Czy to dlatego, że widziała mój dom, czy dlatego, że jej rodzice mieszkają po drugiej stronie drogi? Światło na ganku nadal się świeci. Po raz kolejny ją przepaszam. Tym razem ujmuje moją dłoń i ją ściska. Między jej kciukiem a palcem wskazującym jest takie doskonałe miejsce, które stało się gładkie i jednocześnie twarde od trzymania wędki. Aż iskrzy między nami, więc trwamy tak kolejną minutę.

– Po prostu zadzwoń następnym razem, dobrze?

– Dobrze.

Jeszcze długo po jej odejście nie wracam do środka.

Później wysyłam zgłoszenie w sprawie pracy w archiwum wideo. Trochę poza moim zasięgiem, ale warto spróbować. Blue Point przysłało odpowiedź. Oferta nieaktualna, oczywiście. Wsłuchuję się w dźwięk wody uderzającej o klif i pozwalam myślom poszybować ku Alice, ku domowi wpadającemu do wody oraz

ku tym wszystkim kobietom, które utonęły. Próbuję przez chwilę zasnąć, lecz sen nie przychodzi. Zaczynam więc czytać.

Nagle z pokoju Enoli dobiega dźwięk cichego tarcia papieru o papier, tasowania kart. Zaglądam.

– Hej. Nie śpisz?

Siedzi zagapiona na środku pokoju ze skrzyżowanymi nogami. Jej ciało kołysze się lekko jak podczas modlitwy. Rzędy odkrytych kart tarota leżą rozłożone na podłodze. Enola rozkłada sześć rzędów po sześć kart z szybkością krupiera blackjacka. Karty poruszają się płynnie. Wyłożywszy ostatnią kartę, zbiera całe rozdanie jedną ręką i zaczyna od nowa.

– Enola?

Nie odpowiada. Ćwiczy. Nie musi, jej ruchy to balet. Jej talia jest mocno zużyta, na wierzchu karty są wyblakłe, pozbawione połysku i żółte. Kiedyś pewnie były pomarańczowe, może nawet czerwone. Stary papier, któremu szkodzi taka wilgoć. Niełatwo dojrzeć, ale ilustracje są namalowane w odważny, choć prymitywny sposób – najprawdopodobniej ręcznie. Enola po raz kolejny metodycznie porządkuje rozdanie. Patrzę, jak powtarza sekwencję: tasuje, rozkłada, tasuje. Nie patrzy, robi to kompulsywnie.

Ponownie wołam ją po imieniu. Nie słyszy mnie ani nie widzi.

Zamykam za sobą drzwi. Wspomnienie pojawia się dopiero w salonie, kiedy przeglądam *Doktrynę dywinacji*. Widziałem kiedyś kogoś, kto tak tasował karty – późną nocą na naszym kwadratowym stole kuchennym z metalowymi rogami. Ojciec błagał ją, żeby w końcu poszła do łóżka. A ona nadal rozkładała karty, kołysząc się na krześle. „Paulino”, szeptał. „Proszę”.

Coś jest nie w porządku z Enolą.

Wynoszę telefon na zewnątrz. Otula mnie noc ciepła i mokra.

Churchwarry odbiera po szóstym sygnale.

– Simon? Wielkie nieba, jest późno.

– Przepraszam.

– Nie ma za co. Chwileczkę. – Słyszę, jak się tłumaczy, oraz łagodny kobiecy głos, pewnie jego żony. Szuranie butów, otwieranie i zamykanie drzwi. – O co chodzi?

– Znalazłem coś.

– To znaczy?

– Chodzi o moją rodzinę. Niektóre moje krewne występują w tej księdze, słusznie się domyślałeś. Ale chodzi o coś więcej: one umierają. To oczywiste, wszyscy umierają, ale one umierają młodo, bardzo młodo. Przez wiele pokoleń toną. Każda.

Po drugiej stronie zalega cisza. Słyszę fale, cykady, tętno w moich uszach.

– Martinie? Wiesz o mojej matce. Wiesz o jej samobójstwie.

– Utopiła się – odzywa się po chwili.

– Jak moja babcia, a wcześniej jej matka i tak dalej.

– Ja... Och. – Słowa przechodzą w westchnienie.

– Dzisiaj moja siostra przyjechała do domu. Zachowuje się jak nasza matka.

Po krótkiej chwili Churchwarry się odzywa:

– Wyobrażam sobie, że to musi być niepokojące w świetle tego, o czym ostatnio przeczytałeś. Przepraszam cię za to.

Ponieważ jeszcze nie świta, ponieważ wczesna godzina sprawia, że to, co niewyobrażalne, staje się możliwe, przez te nazwiska, przez utonięcia, mówię:

– Nie wierzę w klątwy. Chcę faktów.

Martin cicho przełyka ślinę tysiące kilometrów dalej.

– Oczywiście – mówi szybko. – Jeśli zdobędzie się konkretne dowody, dochodzenie nie będzie nieumotywowane.

– Najprawdopodobniej mamy do czynienia z sezonowymi zaburzeniami afektywnymi. Niski poziom serotoniny.

– To bardzo prawdopodobne.

– Niemniej jednak chciałbym odnaleźć początek tego wszystkiego. Przyczynę, jeśli jakaś istnieje. Na wypadek gdybym mógł coś z tym zrobić.

– Oczywiście, oczywiście.

– Jeżeli założymy, że w ogóle coś trzeba z tym zrobić.

Churchwarry się zgadza. Czuję, że obaj tańczymy wokół czegoś, czekając, aż ten drugi przejmie prowadzenie.

– Jeśli myślisz, że mógłbym ci jakoś pomóc... – zaczyna.

– Od jak dawna jesteś w branży?

– Mój ojciec otworzył ten sklep w młodości, zebrało się trochę lat.

– Masz więc zatem kontakt z ludźmi, którzy mogliby nam pomóc w dotarciu do trudno dostępnych materiałów?

Kaszel.

– Simonie, jestem osobą, do której zazwyczaj zwracają się ludzie szukający czegoś niemożliwego do znalezienia. Czegokolwiek potrzebujesz, z największą chęcią ci pomogę. To dla mnie swego rodzaju przygoda. Kismet – powiedział, choć w tym ostatnim słowie nie kryła się radość.

Można zacząć od wielu wątków: Hermelius Peabody, pierwszy właściciel księgi. Jakie było jego powiązanie z Bess Visser? Madame Ryżkowa, karty tarota i co z tym wszystkim wspólnego ma Dziki Chłopiec...

– Myślę, że muszę dowiedzieć się czegoś o klątwach.

W tle słyszę karty szeleszczące w palcach Enoli.

Jest czternasty lipca. Zostało mi dziesięć dni.

Za powodzeniem podwodnego numeru kryje się tortura jego wykonawcy – jak tonąć i się nie utopić – ale Evangeline jakoś to znosiła. Niemy młodzieniec zaprowadził ją do Hermeliusa Peabody’ego. Od razu wiedziała, że będzie to miało poważne konsekwencje. Jego spojrzenie było jednak tak ciepłe, że kiedy wziął ją za rękę, poszła za nim.

Wygląd i zachowanie Peabody’ego wstrząsnęły Evangeline przyzwyczajoną do skromnych strojów mieszkańców Krommeskill. Nie mogła się zdecydować, na co patrzeć: na jego wymyślne ubranie, na pstrokaty wystrój wozu czy na młodzieńca, który miał włosy owiązane chustką w kolorze purpury tak ciemnej, że wpadającej w czerń.

– Fortuna nam sprzyja! Ależ z ciebie okaz! – Peabody terkotał i nadskakiwał jej z zapalem.

Obejrzał ją dokładnie od stóp do głów, pod jego wzrokiem poczuła się tak, jakby stopy wrosły jej w podłogę. Z tyłu wozu młody człowiek usiadł na przemyślnym niewielkim łóżku wyciąganym ze ściany. Wciąż czuła na sobie również i jego spojrzenie – dodawało jej otuchy.

– Evangeline, mówisz? Imię o pięknym brzmieniu. Tak, zatrzymasz je. – Peabody dźgnął końcem pióra księgę w oprawie ze skóry i obrócił głowę w kierunku młodzieńca. – Poznałaś już naszego Amosa.

– Zgadza się.

Starszy mężczyzna zrobił kilka kroków, lekko się zgarbiwszy, i trącił ją swoim odzianym w aksamit łokciem.

– Wyglądasz, jakbyś uciekała.

– Nie, sir.

– Pff. Nie umiesz kłamać. – Roześmiał się tak, że aż brzuch mu się zatrzęsł. – Nawet ja przed czymś od czasu do czasu uciekam. Masz jakąś rodzinę?

– Nie mam nikogo.

Spod wąsa Peabody’ego wychynął uśmiech.

– Znakomicie. Tutaj wszyscy jesteśmy sierotami. Spójrz na tego wspaniałego młodzieńca. – Wskazał na Amosa. – Żadnych krewnych w ogóle. Do tego, biedak, jest niemową. A ja? Moja matka nie żyje od wielu lat, Panie, świeć nad jej duszą – mówił ze swadą.

Więc młodzieniec był niemową. Pamiętała jego dotyk pełen dobroci, jego ręce tak szorstkie jak u parobka. Przyglądał się jej z bierną ciekawością.

– I co ty, moja droga, potrafisz?

– Co potrafię?

– Cóż, wszyscy musimy coś umieć. Mimo że wspaniale byłoby móc cię zatrzymać ot tak, stanowimy, dosadnie mówiąc, przedsięwzięcie – wyjaśnił, przeciągając ostatnie słowo. – Każdy musi coś dać od siebie. Ja załatwiam bieżące sprawy, wyznaczam trasy, mówię, kiedy tego potrzeba, i zarządzam zyskami, jeśli takie się zdarzą. Amos jest uczniem naszej wróżbitki i od czasu do czasu Dzikim Chłopcem.

Niema twarz okryła się rumieńcem. Amos patrzył teraz na swoje bose, oblepione błotem stopy.

– Jestem skory do dzielenia się, lecz zabranie kogoś, kto nie ma potencjału do zarabiania pieniędzy, przekracza moje możliwości. Zatem, drogie dziecko, co potrafisz?

Zabijam. Jestem morderczynią. Przygryzła usta. Na myśl przyszło jej to, co babcia Visser powiedziała o jej chrzcie i co ona sama odkryła w zimnym sercu rzeki.

– Wstrzymuję oddech. To znaczy, chciałam powiedzieć, że pływam.

Siwa brew uniosła się pod rondem kapelusza.

– Wielu to potrafi.

– Ujmę to inaczej, sir. Nie można mnie utopić.

Cień uśmiechu.

– Doskonale. – Zanotował coś w księdze. – Dobrze, że jesteś ładna – zamruczał pod nosem. – Niezatapialna piękność, syrena. Przecudownie. Bardzo dobrze, młody człowiek pomoże ci się zadomowić. Nie możemy cię przecież odesłać.

Późno w nocy Peabody szkicował dziesiątki sposobów, w jakie można przedstawić syrenę. Nie wystarczy przecież, że wstrzyma oddech, potrzeba zbiornika, który pomieści sporą ilość wody, ale będzie jednocześnie tak niewielki, że da się go przewieźć. Wariacja na temat ogromnej piwnej beczki, choć bardziej pękata i nie tak wielka jak kadzie do fermentacji wina. Wyobrażał sobie, że beczka musi być łatwa do demontażu na wypadek, gdyby dziewczyna okazała się gorsza, niż mówi. Pisał i szkicował dopóty, dopóki nie zgasła ostatnia świeca. Wóz pogrążył się w ciemności.

Żonglerka Melina zrobiła prywatny pokaz dla szkockiego bednarza w Tarrytown. Dzięki temu Peabody'emu udało się wynegocjować u niego korzystną cenę usługi. Gotowa beczka miała prostą konstrukcję. Była pięknie wykonana, jej obręcze nosiły ślady młota, a klepki idealnie do siebie przylegały. Mieściła dość wody do pływania, jednocześnie była tak niska, że stojący mężczyzna mógł do niej zajrzeć.

Podczas postoju wymuszonego oczekiwaniem na zbudowanie beczki Peabody i Benno wzięli się do kłecenia niewielkich ławeczek, z których każda mogłaby

pomieścić dziesięć osób. Z pomocą Amosa Benno przerabiał kufry na kostiumy i starą balię na wytrzymałe podnóżki. Podczas popołudnia wypełnionego waleniem młotkiem Benno zauważył przelotnie:

– Ta syrenka jest całkiem urodziwa. Widziałem, że się jej przyglądasz.

Amos przytaknął. Wióry spadały na ziemię, kiedy Benno strugał spoiny.

– Nie dorównuje Melinie powabem, ale jest ładna.

Amos przytrzymał deskę i przekrzywił głowę. Od przybycia Evangeline ani razu nie pomyślał o Melinie.

– Masz nadzieję, że z nami zostanie?

Amos poczuł, że w piersi coś zawiązało mu się na supeł. Nie miał nazwy dla tego uczucia. Wzruszył ramionami.

– Lepiej się nie przywiązywać, zanim się nie okaże, czy chce z nami zostać. Co innego Susanna. Pomyśl tylko, jak ona się wygina!

Amos wbijał uparcie wzrok w deskę, bo nie chciał odpowiedzieć przyjacielowi. Nie potrafił przestać myśleć o Evangeline.

Beczka została napełniona wiadro po wiadrze przez wszystkich członków trupy oprócz Peabody'ego i madame Ryżkowej, której ręce i plecy były w takim stanie, że nie mogła dźwigać ciężkich rzeczy. Peabody nadzorował prace, dyrygując i rozkazując, podczas gdy w myślach ćwiczył zapowiedź przed występem Evangeline. Była dla niego syreną z dawno zatopionej Atlantydy, cudem mistycznych mórz i tajemnic. W niespotykanym przypływie szaleństwa zamówił u malarza szyldów afisze przedstawiające Evangeline z rybim ogonem. Dziewczyna wyraziła zaniepokojenie, że publiczność będzie rozczarowana, widząc ją bez ogona. Na co Peabody odparł:

– Jesteś piękna. Wszystko inne prawie się nie liczy, jeśli tylko umiesz wstrzymać oddech i wyczyniać podwodne cuda.

Nalegał, aby włożyła białe szaty, które unosiły się na wodzie, kiedy zstępowała w głąb beczki.

Pierwsza część była bezbolesna i polegała głównie na pokazywaniu sztuczek pływackich. Kiedy Evangeline pływała stylem grzbietowym, biała suknia i czarne włosy wiły się wokół niej na wodzie. Przerywała występ, aby pomachać publiczności i posłać jej uśmiech. Peabody wygłaszał wtedy przemowę na temat tajemnicy jej pochodzenia. Następnie gwałtownym gestem przecinał powietrze, uderzał w beczkę i wołał: Skacz!

Evangeline wydychała powietrze i schodziła na samo dno, podczas gdy warstwy jej sukienki unosiły się nad nią. Głos Peabody'ego docierał do niej przez wodę w postaci wibracji. Zachęcał gapiów, aby liczyli, jeśli tylko potrafią, a sam zaczynał długi, mroczny monolog.

– Tortury i groza głębin, miłe panie i szlachetni panowie. Ta biedna istotka, to

chucherko, przeciwstawia się im! Ale czy uda się jej przetrwać? – W tym momencie wskazywał palcem na najmniejszego chłopca w tłumie. – Zaczny chłopcze, czy ty byś tego dokonał?

Pod powierzchnią Evangeline była sam na sam z wodą i ze swoim strachem. Zamykała oczy i wyobrażała sobie sine usta babci Visser pytające, dlaczego to zrobiła. Woda napierała pieszczotliwie na jej żebra i brzuch, a ona miała uczucie, że to ręce babci. Słyszała jej błagający głos. *Proszę*.

Kiedy wydawało się jej, że od początku przedstawienia minęła cała wieczność, Peabody uderzał ręką w bok zbiornika. Tak dawał jej sygnał do wynurzenia. Rozpościerała ramiona, aby rękawy spływały z nich niczym skrzydła, i zaczynała wypływać. Najpierw nad wodą ukazywał się czubek jej głowy, później pojawiały się oczy, które powoli otwierała. Uśmiechała się uśmiechem, którego nauczył ją Peabody. Po wynurzeniu się ramion zaczynała oddychać. Płuca napełniały się powietrzem, materiał sukienki przylegał do jej piersi, więc wynurzała się jak Wenus z morskiej piany. Na początku lubieżne spojrzenia mężczyzn zawstydzaly ją, z czasem nauczyła się je ignorować.

Dwie pary oczu zawsze bacznie się jej przyglądały: jedna należała do przestraszonego mężczyzny, druga do niemego młodzieńca.

Podczas jazdy po błotnistych drogach z miasteczka do miasteczka beczka pełniła również funkcję jej łóżka. Obrócona na bok i wyłożona siennikiem dawała odpowiednie schronienie. Cerata przytwierdzona z przodu chroniła wewnątrz przed wiatrem i deszczem oraz zapewniała odrobinę prywatności. Evangeline przytwierdziła do klepek haczyki na zasłonę, którą podarowała jej Melina, i przekształciła beczkę w przytulny pokój.

Ku swojemu zaskoczeniu Evangeline przyłapała się na obserwowaniu niemego wróżbity. Miał w sobie fascynującą zwierzęcą szybkość i bardzo się starał pomagać jej, w czym tylko się dało. Często zauważała, że on też ją obserwuje. Wystarczyło jedno spojrzenie, by natychmiast odwrócił oczy, ale coś w nim sprawiało, że czuła się obnażona, jakby znał jej tajemnicę.

Przynosił jej koce do zakrycia miejsc, w których ostra słoma przebiła siennik, i upewniał się, że szczeliny w beczce są zatykane smołą; przesuwał palce po klepkach, żeby się upewnić, że się nie ruszają. Siedział, dopóki nie zaciągnęła szczelnie ceraty i nie powiedziała cicho: „Dobranoc, Amosie”.

Nie zdawała sobie sprawy, że się nie ruszał, dopóki nie nabrał pewności, że zasnęła. Każdej nocy Evangeline kładła się spać z cichym zadowoleniem. Zaczęła się zastanawiać, jak mógłby brzmieć jego głos. Peabody powiedział, że Amos jest niemy, ale nie wyjaśnił dlaczego. Czyżby został poważnie zraniony? Zastanawiała się, czy potrafi wydawać jakieś dźwięki i jak przepowiada przyszłość bez pomocy słów.

Amos śnił sny dzikiego chłopca – o moczarach pełnych zwierzyny, o miękkim mchu do spania, o przyjemności, jaką daje zimna woda, o zanurzonej w rzece pięknej kobiecie, której włosy unosiły się na powierzchni niczym falująca trawa. Noce Evangeline były mroczniejsze. Śniła o tym, że wyczołguje się z szarego domu w Krommeskill, jej kolana krwawią, pokryte błotem i sosnowymi igłami. Zawsze podążała za nią babcia z purpurową twarzą błagająca o litość i zbawienie. *Dlaczego? Dlaczego? Tak cię kochałam.*

Trupa wyruszyła z Filadelfii w kierunku ceglanych domów New Castle. Tego dnia niebo się otwarło i strugi deszczu groziły kompletnym zalaniem cyrkowego dobytku. Mały konik wierzgał i kopał w swoim wozie, lama krzyczała niczym zranione dziecko. Obawiając się, że ugrzęzną, Peabody zarządził postój do końca ulewy. Nocą powietrze stało się tak parne, że wszyscy poszli spać. Ciężkie burzowe chmury zakrywały niebo, które zaczęło napierać na Evangeline swoim ciężarem, jak niegdyś zrobiła to jej babcia. Zasnęła niespokojnym snem winowajcy. Sen zaczął się od ucieczki, pokaleczonych kolan i prób zaczerpnięcia oddechu. Skończył się upadkiem, obaleniem przez babcię na kuchenną podłogę – jej dłoń przyciśnięta do gardła Evangeline, palce rozwierające usta i wlewające wrzątek dzbanek za dzbankiem. Gorąca woda zalewała jej usta i parzyła wnętrzności, wypełniając puste miejsca, które wcześniej wydrążyło poczucie winy.

Jej krzyk rozniósł się po obozowisku, strasząc tych, którzy byli najbliżej. Amos też się zbudził i natychmiast podniósł z posłania w wozie Peabody'ego. Zaczął węszyć i nasłuchiwać. Echo odbiło się od jego skóry, aż przeszedł go prąd. Odślonił aksamitną zasłonę przy wejściu i poszedł za dźwiękiem.

Zapadając się w miękką ziemię, dotarł do beczki. Nieśmiałe dłonie odciągnęły ceratę i zasłonę. Dzikie oczy spojrzały do wnętrza. Evangeline rzucała się i kopała. To nie była kobieta, którą obserwował wynurzającą się z wody. To było zwierzę złapane w pułapkę. Nasłuchiwał. Ona dyszała. Nie, dławiała się. Nie mogła oddychać, miotała się, źle się czuła, była przerażona.

Wspiął się do niej, musnął palcami jej policzek. Położył rękę na jej ramieniu. *Chodź tu.* Potrząsnął nią delikatnie, zaskoczony miękkością jej skóry i tym, jaka jest chłodna wśród tej upalnej nocy. Wreszcie oczy Evangeline się otworzyły. Wyrwała się Amosowi, rzucała na sienniku, obijała o ścianę beczki, drżała. Jej wargi poruszały się bezdźwięcznie. Zrozumiał: było w niej zbyt dużo dźwięków, żeby mogły jednocześnie się wydostać.

Dotknął jej obojczyka. Zarzuciła mu ramiona na szyję i wtedy dostrzegł głęboki czerwony ślad na jej ramieniu odcisnięty przez deski. To było coś fascynującego. Wodził po nim, obrysowywał go opuszkami palców. Silne zaczerwienienie – jak siniak może mieć w sobie tyle powabu? Amos próbował wyciągnąć ją z posłania, zabrać daleko od snu. Ciągnął ją za rękę, ale ona tylko przylgnęła do niego mocniej

i znów krzyczała. Woda płynęła jej z oczu. Nie rozumiał dlaczego, ale to wzbudzało w nim potrzebę, aby ją tulić w ramionach. Później chciał ją ponownie ukołysać do snu. Nie protestowała. Jej ciepło obudziło w nim niewyraźne wspomnienie, coś z dawnych czasów, kiedy był zupełnie mały.

Pomyślał, że mogliby leżeć razem, że mógłby zwinąć się na sienniku wokół bardzo miękkiej dziewczyny z poobijanymi kolanami i uroczym siniakiem. Zasnęła. Tak, ona mogła zasnąć. On zdecydował, że będzie czuwać. Na wszelki wypadek. Evangeline była bardzo przestraszona i miękka niczym kaczki puch.

Madame Ryżkowa otworzyła drzwi swojego wozu w rozpaczliwej próbie pozbycia się zastałego powietrza i złych duchów. Popatrzyła na polanę zalaną deszczem. Wtedy usłyszała krzyk. Dreszcz przebiegł jej po karku – zimno, które czuje stara kobieta, kiedy zmarli wymawiają jej imię. Słyszała już kiedyś ten krzyk, przepłynęła oceany, aby się od niego uwolnić. Szybko zamknęła oczy tylko po to, aby zobaczyć pod powiekami obraz znajomej męskiej dłoni, palców o kwadratowych opuszkach znikających pod powierzchnią lodowatego strumyka. Kiedy otworzyła oczy, dostrzegła cień swojego ucznia biegnącego do miejsca, w którym spała ta nowa dziewczyna. Usta Ryżkowej się wykrzywiły. Splunęła, aby nie wypowiedzieć tego słowa, ale dłużej nie dało się go powstrzymać. Rusałka.

O pierwszym brzasku Peabody znalazł ich razem: płatanina znużonych ciał na wpół zagrzebanych w słomie z rozdartego siennika. Amos mocno obejmował Evangeline, jego palce dotykały brzydkiego siniaka na jej ramieniu. Stanowili dziwnie złożoną układankę, ale jej elementy pasowały do siebie w odpowiednich miejscach. Minęły całe lata, odkąd Peabody czuł takie pragnienie jak Amos – jego żona nie żyła co najmniej od dziesięciu. Miał ochotę poklepać chłopca po głowie, poczochnąć delikatnie jego włosy, ale pomyślał, że lepiej ich nie budzić. Po cichu opuścił ceratę i sam sobie pogratulował. Przyszłość zaroiła się cudownymi dziećmi: dzikimi chłopcami i syrenkami, wróżbitami i tancerkami – każde piękne i przynoszące zysk.

Budzi mnie dźwięk przekładanych kartek papieru. Enola wstała i przegląda mój notes. Sen spłaszczył jej włosy z jednej strony. Frontowe drzwi są uchylone, powiew z plaży jest ostry od soli. Ziewam. Nie patrząc na mnie, Enola wskazuje na podłogę. Stoi tam parujący kubek. Oboje nie odzywamy się przed pierwszą kawą.

Kawa jest okropna i przypalona, mimo to smakuje doskonale, ponieważ nie musiałem robić jej sam. Enola przechyla się na krześle i również pije.

– Dzięki.

– Przejrzałam twój notatnik.

– Zauważyłem. Byłbym wdzięczny, gdybyś nie zaglądała do moich rzeczy.

– Te nazwiska, te kobiety... To nasze krewne?

– Na tyle, na ile mogę to stwierdzić. Znasz ludzi cyrku. Trudno dociec, kto tak naprawdę jest kim. Nazwiska się zmieniają, kiedy ludzie znikają w innych trupach lub nowym anonimowym życiu, rozpływają się na wietrze.

– Wszystkie utonęły.

Coś w jej głosie każe mi powiedzieć, że moje źródła są niepewne.

Enola przygryza wargę.

– Myślisz, że to samobójstwa, prawda?

– Może tak, może nie. Alice tak myśli. – Trudno o bardziej logiczne wytłumaczenie, ale w całej tej sprawie jest coś, co wymyka się racjonalnemu myśleniu. – Przynajmniej niektóre mogą być przypadkowe.

– Widzę, kiedy kłamiesz, wiesz? Drga ci wtedy lewa ręka. – Enola kładzie stopę na biurku. Jej ubranie jest zmięte, najwyraźniej w nim spała. Zaczyna obgryzać paznokieć, po czym uderza się w rękę jakby za karę. – To się zaczęło od tej księgi, prawda?

– To zagadka. Lubię zagadki.

Czy ręka mi drga? Enola zachowuje się jak mama... Mam dziewięć dni. Na co? Teraz Enola jest pełna życia, wręcz tryska energią. Coś mi umyka. Może chodzi o wiek? Mama miała trzydzieści dwa lata. Jej matka miała mniej, tak myślę. Celine Duvell – cholera. Muszę to sprawdzić.

– Okej, kłam, jeśli chcesz. – Enola przeciąga się, strzelając chyba każdym

stawem. – Mam ochotę popływać. Wkładaj kąpielówki, chyba że się boisz. Boisz się, że utonę albo że ty pójdziesz na dno. – Uśmiecha się złośliwie, jakby wiedziała, że żółądek mi się skręcił.

Schodzimy po schodach. Skrzypłocze wyznaczają granicę wody: lśniące kamienie o diabelskich ogonach.

– Och, woda jest niebieska! Nie ma meduz – mówi Enola, wkładając stopę do wody. – Przyjemnie. Nienawidzę tylko tych cholernych skrzypłoczy. – Rozgląda się za jakimś przejściem na głębszą wodę, ale skorupiaków jest pełno.

– Są nieszkodliwe. Nawet cię nie uszczypną.

– Wyglądają, jakby coś kombinowały.

Nagle jest już w wodzie i biegnie przez fale, chlapiąc i nurkując. Rzucam się za nią. Dyszymy i szczękamy zębami z zimna. Enola nagle zanurza głowę. Mimo że sól piecze, nie zamykam oczu. Enola zamknęła swoje, do tego jej twarz jest ściśnięta niczym sakiewka. Zaczynam liczyć – z przyzwyczajenia, może z ciekawości. Jak długo wytrzyma ona? Jak długo wytrzymam ja? Raz Missisipi, dwa Missisipi...

Enola zatacza małe kółka i schodzi głębiej. Podążam za nią. Osiem Missisipi.

Simonie.

Szept naszej matki nadal unosi się w wodzie – na wpół życzenie, na wpół groźba. Matka musi być tutaj, skoro Enola wróciła do domu. Łapię siostrę za rękę zimną i śliską jak ryba. Przyciągam ją do siebie. Otwiera oczy. Jestem wystarczająco ciężki, aby utrzymać nas oboje na dnie, w przeciwnym razie Enola mogłaby podryfować dalej. Widzi, że odliczam pięciosekundowe jednostki czasu na palcach, i potrząsa głową. Ściskam jej ramię. Czterdzieści Missisipi.

Simonie.

Enola wykrzywia się i z całej siły wierzga nogami. W sposób wymuszony z impetem wynurzamy się nad powierzchnię.

– Jezu, Simonie! – Enola parska wodą ze złości. – Wiesz, ile czasu minęło, odkąd robiłam to ostatnim razem? W moim utonięciu nie będzie żadnej tajemnicy – ty mnie po prostu zabijesz!

Morderstwo. Nie pomyślałem o tym, choć przynajmniej w przypadku mamy było to wykluczone. Nie ma mowy.

– Nawet nie brakuje ci tchu. – Próbuję pozbyć się wody z oczu. – Zawsze mogłaś wytrzymać dłużej niż ja.

– Cóż, minęło sporo czasu. – Faktycznie, jej twarz trochę zszarzała.

Zarzuca my ubrania na mokre stroje kąpielowe. Enola mówi, że z przyjemnością czuje sól zasychającą na skórze.

– Od razu wiem, że to lato – mówi.

Idziemy w stronę West Beach, niedaleko przystani. Patrzę na wypukłości

kregosłupa Enoli. Ona jest za chuda. Zawsze była szczupła, lecz nie aż tak. Koniec plaży, wspinamy się na gródź.

– Wydawało mi się, że słyszałem coś tam pod wodą. A ty?

– Jak, do cholery, miałabym coś słyszeć z wodą w uszach?

– Nieważne.

Piasek przesypuje się w miejscu, w którym drewno grodzi jest uszkodzone i pale wiszą nad zatoką. Zaczynamy wchodzić na klif, stopy grzęzną nam w piachu. W połowie drogi Enola ciężko dyszy.

– Tata by nas za to zabił – wysapuje.

– Pewnie tak.

Raz przyłapał nas na tym, że zbiegaliśmy z klifu i znów wspinaliśmy się na jego krawędź. Złapał nas mocno. Ślady jego palców były widoczne na moim ramieniu jeszcze wiele dni później i przypominały mi, że mam ojca. Zaciągnął nas do domu – mnie za kołnierz, Enolę za spodenki. Jej stopy ani razu nie dotknęły ziemi. Trochę go za to nienawidziłem.

Weszliśmy. Teraz stoimy i się rozglądamy. Skorupa niewielkiego domu pochyła się nad krawędzią klifu, tylna ściana runęła już do morza. Jej pozostałości zmiotł ostatni huragan.

– To dom Murphych, prawda? – pyta Enola.

Tak, to dom Murphych. Nie musiałyby pytać, gdyby przyjrzała się dokładnie i zobaczyła ich lodówkę opartą o zewnętrzną ścianę i przewrócony stół z jadalni.

– Ostatnia część werandy spadła jakieś dwa lata temu. – Gdzieś po drugiej stronie zatoki Sound dzieciaki z Connecticut robią ogniska z desek ganku, na którym przesiadywaliśmy z Jimmym Murphym, popijając lemoniadę.

– Czyli tobie zostały jakieś dwa lata? Może trzy?

– To zależy.

Nie jest niczym niezwykłym, że nadbrzeżna działka traci jakieś trzy metry w ciągu roku, wszystko zależy od siły sztormów i stanu grodzi. Huragan zdecydowanie pogorszył sprawę, upadek domu Murphych również nie wyświadczył mi przysługi. Kiedy padła ich gródź, woda zaczęła podmywać moją, pochłaniając z dwóch stron ostatnią barierę między moim domem a zatoką. Zimowe sztormy, wiatry północno-wschodnie, huragany... Kto wie, ile mi zostało?

– Masz pieniądze, żeby to naprawić?

– Nie w tej chwili.

Potrzebuję pożyczki. Bez pracy jej otrzymanie jest niemal niemożliwe, a moje poszukiwania pracy mają tempo isticie lodowcowe. Mógłbym poprosić Franka. U niego mam większe szanse, ponieważ pieniądze na ratowanie mojego domu to pieniądze wydane na ratowanie również jego domu. Ale jest też Alice. Jedna sprawa to pożyczyć pieniądze od Franka, zupełnie inna to pożyczyć pieniądze od ojca

Alice. Powinienem ją zapytać, ale najpierw spróbuję szczęścia w Towarzystwie Historycznym Napawset. Mogliby uczynić z mojego domu swój flagowy projekt, nanieść go na mapę zabytków, które mają pod opieką. Spoglądam na Enolę, która kołysze się delikatnie, dopasowując do rytmu fal.

– Powinieneś pojechać ze mną. – Ton jej głosu jest dziwnie naglący.

– Dlaczego?

– Co ci tutaj zostało?

– Dom. Nie mogę go tak po prostu zostawić. – Czasami czuję, jakby nasi rodzice nadal w nim mieszkali, jakby byli gdzieś w jego ścianach, i ktoś musi z nimi zostać, dopóki dom się nie zawali. Jestem tak bardzo pozbawiony korzeni, jak to tylko możliwe, ale tutaj wiem, którędy pojechać, kiedy nadchodzi przypływ, orientuję się, kto jest letnikiem, a kto mieszka na stałe. Tylko tutaj stwardnienia na moich stopach mają sens. I Enola wie, że może tutaj wrócić.

– Po prostu pojedź ze mną.

– Nie wiedziałbym, co mam robić, i nikogo bym nie znał.

– Poradziłbyś sobie i zawsze miałbyś mnie.

– To nie zawsze wychodziło nam na dobre.

Enola robi minę, po czym wzdycha.

– Poradziłbyś sobie, a ja bym ci pomogła. – Jej dłoń znika w kieszeni spódnicy i słyszę cichy szelest tasowanych kart.

– Widziałem, że nie spałaś w nocy – mówię.

Jej dłoń przestaje się poruszać.

– O co chodzi z tymi kartami?

– Są jakieś dziwne.

Kiedy ją naciskam, aby powiedziała coś więcej, skacze na mnie i zaczyna nacierać mi głowę knykciami, aż parzy. Zaczynamy się śmiać. Enola próbuje mnie łaskotać, ja usiłuję się wyrwać. Nasze przepychanki kończy „pokrzywka”: trę jej ramię z całej siły, a ona wyje i uderza mnie w głowę. Kładziemy się w trawie. Przez sekundę znów między nami panuje pokój.

– Wczoraj w nocy była u ciebie Alice – mówi Enola, dysząc.

– Myślałem, że spałaś.

– Co was łączy?

– Sam nie wiem.

I tak jest naprawdę. Nie wiem do końca, o co chodzi, ale chcę chronić to nowe stare uczucie.

– Lubię ją. Jest dla ciebie za dobra. – Enola urywa źdźbło trawy, wkłada je sobie między zęby i zaczyna żuć. – Spodobałoby ci się w cyrku u Rose’a, bo jest taki jak za naszego dzieciństwa. To rodzinne przedsięwzięcie.

– Jak się tam zaczęłaś?

– Przez znajomego, którego poznałam, kiedy wróżyłam z kart w Atlantic City. Pracował wcześniej dla Rose’a, więc mnie przedstawił. Postawiłam Thomowi Rose’owi karty, pogadaliśmy i się dogadaliśmy. Dobrze się z nimi podróżuje i jest to stała praca w lecie. Pieniądze są nie najgorsze.

– Wspomniałaś o mamie?

– Nie jestem idiotką. Miałam nie wspominać, że moja matka też pracowała w cyrku? Pewnie dlatego mnie zatrudnił. Ciebie też przyjmie.

– I co będę robił?

– Nie bądź głupi.

Moje wyobrażenia na temat egzystencji wędrownego trupy cyrkowej są dość mgliste. Tymczasem stoi przede mną całkowicie rzeczywista moja siostra o dzikich oczach i namawia mnie, żebym z nią uciekł. Nie powiem, kusi mnie trochę, by ulec namowom. Mógłbym się wtedy dowiedzieć tego, co zawsze mnie ciekawiło: jak wyglądało życie mamy, zanim poznała tatę.

– Jest tak jak za dawnych czasów?

– Taaak, raczej tak. Trochę więcej karuzel, więcej gier. Pokazy się zmieniły, więcej występów, mniej osobliwości. – Dostrzega mój brak zrozumienia. – Słoje, rzeczy w słojach. Nieważne, nie chcesz wiedzieć.

Okazy zachowane w formalinie, zwierzęta i nie tylko. Pamiętam: stałem w namiocie, w którym było tak gorąco, że nie dało się niemal oddychać, palce miałem zlepione potem i przyglądałem się zapeklowanemu mlecznobiałemu rekinowi z dwoma głowami, każda na jednym końcu tułowia.

– Tobie się podoba?

– Jasne.

– Kiedy zadzwoniłaś, brzmiałaś niezbyt dobrze. I wyglądasz na zmęczoną.

– Wiadomo, że nie jest super cały czas – mówi. – Jem różne świństwa, choruję, dopada mnie sraczka. – Z głośnym chrupnięciem wyciąga ramię nad głowę. – W zeszłym roku rozchorowałam się poważnie tuż za Filadelfią. Weszłam do księgarni, bo tam dbają o łazienki. I siedzę, chora, jakbym miała zaraz umrzeć. W żołądku mi się kotłuje. Wbijam wzrok w podłogę, żeby nie zemdleć, i dostrzegam żółte buty wystające spod ścianki dzielącej kabiny. Paniusia domyśliła się, że je widzę, więc cofnęła nogi. O co jej chodziło? Żeby ja nie widziała, że ona sra tuż obok? Żeby ona mogła zapomnieć, że słyszy, jak sram? Tobie się takie rzeczy nie przytrafiają, ty masz swój własny dom ze swoją własną toaletą. – Drapie się po karku. Ptak wytatuowany na jej nadgarstku miga mi przed oczami.

– Przeważnie jest spoko. Thom byłby tobą zachwycony.

– Dlaczego tak bardzo chcesz, żebym pojechał z tobą?

– Może za tobą tęsknię?

– Też za tobą tęsknię.

To prawda. Tęsknię cały czas. Czy mógłbym wyjechać? Spakować swój dobytek do samochodu, jechać po autostradzie razem z kawalkadą wozów kempingowych, spędzać długie godziny w zbiorniku z chlorowaną wodą i wrócić za pół roku – sponiewierany, wychudzony, samotny? Nie, nie teraz. Obawiam się nadejścia dwudziestego czwartego dnia lipca, ponieważ przyjechała Enola. Wydaje mi się, że nie jest to zbieg okoliczności.

– Dlaczego właśnie teraz wróciłaś do domu?

– Cyrk przejeżdżał niedaleko. Zapytałam Thoma, czy mogłabym zrobić sobie wolne i cię odwiedzić. Pomyślałam, że moglibyśmy porozmawiać. – Przyglądamy się falom rozbijającym się o brzeg. Tną nas komary. Enola zabija jednego. – Kocham cię trochę.

Trochę. Zawsze tak mówiła, ale dziś brzmi to lepiej, niż jakby powiedziała, że kocha mnie takiego, jaki jestem. Może zatem nie spisywałem się tak źle przez ten czas, kiedy żyliśmy sami?

Torujemy sobie drogę przez chaszczę i trujący bluszcz do ścieżki wiodącej do domu. Enola wkłada dłonie do kieszeni i ponownie słyszę tarcie papieru o papier.

Na naszym podjeździe stoi sterany żółty samochód – nie jej. Przy nim szczupły człowiek opierający się ręką o dach. Trudno o kogoś bardziej frapującego: ma w sobie coś z węża i buzuje w nim energia.

Enola bierze głęboki wdech, wydaje pisk i zrywa się do biegu:

– Doyle!

Niepohamowana radość. Po chwili jest już w jego ramionach i oplata go nogami. Jej ramiona przesłaniają twarz nieznanego. Widzę jedynie dwie chude wytatuowane ręce wokół jej talii.

Mężczyzna obraca się, staje plecami do mnie i opiera Enolę o samochód. Podbiegam.

– To mój brat, Simon – mówi Enola, nie patrząc na mnie.

– Hej. Dużo o tobie słyszałem. Nie przejmuj się, wszystko jest w porządku – odzywa się Doyle nonszalancko.

Jego dłonie spoczywają na biodrach mojej siostry. On również na mnie nie patrzy, dzięki czemu swobodnie przyglądam się tatuażom, które pną się z boku jego szyi i po ogolonej na łyso głowie. Kończą się zaś ciemnozielonymi mackami wokół jego szczęki.

– Simon, to jest Doyle.

Mówię, że miło mi go poznać. Nie jestem pewien, co mówię poza tym, ponieważ nie mogę przestać się gapić. Ktoś, kto sprawia sobie takie tatuaże, chce, aby ludzie na niego patrzyli. Kiedy Doyle mówi, rysunki się poruszają, macki wiją na jego skórze. Czuję mdłości. Wreszcie on i Enola kończą powitanie.

– Długa jazda. – Doyle zaczyna się przeciągać, spod rękawów ukazują się

kolejne dziary, jeszcze więcej macek.

Czy one pokrywają całe jego ciało?

– Nie wiedziałam, że przyjedziesz.

On trąca nosem szyję Enoli, świadomy mojej obecności, mamrocze coś o potrzebie „wypompowania pytona” i rusza ku domowi. Enola idzie za nim krok w krok, niemal podskakując. Doganiam ją i chwytam za ramię, by się zatrzymała.

– Kto to jest?

– Powiedziała ci. Doyle.

– Kim jest Doyle?

– Doyle to gość, który przejechał bardzo długą drogę, ponieważ powiedziałam, że chcę odwiedzić swojego brata. Bądź miły – prosi. Na odchodnym rzuca przez ramię: – Pieprzymy się.

Nagle się dowiadujesz, że twoja siostra uprawia seks. Co może się z tym równać? Obraz macek wytatuowanych na ramionach to zdecydowanie za dużo. Mija pełne pięć minut, zanim jestem w stanie wejść do domu.

Doyle rozłożył się na kanapie, która jest moim łóżkiem. Wyciągam krzesło na środek pokoju i siadam przed nim. Tak, po jego rękach i twarzy wiją się macki. Dostrzegam zarys każdej eliptycznej przyssawki. Enola tłucze garnkami w kuchni. Przez chwilę Doyle i ja jesteśmy sami. W jego ostrych rysach kryje się podejrzliwość. Gdybym zapalił światło, zwinnie wskoczyłby za kanapę.

– Niewiarygodne masz miejsce, stary. Niewiarygodne. Twój dom właściwie zwisa z klifu.

– Erozja. To powszechny problem w tych stronach – mówię.

„Pieprzymy się”, powiedziała. To coś kopuluje z moją siostrą.

– Tak, tak, zgadza się – śmieje się. Leniwe parsknięcie. – Jestem do dupy w pamiętaniu takich rzeczy. – Jego ręka drga. Kałamarnica? Ośmiornica? – Przespałem lekcje biologii.

– Czyli ty i moja siostra...

– Tak. Gotowa na wszystko, wiesz? Jest naprawdę niezła.

Wpatruję się w niego intensywnie.

Enola wraca z pudełkiem ciasteczek, o którym zapomniałem. Rzuca się na kanapę i układa na Doyle'u. Nie przeszkadza im, że są w moim łóżku. Karmi go starym ciasteczkiem i pyta, czy się między nami układa. Oczywiście, że tak. Fantastycznie.

– Jak się poznaliście?

– W Atlantic City na Broadwalk – mówi Doyle.

Czyli to ten.

– Tak. Miała ze sobą karty i pomyślałem, że słodki z niej ptaszek.

On może nie dostrzegać mojego morderczego spojrzenia, ale nie Enola. Obejmuje jego ramiona. Błada skóra jej nadgarstków przylega do wytatuowanych przysawek. Pytam, czym się zajmuje.

– Jestem Elektrycznym Chłopakiem.

Wiem, skąd te żarówki w samochodzie Enoli...

– Co dokładnie robi Elektryczny Chłopak? – przechyliłam się na krześle tak, że niemal zaczyna się chwiać.

Enola wtrąca, zanim Doyle zdoła udzielić odpowiedzi.

– Wiesz, co robi Człowiek Żarówka?

Przytakuje. To nic nadzwyczajnego, numer z elektrycznością statyczną wymyślony wraz z odkryciem prądu. Czasami używa się też ukrytej metalowej płytki. Tak robi się choćby w sztuczce z krzesłem elektrycznym. Nic specjalnego.

– Doyle potrafi zaświecić stuwatową żarówkę w ustach i po trzy w każdej ręce.

To co innego.

– Imponujące.

– Robi żonglerkę kontaktową żarówkami, które cały czas się świecą. Piękne.

– Uhum.

Mężczyzna opleciony przez macki i żonglujący świecącymi się żarówkami. Czyż to nie wspaniałe?

– Pokażę ci. Ptaszku, gdzie trzymacie żarówki? – Podnosi się, ale Enola kręci głową.

– Nie trzeba – mówi. Doyle patrzy na nią. – Pokażesz mu później, okej? Nie przywiozłeś przypadkiem piwa? Simon nie ma nic. Mogłabym zabić za piwo.

– Jasna sprawa – mówi i wybiega z pokoju.

Enola pochyla się, trzymając dłonie na kolanach. Po raz kolejny dostrzegam tatuaż na jej ręce. Ptaszek. Jezu.

– Przestań być dupkiem i udawaj, że go lubisz. Zrób to dla mnie, dobra?

– Nie jestem dupkiem, jestem twoim bratem.

– To jakaś nowość – odcina się.

Ma rację. Byłem rodzicem, nie bratem.

– Po prostu się martwię, rozumiesz? Nic o nim nie wiem.

Ani o niej, jeśli o to chodzi.

– Czy ten raz nie mógłbyś być odrobinę miłszy?

– Postaram się.

Doyle wraca z sześciopakiem.

– Chcesz?

– Pewnie, dzięki.

Wytatuowane palce otwierają puszkę. Mogę myśleć jedynie o tym, jak to jest mieć igłę wbity tak blisko paznokcia. Doyle zauważa moje spojrzenie, więc pytam:

- Czy to bolało?
- Jak skurwysyn – uśmiecha się, pokazując zęby.
- Dobre piwo – mówię.
Smakuje jak ciepłe siki.

Pijemy we względnej ciszy, bo tylko tak mogę być miły. Po kolejnym piwie zaczynają rozmawiać ze sobą. Padają imiona przyjaciół, nazwy miast i miasteczek. Enola chichocze. Jakże to inna osoba niż ta, którą widziałem nocą. Spoglądam na księgę. Coś mi umyka.

Żadnemu z nich nie przeszkadza, że zabieram się do przeglądania księgi. Później Enola wyciąga Doyle'a na klif, by mu pokazać zachód słońca. Zostaję sam ze swoją lekturą.

W pewnym momencie dolatuje do mnie muzyka, więc wyglądam przez okno. Widzę księżyc i poświatę z samochodu. Podjazd jest skąpany w niebieskim blasku, a oni tańczą. Enola to szaleństwo ruchu: łokcie wirują w każdą stronę, biodra się kołyszą – wybucha w tańcu. Cała jest pokryta potem, przyciąga promienie księżyca, kiedy ociera się o Doyle'a. On opływa ją i razem wyglądają jak złączeni cienką warstwą tuszu. Samochód trzęsie się od basów. Następna piosenka jest wolniejsza, więc przylegają do siebie i splatają palce. Zupełnie o mnie zapomnieli. Jakbym nigdy dla nich nie istniał.

Alice odbiera telefon, mówiąc łagodnym, zaspanym głosem:

- Hej, co słychać?
- Masz ochotę gdzieś wyjść? Na drinka? Potrzebuję się napić.
Ziewa i słyszę, jak przeskakuje jej szczęka.
- Przepraszam, ale jutro idę do pracy.

Na chwilę zalega cisza. Alice jednak szybko się mityguje.

- Wybacz. Źle wyszło. Co słychać?

– Nic. Mam tu dom wariatów. Przyjechał chłopak Enoli. Za dużo ludzi na taki mały dom. – Nieważne, że kiedyś nasza czwórka żyła w nim całkiem wygodnie.

- Nie powiesz, że za mną tęskniłeś? Miałam taką nadzieję.

To prawda. Tęsknię za dźwiękiem jej kroków na schodach biblioteki. Tęsknię za tym, jak zapisuje program na białej tablicy, i za zawijaszem, z jakim pisze „g”. Tęsknię za Alice, której już nie widuję.

– Przepraszam. Jestem po prostu nieswój. To dziwne uczucie: obserwować taniec godowy własnej siostry.

– Nigdy wcześniej nie czułam się taka szczęśliwa, że jestem jedynaczką. – Znów ziewa i wiem, że powinienem pozwolić jej iść spać. – Jutro, dobrze? Obiecuję.

- Jasne. Jasne.

Rozłączyła się. Mogłem powiedzieć, jak bardzo potrzebuję pieniędzy, ale jeszcze do tego nie doszedłem. Choć jestem blisko. Włączam komputer i wysyłam

e-mail do Liz Reed z zapytaniem, czy sytuacja w North Isle uległa zmianie, i zapewnieniem, że w razie czego praca na pół etatu jak najbardziej mnie urzęduje. W skrzynce widzę jedną odpowiedź na moje zgłoszenie. Posada koordynatora międzybibliotecznego w Commack przypadła komuś, kto już w tej bibliotece pracował. Ponownie przeglądam stronę z ofertami w poszukiwaniu nowych. Wymyślam poważnie brzmiące nazwy tego, do czego mam kwalifikacje: specjalista od informacji, technik informacji, menedżer informacji – mogę być, kim trzeba. W końcu wyrazy rozmywają się mi przed oczami i usypiam.

Budzi mnie nie słońce, ale światło zza okna pulsujące w rytm uderzeń serca. Doyle jest na podjeździe. Byłby jedynie poruszającym się cieniem, gdyby w rękach nie trzymał świecących się czterdziestowatowych żarówek. Kręci nimi, balansuje, przesuwa je na wierzch rąk ruchem płynnym jak fala. Toczące się po jego skórze żarówki oświetlają punktowo jego tatuaże niczym nurek oświetlający morską głębię. Macki wiją się i rozprzestrzeniają. Błysk światła, ruch, a po chwili ciemność. Żarówki toczą się po jego klatce piersiowej, przez krótki moment oświetlając jego twarz. Białe zęby. Później czern. Światła wciąż się ruszają, Doyle rozkłada ręce, tańczy. Falujące światło pada na moją siostrę, która oparta o samochód przygląda się przedstawieniu. To wszystko dla niej.

Przyglądam się i ja, dopóki nie zaczynam się czuć, jakbym ich podglądał, więc zaciągam zasłonę. Światło wsącza się mimo tego. Wracam do książki, notatnika i imion. Czas na matematykę. Verona Bonn urodziła się w 1935 roku, czyli kiedy utonęła, miała dwadzieścia siedem lat. Jej matka, Celine Duvel, zmarła w 1937, kiedy Verona miała dwa lata – tyle samo miała Enola, kiedy odeszła mama. Nekrolog Celine nie podaje daty jej urodzenia. Krótka komputerowa kwerenda kończy się odnalezieniem aktu ślubu Celine Trammel i Jacka Duvela. Data jej urodzin to trzynasty lutego 1915 roku, czyli miała dwadzieścia pięć lat, kiedy zmarła. Młodo, ale nie w tym samym wieku, co moja matka i babcia. Coś musiało je różnić.

Dzwoni telefon. Churchwarry.

– Mam nadzieję, że cię nie obudziłem.

Obaj wiemy, że tak nie jest, ale wymieniamy uprzejme zapewnienia.

– Nie, w porządku. O co chodzi?

– Jest noc. Sheila, moja sunia, jest stara. Nie wytrzymała całej nocy bez spaceru, więc Marie obarczyła mnie tym obowiązkiem. Budzę się i potem nie mogę zasnąć.

Dobrze to znam.

– Dotarłem do książki, która, jak ufam, może okazać się przydatna dla ciebie. Zastanawiałem się tylko, jak najlepiej ci ją przekazać. Jest dość ciężka.

– Przyślij ją ekspresem.

Poruszenie się syreny obudziło Amosa ze snu bez marzeń. Serce zaczęło kołatać mu w piersi na wspomnienie jej przerażonych oczu, tego, jak ją trzymał, oraz przyjemności, jaką dawał mu dotyk jej skóry na jego skórze. Evangeline zamrugła oczami przyćmionymi jeszcze przez sen. Odgarnął jej włosy z ramion i uśmiechnął się, co było u niego nowością. Przycisnął palce najpierw do zagłębienia nad jej obojczykiem, a potem nad swoim.

Evangeline wydała pisk i poderwała się na równe nogi. Popchnęła przy tym Amosa, więc plecami otarł się o szorstkie klepki. Wybiegła z beczki tak szybko, aż spódnica za nią powiewała.

Amos czekał. Ona wróci. Choćby dlatego że nie miała dokąd pójść. Lekcje Peabody'ego i Ryżkowej wpoily mu nieco ogłady, lecz cierpliwość pozostała jego słabą stroną. Po kwadransie zaczął zatem jej szukać. Nie sprawiło mu to problemu: było mokro, więc każdy jej krok wyraźnie odcisnął się w miękkiej ziemi. Widział dokładnie krzywiznę podbicia stopy, zagłębienie po pięcie. Podążał za nią, jak niegdyś podążał za sarnami.

Znalazł ją zalewającą się łzami pod starym wiązem. Tyle wody wypływało z tej jednej kobiety, jakby w środku miała jezioro – jego zwierzęce serce podpowiadało mu, że zostali zrobieni z innych materiałów. Zamachał na powitanie, ale ona miała twarz wtuloną w kolana. Chciał zawołać, zobaczyć, jakie uczucie wywołałoby jej imię na jego ustach. Aby pokazać, że nie ma złych zamiarów, pochylił głowę i dotknął delikatnie jej ramienia.

Odrąciła go.

– Odejdź, proszę.

Usiadł obok niej. Kołysała się, płakała i nie chciała na niego spojrzeć. Objął ją tak lekko, żeby móc odskoczyć, gdyby chciała wymierzyć cios. Zniosła się łkaniem, co brzmiało jak szum wodospadu. Meixel uspokajał konie rozdrażnione miejskim zgiełkiem, mówiąc do nich jak do dzieci, Peabody podśpiewywał podczas pisania, a Benno nucił pod nosem, kiedy naprawiał osie wozów... Amos zapragnął gwałtownie mieć głos. Zrobił, co mógł: przytulił Evangeline, przycisnął czoło do jej ramienia, dostroił swój oddech do jej wznoszącego się i opadającego szlochu. Z jego gardła wydobył się lament niczym rechot żaby i skrzypienie kół – dźwięk, lecz nie głos. Przerażony zamknął usta i odwrócił twarz.

– Czy to twój głos? – pytanie zabrzmiało łagodnie.

Potrząsnął głową i zacisnął usta, aż zabolowało.

– Wydałeś dźwięk, słyszałam.

Potrząsnął głową. Tylko tyle mógł zrobić, lecz to nie wystarczało.

– Z dźwięku rodzi się mowa – powiedziała.

Chciał, żeby to była prawda. Wiedział jednak, że jego język jest niechętny, a jego umysł niezdolny do przyzwania dźwięków, przynajmniej tych przyjemnych. Zamknął oczy, ponieważ poczuł w piersi nieznane ukłucie.

Evangeline zaczęła wyswobadzać się z jego objęć.

– Nie możemy tak siedzieć – wyjaśniła. – Lepiej pójdę stąd, żeby nikt nas nie zobaczył. Zapomnijmy o tym, co się zdarzyło.

Chciał, żeby została, aż jego oddech wróci do normy, ale ona wytarła oczy i wstała. Zanim odeszła, przystanęła przed nim na chwilę z wyrazem zaciekawienia na twarzy.

– Musisz przestać się o mnie troszczyć, Amosie. Nikt nie powinien się o mnie troszczyć.

Patrzył za nią, kiedy mknęła między drzewami w stronę wozów. Piekący ból w jego wnętrzościach znacznie się wzmógł. Znał to uczucie – wstyd. Na próżno próbował spowolnić bicie serca. Sfrustrowany próbował krzyczeć. Nie wydobył z siebie żadnego dźwięku. Musi umieć mówić! Godziny minęły mu na rozważaniu tego problemu. W końcu zobaczył odpowiedź: kartę Głupiec.

Puścił się pędem do obozowiska. Czasem przez przypadek jego stopa zagłębiała się w ślad zostawiony przez Evangeline. Czuł wtedy, jak wlewa się w niego jej ciepło.

Ukraść karty nie było trudno. Niewybredne przekleństwa dolatujące z wozu Peabody'ego podpowiedziały Amosowi, że Ryżkowa odbiera swoją wypłatę. Po wyjeździe z miasteczka Peabody podliczał wydatki i zyski. Sprawy finansowe załatwiał w swoim wozie, a Ryżkowa zarządzała swoimi pieniędzmi równie żelazną ręką jak on. Nikt nie pilnował kart. Amos grzebał między chustami, woreczkami z szałwią i świecidełkami dopóty, dopóki nie znalazł szkatułki. Popatrzył na malowane wieczko. Pewnego razu schronił się w wozie Ryżkowej podczas burzy. Opowiedziała mu wtedy, że obrazek na wieczku przedstawia jedną ze scen baśni o Iwanie carewiczu, który wyciągnął pióro z ogona Żar-Ptaka, i o żywej wodzie.

Dotknął kart i poczuł pod palcami wibracje.

Przykucnął w kącie. W szaleńczym pośpiechu przerzucał talię i szukał karty, którą znał tak dobrze. Ryżkowa nauczyła go, żeby się uśmiechał, odwracając tę kartę – spojrzenia kobiet łagodniały, kiedy pojawiała się w ich wróżbach. Ryżkowa nauczyła go też, że jeśli potem weźmie dłoń kobiety w swoją, dostanie większy napiwek. Wetknął kartę pod chustkę, a talię włożył do kieszeni i poszedł szukać Evangeline. Natknął się jednak od razu na Peabody'ego, który wychodził ze swojego wozu w nie najlepszym stanie.

– Poszerzanie horyzontów, Amosie. Możliwości rozległe niczym morze –

powiedział, jakby kontynuował poprzednią rozmowę. Klepnął Amosa po plecach. – A co do dziewczyny... Ach tak, pani Syrena. Idealnie do siebie pasujecie. Doskonały wybór, mój chłopcze. – Pogładził się po brzuchu i zamruczał pod nosem coś, z czego do Amosa dotarły słowa „smakowity kąsek”.

Madame Ryżkowa zerknęła zza uchylonych drzwi. Amos spiął się i skupił całą uwagę na Peabodym, który nachylił się i szepnął mu do ucha:

– Mała rada. Jakiś szarmancki gest mógłby ci pomóc. Trochę mniej dzikiego chłopca. – Wykonał niesprecyzowany gest w kierunku genitaliów Amosa, po czym wrócił do swojego wozu.

Amos szybko znalazł Evangeline. Zamykała właśnie wieko płóciennego kufra. Obok niej Benno rozciągał się, siedząc z rozłożonymi nogami i dotykając dłońmi palców stóp. Rozmawiali. Kiedy Benno się śmiał, jego blizna stawała się niemal niewidoczna. Evangeline uśmiechała się lekko. Zamilkli, zobaczywszy Amosa. Po chwili Evangeline zaczęła mówić do niego, ale Amos uniósł dłoń. *Przestań, proszę.* Wyciągnął kartę spod chustki i błyskawicznie włożył jej w dłoń. Zaledwie musnął przy tym delikatną skórę. Między brwiami dziewczyny pojawiła się cienka linia. Czyżby się mylił? Odwróciła kartę. Wstrzymał oddech, gdy jej oczom ukazał się piękny obrazek przedstawiający anioła czuwającego nad mężczyzną i kobietą. Oboje byli nadzy, uchwyceni na chwilę przed tym, jak padli sobie w objęcia. Evangeline oblała się rumieńcem. Amos czekał.

Benno patrzył to na niego, to na nią. Odkasznął.

– Dwoje to kompania, troje to tłum. Pogadamy później, Amosie? – Skłonił się Evangeline. – Miłego popołudnia.

Amos nie zwrócił uwagi na przyjaciela, widział tylko kartę. Choć był analfabeta, wiedział, że podpis nakreślony ręką Ryżkowej to „Kochankowie”.

Evangeline dzięki babci Visser umiała czytać, pisać i liczyć. Peabody musiał zatem płacić jej uczciwie, a teraz zdołała odczytać podpis. Jej policzki stawały się coraz bardziej pąsowe. Amos przyłożył dłoń najpierw do jej klatki piersiowej, później do swojej, a następnie do karty. Jego palce spoczęły między dwiema nagimi postaciami.

– Na pewno nie – powiedziała Evangeline.

Przyłożył kartę do piersi. Evangeline przygryzła wargi, ale nie powstrzymała go, kiedy przycisnął drugą dłoń do jej serca.

– Proszę, odejdz – szepnęła. – Przykro mi, ale odejdz.

Twarz Amosa płonęła. Zabrał kartę i uciekł, potykając się, do wozu Cukrowego Kąska. Obraz był jasny. Ryżkowa wyjaśniła mu jedno z jego znaczeń jako przeznaczoną miłość, nad którą czuwał dobry los. Wiedział, że coś ich do siebie przyprowadziło. Musiał zrobić coś nie tak.

Po dniu podróży karawana dotarła do New Castle. Ujrzeli

tam więcej domów z cegły niż z drewna – ze wzgórz Pensylwanii wydobywano czerwoną glinę świetnie nadającą się do wypalania. Solidność tych budynków kontrastowała z kiepskim stanem wozów cyrkowych, Peabody upierał się, że cegła oznacza pieniądź, zwłaszcza w takiej niewielkiej odległości od Filadelfii. Benno śmiał się z tego, kiedy wraz z Amosem wyprzęgali konie.

– Wypalanie cegły dla kamieniarza oznacza bankructwo. No i wszędzie wala się mnóstwo kamieni, którymi można w nas ciskać.

Nakarmiono i napojono konie. Meixel zabrał lamę na spacer za miasto, aby uniknąć gapiów. Nat chwycił Cukrowy Kąsek jedną ręką i zaniósł nad rzekę, podczas gdy Amos z Bennem oporzędzali wozy zwierząt. Ubrania i kostiumy wytrzepano i rozwieszono, żeby się wywietrzyły. Sprawdzone szczelność zbiornika Evangeline, ustawiono go we właściwej pozycji i rozpoczęto mozolny proces napełniania go wodą. Wszyscy członkowie trupy przygotowywali się do występów, sprząтали i dopinali wszystko na ostatni guzik. Peabody odwiedzał ich ze swoją księgą, aby zanotować, jeśli mieli jakieś potrzeby, które można było zaspokoić dzięki wizycie w miasteczku. Susanna zdarła pantofle, Melina potrzebowała noży do ćwiczeń, Nat zaś worka gryki, aby na nim spać, ponieważ bolały go plecy. Przy okazji Peabody negocjował ich wynagrodzenie. Zarobione przez Amosa pieniądze były wliczane do zarobku Ryżkowej, co nie miało dla niego większego znaczenia, ponieważ madame go ubierała, a Peabody łożył na jego utrzymanie z własnej kieszeni. Poza tym Amos potrzebował niewiele, a to, czego pragnął, wydawało się coraz bardziej nieosiągalne.

Ryżkowa chciała jak najszybciej przyjąć pierwszych klientów. Kazała Amosowi rozwiesić jedwabne zasłony wewnątrz wozu niemal od razu po przyjeździe.

– Szybko, szybko – mówiła. – Miasto pęka w szwach od pytań. Musimy udzielić odpowiedzi.

Amos nie był z tego zadowolony. Po ostatnim spotkaniu z Evangeline miał nadzieję, że będzie mógł pomóc w napełnianiu zbiornika i przy tej okazji ją przeprosi.

Popatrzył z wozu na cyrkowców pochłoniętych tym zajęciem. Benno szedł z wiadrem w każdej ręce. Po raz drugi w ciągu dwóch dni Amos bardzo chciał być na jego miejscu. Niestety, zamiast tego nastawiał się na godziny rozkładania kart i słuchania. Peabody ogłaszał przyjazd swojej trupy w tawernach i sklepach, więc Amos musiał przywdziać swoje szaty wróżbity. Klienci jeden po drugim pukali do drzwi Ryżkowej, kolejka szukających u niej porady sięgała poza obozowisko. Mieszkańcy New Castle byli bardziej rozmowni niż ludzie z północy, szeptali o schadzkach, kradzieżach, zazdrości i chciwości. Już po godzinie wszystkie te głosy brzmiały dla Amosa tak samo. Próbował przywołać w myślach kształt ust Evangeline. Czy uśmiechnęła się choć trochę, kiedy pokazał jej kartę? Ryżkowa

gruchała z idealną dozą współczucia, śmiała się we właściwych momentach i poklepywała dłonie. Kiedy nadchodził czas na odpowiedzi, przyzywała Amosa.

– Młodzieńcze, pokaż, proszę, karty. On ma dar. Słyszysz losy – szeptała swoim najbardziej matczynym głosem. – To dlatego nie mówi. Słyszysz straszne, straszne rzeczy.

Akcent Ryżkowej stawał się najwyraźniejszy podczas seansów z klientami. Efekciarstwo, pomyślał Amos. Nie na taką skalę jak u Peabody’ego, ale jednak.

– Tajemnice – mówiła. – Przybywają do jego ręki, widzisz? Wystarczy dotyk jego dłoni, aby karty przemówiły. – Klienci patrzyli na Amosa, jakby ich sekrety płynęły w jego żyłach. – Dużo zmian. Ten mężczyzna, widzisz? To Paź. Między tobą a twoimi pragnieniami jest przeszkoda. Ach, rozumiem.

Śpiwna mowa działałaby kojąco na Amosa, gdyby nie był taki rozkojarzony. Wybrał złą kartę. Mógł przecież przynieść Evangeline Świat, aby zapytać ją o możliwości, tylko że znaczenie tej karty było mniej jednoznaczne. Chciał wyrazić się jasno i teraz przez to cierpiał.

– Trójka mieczy w przeszłości. Biedactwo. Ktoś ci złamał serce – powiedziała Ryżkowa do kobiety o urodzie szarej myszy.

Trzy ostrza przesywające jaskrawoczerwone serce. Trafny obraz, pomyślał Amos. Ryżkowa niosła pocieszenie, dotykając nadgarstków klientów swoimi zniszczonymi dłońmi, uśmierzając lęki, opowiadając o nadchodzącej miłości. Każdy, kto wszedł do jej wozu, dowiadywał się, że wszystko będzie dobrze. To nie była prawda. Amos widział karty. Późno w nocy, po wyjściu ostatniego klienta, Ryżkowa zaciągnęła zasłonę i zamknęła drzwi. Amos podniósł się, żeby wyjść. Zatrzymała go zdecydowanym gestem.

– Bardzo istotna sprawa, Amosie. – W jej spojrzeniu zobaczył ostrzeżenie. – Musisz wiedzieć, kiedy mówić prawdę, a kiedy nie. – Szukała słów. – Więcej pieniędzy oznacza czasem mniej prawdy. Oni dobrze nam płacą – wzruszyła ramionami – więc trochę kłamiemy. Posiedź ze mną.

Usiadł w kącie na podwiniętych nogach. Drewno wrzynało mu się w kostki obu nóg. Patrzył, jak Ryżkowa zaczyna długotrwały proces rozwijania chusty, którą miała na głowie. Szorstki siwy warkocz wymknął się spod tkaniny i opadł. Amos nigdy nie widział jej bez chusty, zdziwiło go więc, że miała włosy niemal do pasa. Przez chwilę zastanawiał się, jak madame Ryżkowa mogła wyglądać przed laty. Spojrzał na portret jej córki w poszukiwaniu podobieństwa, którego nie zatarł czas.

– Nauczę cię czegoś – powiedziała Ryżkowa. – Zanim zacniemy, musisz wiedzieć, że mnie nie da się oszukać. Między nami jest tylko zaufanie, tak? Żadnych kłamstw. One nie są dla nas, którzy przepowiadamy losy. – Uderzyła dłonią o niski taboret. – Wziąłeś moje karty, tak?

Amos pokiwał głową.

Roześmiała się.

– Dobrze, dobrze. Zrozumiałeś. Nie rób tego więcej.

Tego nie mógł obiecać. Trwał w bezruchu.

Ryżkowa zbliżyła się do beczki, na której leżały karty – rozdanie ostatniego klienta. Pochyliła się nad nimi i wskazała gestem, żeby Amos zrobił to samo. Wóz stał się mniejszy i cieplejszy, niż był jeszcze chwilę wcześniej. Płonęła tylko jedna świeca. Nad ich głowami gra światła i cienia ukazywała portrety rodziny Ryżkowej. Oczy tych ludzi śmiały się z niego.

– Nie oszukam cię. Nie dla nas kłamstwa. Ale – podniosła wykoślawiony palec – nauczę cię, jak to robić.

Do tego czasu życiem Amosa rządziła niezachwiana uczciwość. Kiedy siedział z Ryżkową i patrzył, jak jej palce igrają z kartami, nie wiedział, co to znaczy kłamać, ani że wkrótce będzie okłamywał tę kobietę, swoją nauczycielkę. Pokazała mu, jak ukryć kartę w rękawie, jak schować inną pod bluzę, jak obrócić kartę, aby zmienić jej znaczenie. Wszystko to tak szybko, by niewprawne oko nie mogło niczego dostrzec.

Jego pierwsze próby były niezdarne, wywołały u Ryżkowej napad śmiechu. Godziny szybkich rozdań, ukradkowego chowania kart po kieszeniach, dyskretnego przerzucania ich na spód... Później Ryżkowa złapała Amosa za rękaw.

– Pokazałeś moje karty dziewczynie, prawda?

Zdradził go nieznaczny tik, drgnięcie lewej ręki. W oczach Ryżkowej natychmiast zapłonął gniew i równie szybko stały się martwe. Nagle przyszło mu na myśl, że gwałtowny wiatr mógłby ją rozwiać jak garstkę prochu.

– Masz przestać ją widywać.

Uniósł rękę, by zaprotestować. Nie zwróciła na to uwagi.

– Jest piękna, nie przeczę. Ale nie jest taka jak ty ani taka jak ja. Spójrz na nią. Ma tylko pół duszy i łaknie drugiej połowy. Zadawaj się z tą dziewczyną – Ryżkowa niemal wypluła ostatnie słowo – a ona cię pograży.

Gwałtownie potrząsnął głową.

– Nie robi tego celowo. Ona myśli tylko o miłości, nie o cenie, którą trzeba za nią zapłacić. Zna tylko pragnienie. Takie są właśnie rusałki. Topielice. – Głos uwiązał jej w gardle. – Zwabiają mężczyznę, bawią się nim, tańczą z nim, aż umrze. Ciągną go do wody, bo nie zdają sobie sprawy, że on umrze. A kiedy jest martwy, rozpaczają. Zrozpaczone szukają następnego, żeby je pocieszył, i tak ciągle. Zostaw ją innemu chłopcu. Takiemu, który nie jest mój.

Amosowi skręcił się żołądek. Nie mógł powiedzieć Ryżkowej, co widział, kiedy obejmował Evangeline, ani tego, że to ona go odepchnęła. Przygryzł zębami policzek, aż poczuł smak krwi.

– Mówię to, żeby cię chronić. Ponieważ już to widziałam. Ponieważ kocham cię

jak syna.

Kopnęła beczkę. Karta podskoczyła. Paź kielichów, ciemnowłosa młodzieniec z przelewającym się pucharem.

– Dziewczyna, choć sama o tym nie wie, wypije twoją duszę. Nie może nic na to poradzić. Ktoś z połową duszy zabije, żeby stać się całością. – Ryżkowa uderzyła dłońmi o wieko szkatułki, jej wykrzywione kciuki drżały ze strachu. – Nie będziesz mnie okłamywał. Już nigdy się z nią nie zobaczysz.

Został mi tydzień. Księga jest pięknym oknem, niestety, coś przesłania widok na to, co nas zabija, bo zdecydowanie coś takiego istnieje. Nie chodzi jedynie o endemiczną melancholię mojej rodziny. Wczoraj znalazłem w gazecie zdjęcie babci zrobione na dwa dni przed jej śmiercią. Jest młoda, anioł w kostiumie kąpielowym Esther Williams. Uśmiech ma tak promienny, że aż razi w oczy. Autentyczne szczęście, po nim pustka. Enola przyjechała do domu, co pewien czas wpada w trans nad kartami tarota.

W wodzie czuję, że żyję. Na dnie aż roi się od skrzyploczy. Są tutaj od tygodnia, zdecydowanie dłużej, niż trwa ich okres godowy. Może to globalne ocieplenie? Tego lata temperatury są wyższe, wahania pływów większe. Brak zatrudnienia przeradza się w stan permanentny, na podłodze jest coraz więcej tynku. Skrzyplocz przechodzi po mojej stopie. Jego szczypce rozwierają się i zaciskają.

Lavinia Collins utonęła w 1876 roku w Bridgeport, w mieście cyrku Barnuma. Jeśli spojrzę na drugą stronę zatoki, mogę dostrzec miejsce, w którym zmarła. Urodzona trzeciego lutego 1846 roku jako córka Clary Petrovej i wnuczka nieżyjącej wtedy Bess Visser. Utonęła w wieku trzydziestu lat. Wszystko, co wydarzyło się po jej narodzinach, zapisano na uszkodzonych przez wodę kartach książki. Przepadło to w plamach rozmytego atramentu. Nic nie wskazuje na to, żeby ktoś przyczynił się do jej śmierci. Zeszłej nocy Churchwarry wspomniał o Latających Wallendach. Cyrkowa rodzina linoskoków, której historia sięga czterystu lat wstecz, w której liczba tragicznych upadków jest tak duża, że wydaje się spowodowana klątwą. Spadający linoskokowie należą do tego samego świata co tonące syreny. Paczka od Churchwarry'ego przysłała dziś rano, cudownie pachnąca starym papierem. Dołączył do niej liścik.

Chciałbym dostać tę książkę z powrotem, ale nie ma pośpiechu. Z chęcią pozwoliłbym Ci ją zatrzymać, obawiam się jednak, że żaden z nas nie może sobie na nią pozwolić. Marie krzyczałaby na mnie, aż uszy by mi odpadły. To biały kruk.

Opasły tom zatytułowany *Zaklęcia ochronne i tabliczki złorzeczące* wygląda niemal złowieszczo: czarna skórzana oprawa, tytuł wytłoczony, lecz bez pozłoty, strony zwiotczałe od kontaktu z setkami ciekawskich palców. Musnąłem go

i przeszedł mnie niemal taki sam dreszcz jak ten wywołany dotykaniem księgi – naszej księgi. Pochylę się nad nim, kiedy wróci mi jasność umysłu.

Coś łapie mnie za włosy i ciągnie, jakby chcąc wyrwać je z korzeniami. Podmuch powietrza mnie oślepia. Próbuję uskoczyć na bok, ale jakaś dłoń zaciska się na moim ramieniu. Chcę się wyrwać. Woda mnie spowalnia, a uścisk jest mocny. Wnętrznosci mi się ściskają i wydycham ostatni oddech. Ktoś oplata uściskiem moje ramiona. Szarpię się – nie puszcza. Szamocząc się, przygryzam sobie język i czuję gorzki smak. Światło staje się jaśniejsze. Krztuszę się, kiedy staram się wyswobodzić, ktoś przewraca mnie do tyłu, brzuchem do nieba – woda zaczyna się we mnie wlewać. Ręce zaciskają się wyżej, naciskając mi na gardło i blokując dopływ powietrza. Drapię. Nie mogę oddychać. Nie mogę wypluć wody. Nadchodzi ciemność. Cętkowane cienie, ciemność... Młóczę ramionami. Chcę się wyrwać. Oddychać. Oddychać.

Cholera, wszyscy jesteście przeklęci.

Leżę na plecach, pchła piaskowa gryzie mnie w ramię. Coś niemal poza spektrum mojego słuchu. Głos. Dłoń uderza mnie w twarz. Otwieram oczy. Głowa zasłania słońce, cienie pochłaniają rysy. Nie cienie – tatuaże. Doyle.

– Cześć, stary. Jak się masz? Ścisnąłem cię mocniej, niż chciałem. Naprawdę przepraszam.

Rzucam się na niego. Jestem szybki, ale się chwieję.

Oplecione mackami palce chwytają mnie za pięść centymetry od jego twarzy. Trzyma ją, obracając, jakby podziwiał niebieski kolor moich żył. Mówi coś, co brzmi jak „Wyluzuj, bracie”.

– Chcesz mnie zabić? – rzucam mu w twarz.

Robię zamach lewą ręką. Unika ciosu z łatwością.

– Co ty pieprzysz? – odpowiada. – Przecież tonąłeś. – Jest spokojny, jakbyśmy rozmawiali przy piwie. Napieram, więc wykręca mi łokcie za plecy. – Koleś, nie chcesz mnie uderzyć. – Blokuje mnie w niedźwiedzim uścisku. – Spokojnie – mówi. – Po prostu ci odbiło. Z braku powietrza. Główka ci nawala. – Nawet się nie zadyszał.

Z klifu dobiega krzyk. Enola. Schody – zbiegnięcie po nich zajmuje minutę, dudnienie oznacza, że już się zbliża. Szarpię się. Nic z tego. Jeden cios. Gdybym zdołał wymierzyć chociaż jeden cios.

– Gościu, widziałem, że idziesz na dno. Wołałem, nie słyszałeś. Zostałeś pod wodą zdecydowanie za długo.

– Nic mi nie było.

Kiedy Enola dobiega do nas, uderza Doyle'a w ramię.

– Puść go.

On rozluźnia uchwyt, a ona obejmuje mnie mocno. Dyszy i drży.

– Wszystko w porządku? Co się stało?

– Twój chłopak próbował mnie zabić.

Puszcza mnie tak gwałtownie, że tracę równowagę, i zaczyna mnie bić – nie mocno, ale jeśli to potrwa, będę mieć bezwładną rękę.

– To nieprawda. Nigdy by tego nie zrobił. – Reszta słów przechodzi w wysoki pisk. Chwytam jej przedramiona i przyciskam do jej boków. Doyle stoi kilka metrów od nas. Pewnie się uśmiecha.

– Spokojnie, Ptaszku – mówi.

Enola nie jest spokojna. Ja nie jestem spokojny. My nigdy nie będziemy spokojni.

Kiedy dociera do niej, że nie zamierzam jej puścić, wbija mi zęby w ramię. Krzyczę, a ona podbiega do Doyle’a, żeby zobaczyć, czy nie ma siniaków.

– Nic mi nie jest – mamrocze jej chłopak.

Białe półksiężycy na moim ramieniu, ślad po zębach Enoli, szybko czerwienieją.

– Przysięgam, że mnie dusił – zapewniam.

Enola obraca się do Doyle’a z pięściami w pogotowiu.

– Tonął. Wyciągnąłem go – podnosi rękę do góry, niewiniątko.

– Nie bądź głupi, mój brat nie tonie.

Mimo wszystko nie udaje mi się zdusić uśmiechu.

– Tak też mu powiedziałem.

– To pływak – mówi Enola. – Może wstrzymać oddech na naprawę długo.

– Na dziesięć minut? – cedzi przez zęby Doyle. – Na dziesięć minut?

Oskarżenia z każdej strony.

– Zaciskał mi palce na szyi.

– Doyle jest pacyfistą. – To najbardziej idiotyczne słowa, jakie Enola w życiu wypowiedziała. – Posłałam go po ciebie. Przyjechał fachowiec. Frank go przysłał. Musisz z nim porozmawiać.

Wspinamy się po schodach, Doyle idzie przed nami z małą zwinnością. Enola trąca mnie w ramię.

– Często to robisz?

– Co? Czy często jestem duszony przez twojego chłopaka? Nie. Powinnaś częściej przyjeżdżać do domu. Prawie umrzeć? Świetna zabawa!

– Dziesięć minut to za wiele nawet jak dla ciebie.

Powiedziałbym, że Doyle przesadza, ale nie wiem, ile czasu pozostawałem pod wodą. Ręce Enoli grzebią w kieszeniach. Przelotnie dostrzegam kawałek karty. Noga z kopytem? Diabeł? Ale nie taki jak w *Doktrynie*. Enola chowa ją szybko.

– Jasne – mówię.

Fachowiec to Pete Pelewski, przysadzisty mężczyzna z bujnymi siwiejącymi włosami. Ma koszulę w kratkę, podniszczony pas narzędziowy i zapisuje wszystko ołówkiem stolarskim – wzbudzający zaufanie wygląd, który ma złagodzić cios. Nic,

co pada z jego ust, nie jest niebolesne.

– Sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów – oświadcza. Aż zatyka mnie z wrażenia, ale to nie koniec. – Tyle potrzeba na podstawową naprawę grodzi i zaczątek tarasu. Jeśli chodzi o dom... – Potrząsa głową. – Fundamenty są w złym stanie. Będzie pan potrzebował kamieniarzy i architektów krajobrazu, żeby zabezpieczyć klif. Mam swoich współpracowników. Nie mogę przedstawić pełnego kosztorysu, dopóki nie porozmawiam z nimi, ale należy się spodziewać przynajmniej kolejnych stu tysięcy. Absolutne minimum. – Stuka ołówkiem w notes. – I trzeba się zabrać do tego szybko. Pogoda musi być taka, żebyśmy mogli wjechać ciężarówkami na plażę. Grunt też musi być odpowiednio twardy.

Mówię to, co trzeba, pytam, ile ciężarówek (cztery, jeśli miasto się zgodzi), ile czasu (tygodnie, miesiące, zależy od ciężarówek), czy będę mógł mieszkać w domu podczas robót (tak, do czasu, aż zaczną się prace przy fundamentach). Uścisk dłoni, proszę o kosztorys na piśmie, wymiana uprzejmości. Czyż Frank nie jest świetny? Tak, cudowny. Przyjaciel mojej rodziny od lat.

Pete Pelewski odjeżdża, a ja stoję oparty o kuchenną ścianę obok haczyków na klucze. Tapeta nosi ślady palców: taty, mamy, moich i Enoli, bo każde z nas dotykało ściany, wieszając klucze.

Cztery, trzy, dwa, jeden.

– Musisz poprosić Franka o pieniądze – odzywa się Enola zza stołu. Siedzi na miejscu mamy, która zazwyczaj mieszała cukier w herbacie, nie wyjąwszy torebki, co sprawiało, że sznureczek kołysał się na wszystkie strony.

– Spróbuję najpierw w Towarzystwie Historycznym, może dostają dotacje na renowację zabytków.

– To może zająć dużo czasu.

– Jestem dobry w wypełnianiu wniosków o dotacje. Tym się zajmuję.

– Chyba „zajmowałem”. Frank się pewnie zgodzi, jeśli go poprosisz.

– Wolałbym nie.

– Dlaczego?

– Co cię to obchodzi? – Mógłbym powiedzieć Enoli coś znacznie bardziej nieprzyjemnego, ponieważ mam całą zarchiwizowaną kompilację pretensji do niej, każda z osobną kartą katalogową.

– Sama nie wiem – odpowiada. – Tata tu mieszkał, ja tu mieszkałam... – Czas przeszły dokonany.

– Ale już nie mieszkasz. – Zagłębienia od krzesła w podłodze są moje. Poplamiony koc jest jej. Ubrania, których nie wzięła. Miś z jednym okiem. Rzeczy, które zostawiła za sobą.

– Nadal jest to mój dom. – Wsuwa ręce do kieszeni, tasuje karty.

Dobrze, możemy rozmawiać wprost.

– O co chodzi z tymi kartami? Widzę, że cały czas się nimi bawisz, i wyrwałaś tamten obrazek z mojej książki.

Odpowiedzi udziela Doyle.

– Ostatnio wychodzą jej jakieś bardzo złe odczytania. Zupełnie porabane.

– Do cholery, Doyle! – Enola zrywa się z krzesła, które z piskiem przejeżdża po linoleum. – Ja o tym nie rozmawiam. To znaczy, że ty też nie. – Wybiega przez kuchenne drzwi na podwórko.

Doyle krzywi się, ściągając macki w dół, cienie mieszają się z tuszem.

– Zrobiła się taka drażliwa.

– Od dawna?

– Od kilku miesięcy.

Cholera. A mnie został tylko tydzień.

– Jest jakiś powód?

– Mówi tylko, że się martwi.

Siadam na swoim krześle, które stoi naprzeciwko dawnego miejsca taty. To zawsze będzie stół mojego taty, choć minęło przeszło dziesięć lat od jego śmierci. Nie muszę nawet zamykać oczu, żeby go zobaczyć tam, gdzie teraz siedzi Doyle. Czekał na mamę, choć nigdy by się do tego nie przyznał.

Miałem dziewiętnaście lat, Enola czternaście. Ojciec był pierwszą martwą osobą, jaką zobaczyliśmy. Siedział z przekrwionymi oczami nad gazetą, której nie skończył czytać. Znalazła go Enola po powrocie ze szkoły. Udar, małe naczynko najpierw się zablokowało, a następnie pękło jak naciągnięty za mocno sznurek. Umierał, odkąd mama odeszła. Nie płakaliśmy, dopóki nie zabrano jego ciała.

Enola siadła na kanapie z kolanami pod brodą i patrzyła przez okno na wodę. Od tamtej pory miała się stać jedyną osobą, która pamiętała nasze dzieciństwo, wiedziała, jak tata przyrządzał stek, jakie to było uczucie, kiedy uderzał nas w tył głowy. Jedyną osobą, która rozumiała samotność.

– Nienawidzę cię – powiedziała wtedy.

– Wiem.

– Jego też nienawidziłam. – Patrzyliśmy na ściany. Tu i ówdzie rysowały się pierwsze pęknięcia.

– Ja też – odparłem.

– Co teraz? – zapytała.

Siedząc w ciemnościach, powiedziałem, że się nią zaopiekuję.

Wyglądamy z Doyle'em przez okno. On zaczyna obgryzać paznokcie kciuka. Wcześniej nie zwróciłem uwagi, że jego paznokcie wyglądają jak moje – zredukowane do minimum. Enoli nie widać.

– Nie zajdzie daleko – mówię. – Nie ma nic ciekawego w Napawset.

Powinienem mu pewnie powiedzieć, że większość związków w życiu mojej siostry kończy się jej odejściem. Tatuaze sprawiają, że ciężko dostrzec w nim coś poza eliptycznymi przysawkami macek i godzinami bólu, które dla nich zniósł.

– Ile ty w ogóle masz lat?

– Dwadzieścia cztery.

Myślałem, że jest mi bliższy wiekiem, koło trzydziestki, może starszy.

– Muszę zapytać, co cię łączy z moją siostrą.

Uważam, żeby nie zapytać, jakie ma „intencje”, bo to takie ojcowskie.

– Czegokolwiek chce ode mnie, jak długo tylko będzie chciała.

Dobra odpowiedź na pytanie, na które właściwa odpowiedź nie istnieje.

– O co chodzi z tym, że możesz tak długo być pod wodą?

– To u nas rodzinne. Mama mnie nauczyła. Ona też przez jakiś czas pracowała w cyrku.

– Czy ona nie utonęła?

– To co innego.

Doyle potrząsa głową, macki suną po jego gardle.

– Stary, sam nie wiem. Wszyscy w mojej rodzinie oprócz mnie zajmują się rurami. – Śmieje się, aż mu chrupie w karku.

Choć wydaje się to niemożliwe, zaczynam go lubić.

Coś skrzypi za oknem – ktoś usiadł przy na wpół przegnitym stole piknikowym. Obaj wyglądamy. Enola siedzi na stole, który zbudował nasz ojciec, nie na ławce – nigdy nie robi nic, jak należy – zwrócona do nas plecami i lekko pochylona.

– Martwię się o nią – mówi cicho Doyle. – Trochę świruje z tymi kartami.

– Porozmawiam z nią.

– W porządku, stary.

Betonowe schody są zniszczone, więc Enola słyszy, że się zbliżam, i chowa rozłożone karty. Papier, z którego są zrobione, pożółkł i mocno się wytarł. Mignęło mi chyba ramię kościotrupa, zanim talia zniknęła w kieszeni bluzy. Obraca się, żeby na mnie spojrzeć. Siadam na jednej z ławek i czuję, że drewno ugina się pode mną.

– Czy to talia marsylska?

Taką opisano w *Doktrynie*. Widziałem również talię Weita z początku XX wieku. Bardzo subtelna. Enoli taka nie jest.

– Nie. I nie zamierzam o tym rozmawiać.

– Jasne.

Wyciąga nogi i kładzie się na stole.

– Po co ojciec w ogóle zrobił te meble? Przecież nie jadaliśmy na zewnątrz.

– Zdarzyło się raz czy dwa.

– Ale nie po śmierci mamy, prawda?

– Nie. Po śmierci mamy wszystko się skończyło. Doyle jest miły – mówię. Enola zdrapuje porost, który pojawił się na desce.

– Lubi mnie. Wiem, że to niełatwe.

– Nie jesteś taka straszna. On naprawdę dziwnie wygląda. Nawet jak na ciebie.

– Wiem. – Uśmiecha się. – To jeden z powodów, dla których z nim jestem.

– Gdzie podróżujecie?

Chcę, żeby mówiła. Tak dawno nie spędzaliśmy razem czasu, że miło jej słuchać. To, za czym nie tęsknię, jeśli chodzi o pracę w bibliotece, to cisza – w środku zimy nie unoszą się tam żadne dźwięki poza syczeniem grzejników, pomrukiem komputerów i szelestem przewracanych stron. Dlaczego nigdy nie wyciągałem Alice na stronę, żeby porozmawiać?

– Zeszłej zimy cyrk Rose’a zapuścił się daleko w głąb Georgii. Z kartami tam nie idzie. Kościółkowi ludzie. – Przewraca oczami. – Za to domy są piękne. Spodobałyby ci się. Zorganizowałam sobie zwiedzanie opuszczonej murowanej posiadłości leżącej nad tą rzeką, która wpada do oceanu. Na obu brzegach rzeki żyją ostrygi, całe stosy, wyglądają jak falbanki na majtkach. – Przeciąga się powoli. – Nigdy nie widziałam niczego piękniejszego.

Manuskrypty nie różnią się znacząco od falbanek, ponieważ podobnie jak one wymagają, aby obchodzić się z nimi delikatnie. Myślę o pracy w Savannah. Tego ranka zadzwoniła Liz, żeby powiedzieć mi, że Archiwum Sanders-Beecher skontaktowało się z nią w sprawie moich referencji. Wyśmiała mnie, że tak bezwstydnie im nakłamałem, ale powiedziała, że potwierdziła moje kwalifikacje. Zrobiłbym dla niej to samo. Zawsze się dobrze rozumieliśmy. Patrzę na moją siostrę Enolę, której w ogóle nie rozumiem.

– Jak wygląda wasz cyrk?

– Prosty. Nudny. Atrakcje w większości są takie, jak możesz się domyślić. Huśtawki, gry zręcznościowe, co tylko chcesz. Gabinet osobliwości.

– Tam jest Doyle?

– No. Jest też labirynt z jednookimi jagniętami i innymi okazami w formalinie. Mamy wypchane małpki zszyte razem, żeby uchodziły za bliźnięta syjamskie. Patrząc na nie, czujesz się, jakbyś wdepnął w ogromne psie gówno; nie możesz przestać się gapić. Cholera, jak w ogóle można kupić małpie truchło? – Patrzy w okno kuchenne, pewnie na Doyle’a. – Mamy połykacza, Leo. Połyka szable i ogień. Jest w porządku, prawie normalny. Żona, dzieci, oponka na brzuchu. Mamy też gościa od przekłuwania, trochę dupek, ale zna się na anatomii. – Enola wygrzebuje brud spod paznokcia. – Wiesz sobie kule armatnie na sutkach, przekłuwając rękę, te rzeczy. Podczas nocnych pokazów za dodatkową opłatą możesz zobaczyć, jak podnosi różne rzeczy kutasem. George, grubas, zajmuje się pieniędzmi. Doyle pracuje przede wszystkim nocą.

To ma sens.

– Grę świateł lepiej podziwiać po zmierzchu.

– No. W świetle dnia też dobrze się rusza, ale nocą to co innego. Można zrozumieć, czemu ma te tatuaże. W ciemnościach przestaje być człowiekiem. Widzisz żarówki, ale światło pochodzi od niego, jakby był częściowo gwiazdą, częściowo wodą. Patrzysz i myślisz, że gdybyś był w jego skórze, mógłbyś się tak poruszać, a światło emanowałoby także z ciebie. Czasem myślę, że jego dziury zatrzymują światło wewnątrz niego, żebym mogła na niego patrzeć. Jakby zrobił je sobie tylko w tym celu, żeby spotkać kogoś takiego jak ja.

Przeciąga palcami po skórze głowy, drapie się. Przypominam sobie, jak musiałem odciąć jej pukiel włosów sklejonych brokatem.

– Doyle jest naprawdę dobry, lepszy ode mnie.

Telefon wibruje mi w kieszeni.

– Musisz mi coś wytłumaczyć. – Zgaszony głos Alice.

– Hej, co się stało?

Wstaję od stołu. Enola idzie za mną, nasłuchując. Bezgłośnie pyta „Alice?”. Podnoszę rękę do góry, ale wieszka się na moim ramieniu.

– Dlaczego miałbyś kraść z biblioteki?

– Przepraszam, co?

– Nie przepraszaj, po prostu mi to wyjaśnij. Marci widziała, że wynosiłeś książki, i powiedziała Janice. Właśnie spędziłam pół godziny, wysłuchując wykładu o kradzieży własności, jakbym była za ciebie odpowiedzialna. Ponieważ spotykamy się ze sobą. Wszyscy wiedzą, ponieważ w tym cholernym miejscu nie ma żadnych tajemnic. Co, u diabła, sobie myślałeś?

– Nie mam pojęcia. Cholera. Oddam je.

Alice nie odzywa się przez chwilę.

– Jesteś tam jeszcze?

– Nie masz mi za złe, że nadal mam pracę? Bo to będzie problem.

– Nie. Boże, nie. Ja po prostu potrzebowałem tych książek i nie pomyślałem. – Enola rzuca mi krzywe spojrzenie. – Bardzo mi przykro. Gdybym wiedział, że tobie się za to oberwie...

– Przestań przepraszać. Po prostu oddaj książki.

Myśl o powrocie do biblioteki po tym, jak zostałem zwolniony, była wystarczająco upokarzająca. Ale wracać ze skradzionymi książkami?

– Mogę ci je przywieźć dziś wieczorem.

– To będzie wyglądało znacznie gorzej, jeśli ja je oddam. – Wzdycha głośno. – Zanieś je do biblioteki, dobrze? Zrób to dla mnie. Co więcej, mój ojciec nalega, żebyśmy przyszli do nich na obiad, i to niedługo.

Wszystko jasne. Mam siedzieć naprzeciwko Franka i Leah, trzymając pod stołem

dłoń Alice. Chrząkam wymijająco.

– No, wiem. Będzie dziwnie. Cóż, przeżyjemy.

Rozłączyła się, co pewnie jest najlepsze, ponieważ cokolwiek bym powiedział, tylko pogorszyłoby sprawę.

Uderza mnie rehot Enoli.

– Jasna cholera – udaje się jej wydusić. – Jasna cholera. Wiem, czemu nie chcesz poprosić Franka o pieniądze. Ty przecież posuwasz Alice.

Peabody nie mylił się co do New Castle. Miasto było ośrodkiem handlu, kupcy i spedytorzy napływali rzeką z kieszeniami pełnymi pieniędzy, ulice i place zbudowane na wzór holenderskich zapełniali hodowcy, którzy właśnie spędzili bydło z Harnes Corner. Przed wojną była to stolica kolonii. Napływ Brytyjczyków i bitwy w okolicy Filadelfii spowodowały, że władze miasta uciekły do Dover, pozostawiając mieszkańców pogrążonych w melancholijnych wspomnieniach. Stanowili oni idealną klientelę dla wędrownego trupy cyrkowej.

Amos i Ryzkowa pracowali dzień i noc, dopóki tłum chętnych się nie przerzedził.

– Ci, którzy chcą żyć w minionym śnie jak w przyszłości... – stwierdziła Ryzkowa, popijając z kufła pienne piwo. Miała słabość do tego gorzkiego napoju. – Oni pragną, aby przeszłość i przyszłość były jednym. – Jej spojrzenie stało się łagodne i szkliste. Wkrótce wyciągnęła się na materacu i zaczęła pochrapywać.

Amos okrył ją kocem i ostrożnie odstawił kufel na bok tak, aby jej nie zbudzić. Nie mieli teraz klientów, więc był chwilowo wolny. Zbiornik Evangeline został opróżniony przed wyjazdem zaplanowanym na rano. Amos zrozumiał, że nadarza się mu niezwykła okazja.

Nie myślał o kłamstwie, kiedy szukał kart, ani o tym, że łamie obietnicę. Karta, którą chciał znaleźć, miała subtelniejszy wydźwięk i ufał, że Evangeline nie przestraszy się jej tak jak Kochanków. Siła. Obrazek na tej karcie przedstawiał piękną kobietę, której dłonie spoczywały na łbie lwa. Zwierzę patrzyło na nią z uwielbieniem, podczas gdy ona równocześnie głaskała je i ujarzmiła. Wyciągnął ją z talii i już zamykał wieko szkatułki, kiedy postanowił na wszelki wypadek wziąć również Królową Mieczy – ciemnowłosa kobieta o wyprostowanej sylwetce była nieco podobna do Evangeline. Lepiej być precyzyjnym. Ona musi zrozumieć.

Odkąd Amosowi udało się wydobyć z siebie ów skrzeczący dźwięk, sprawdzał swój głos jedynie po to, aby się przekonać, że nie jest w stanie wydać z siebie niczego, co brzmiałoby przyjemnie. Z początku Peabody zachwycił się staraniami Amosa i zaoferował mu pomoc. Usiadł naprzeciw chłopca i wyjaśnił mu właściwy sposób budowania dźwięku przy użyciu mięśni brzucha wypychających powietrze.

– Jak miech – powiedział, klepiąc się po brzuchu.

Brzuch Peabody'ego napełniał się i opróżniał, lecz kiedy Amos próbował to naśladować, wydobywał z siebie jedynie skrzeczące syczenie. Żadne ćwiczenia tego nie poprawiały. Próbowali nucenia, gwizdania, bzyczenia. Peabody był przeświadczony, że to napięcie języka powstrzymuje Amosa przed wydawaniem

dźwięków.

– To stukot w dole twojej piersi.

Pokazywał także ziewanie i zwijanie języka.

Amosowi przypomniało się, że lama miała taki sam wyraz pyska na moment przed splunięciem. Język Amosa nie chciał się podporządkować.

Entuzjazm Peabody'ego zaczął słabnąć.

– Ćwicz, mój chłopcze. Również cierpliwość – powiedział pewnego wieczora przed pójściem spać.

Potał oczy i odwiesił kapelusz na haczyk nad łóżkiem. Przy rondzie aksamit zaczął się wycierać i Amos wyobrażał sobie, że jego gardło w środku wygląda dokładnie tak samo.

– Nie da się opanować żadnej sztuki w ciągu kilkunastu godzin. Nie możesz się zniechęcać – powiedział i otworzył księgę, aby zanotować w niej wydarzenia dnia.

Karty Ryżkowej były więc dla Amosa najlepszą szansą, aby wyrazić to, co czuł. Trzymając wybrane arkana w ręce, miał wrażenie, że odnalazł w życiu cel ważniejszy niż zaspokajanie głodu.

Niepilnowany przez nikogo zbiornik Evangeline sechł, aby wkrótce pełnić funkcję mieszkania. Amos wetknął karty między klepki i opuścił ceratę tak, aby tylko Evangeline mogła je zobaczyć.

Następnie poszedł do wozu Cukrowego Kąska i usiadł u wejścia, aby czekać na powrót Evangeline. Żałował, że nie ma jabłka dla klaczki, ale jej wystarczyło, że głaskał ją po nosie. Nie przeszkadzał jej nawet zapach palonej szaławii. Amos uspokajał swoje zdenerwowane ręce, czesząc jej grzywę. Wkrótce obok wozu pojawił się Benno. Miasto zmęczyło go, nie szedł sprężyście, tylko powłóczył nogami w sposób typowy dla starców. Amos często przyglądał się przyjacielowi, który przeskakiwał z dłoni na stopy i z powrotem w niekończących się seriach, chodził na czubkach palców lub utrzymywał cały ciężar ciała na knykciach jednej dłoni. Benno robił to wszystko w taki sposób, jakby nie wkładał w to żadnego wysiłku. W rzeczywistości było zupełnie inaczej. Benno usiadł obok Amosa i zwiesił nogi.

– Myślę, że za dużo czasu spędzasz na obserwowaniu ptaków – zażartował.

Lekki akcent naznaczał każde jego słowo, wyostrzał spółgłoski. Nienaznaczony blizną kącik jego ust uniósł się w uśmiechu. Amos wyszczerzył się w odpowiedzi. Nie mógł wytłumaczyć, że jest w trakcie konwersacji z Evangeline, choć ona musi to dopiero odkryć. Wskazał na nogi Benna i zaczął naśladować jego obolały krok.

Krótkie westchnienie.

– No cóż, nie wszyscy jesteśmy tacy młodzi jak ty. Do tego dla ciebie każde miasteczko jest takie samo. A dla mnie? – Pokazał swoje dłonie pokaleczone i obtarte do żywego mięsa. Paznokcie miał czarne niczym nasiona słonecznika. –

Brukowana ulica nie jest tak przyjemna jak droga gruntowa.

Amos pomyślał o powykręcanych palcach Ryżkowej. Jego profesja również miała cenę. Wykrzywił kciuki, żeby pokazać je przyjacielowi.

– Masz jeszcze wiele lat przed sobą, zanim do tego dojdzie. Ta kobieta jest przynajmniej trzy razy starsza od ciebie. A jeśli już mówimy o kobietach – kontynuował. – Melina o ciebie pytała. Idź do niej. Może wpuści cię do swojego wozu? – Poklepał lekko Amosa po plecach. – Odwagi.

Amos potrząsnął głową.

– Syrena nie jest dla ciebie – powiedział łagodnie Benno. – Melina lub Susanna lepiej do ciebie pasują. To wesołe kobiety. Cichy mężczyzna potrzebuje kogoś takiego. Evangeline ciągnie za sobą smutek jak kot swój ogon.

Amos trącił ostro Benna w ramię, spoglądając na niego krzywo. Krótki, lecz wymowny gest. Benno nieznacznie skinął głową.

– Rozumiem. Tam, skąd pochodzę, niektórzy mówiliby na nią Nixie: pół ryba, pół kobieta. – Mimo cichego prychnięcia Amosa mówił dalej, lecz łagodniej. – Głupie, wiem, ale ona igra ze śmiercią, Amosie. I nie mówi nic o tym, skąd jest. Jest taka nić – tłumaczył, dotykając plamy na podłodze wozu. – Linia, która biegnie między żywymi a zmarłymi. Jest cienka i lubi się rwać.

Amos znalazł zajęcie dla swoich rąk na znak, że nie chce już rozmawiać. W milczeniu przyglądali się Natowi zarzucającemu płócienne pokrycie na wóz, naprężającemu okazałe mięśnie. I Melinie przy ognisku moczącej obolałe dłonie w wodzie z mydlinami. Później Nat wrócił do swojego wozu, a do Meliny przysiadła się Susanna i rozpoczęła błąhą pogawędkę. Po jakimś czasie Benno zszedł z wozu.

– Jesteś moim przyjacielem i jesteś dobry – powiedział cicho. – Lepszy niż trzeba. Zostałem nauczony, żeby szukać łagodnych dusz, ponieważ nie potrafią one o siebie zadbać. – Na moment jego oczy stały się poważne. Szybko pojawił się jednak charakterystyczny dla niego asymetryczny uśmiech. – Za dużo gadam. Wybacz – powiedział i zaczął iść w kierunku swojego wozu, kulejąc. – Bądź dzielny. Wesołe kobiety są dobre dla dobrych dusz.

Amos czekał.

Nadeszła od strony miasta, niosąc w fartuszkach niebieskiej sukienki kilka buteleczek. Amos pamiętał, że ta sukienka kiedyś należała do Susanny. Evangeline wyglądała w niej zdecydowanie lepiej. Skórę miała zaróżowioną, pasma włosów wiły się wokół jej twarzy. Ładniej wyglądała tylko wtedy, kiedy w białym stroju poruszała się pod wodą. Uśmiechał się aż do momentu, kiedy przeszła przez cały obóz i zapukała do drzwi Nata. Siłacz otworzył. Amos wytężył słuch. Evangeline podała buteleczki siłaczowi – olejki i maści na ból pleców. Wiedział, że Nat już ich wcześniej używał: mentol, olejki ziołowe, maści o ostrym zapachu do wcierania

w skórę. Wymieniali uprzejmości, a on poczuł gorycz w ustach. Nat się nawet roześmiał. Amos z wysiłkiem odwrócił wzrok. Cukrowy Kąsek szturchnęła go nosem w plecy, tym razem jej dotyk nie przyniósł pociechy.

Ponieważ wciąż miał odwrócony wzrok, nie mógł zobaczyć, że Nat dość szybko zamknął drzwi, a Evangeline wróciła do swojego zbiornika. Czuł się głupio, że nie zabrał kart, nie odniósł ich Ryżkowej i nie uznał, że wszystko skończone. Zwinął się w kłębek przy ścianie i zamknął oczy. Oddychał powoli, nasłuchując. Spowalniał oddech, próbując wtopić się w ścianę. Pomimo mocno zaciśniętych powiek widział, jak Evangeline podawała Bennowi ciemną buteleczkę, jak ich palce się zetknęły. Ukłucie w sercu. Słyszał swoje imię. Najpierw nawoływane pod wozem Ryżkowej, później Susanny. Evangeline go wołała.

Melina coś mówiła. Nie mógł rozróżnić słów. Dźwięk jego imienia stopił się z trzaskaniem drew w ognisku. Jeśli zostanie tutaj, może ona go nie znajdzie. Później ukradnie jej karty. Miał zręczne palce, ciche stopy i poruszał się tak szybko, że z pewnością by jej nie zbudził. Chociaż Evangeline i tak by się wszystkiego domyśliła.

Cukrowy Kąsek zaczęła żuć skrawek jego chustki, więc odsunął jej pyszczek. Nie mógł znieść myśli, że zostanie wyśmiany. Już czuł się chory. Słyszał Evangeline rozmawiającą z Susanną. Jeśli on nic nie zrobi, ona potraktuje karty jako przejaw szaleństwa niemowy. Klaczka trącała go chrapami. Jeśli on spróbuje pokazać Evangeline, o co mu chodzi, ona zrozumie. Nie musi go kochać, ale musi zrozumieć. On będzie wtedy lwem. Obrócił się twarzą do drzwi i uderzył pięścią w deskę. Uderzał tak, dopóki nie zobaczył, że Evangeline idzie ku niemu w poszukiwaniu źródła hałasu. Czekał i patrzył. Siedział z podwiniętymi nogami, jakby przygotowywał się do odczytania kart. Evangeline dostrzegła go, jej twarz miała wyraz, którego Peabody mu nie objaśnił. Zobaczył karty w jej ręku i nie mógł sobie przypomnieć, co zamierzał dzięki nim zyskać.

– Tutaj jesteś – powiedziała, kiedy doszła do wozu. – Schowałeś się przede mną?

Wstał, potrząsnął głową i wskazał na Cukrowy Kąsek.

– Dobrze się z nią obchodzisz. Powiedziałabym, że jesteście przyjaciółmi.

Wzruszył ramionami, przestępując nerwowo z nogi na nogę.

Evangeline spojrzała na karty.

– Zostawiłeś je dla mnie? – Jej głos był zdecydowany, ale nie niemiły.

Przytaknął. Nie będąc w stanie spojrzeć jej w oczy, wpatrywał się w Królową Mieczy. W ustach mu zaschło, jego język był jak z ołowiu.

– Przykro mi – powiedziała. – Są piękne, ale nie mogę ich zatrzymać. Jestem pewna, że madame Ryżkowej by ich brakowało. – Ponieważ Amos nie wykonał żadnego ruchu, dodała: – Nie chciałabym, żeby była na ciebie zła. Jest raczej przerażająca. – Nadal pozostawał w bezruchu. – Jesteś dla mnie miły. – Pochyliła

się, by położyć karty obok niego.

Spojrzał na karty i zrozumiał ich znaczenie. Całe dnie i noce jego palce ich dotykały, poznały je lepiej, niż on zdawał sobie z tego sprawę. Położył dłoń na dłoni dziewczyny i przycisnął karty ich wspólnym ciężarem.

– Amos, nie zatrzymam ich.

Ostrożnie wziął od niej karty, starając się ponownie jej nie dotknąć, żeby nie stracić panowania nad sobą.

Zanim zdążyła wyjść, uniósł Królową Mieczy, aby mogła ją zobaczyć. Wskazał na czarne włosy namalowanej kobiety i dotknął włosów Evangeline o tej samej barwie. Chociaż bardzo się starał, jego palce drżały. Jej włosy były tak gładkie, jak to zapamiętał.

– Według ciebie jestem do niej podobna?

Chodziło o coś więcej, ale przytaknął. Pokazał jej drugą kartę, Siłę. Wskazał na kobietę, która ujarzmiła lwa, wodząc opuszką po jej kunsztownie namalowanej dłoni. Teraz już pewniej. Evangeline nie uciekła. Przygryzł policzek i dotknął jej dłoni, muskając knykcie. Pokazał jej pomarańczowobrazową grzywę lwa i przycisnął rękę do swojej piersi.

– Nie rozumiem.

Nadal jednak nie uciekła. Jakże był z tego zadowolony.

Położył kartę na podłodze i przykucnął. Evangeline aż się wzdrygnęła na ten gwałtowny ruch. Podniósł otwartą dłoń, dając jej do zrozumienia, aby poczekała. Tak też zrobiła. Padł przed nią na kolana i podniósł na nią wzrok. Wziął jej dłonie w swoje i położył je sobie na głowie.

Ile czasu tak trwali – w ciszy i bezruchu – żadne nie było pewne.

Evangeline cofnęła dłonie, Amos wstał.

– Ty jesteś lwem?

Przyłożył głowę do jej ramienia. Ona objęła go pocieszającym gestem kobiety z karty.

– A ja...

Dała wyraz temu, co do niej dotarło, za pomocą krótkiego „Och”. Było to już bez znaczenia. Jej gest przemówił za nią.

Później w ciemności pustej syreniej beczki uwolnili jego włosy z upięcia. Evangeline dziwiła się ich jedwabistości i barwie. Amos nie zorientował się, że uważała je za piękne. Jego myśli rwały się i zapanował w nich chaos. Zaabsorbowały go bowiem krzywizna między jej biodrem a talią, słodko-słony smak skóry na nadgarstku, aksamitnie miękka wewnętrzna strona ramienia, trzepotanie pulsu u nasady szyi. Choć wiedział, że ciała zostały stworzone do głodu, do trudu, do biegu i do pracy, nie zdawał sobie wcześniej sprawy, że mogą nawzajem dostarczać sobie takich odczuć. Wcześniej tulił Evangeline, aby ją

pocieszyć i uspokoić, teraz ona trzymała go w ramionach, aby nasycić się i zaspokajać pragnienia. Bał się, że krzyknie, wyda ten okropny dźwięk jak wtedy w lesie. Na szczęście pozostał niemy.

Później leżeli bezwolnie na posłaniu osłonięci przez klepki zbiornika. Evangeline przejechała ostrym końcem paznokcia po jego obojczyku. Jak to dobrze, że ludzie, podobnie jak domy, mają swoją strukturę i że jest ona taka piękna. To, co zrobiła z Amosem, Will Aben chciał zrobić z nią. Gdyby nie rozmawiała z Willem, nie poznałaby mężczyzny, z którym teraz leżała. „Jestem morderczynią”. Kiedy przeszedł ją dreszcz, ramię Amosa objęło ją mocniej. „Morderczynie, która sypia z lwem”. Uśmiechnęła się. Wtuliła policzek w zagłębienie między jego ramieniem a piersią.

Amos nie spał, kiedy brzask wsączał się przez szparę w płótnie. Mógł przysiąc, że jego skóra nadal płonęła od dotyku Evangeline, który przyniósł mu rozkosz tak wspaniałą, że przyćmiła wszystko inne. Z jednym wyjątkiem. Uśmiechnął się z twarzą w jej włosach. Nigdy nie przypuszczał, że poczuje się kiedyś aż tak szczęśliwy. Znalazł sposób, żeby przemówić.

– Ile czasu trwa uzyskanie zgody?

Po drugiej stronie Kath Lanning popija herbatę.

– Od kilku miesięcy do roku. Musi przejść przez komisje zagospodarowania gruntów i podziału na strefy. Znasz miasto.

Nie musi tego mówić: „Długo”.

– Do wykonania prac, o których mówisz, potrzebujesz badania dotyczącego wpływu tych prac na środowisko.

– Więcej pieniędzy – przekładam słuchawkę do drugiego ucha.

– Muszę być z tobą szczerą. Możemy ci pomóc w uzyskaniu przez twój dom statusu zabytku. Tylko że Towarzystwo Historyczne nie ma takich pieniędzy, jakie są ci potrzebne. Jesteśmy tylko we trójkę: ja, Betty i Les. Pracujemy za darmo. Najlepszym rozwiązaniem dla ciebie będzie pożyczka.

– Dzięki, Kath, za to, że poświęciłaś mi czas.

– Życzę ci powodzenia. Dom Timoty’ego Wabasha był śliczny.

Tak, taki był. Rozłączam się pozbawiony nadziei, jaką miałem jeszcze dziesięć minut wcześniej.

Do pokoju wchodzi Enola. Wciera sobie we włosy jakieś mazidło, które sprawia, że sterczą we wszystkie strony. Wybieramy się na obiad do McAvoyów. Proponowałem wyjście do restauracji, ale Frank ani nawet Alice nie chcieli nawet o tym słyszeć. Alice poinformowała mnie o tym zeszłego wieczora w The Oaks podczas naszych wspólnych zakrapianych alkoholem narzekania.

– Tata cały czas mówi o tym, jak rzadko Enola bywa w domu. Dla niego jest po prostu nie do pojęcia, że nikt ci nigdy nie ugotuje porządnego posiłku. Czy chociaż zapytał mamę o zdanie? Nie. Po prostu zarządził przyrządzenie obiadu dla gości.

– Enola jest ze swoim chłopakiem. – Skrzywiłem się, wychylając łyżką. Zdecydowanie to coś dla osób świeżo zwolnionych z pracy.

Alice westchnęła.

– Jasne, oczywiście. Dodatkowy gość to nie problem. Może odwróci uwagę taty.

– Od czego?

Uniosła brew.

– Mama powiedziała, że kolacja będzie na siódmą trzydzieści. Pasuje?
Okręciłem koniuszek jej warkocza na swoim palcu i lekko pociągnąłem.
– Pasuje.

Kiedy mówiliśmy sobie dobranoc, Alice powiedziała:

– Dziwnie jest w pracy bez ciebie. – Jakby nasza ją właśnie taka refleksja.

Frank z pewnością zapyta o Pelewskiego i o dom. I dowie się, że jego bezrobotny sąsiad spotyka się z jego córką i potrzebuje ćwierć miliona dolarów.

Enola i ja czekamy, aż Doyle się ogoli. Moja siostra zapełnia sobie czas, wyskubując wypełnienie kanapy i rzucając je na jedną z moich koszul.

Tak dawno jej nie widziałem, że każda zmiana wydaje się ogromna: to, że ścięła włosy, że jest taka chuda i że wpada w trans. No i ten jej chłopak... Kiedy zajrzałem do niej zeszłego wieczora, siedziała nad kartami, podczas gdy Doyle pochrapywał na jej łóżku. Nie, ona nie posługuje się tarotem marsylskim ani Waite'a. Karty są inne, lecz jakoś znajome. Bez skutku próbowałem przyciągnąć jej uwagę. Była całkowicie pochłonięta ich rozkładaniem.

– Enola, wszystko w porządku?

Kolejny kawałek pianki ginie w jej dłoni.

– Tak, a u ciebie?

– Czy mogę o coś zapytać?

– Nie, choć wiem, że i tak to zrobisz.

– Twoje karty wyglądają na bardzo stare. Moja księga... Churchwarry nie wie o niej właściwie nic, ponieważ zakupił ją wraz z większym zbiorem. Moja księga przypomina mi twoje karty, mają podobny stopień zużycia. Zastanawiałem się, skąd je masz.

– Może on po prostu nie chce ci nic o niej powiedzieć – mamrocze pod nosem Enola. – Karty należały do mamy.

Czyli to są te karty, którymi zajmowała się mama, kiedy tata błagał ją, aby przestała.

– Nie wiedziałem, że tata ci je dał.

– Bo nie dał. Dostałam je od Franka.

Enola ani na chwilę nie przerywa metodycznego patroszenia kanapy.

– Czemu on je miał?

– Musiałbyś go o to zapytać. Dał mi je przed moim wyjazdem.

Czyli tuż przed tym, jak mnie porzuciła.

– Kiedy mam się spodziewać, że zaczniesz robić w domu smród?

– Co?

– Palisz szałwię, aby oczyścić karty, prawda?

Wywraca oczami.

– To jest okadzanie i nie trzeba tego robić za każdym razem.

– Musisz jednak to robić.

– Nie pracuję tymi kartami. Karty gromadzą energię ludzi i budują historię. Mówisz do kart, one mówią do ciebie. Tych nie okadzam, ponieważ jesteśmy w trakcie rozmowy.

Myśl o rozmowie z kartami mamy jest niepokojąca.

– O czym rozmawiacie?

– O tobie – odpowiada, szczerząc się jak rekin.

Świeżo ogolony Doyle wychodzi z łazienki. Choć zabieg ten niewiele mu pomógł, naszym oczom ukazał się dowód, że pod warstwą tuszu znajdował się całkiem przystojny młodzieniec ze Środkowego Zachodu.

– Hej, gotowi? – pyta, patrząc to na mnie, to na Enolę, jakby wyczuwał, że coś jest nie tak.

– Jasne! – Enola rzuca się na niego, cmokając go głośno tuż nad uchem.

– Powiedzieliście, że przyjdziecie ze mną, tak? – dopytuje się Doyle. – Przygotowaliście ich trochę?

– Na co? McAvoyowie są mili – mówi Enola.

Doyle spogląda na mnie, troska ściąga macki na jego twarzy.

– Niektórzy dziwnie reagują na tatuaże.

Myślę o tym wszystkim, czego Frank dowie się podczas kolacji.

– Jestem pewien, że nie będzie problemu.

Idę za nimi po zwirowym podejździe na drugą stronę ulicy do domu McAvoyów. Białe deski, płotek, świeżo pomalowana weranda i tabliczka oznajmiająca, że był to dom Samuela L. Wabasha wybudowany w 1763 roku. Na podwórku stoi huśtawka, którą tata pomagał zbudować dla Alice.

– Wygląda jak dom mojej mamy – mówi Doyle, wystawiając czubek języka w kąciku ust.

W jednym z okien frontowych opada żaluzja. Żona Franka trzyma lornetkę na parapecie, aby wiedzieć, kto przychodzi i wychodzi. Prawdopodobnie to ona poinformowała Franka o tym, że moja rynna odpadła.

Enola pierwsza wchodzi na ganek. Przez chwilę w jej spojrzeniu maluje się groza, ale znika, kiedy Doyle się zbliża.

– Hej – mówię do niej.

– Co? – odpowiada, i jest to „co”, które ucina wszelką rozmowę.

Drzwi się otwierają. Enola ściska Franka.

– Za długo cię nie było, Enola, zdecydowanie za długo – mówi Frank.

Macham do Leah, która trzyma się z boku. W odpowiedzi uśmiecha się i grzecznie mówi „cześć”. Nigdy nie była wobec nas tak ciepła jak jej mąż. Frank gapi się na Doyle’a. Mruga kilka razy, zanim przywita się i z nim, nie przestając się gapić. Na korzyść Doyle’a należy odnotować, że najwyraźniej mu to nie

przeszkadzało. Człowiek Żarówka wyciąga rękę na powitanie.

– Doyle Bartlett.

Nigdy nie spytałem go o nazwisko. Właściwie założyłem, że „Doyle” to jego nazwisko.

– Frank McAvoy, miło mi poznać. – Uścisk dłoni trwa zdecydowanie za długo. Chrząkam znacząco i Frank puszcza jego dłoń. – Nie ma sensu stać na werandzie. Leah jest prawie gotowa z obiadem – oznajmia, drapiąc się po spieczonym nosie. – Alice czeka w środku.

– Świetnie.

– Dobrze mieć was wszystkich pod jednym dachem – mówi, poklepując mnie po ramieniu. Wchodzę za nim. Jest tu zupełnie jak u mnie: salon po prawej, pod ścianą stoi w nim kanapa, kuchnia z tyłu domu, po lewej korytarz prowadzący do trzech sypialni – tyle że dom Franka jest zadbane. Ściany są bladożółte, niepopękane i pełne zdjęć Alice. Przy drzwiach wisi fotografia z dnia ukończenia liceum. Alice stoi w tylnym rzędzie – najwyższa z dziewczyn. Teraz krząta się w kuchni, odwleka moment konfrontacji. Nie spodziewa się, jak bardzo krępujące będzie to spotkanie. Macha do mnie. Po chwili dostrzega Doyle’a. Bezgłośnie porusza ustami z idealną dykcją: Co to?

Kolacja jest oficjalna. Leah wyciągnęła odświętną porcelanę, co czyni posiłek jeszcze bardziej sztywnym. Enola skubie koronkowy obrus. Jemy srebrnymi sztućcami, pijemy kranówkę z kryształów, które źle leżą w zielono-czarnych dłoniach Doyle’a.

Z Alice emanuje zdenerwowanie. Ze mnie prawdopodobnie też. Leah posadziła nas obok siebie i nasze kolana się stykają. Pod stołem Alice spleta palce z moimi. Pamiętam tę Alice ze zdjęcia zrobionego na zakończenie liceum, jak również to, że śmiała się z błahostek. Koło mnie siedzi inna osoba, nawet nie jest to uśmiechnięta kobieta pracująca w bibliotece. Tutaj Alice jest córką. Rzuca ukradkowe spojrzenia na Doyle’a, który ją na tym przyłapuje. Wtedy ona oblewa się rumieńcem i to jest piękne.

Minęło trochę czasu, odkąd ostatnio widziałem Leah. Ona się nie zmienia, nadal ma długie rude włosy spięte w kucyk. Możliwe, że je farbuje. Rysy jej twarzy trochę się rozmyły, gdzieniegdzie skórę przecina zmarszczka, ale jest to ta sama Leah, którą pamiętam sprzed lat. Teraz otwarcie gapi się na wytatuowanego chłopaka siedzącego naprzeciw niej.

– Bolało, kiedy mi je robiono – wyjaśnia Doyle. – Pokrywają całe moje ciało. Najgorszy jest moment, kiedy igła trafia na kość. Po jakimś czasie człowiek jakby traci czucie i nie jest tak źle.

– Och – mówi Leah. – Nie chciałam się gapić.

– W porządku. Nic się nie da na to poradzić.

– Dlaczego tak dużo?

– To trochę hobby, może raczej uzależnienie – tłumaczy nieco głośniejszym głosem. – Myślisz, że zrobisz sobie tylko jeden. Tylko że on zaczyna wyglądać naprawdę dobrze z kolejnym... Zanim się zorientujesz, chcesz mieć nimi pokryty każdy skrawek ciała. Żałuję, że nie mam już miejsca. Niektórzy nie lubią swojej skóry, wiesz? – Palcami wkłada kawałek brokuła do ust. – Ja swoją wybrałam.

– Ja jestem skazana na swoją – odpowiada Leah. – Coś straszego. Po pięciu minutach na słońcu jestem zupełnie spieczona.

– Faceci lubią piegi – mówi Doyle. – Sama prawda.

Na twarzy Leah powoli pojawia się uśmiech.

– Wiem.

Chwilę później śmieje się na głos i ożywiona rozmawia z Człowiekiem Żarówką. Enola wtrąca się od czasu do czasu. Alice siedzi cicho, cały czas gładzi moją dłoń. Nie powiedziała o nas swoim rodzicom. Powinienem się z tego cieszyć, ale tak nie jest.

– Wpadł do ciebie Pelewski? – pyta Frank między jednym a drugim kęsem pieczeni z warzywami. – Mówił, że wpadnie.

Enola patrzy na mnie z błyskiem w oku. Odkładam srebrne sztućce.

– Tak. Dobrze się wszystkiemu przyjrzał.

– Mój znajomy fachowiec – Frank wyjaśnia Alice. – Dobry z niego gość. Naprawił nam dach w zeszłym roku. Co ci powiedział?

Nie ma łatwego sposobu, żeby to przekazać. Powolne odklejanie plastra jest tak samo bolesne jak zerwanie go.

– Sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Na początek. Za wszystko raczej bliżej dwustu pięćdziesięciu tysięcy.

Czuję, że Alice sztywnieje. Na tapecie tuż nad lewym uchem Franka znajduje się niebieski kwiatek. Przyglądam się jego płątkom. Mówię do nich.

– Co?

Powtarzam liczby. Leah i Doyle milkną.

– To nie remont, ale cholerna hipoteka – mówi Frank.

– Wiem.

– Nie masz tych pieniędzy.

– Dzwoniłem do Towarzystwa Historycznego.

W tym momencie powinienem go poprosić o pożyczkę. Nie mogę. Nie wtedy, kiedy Alice siedzi obok. Czuję, że puściła moją dłoń.

Frank sięga po wodę, przeżuwa kilka kęsów i wbija wzrok w talerz.

– Cóż, nie możemy pozwolić, żeby dom tak po prostu się rozpadł. – Kładzie dłonie na stole, jakby decyzja zapadła. – Dam ci trochę pieniędzy, powinno starczyć na początek. Poczekaj dzień lub dwa, żebyśmy wszystko przygotował.

– Frank – mówi cicho Leah.

– Tato. – Nigdy nie słyszałem, żeby Alice tak syczała.

– Nie byłoby w porządku zostawić tak ten dom. Paulina i Dan go kochali.

Chce ratować ten dom dla moich rodziców, dla zmarłych. Powinienem odmówić.
Nie mam jak.

– Oddam ci.

Alice odsuwa swoje krzesło i wbija jego nogę w moją stopę. Uderzam kolaniem w stół. Sos wylewa się z sosjerki.

– Pójdę zrobić kawę – mówi Alice i znika w kuchni.

Enola i Leah wbiły wzrok w swoje serwetki.

– Zobaczę, czy nie trzeba jej pomóc – mówię.

Idąc do kuchni, słyszę, co Doyle mówi do Franka:

– To wielka rzecz, człowieku. Wielka. Dobry z ciebie gość.

Alice stoi obok zlewu i miele kawę w dużym ręcznym młynku. Refleksy świetlne drgają na delikatnej krzywiznie jej ramienia, kiedy kręci rączką. Jeśli można mleć kawę w smutny sposób, Alice się to właśnie udaje. Ma opuszczone ramiona, wygląda, jakby przygniatał ją jakiś ciężar, a jej ruchy są wymuszone. Pod pachami żółtej bluzki dostrzegam wilgotne plamy, włosy na karku kręcą się, mokre od potu. Znam ten słodko-słony smak. Mam stare wspomnienie Alice w zielonej spódnicy do hokeja na trawie, zwłaszcza jej piegów widocznych nad ochraniaczami na łydki. Mam też całkiem świeże wspomnienie Alice leżącej w łóżku ze stopami zawiniętymi w różowe prześcieradła i dołeczkami u podstawy kręgosłupa.

– Hej, wszystko dobrze między nami?

– Nie powiedziałaś mi o fachowcu. Nic mi nie mówisz. Rozmawiasz z moim tatą, ale nie ze mną. – Nie przerywa mielenia. – Planowałaś poprosić go o pieniądze?

– Nie – zaprzeczam, choć wiem, że kłamię. – Chyba że nie będę miał innego wyjścia.

– Rodzice nie mają wiele i nie chcę, żebyś im to zabierał.

– Wiem.

– Nie mogę sprawić, żeby nie dawał ci tych pieniędzy, tak samo jak nie mogę go powstrzymać przed żadną inną głupotą. Mogę cię jednak prosić, żebyś nie przyjmował tych pieniędzy.

– Przepraszam.

– Zawsze przepraszasz. – Alice odmierza łyżeczkami grubo zmielonego czarnego proszku i wsypuje je do kafetieri.

– Nie sądziłem, że Frank proponuje mi pieniądze.

Opieram się o chłodny blat, aby nachylić się ku niej. Obiecuję oddać pożyczkę, choć wiem, że to obietnica bez pokrycia, ponieważ kwota powoduje zawrót głowy. Jeśli Frank zapłaci, jeśli pomoże choć trochę, będę jego dozgonnym dłużnikiem.

– Nie o to chodzi.

– Widziałaś mój dom, wiesz, że nie mam niczego.

Czuję, że z każdym moim słowem Alice oddala się ode mnie.

– Wiesz, mógłbyś stąd wyjechać, znaleźć pracę gdzie indziej. W college'ach są zbiory rzadkich książek, w Waszyngtonie jest całe mnóstwo archiwów i muzeów. – Jej głos staje się łagodniejszy. – Mogłabym ci pomóc.

– Rozglądałem się. W Savannah szukają opiekuna starych rękopisów. To interesujące miejsce, oddział towarzystwa historycznego zajmującego się osadnictwem na terenach Georgii. Mają diariusz z podróży kajakiem z 1654 roku, w którym znajduje się opis całego wybrzeża w stanie niemal pierwotnym. To daleko, ale...

– Georgia – mówi, podkreślając dwoma sylabami tę sporą odległość.

Nie mogę spytać, czy pojechałaby ze mną, choć widzę ją pochyloną nad książką lub zwiniętą w zmiętej pościeli – w naszym mieszkaniu. Wyobrażam sobie, że się budzę: ona leży przytulona do mnie plecami, a ja nie czuję strachu, że sufit spadnie mi na głowę.

Z salonu dobiega przekleństwo wypowiedziane przez Enolę. Zerkam i widzę, że wyciera rozlaną wodę. Za chuda. Błada. Nerwowa.

– To dom moich rodziców.

Plecy Alice sztywnieją.

– Mogłabym coś powiedzieć, wiesz. Mogłabym mu naopowiadać takich rzeczy, że nic by ci nie dał. Mogłabym mu powiedzieć, że mnie przeleciałeś i niemal doprowadziłeś do mojego zwolnienia. Nie dałby ci ani centa.

Ubija zmieloną kawę małym ciężarkiem. Towarzyszy temu miękki, głuchy odgłos. Groźba.

– Mogłabyś.

– Nie zrobię tego.

Napełnia kafetierę wodą i podłącza ją do prądu. Staje przy mnie tyłem do okna.

– Nie zrobię, ponieważ znam cię całe życie, a pewnych rzeczy nie robi się ludziom, których zna się tak długo. Miej to w pamięci. – Krawędzie naszych dłoni się stykają. – Jeśli weźmiesz pieniądze taty, to tylko dlatego, że ci pozwolę.

– Nie chcę cię ranić. Naprawdę mi przykro.

– Nie jestem zraniona. I wolałabym, żebyś tak nie mówił.

Jej obecność jest jak bicie serca. Żałuję, że nie mogę cofnąć się do tego wieczoru, kiedy jedliśmy kolację w La Mer: nie odebrałbym telefonu od Enoli. Żałuję, że wziąłem książki z biblioteki, że w ogóle wyszliśmy z łóżka. Żałuję tego, co powiedziałem lata temu.

– Siedziałaś za mną na lekcjach francuskiego. Jeśli próbuję przypomnieć sobie ten język, zawsze słyszę, jak odmieniasz czasowniki. Słyszę cię cały czas.

Miała dobry akcent. Madame Fournier zazwyczaj prosiła ją, żeby recytowała przed całą klasą: *Je suis, tu es, il est, elle est, nous sommes*.

– Przestań – mówi, potrząsając głową. – Lubię cię, Simonie, ale wolałabym teraz na ciebie nie patrzeć.

Ściągnąłem rękę z blatu.

– Przepraszam, ja tylko...

– Wykorzystujesz mojego ojca. On nigdy nie doszedł do siebie po tym, co stało się z twoimi rodzicami. Nie masz pojęcia o całych latach, kiedy musiałam wysłuchiwać o Paulinie i Danie, Danie i Paulinie. Zdajesz sobie sprawę, jaki wpływ mają na twoje życie, nigdy nie przyszło ci na myśl, że prześladują również mnie.

Po raz pierwszy, odkąd wszedłem do kuchni, Alice patrzy na mnie. Jest spokojna i rzeczowa.

– Więc jeśli weźmiesz te pieniądze, a weźmiesz je, wiedz, że bierzesz je od starego człowieka, który ma obsesję na punkcie swoich zmarłych przyjaciół. Dużo ode mnie wymagasz.

– Nie mam wyboru.

– Masz. Możesz wyjechać. – Bierze głęboki oddech. – Myślę, że może powinienes. Może ja powinnam. Myślałam... Zapomnij.

Bulgotanie kafetieri wypełnia ciszę. Wpatruję się w czoło Alice. Stoi tak prosto, że czuję się przy niej zupełnie pokrzywiony.

– Chciałabym, żebyś zostawił mnie teraz samą. – Mówi to słodkim głosem, co tylko pogarsza sprawę.

Wracam do salonu. Enola opowiada Leah o zwierzęcych namiotach na Florida State Fair. Doyle kończy jeść i na szczęście posługuje się widelcem. Alice przynosi kawę, jakby nic się nie wydarzyło. Reszta posiłku przebiega bez problemów. Tylko ja cały czas czuję ogromny wstyd. Kolacja dobiega końca. Leah wzdycha i zaczyna sprzątać filiżanki po kawie. Alice podnosi się, żeby jej pomóc, a Enola i Doyle pędzą do drzwi.

– Simonie, zostań – prosi Frank. – Napij się ze mną piwa.

– Nie, nie. Muszę wracać. Zadzwoń jutro.

W końcu siedzę jednak na werandzie, sącząc piwo.

– Nie będę się dobrze czuł, jeżeli wezmę od ciebie pieniądze.

– Co innego zrobisz? Nie można pozwolić, żeby dom się rozpadł. – Pociąga łyk z butelki. – Spłacisz to jak pożyczkę.

Nie chcę już rozmawiać o pieniądzach.

– Enola powiedziała, że dałeś jej talię kart mamy.

– A dałem? – Drapie się po głowie.

– Dałeś. Tuż przed jej wyjazdem.

– Ach, pamiętam. Wydawało mi się, że one ciebie nie interesują. Enola przyszła

i powiedziała, że zamierza podróżować tak jak niegdyś wasza mama. – Obaj podnosimy butelki do ust w tym samym momencie. – Czułem, jakbym oddawał je z powrotem Paulinie.

– Dlaczego nie były u taty?

– Ja i Paulina byliśmy bardzo zżyci. Przyjaźniłem się tak samo z nią, jak i z twoim tatą. Znałem ją jeden dzień dłużej niż twój tata. To dzięki mnie się spotkali. – Stuka stopą: puk, puk, puk, i wyciąga z siebie tę historię. – To było cholernie gorące lato. Nikt nie pływał łódką, ponieważ słońce parzyło od razu tak, że aż skóra pękała. Trupa twojej mamy przyjechała do miasteczka. Nie pamiętam, jak się nazywała.

– Carnival Lareille.

– Lareille, zgadza się. Nie radzę ci się starzeć. W moim wieku zdążysz zapomnieć więcej rzeczy, niż się do tej pory nauczyłeś. – Opróżnia swoją butelkę i patrzy przez ulicę na światła pulsujące w salonie mojego domu. To Doyle w akcji. – Pomyślałem, że ochłodzę się na karuzeli, napiję piwa, może poznam jakąś dziewczynę. Zobaczyłem kolejkę przed namiotem, w którym przepowiadano przyszłość. Nie miałem nic do stracenia, wszedłem. W środku zobaczyłem ją. Najpiękniejszą dziewczynę na świecie. Twoja mama miała oszałamiającą urodę.

Znam tę opowieść od taty. Następnego wieczoru Frank zabrał go na przedstawienie. Mama tym razem była syreną w szklanym zbiorniku wstrzymującą oddech na niewiarygodnie długi czas. Tata pokochał ją od pierwszego wejrzenia.

– Co ci powiedziała?

– Że znajdę dobrą kobietę i moje życie się ułoży, „choćbyś dryfować niczym łódka”. Była dobra. – Wstaje, przeciąga się i stawia pustą butelkę na poręczu werandy. – Twoja mama dała mi karty, zanim... – Wskazuje gestem na wodę. – Wydaje mi się, że w ten sposób chciała się pożegnać. Szkoda, że nie wiedziałem.

Ze mną też się pożegnała i ja również się nie zorientowałem.

– Zachowywała się jakoś dziwnie?

Frank kaszle.

– W przypadku twojej matki „dziwnie” to pojęcie względne. Gdyby mnie lub twojemu tacie jej zachowanie wydało się podejrzane, bylibyśmy w stanie nawet ją związać. – Patrzy na moje piwo i mruży: – Dokończ. Pokażę ci warsztat i porozmawiamy o tym, jak mnie splacisz. Dałbym ci pieniądze od ręki, ale Leah by mnie zabiła, o ile Alice wcześniej nie obdarłaby mnie ze skóry. Coś jest między wami? Przez cały wieczór wyglądała, jakby chciała cię zamordować.

– Nic mi o tym nie wiadomo. – Już nie.

Frank prowadzi mnie za dom do dużej stodoły, którą przerobił na warsztat.

Znam to miejsce, ale nigdy nie byłem w środku, nikt by mnie tam nie wpuścił,

kiedy byłem dzieckiem. Wzdłuż ścian ułożone są imadła, tokarki, piły oraz inne narzędzia, których zastosowania się nie domyślam. Na końcu stoją dwa stoły kreślarskie. Frank opiera się o jeden z nich. Na środku pomieszczenia znajduje się szkielet łodzi oczekujący na powłokę.

– Słup? – pytam, wskazując na konstrukcję.

– Za małe na słup. Łódka płaskodenna, przynajmniej w zamierzeniu. – Odnotowuje coś na planie. – Nauczysz się. Możesz odpracować u mnie pieniądze, robić pierwsze części wykończenia, kłaść pierwsze warstwy uszczelniające, nic skomplikowanego. Jeżeli znajdziesz pracę, możesz przychodzić w weekendy.

Alice musiała mu powiedzieć, że mnie zwolnili. Nie powiedziałem jej nic o domu ani o pieniądzach – złamałem więcej zasad niż ona – ale do tego powinienem móc przyznać się Frankowi osobiście.

Za stołem kreślarskim, tuż za głową Franka, na całej długości ściany wisi coś niezwykłego: ogromna, ciemnopurpurowa zasłona. Wszystko wskazuje na to, że jest z aksamitu. Coś w niej przypomina mi szkice z książki. Zasłony zaciągane nad klatką, draperie wewnątrz wozów.

– Skąd to masz?

– Co?

– Tę kurtynę teatralną.

Przy dolnej krawędzi znajduje się obciążający łańcuch, co pozwala na całkowite odcięcie dopływu światła. Kurtyna wydaje się całkowicie nie na miejscu w tym warsztacie. Rozglądam się i widzę serię niewielkich portretów w owalnych ramach wiszących na ścianie. Krewni? Jest w nich coś mgliście słowiańskiego – wąsy mężczyzn, łukowate brwi kobiet.

– W letnie popołudnia chroni plany przed słońcem, zimą osłania przed przeciągami. Była w pudle rzeczy po moim tacie. Portrety też są stamtąd.

– Pamiątki rodzinne zatem.

Wzrusza ramionami.

– Można tak powiedzieć.

– Wiesz coś o nich?

– Nie. Nigdy nie interesowałem się pamiątkami. Rzeczy to rzeczy, wiesz? Po prostu mi się podobają. Sprawiają, że to miejsce wygląda trochę milej, przytulniej.

Stukanie do drzwi. Leah przyniosła więcej piwa. Odmawiam, ale butelka i tak trafia do mojej ręki. Leah nachyla się, żeby pocałować męża w policzek i strzepnąć trociny z jego rękawa, gest wykonany z przyzwyczajenia. Przez okno widać Sound aż do samego portu. Światła promu niespiesznie płynącego do Middle Ground Light i dalej do Connecticut. Ludzie spędzają całe swoje życie, pływając w tę i z powrotem po tych samych wodach. Ruszają się, ale pozostają w miejscu. Kiedy moja butelka obija się o stół, dźwięk podrywa nas obu. Wilgoć osiadła na butelce

rozmazuje atrament planu. Ponownie przyglądam się kurtynie. To nie może być ta sama, choć jest wyjątkowa, a przy tym dziwnie znajoma. Mój wzrok pada na owalny portret brodatego mężczyzny o spojrzeniu budzącym niepokój. Warto by to sprawdzić, przejrzanie księgi nie zajmuje dużo czasu.

– Na tych portretach są twoi krewni?

– Możliwe. Nie wiem na pewno. Jak mówiłem, były w pudle z kurtyną i innymi rzeczami taty. Pewnie należały do dziadka. Wydaje mi się, że widziałem je u niego. On lubił gromadzić rzeczy.

Brodaty mężczyzna przygląda mi się bacznie. Domaga się, bym spojrział na niego, bym go odnalazł. Jestem przekonany, że widziałem tę twarz na kartach księgi.

– Frank, przepraszam, muszę iść.

Enola i Doyle leżą na plecach w kępie morskiej trawy i patrzą w gwiazdy. Enola trzyma jedną rękę pod głową, drugą w kieszeni. Znowu karty. Nie zauważyli, kiedy przeszedłem obok nich.

Księga leży na moim biurku zamknięta, tak jak ją zostawiłem. Zaczynam przeglądać ją od początku, metodycznie wyszukując szkice. Mały konik... Chyba lama... Zarys szkieletu z karty tarota... Zapiski o butach i półbutach, kostiumach, perukach... I są – zasłony spowijające coś, co wygląda jak klatka dla zwierzęcia. W środku klatki siedzi chłopiec. Dziesięć stron dalej znajduję szkice wnętrza wozu z małymi owalnymi portretami na ścianie. A później... Tak, portret brodatego mężczyzny wykonany przez Peabody'ego. Widziałem oryginał, jest zdecydowanie bardziej wschodni. Peabody nadał mu charakter odrobinę angielski.

Churchwarry odbiera połączenie i prosi, abym poczekał, aż pozbędzie się rozmówcy na drugiej linii.

– Fanatyk Dantego. Nieznośny człowiek. Myśli, że jest moim jedynym klientem – mówi. – Dostałeś *Zakłęcia ochronne*?

– Tak – mówię i dziękuję mu za książkę. – Jednak dzwonię do ciebie w innej sprawie. Przeżyłem właśnie coś bardzo dziwnego. Mój najbliższy sąsiad, którego znam całe swoje życie, ma rzeczy, których szkice widziałem na kartach księgi.

– Brzmisz okropnie.

– Jestem trochę rozedrgany, ja po prostu... – Nie umiem znaleźć słów.

– Jakie rzeczy?

Wyobrażam sobie, że chodzi po sklepie. Słyszę, jak otwiera drzwi, żeby żona mogła zawołać, kiedy będzie go potrzebować. Idzie na tył sklepu, gdzie półki są bardziej zapełnione, ciężkie jak w Grainger, i zagłuszają dźwięki rozmowy.

– Kurtyna teatralna, portrety.

Słyszę szuranie krzesła i przesuwanie książek.

– Wszystkie kurtyny są do siebie podobne, prawda?

– To ta sama kurtyna, Martinie, wiem to. A portrety? Twarze się nie zmieniają. Przez chwilę się nie odzywa.

– Czy sąsiad powiedział ci, skąd je ma?

– Powiedział, że należały do jego ojca. Wcześniej prawdopodobnie do dziadka. Skąd masz tę księgę? W którym księgozbiorniku była?

– Johna Vermilliona, jeśli pamięć mnie nie myli. Nie pokładałbym zbyt dużych nadziei w tej informacji, ponieważ z tego, co zaobserwowałem podczas aukcji, ten człowiek obsesyjnie wszystko gromadził. Nie było w jego księgozbiorniku ani ładu, ani składu. Wartościowe książki przemieszane z rozwalającymi się egzemplarzami w miękkich okładkach. Miazga. Zupełny koszmar. Wszyscy licytowaliśmy na podstawie domysłów.

– Ja po prostu... Właśnie odkryłem, że moja matka rozdała swoje rzeczy, jakby zamierzała się zabić. Zobaczyłem u niego, u tego mojego sąsiada, kurtynę i portrety. Moja matka dała mu, temu sąsiadowi, Frankowi, swoje rzeczy.

To może być takie proste. Samobójstwo może występować w naszej rodzinie jako marker genetyczny podobnie jak jasnieniebiskie oczy. Proste i przerażające. Enola, leżąca na trawie ze swoim elektrycznym chłopakiem, może nosić w sobie coś, czego nie jestem w stanie powstrzymać.

– Przykro mi – mówi cicho Churchwarry i w jego głosie brzmi współczucie. – Czuję, że poruszyłem sprawy, które chyba powinno się zostawić w spokoju.

W ustach czuję miedziany posmak, ponieważ przygryzłem sobie policzek. Niby mała ranka, ale będzie napuchnięta przez wiele dni.

– To za wiele. Najpierw dowiedzieć się, że miał rzeczy mamy, a później zobaczyć jeszcze kurtynę i portrety z księgi. To są dokładnie te same portrety. Potrzebuję... – Mija chwila, zanim udaje mi się dobrać właściwe słowa. – Muszę się dowiedzieć, kim on jest. Bo on jest kimś.

– Jak my wszyscy.

Churchwarry próbuje mnie uspokoić. Bez skutku. Ogarnia mnie zimne, ślepe przerażenie.

– Powinieneś wiedzieć, że umieramy... One umierają dwudziestego czwartego lipca. Moja matka, moja babcia, Celine Duvel, Bess Visser. Wszystkie razem i każda z osobną toną. Sześć dni.

– Sześć dni?

– Moja siostra, Martinie, moja siostra.

Słumiony okrzyk.

– Właśnie tak.

– Czy mógłbym coś dla ciebie zrobić?

W jego głosie pobrzmiwa teraz inna nuta. Gdybym miał ją nazwać,

powiedziałbym, że to czułość.

– Lubisz prowadzić poszukiwania?

Nie zgłasza żadnego sprzeciwu, kiedy proszę go, aby dowiedział się wszystkiego, co się da, o przodkach mojego sąsiada.

– Franklin McAvoy, jego ojciec, dziadek. Muszę wiedzieć, dlaczego ma te rzeczy.

Podaję Churchwarry’emu także inne nazwiska: Peabody, Koenig, Ryżkowa lub Ryżkow (cholerne patronimiki). Trzeba popracować nad szerszym obrazem: coś wiąże Franka z księgą, moją matką i tym, co nas zabija, cokolwiek to jest.

Następne godziny spędzam w żółtym świetle lampy. Zwłaszcza ten portret mnie niepokoi. Ze szkiców wynika, że wisiał w wozie madame Ryżkowej. Krótka kolumna obok wyszczególnia wydatki; jedwab, zioła, sól. Narzędzia wróżbiarki. Mam takie podejrzenie, że jeśli Churchwarry zacznie od rodziny Franka, a ja od Ryżkowej, to spotkamy się w połowie drogi. Włączam komputer i zaczynam poszukiwania. Wpisanie tego nazwiska daje tysiące wyników. Cholera. Oczywiście, to popularne nazwisko. Za duża liczba informacji jest tak samo zła jak ich brak. Wprowadzenie daty powinno wyeliminować część wyników: koniec osiemnastego wieku. Również wprowadzenie miejsca. Większość osób przyjeżdżała do kolonii przez Nowy Jork lub Massachusetts, zwłaszcza przez Boston. Mniej prawdopodobne jest, że przez Filadelfię. Chociaż Alice być może teraz mnie nienawidzi, nadal po cichu mi pomaga. Loguję się w Archiwum Państwowym za pomocą jej identyfikatora uniwersyteckiego i zaczynam szukać list pasażerów statków.

Wreszcie padam ze zmęczenia przed ekranem. Śnię o tym, że chodzę po dnie Great South Bay, może Jessop’s Neck. Woda ciepła jak w wannie, żółte muszelki na plaży... Piasek zakwita długimi witkami wodorostów, które zamieniają się we włosy, rude i grube jak włosy Alice. Skrzyplocz wspina mi się na stopę, szczypiąc mnie, wspina się na nogę. Za nim podążają następne. Jest ich tyle, że nie mogę dojrzeć wody. Budzę się nagle i nie mogę złapać tchu.

Ktoś, pewnie Enola, wyłączył komputer. W ciszy słyszę tasowanie kart.

Ich wspólny język został wymyślony w sekrecie i zależał od wykradanych madame Ryżkowej kart.

Lekcje odbywały się często bez przygotowania po wieczornych przedstawieniach w mniejszych miasteczkach lub podczas postojów w trasie, wczesnym rankiem lub późno w nocy, kiedy cyrkowcy spali. Po całodziennych podróży Ryżkowa zasypiała kamiennym snem. Jazda po wybojach, nieustanne wstrząsy tak bardzo ją wyczerpywały, że czasem Amos podkładał dłoń pod jej nos, aby się upewnić, że nadal oddycha. Niekiedy okrywał ją dodatkowym szalem. Te drobne gesty uśmierzały poczucie winy, które za każdym razem towarzyszyło wykradaniu kart.

Karta leżąca na posłaniu, wsunięta między klepki lub między grzebienie, sygnalizowała Evangeline, że lekcja się odbędzie. Chowała ją w rękawie przyciśniętą do skóry, dopóki nie dotarła do Amosa czekającego przy świńskim wozie zazwyczaj ustawionym z dala od obozowiska. Powszechnie znana sympatia Amosa do zwierząt sprawiała, że nie wzbudzali podejrzeń. Szli pod drzewa, których niskie gałęzie układały się w idealne siedzisko, lub nad rzekę, gdzie wśród skał byli niewidoczni dla oczu ciekawskich. Na spotkania ona wkładała najgorszą sukienkę, żeby nie prowokować pytań. On nie stosował podobnych zabiegów, ponieważ umiał chodzić cicho i w razie potrzeby zamierać w bezruchu.

Amos dzielił się z Evangeline swoją wiedzą zdobytą podczas lat życia wśród natury: że mech to idealna poduszka, że żaby w rzece rechoczą, kiedy rzuci się kamyk. Wędrowali po zagajnikach, polanach i pagórkach. Z każdym krokiem poznawała go lepiej za pośrednictwem wszystkiego, co kochał. Każde ich spotkanie niosło pokłady nowej wiedzy. Karty i szept źdźbeł sprawiły, że Evangeline obdarzyła miłością tego cichego młodzieńca.

Lekcje zaczynały się w ten sam sposób jak wróżby, od identyfikacji osób biorących w nich udział. Evangeline była reprezentowana przez Królową Mieczy ze względu na ciemne włosy i bladą cerę. Miała świadomość wyglądu namalowanej na karcie kobiety, nie wiedziała nic o jej związku ze smutkiem i stratą. Amos uważał, że tak jest najlepiej, mimo to czuł jej wewnętrzne łkanie i bardzo chciał je uciszyć. Dla siebie wybrał Głupca ze względu na jego przyjazny wygląd i dlatego, że jego mały piesek wywoływał uśmiech na twarzy Evangeline. Królowa i Głupiec razem przyporządkowali karty wszystkim członkom trupy. Peabody był Pustelnikiem – łatwy wybór, ponieważ karta przedstawiała starszego mężczyznę z latarnią w dłoni i bujną białą brodą. Dla niewyszkolonego oka oznaczała po prostu samotną postać

lub pomarszczonego starca, ale Amos wiedział, że Pustelnik to przewodnik, obrońca, osoba doświadczona. Wszystko to widział w mężczyźnie, który stał się jego ojcem zastępczym. Dwójka Denarów, czyli mężczyzna żonglujący dwiema złotymi monetami, przypadła Melinie. Dla kontorsjonistki Susanny Evangeline wybrała Wisielca, postać wiszącą do góry nogami za jedną stopę i z drugą nogą zgiętą w kolanie. Amos nie miał sposobu, aby powiedzieć jej, że Wisielec mówi o więzi między tym co materialne a tym co boskie, ani tego, że karta ta pojawiała się w układach osób pogrążonych w żałobie lub przeżywających zwątpienie duchowe. Być może jednak była to dobrze dobrana karta. Susanna często milczała – co Amos mógł wiedzieć o jej myślach? Dla Benna wybrał Czwórkę Kielichów. Siedzący ze skrzyżowanymi nogami ciemnowłosy mężczyzna przypominał mu przyjaciela i jego hojność – mężczyzna, który ma tyle napoju, może podzielić się z innymi.

Wyzwaniem było znalezienie karty dla Ryżkowej. Evangeline rozłożyła na ciemnej, gładkiej skale Wielkie Arkana w poszukiwaniu jakiejś karty przedstawiającej starą kobietę. Coś w madame Ryżkowej przypominało jej babcię i wywoływało dreszcz. Chociaż byli bezpieczni w zagłębieniu nad brzegiem rzeki, Evangeline niespokojnie popatrywała na drzewa. Zastanawiała się, co spotkałoby Amosa, gdyby zostali przyłapani. Nie bała się o siebie. Słowa, które prześladowały ją od ucieczki z Krommeskill, przylgnęły do niej mocno i utworzyły rodzaj zbroi: *Jestem morderczynią*. Wskazała kartę, która nazywała się Mag. Pasowała – Ryżkowa uprawiała coś, co niektórzy nazywali czarną magią. Amos pokręcił głową. Ryżkowa nazywała Maga oddechem Boga. Jego nauczycielkę można było określić na wiele sposobów, ale raczej nie dałoby się jej nazwać uosobioną wolą boską. Evangeline przyglądała się zaciśniętym ustom Amosa i jego niespokojnym dłoniom. Przyzwyczajona jedynie do akceptacji z jego strony, powiedziała:

– Dobrze, naucz mnie, kim ona jest.

Zaczął przebierać palcami, ich opuszki ślizgały się po papierze w oczekiwaniu, aż karty zaczną do niego śpiewać, każda niczym ptak niosący wiadomość, opowiadając mu, kim byli i kim mają się stać. Wreszcie najdłuższy palec natrafił na właściwą kartę. Amos wyjął ją z talii: Arcykapłanka.

– Nie bądź głupi, to młoda kobieta i do tego z krzyżem! Madame Ryżkowa nigdy by go nie nosiła. Mógłbyś równie dobrze wybrać Diabła – powiedziała Evangeline i zamyśliła się. – Twoja nauczycielka mnie nie lubi – dodała.

Próbował się roześmiać – brzydki charkot – i aż zbladł na ten dźwięk. Evangeline uśmiechnęła się i przyłożyła dłoń do jego twarzy.

– Twój głos nie jest taki zły. Trochę zachrypnięty. Mnie to nie przeszkadza.

Amos się zaczerwienił i na powrót skierował uwagę ku Arcykapłance. Wyciągnął kolejne dwie karty z talii i ułożył je u stóp Evangeline. Świat

z girlandami z liści i chabrowym niebem. Nad nim Słońce o dobroduszej twarzy. Po raz kolejny przytrzymał przez chwilę Arcykapłankę w palcach i ustawił ją nad tymi dwiema, okrył Świat i Słońce jej majestatycznymi szatami.

– Ona jest ponad ziemią i niebem, czy tak?

To, co powiedziała, nie oddawało idealnie znaczenia, jakie te karty miały dla niego, było jednak wystarczająco temu bliskie. Pomyślał o kpiącym śmiechu Ryżkowej, o tym, jak się z nim droczyła, jak pokazała mu sposób chowania włosów pod chustką. I o jej biednych wykrzywionych dłoniach. Te dłonie dotykały go najczęściej. Peabody troszczył się o niego i poklepywał go po plecach, uczył go, jak być Dzikim Chłopcem i mężczyzną, lecz to od Ryżkowej nauczył się najwięcej – jak być człowiekiem, jak się o kogoś troszczyć. Ryżkowa była ponad ziemią i niebem. Była jego matką.

– Tak ją widzisz?

Uśmiechnął się i pokiwał głową. Zdawał sobie sprawę, że Evangeline bała się Ryżkowej, że na jej widok stawała się sztywna. Łatwo to sobie wytłumaczył: nie miała pojęcia o niezliczonych godzinach, które on spędził z Ryżkową, o jej cierpliwości i trosce, którą okazała, aby stał się czymś więcej niż tylko Dzikim Chłopcem. Nie wiedziała, że to Ryżkowa nadała mu imię. Położył kartę na dłoni i przytknął do serca. Evangeline przycisnęła ją swoją dłonią.

Wraz z upływem czasu i z powodu różnych okoliczności Amos poczynął sobie coraz bardziej zuchwale.

W drodze do Burlington ulewa zmusiła ich do odbywania lekcji w pomieszczeniu. Amos przemyślał Evangeline do wozu Cukrowego Kąska i lamy. Mogli się czuć bezpiecznie, ponieważ członkowie trupy pozamykali się w swoich wozach. Ryżkowa była przekonana, że Amos jest u Peabody’ego, Peabody myślał, że chłopak jest u madame. Evangeline zostawiła ceratową zasłonę szczelnie naciągniętą na swój zbiornik, aby było jasne, że nie życzy sobie gości. Zwijali się na słomie, którą był wyłożony wóz, i wsłuchiwali się w swoje oddechy oraz odgłosy burzy szalejącej na zewnątrz.

Ktoś zapukał do wozu Ryżkowej. Nie była przyzwyczajona do rozmów z człowiekiem, który stanął właśnie na jej progu. Prawdę powiedziawszy, dostrzegła w nim coś niepokojącego.

– Czy jest tu może Amos? Miałem nadzieję, że pogramy w kości – powiedział Benno. – Nie znalazłem go u Peabody’ego, więc... – przekrzywił głowę.

Ryżkowa zwróciła uwagę na jego ruchy pełne wystudiowanej swobody.

– Nie ma go? – upewnił się.

– Widziałeś dziewczynę?

– Melinę? Razem z Sussaną cerują sukienkę.

Dobrze wiedział, o kogo pytała.

– Syrenę – syknęła, rzucając mu krzywe spojrzenie.

Niespokojnie przestąpił z nogi na nogę.

– Ach.

Patrzyła, jak zmienia się wyraz jego twarzy, dostrzegła na niej cień zmartwienia, zanim wypowiedział dobrze wyważone słowa.

– Nic nie szkodzi. Poszukam Nata. Chyba że pani miałaby ochotę na grę, madame?

– Powiem Amosowi, że go szukałeś – powiedziała niechętnie. – Odejdź.

Ryżkowa wiedziała, że karty zniknęły, zanim otworzyła szkatułkę. Wyczuła energię Amosa, zostawioną przez jego palce na wieczku, ciepło, którym emanował. Spojrzała na miejsce, na którym powinny leżeć karty, i zadrżała na wspomnienie o Wieży i o tym, co kiedyś jej powiedziały. Zdrada i kobieta. Nigdy wcześniej nie doświadczyła zdrady. Nogi się pod nią ugięły i ciężko usiadła na podłodze.

– Jeleno – wyszeptała. – Jesteś głupia.

Rusałki nie opuszczają swoich rodzimych wód. Ryżkowa nabyła tę wiedzę za cenę smutku. Ta dziewczyna powinna była zniknąć, kiedy tylko Peabody wyznaczył swojej trupie trasę wzdłuż innej rzeki. Jednak została, silniejsza i bardziej uparta od innych.

W dzieciństwie Ryżkowa była po prostu Jeleną i jej myśli zaprzętało jedynie przedzenie cienkich nitek lnu. Pewnego dnia zobaczyła przez okno, że jakaś kobieta zwabiła jej ojca do strumienia. Stiepan, jej ojciec, był krzepki. Praca w polu dała mu zdrowie i siłę. Miał brodę tak gęstą jak futro niedźwiedzia, a przy tym miękką jak puch. Pamiętała swoje palce zanurzone w ten gąszcz. Kiedy się urodziła, jej trzech bracia byli niemal dorośli i opuścili dom rodzinny: aby walczyć, pracować na roli i żeglować, więc miała ojca tylko dla siebie i bezgranicznie go uwielbiała. Czasem podnosił ją i kręcił nią w powietrzu, jakby nie ważyła więcej niż worek z ziarnem. To lubiła najbardziej. Nazywał ją gołąbeczką i mówił, że kocha ją najmocniej, mocniej niż jej braci. „Jesteś moją koroną”, mawiał.

Później zjawiała się kobieta, blada twarz w ich strumieniu. Przez miesiąc Jelena patrzyła, jak jej ojciec słabł, a pola, spalone przez słońce, zamieniały się w ugór. Matka groziła, że zatruje wodę. Odpowiadał na to, że przywiąże ją do pieca. Kiedy Jelena pytała, czy może pojeździć z nim na wozie, kiedy będzie pracował, milczał. Wkładała mu chleb do kieszeni. Wracał, nie zjadłszy go.

Jej matka zaczęła się modlić.

Jelena patrzyła na śmierć ojca. Przez smukłe olchy widziała przezroczystą skórę kobiety i jej roześmiane oczy, widziała, jak ojciec sięgał, żeby ją objąć. Jego ręka, niegdyś taka ciepła i silna, stała się chuda i wyniszczona. Jego ogorzała brodata twarz zniknęła w kruczoczarnych włosach kobiety. Jelena wołała go, ale echo nie niosło jej głosu. Potrząsnęła matką, ale ta stała jak wrośnięta w ziemię – znów się

modliła. Kiedy ojciec utonął, matka zaczęła szybko i zwinnie pakować ich dobytek na wóz. Postanowiła przeprowadzić się do odległej wioski na brzegu czarnego bezdopływowego jeziora. Jelena płakała, bo nie chciała zostawić ojca. Wiedziała, że był w strumieniu. Matka uderzyła ją w grzbiet dłoni.

– Jeśli będziemy czekać na twojego ojca, ona zabierze każdego mężczyznę, którego kochamy. Chciałabyś, żeby utopiła twoich braci?

Jelena myślała: czym była strata jednego lub dwóch braci, jeśli miałyby odzyskać ojca?

– Kiedy ich zabije, ich śmierć obciąży ciebie – ostrzegła matka.

Wtedy do Jeleny dotarło. Żadna rzeka nie będzie już nigdy bezpieczna, lecz w innych wodach nie będzie przynajmniej odbijać się twarz jej ojca. Po śmierci matki opuściła ojczyznę, przemierzyła różne kraje, a nawet ocean, aby zostawić za sobą kobietę ze strumienia i swojego ojca. Po latach dotarła do bezpiecznego miejsca. Urodziła córkę i szybko ją ochrzciła, aby zakotwiczyć jej duszę. Teraz, niemal całe życie później, kobieta z nowych wód kusiła chłopca, który stał się jej synem.

Czekała na rusałkę przy jej beczce. Zobaczyła ją zaczerwienioną, zdyszana. Przestraszyła się, że rusałka skradła już życie i młodość Amosa. Ta zamarła na widok Ryżkowej, która stała, nic nie robiąc sobie z ulewy, przemoczona do suchej nitki, z furią malującą się na twarzy. Przyłapała ich.

– Madame, musi pani wrócić do swojego wozu. Przeiębi się pani na śmierć. – Evangeline chciała objąć ramiona Ryżkowej.

– Nie dotykaj mnie. Dotykasz mojego Amosa, czarujesz go i zmuszasz, żeby mnie okłamywał. Widziałam, co wyprawia twój gatunek. Jesteś morderczynią, złodziejką dusz, rusałką. – Ryżkowa walczyła z chęcią, aby krzyczeć i wrzeszczeć, ale lata praktyki w odczytywaniu losów nauczyły ją, że najsilniej działają słowa wypowiedziane poważnie i ze spokojem.

– Odejdiesz. Zostawisz to miejsce i mojego chłopca. Nie odbierzesz mi już nikogo więcej.

– Madame, sądzę, że nie znasz swojego chłopca za dobrze.

Evangeline minęła Ryżkową i zaczęła odwiązywać zasłonę zabezpieczającą beczkę. Rzuciła przez ramię spojrzenie na starą kobietę.

– Ani mnie. – Jej żołądek zaczął się buntować, ale go uciszyła, ręce jej się trzęsły, więc zacisnęła dłonie na brzegu zasłony. – Proszę wracać do łóżka, madame. Byłoby szkoda, gdyby się pani rozchorowała. Serce pękłoby Amosowi. Tak jak mnie, kiedy umarła moja babcia.

Evangeline nie dopuściła do tego, aby oczy zasły jej łzami, dopóki nie usiadła bezpieczna za swoją zasłoną. Nawet wtedy przyciągnęła kolana do piersi, aby stłumić szloch. Nie potrafiła powiedzieć, co czuje: strach czy gniew.

Nie zważając na to, że mokre spódnice oblepiają jej nogi, Ryżkowa przebiegła przez błoto do wozu Peabody'ego i z rozmachem otworzyła drzwi. Peabody siedział pochylony nad księgą, starannie szkicując coś, co wyglądem przypominało namiot. Jego wystający brzuch panoszył się nad biurkiem i zasłaniał podpis u dołu strony. Nagłe wtargnięcie Ryżkowej sprawiło, że ręka mu drgnęła, a trzymane w niej pióro brzydką linią przekreśliło rysunek.

– A niech to!

– Dziewczyna musi odejść – wychrypiała Ryżkowa.

– Co to ma znaczyć? – Peabody obrócił się na swoim trójnożnym taborecie i spojrzał na madame spod uniesionych brwi.

Ryżkowa trzęsa się z wściekłości.

– Nazywasz ją syreną. Evangeline. Psuje mojego chłopca, mojego Amosa. Przez nią on mnie okłamuje. – Uderzyła dłonią w biurko, przez co rysunek zamazał się jeszcze bardziej.

– Evangeline? – Peabody zakręcił koniec brody w zadumie, a następnie nawinął go sobie na kciuk. – Zgadza się, że zagięła parol na naszego Amosa. Jednak, madame, miłość nie jest czymś, czym należałoby się zbytnio przejmować. Z czasem wszystko się wyprostuje. – Wymruczał coś o naturze młodzieńczego zauroczenia i spojrzał na swoje zniszczone dzieło. – Ona przynosi nam zyski, madame. Nie widzę w tym żadnej szkody. Jeśli nie ma pani nic przeciw temu, czeka na mnie korespondencja, z którą chciałbym się zapoznać.

Ryżkowa zmrużyła oczy w taki sposób, że dobry nastrój Peabody'ego zupełnie się rozwiął.

– Ty głupcze! Kochasz chłopca, prawda? Uważasz go za syna tak jak Zachary'ego? – uniosła głos. – Ona go zabije. I co będziesz z tego miał? Pieniądze? Nie. Będziesz miał martwego syna. A dziewczyna? Zniknie w rzece. Nie będzie ani Amosa, ani syreny. Nic.

– Madame...

– Musimy oddalić się od rzek. Od wody. Wyrzucisz ją i spalisz jej rzeczy.

– Spokojnie. – Peabody wstał. – Dziewczyna stanowi atrakcję, odkąd się pojawiła. Jeśli uszczęśliwia Amosa, skłaniam się ku temu, by została.

Ryżkowa zrobiła krok do przodu. Położyła swój sękaty palec na piersi Peabody'ego i podkreślała każde słowo pchnięciem.

– On, któremu wyjawiałam swoje tajemnice, on, którego kocham jak swojego syna. On mnie okłamał. Ona go wyssie, pograży go. To się już zaczęło.

Peabody odsunął jej palec i wyrównał stos papierów na biurku. Próbował negocjować:

– Być może powinna pani ustalić z nim pewne reguły. Dać chłopakowi trochę swobody, wybaczyć mu. Proszę pamiętać, że Amos nie zawsze żył wśród

cywilizowanych ludzi. Co do Evangeline – kontynuował – mogłaby pani spróbować ją poznać. Ta dziewczyna ani przez chwilę nie była nieprzyjemna. Amos nie jest jedyny, podejrzewam, że większość naszych artystów jest w niej przynajmniej w połowie zakochana.

– Język plecie, w głowie pustka – zadrwiła Ryżkowa. – Ty ją przyjąłeś, ty ją możesz odesłać. Albo ja odejdę. Odejdę do swojej Katii. – Uśmiechnęła się drapieźnie. – Zabiorę go ze sobą, beze mnie nie ma dla niego pracy. Beze mnie jest niemy. Beze mnie jest nikim. Pójdzie ze mną.

Gniew zaślepił Ryżkową tak, że nie dostrzegła twardego spojrzenia Peabody'ego.

– Moja droga madame – powiedział. – Myślę, że nie docenia pani tego, jak się troszczę o Amosa. Jestem świadomy zarówno jego mocnych stron, jak i słabości. Choć nadała mu pani imię, nie ma pani do niego praw. On przyszedł do mnie, ja pierwszy ofiarowałem mu ubranie, i to należące do mojego własnego syna. – Nachylił się nad Ryżkową tak, że musiała przywrzeć plecami do ściany. – Proszę być pewną, że chłopak jest ceniony najwyżej. Zamierzam zawsze działać na jego korzyść, również w sprawach miłosnych. Jego interesy są zbieżne z moimi. Nie chciałbym obywać się bez pani wysoko cenionych usług. Przez lata przekonałem się jednak o własnej dzielności, więc z pewnością jakoś sobie poradzę i bez nich. – Obrócił się, aby ponownie ująć pióro w dłoń. – Madame, nie pragnę dłużej przebywać w pani obecności.

Ryżkowa się wycofała i niezgrabnie zeszła z wozu. Wracając do siebie, aby poczekać na Amosa, przypomniała sobie fragment czegoś, co słyszała wtedy, kiedy była tylko Jeleną. Słowa, które zaczęła mamrotać, brzmiały dla Peabody'ego jak bredzenie starej kobiety. W rzeczywistości był to początek modlitwy o wybawienie, którą jej matka szeptała, kołysząc się na kolanach, kiedy Stiepan tonął.

– Obudź się.

Otwieram oczy i widzę stertę papierów. Niektóre z nich przylepiły mi się do policzka. Obok stoi Enola i patrzy na mnie z góry.

Zasnąłem przy biurku po całym dniu spędzonym na studiowaniu różnych kłąt w i szukaniu Ryżkowej. W państwowym archiwum brakuje list pasażerskich sprzed 1800 roku. Dzięki bibliografii dotarłem do archiwum Nowojorskiej Biblioteki Publicznej, w której zgromadzono listy od siedemnastego stulecia. Zadzwoiłem, aby wybłagać od nich zawodową uprzejmość. Powiedziałem, że dzwonię z Grainger, co nadal jest prawie prawdą, i że w zamian z chęcią udostępni mi nasze archiwum wielorybnicze. Zostałem kłamcą, ale nie martwiło mnie to tak, jak powinno, ponieważ pięć godzin później znalazłem nazwisko Jeleny Ryżkowej. Zwróciłem na nie uwagę, ponieważ kobieta ta podróżowała samotnie w połowie osiemnastego wieku i ponieważ była Rosjanką na statku pełnym Anglików. Dzięki tym danym dotarłem do jej córki, Kateriny Ryżkowej. Później było trudniej. Co zrozumiałe, wojna o niepodległość musiała uruchomić w imigrantach potrzebę wtopienia się i zniknięcia. Strony genealogiczne mają to do siebie, że ich czytanie niezwykle wyczerpuje oczy, resztę dnia spędziłem więc nad kłątami, urokami i przynoszącymi pecha przedmiotami – drukując artykuły i czytając. Książka od Churchwarry’ego *Zaklęcia ochronne i tabliczki złorzeczące* jest szczegółowa i piękna i niemal zamierzałem ją zatrzymać, ale nie zrobię tego. Przecież jest dla mnie taki uprzejmy. Wieczór upłynął mi nad tabelami, tabliczkami złorzeczącymi – słowami wyrytymi w kamieniu i ofiarowanymi bogu w intencji śmierci wroga. Interesujące, ale nie do natychmiastowego wykorzystania, bo nie ma nic wspólnego z tonięciem ani zagładą całej żeńskiej linii rodu. Przeszedłem do zaklętych kamieni szlachetnych: diament Hope’a, Koh-i-Noor, fioletowy szafir z Delhi – wszystko obraca się wokół kradzieży, morderstw i gry o władzę. W księdze nie ma nic o klejnotach ani kradzieży, nic nie wskazuje, żeby w utonięcia były zamieszane osoby trzecie. Większość współczesnych kłąt skupia się na świętych przedmiotach, morderstwach lub napadach i nie ma nic wspólnego z tonięciem. Późną nocą zacząłem zagłębiać się w okultyzm i zagadnienie miejsc przeklętych.

Jezioro Rankonkoma – całe życie spędziłem na wyspie, w której sercu się znajduje, i nie miałem pojęcia, że jest obłożone klątwą.

– Simonie – wzdycha Enola, przeciągając się, aż kości strzelają.

– Jezioro Rankonkoma jest nawiedzone przez ducha indiańskiej księżniczki, która topi białych mężczyzn – mój głos jest zachrypły po przebudzeniu.

Enola mruga oczami.

– Co ty, do cholery, czytasz?

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia.

Głowa mi pęka, oczy pieką mnie, jakbym spędził godziny na wietrze. Jeśli można mieć kaca spowodowanego czytaniem, to właśnie go doświadczam. Zegarek na biurku wskazuje godzinę siódmą trzydzieści – wcześniej jak na Enolę. Całe lata spędziłem, ściągając ją z łóżka, żeby poszła do szkoły, siłując się z nią, kiedy się wykręcała i kopała. Możliwe, że dziś w nocy w ogóle się nie kładła.

– Dlaczego jesteś na nogach?

– Cała plaża jest pełna skrzypłoczy, jakby dostały świra.

Klepie mnie obiema dłońmi w ramiona, popychając na biurko i przewracając książki – książki Alice, to znaczy książki, które powinienem oddać do biblioteki. Zadzwoiłem do niej wczoraj, ale powiedziała, że nie może rozmawiać. Nie może się na mnie wściekać w nieskończoność. Enola skacze, aż deski w podłodze skrzypią.

– Poszłam wcześniej nad wodę. Pomyślałam, że zdążę na przypływ – mówi. – Były wszędzie. Tak jak kiedyś.

– Byłaś na dole sama?

– I co z tego? Doyle zmęczony, ty spałeś.

To nie powinno mnie martwić, ale jednak niepokoi mnie, i to bardzo.

– Nie chodź na dół sama.

– Przestań mnie wychowywać. Nie wychodziło nam to najlepiej – pociera stopy jedna o drugą, rozsiewając piasek. Ma rację. Chociaż bardzo się starałem, ona wyjechała. – Dzwoniłeś do Alice? Przeprosiny to dobry pomysł.

Ignoruję ją.

– Dużo tych skrzypłoczy?

– Tony. Są upiorne. Myślałam, że wymierają, ale najwyraźniej nie. – Znów szeleszczący dźwięk – Enola tasuje karty. Patrzy na mnie i jej spojrzenie powoduje ból. Czuję, że szuka dawnego mnie z czasów, zanim wyjechała, z czasów, zanim umarł tata. Jest tu gdzieś w tym domu.

– Pamiętam, jak oblaży cię całego – mówi.

– Ja też – odpowiadam, bo tak wypada. Było to pod koniec życia taty, w lecie przed jego śmiercią. Najpierw zobaczyłem skrzypłocze z klifu i chciałem jej je pokazać. Poczekalem na nią w jej pokoju – nawet wówczas się wymykała, chcąc

odpocząc od taty, ode mnie też, podejrzewam – kradła drobne z automatów telefonicznych i monety brzęczały jej w kieszeni. Było za późno, żeby przechodzić przez pokój taty, więc wyszedłem przez okno, przeciskając się centymetr po centymetrze, aż moje stopy dotęły ziemi, za mną podążała Enola. Było tam wtedy drzewo, sosna, która padła zimą i leżała na trawniku. Zawsze lepsza w łamaniu prawa moja siostra zaciągnęła roletę, aby zatuszować naszą eskapadę. Poszliśmy na skraj klifu, przedzierając się przez chaszczę na podwórku – ciągnąłem ją za rękę, szliśmy tuż przy sobie. Byłem boso. Pamiętam, jak ostre łodygi trawy wbijały mi się w stopy. Spoglądając w ustępującą ciemność, zdecydowaliśmy, że nie pójdziemy po schodach. Zaproponowałem Enoli, że zniosę ją na plecach. Była wtedy znacznie mniejsza i bez problemu mogłem ją nieść, praktycznie wystarczyło ją trzymać. Schodziłem z klifu, a Enola zmieniała pozycję, za każdym razem, kiedy zapadałem się głębiej w piasek. Stanęliśmy nad brzegiem i pozwoliliśmy falom zalewać nasze stopy. Po kilku minutach coś zaczęło ocierać się nam o nogi. Enola schyliła się, aby tego dotknąć, odkrywając to, co ja już wiedziałem: zimny pancerz, gładki i twardy, o ostrych krawędziach i z dwiema wypukłościami. Skrzypłocze. Powiedziałem jej, żeby spojrzała w górę, nad linią wody. Plaża wyglądała jak usłana setkami połyskujących kamieni. Jeszcze dalej ciemne kształty poruszały się pod wodą, wznosząc się i opadając. Wcześniej widziałem zaledwie garstkę żywych osobników lub czasem natknąłem się na jakiegoś martwego, a właściwie na skorupę wyschniętą jak wylinka cykady. Musiały być ich tu setki, nawet tysiące: wpadały na siebie nawzajem, a ich odwłoki służyły im jak laska niewidomemu.

Enola uśmiecha się i nos się jej od tego marszczy. Brakowało mi tego.

– Powiedziałeś mi, że są stare. Pierwotne. Pamiętam, że zastanawiałam się, czy zdają sobie sprawę, że wszystko wokół nich uległo zmianie – powiedziała.

– Na pewno. – Przez bezużyteczne instynkty, przez kawałki cegieł i asfaltu, na które natrafiają. Wiedzą, ponieważ zniknęły gigantyczne potwory morskie. Tylko skrzypłocze zostały.

– Chciałam iść po tatę – mówi.

– To tylko sprawiłoby, że stałby się jeszcze smutniejszy. – To było pod koniec jego życia, kiedy prawie wyłącznie przesiadywał w kuchni, wpatrzony w puste miejsce, wyobrażając sobie kobietę, która niegdyś tam siedziała.

– Wiem – mówi Enola. Siedzi z powrotem na kanapie, skubiąc jej podłokietnik.

– Ja zostałam na piasku, ale nie ty: wszedłeś dalej, skrzypłocze kłębiły się wokół twoich stóp, a ty śmiałeś się jak idiota.

– Nie poszłaś ze mną?

Uniosła brwi.

– Myślałam, że pamiętasz wszystko. Zostałam na plaży. Skrzypłocze wystraszyły mnie na śmierć. Chodziły ci po nogach, wspinały się na ciebie, jakbyś był drzewem.

Nie sędzę, żebyś choć przez chwilę pomyślał, że coś ci się może stać, że mogą po prostu cię zjeść. – W tej chwili wygląda młodziej, jakby znów miała czternaście lat. – Przez cały czas się śmiałaś, a ja stałam na plaży, myśląc, co zrobię, jeśli wciągną cię pod wodę.

Możliwe, że pamiętam ją stojącą na plaży, krzyczącą i błagającą mnie, żebym wrócił. Ale czułem się tak dobrze w wodzie z tymi żywymi istotami wokół mnie. One przechodziły mi po stopach, ich kleszcze drapały mnie i łaskotały, ale żaden się po mnie nie wspinał.

– Byłeś w połowie przykryty przez skrzyplące, jakbyś nie był już sobą. – Z jej kieszeni odzywa się cichy dźwięk tasowania. Niemal widzę, jak jej palce przesuwają się po krawędziach kart. – To wyglądało, jakby one po ciebie przyszły. Jakby mama przyszła cię zabrać. – W jej ręku pojawia się karta – mężczyzna, kobieta, oboje nadzy? – i szybko zostaje schowana. Kochankowie?

– To był ich okres godowy, jak co roku.

– Wiem o tym, głupku – mówi. – Próbuję ci powiedzieć, że się o ciebie martwiłam. Pieprzony zaklinacz skrzyploczy.

Później umarł tata i nie było już skrzyploczy ani nocy na plaży, tylko my sami, a jeszcze później – znacznie później – Enola wyjechała. Tak szybko, jak tylko mogła.

– Dlaczego odeszłaś? – Sam nie spodziewałem się, że o to zapytam, i jestem tym przerażony. Ale to bolało. Byliśmy tylko we dwojkę, nawet przed śmiercią taty.

– Ten dom to mauzoleum – mówi. Wygląda przez okno, wychodzące na podjazd Franka. – Pomnik na cześć dwojki ludzi, którzy nie kochali mnie wystarczająco, żeby pozostać w moim życiu. – Rzuca mi spojrzenie. – Wiem, wiem. Ty byłeś i nadal jesteś. Jeśli ktoś powinien dostać medal, za to, że został, to tylko ty. Mamie nie zależało, skończyła ze sobą, zanim właściwie mnie poznała. To, co zrobił tata, było właściwie jeszcze gorsze. Czy po tym, jak ona odeszła, poświęcił nam choćby sekundę? Nie. Nie robił nic innego oprócz udawania, że żyje, dopóki przestał.

– Rozumiem, że jesteś zła.

– Nie wiesz, jak wyglądałaś. Widziałam w tobie każdy stolik, który obsłużyłaś, każde naczynie, które umyłaś, godziny w bibliotece, w szkole i to, że robiłaś to dla mnie.

– Musieliśmy z czegoś jeść i żyć, to nie było tylko dla ciebie. – Pamiętam, że byłem zmęczony, tak. Długie dni, kiedy wiedziałem, że nie ma wyboru, tylko iść do przodu. – Było aż tak źle?

– Byłoby ci łatwiej beze mnie – mówi. – Nie mów, że nie. Beze mnie mógłbyś sprzedać dom i pojechać gdzie dusza zapagnie. Gdybym została, chciałbyś, żebym uczyła się dalej.

– Pewnie tak. – Jest bystra. Powinna się była uczyć.

– I musiałbyś pracować tak dalej. Nie mogłam się temu dłużej przyglądać, wiedząc, że robisz to dla mnie – mówi. Jej paznokcie drapią pokrycie kanapy, grzebiąc i wybierając wypełnienie. – Było ciężko, Simon. Może nie chcesz o tym myśleć, ale tak było. Byłam ciężarem, a to nie jest przyjemne. Naprawdę myślałam, że wyjedziesz zaraz po mnie. Bardzo tego chciałam.

Trudno jest się przyznać, że trzymałam dom nie tylko dla mamy i taty, ale też dla Enoli, na wypadek gdyby zapragnęła wrócić. Wiem, że bardzo pragnęłam jej powrotu. Gdzie miałyby wrócić, jeśli nie do tego domu?

– Skoro nienawidzisz tego domu tak bardzo, co cię obchodzi, czy go wyremontuję?

– Ty go lubisz – mówi. – Nie jestem zupełną egoistką, przysięgam.

Mam poczucie winy, i to niemałe, bo zawsze uważałam, że była samolubna. Przygotowuję kawę, a duchy naszych młodszych wcieleń krążą po kuchni. Moja młodsza wersja opiera się o blat zupełnie wykończona, podczas gdy cicha i uważna Enola zwinięta na krześle w kłębek próbuje zniknąć. Napełniam dwa kubki. Dla Enoli śmietanka i trzy kostki cukru. Dla mnie czarna. Piję swoją, kiedy jest tak gorąca, że aż parzy.

– Jak myślisz, dlaczego tata zostawił to miejsce w takim opłakanym stanie?

– Sądzę, że z powodu żałoby.

– Świetna wymówka.

Wpatrujemy się każde w swoją kawę, prawie jak niegdyś tata.

– Czasem opowiadał mi różne historie, kiedy mógł o niej mówić. – Musiał minąć cały rok od jej śmierci, żeby ojciec mógł ponownie wypowiedzieć jej imię, nie ryzykując łez. – Powiedział mi, że kiedy pierwszy raz zobaczył mamę, miała niebieski, wyszywany cekinami ogon syreny i była w zbiorniku z wodą. Przyłożyła dłoń do szyby i uśmiechnęła się do niego, a on wiedział, że się z nią ożeni.

To było coś więcej. Pamiętam jego słowa i kwaśny kawowy oddech. „Zobaczyłem ją w wodzie i uwierzyłem jej. Wiedziałem, że to prawda, nawet jeśli w rzeczywistości nie miała ogona, chociaż syreny nie istnieją. Całe moje wcześniejsze życie było jak przebywanie w zamkniętym pokoju i nagle wszystkie drzwi się otwarły”. Obok stał Frank i był świadkiem tego, jak się w sobie zakochali. Tata przychodził na pokazy codziennie przez cały następny tydzień.

– Robiła różne rzeczy. Była syreną, wróżyła z kart. Widział, jak była przecinana na pół przez gościa tak starego, że ledwo mógł unieść piłę. Leżała w pudle i pomagała mu przesuwac ostrze.

Enola wzruszyła ramionami.

– Pudła gniotą się podczas drogi, piły wyginają i zacinają. Sam wiesz.

– Myślę, że przedstawienie było prawdziwą katastrofą, mimo to mama cały czas się uśmiechała.

Tata rozmawiał ze mną przed wschodem słońca o tym, jak tamtego dnia wyglądały jej włosy. O tym, jak się rumieniła. „Jak dojrzała brzoskwinia”. Zostawił Franka z jakimiś znajomymi z maryny i czekał godzinami, aż przedstawienia się skończą. Kręcił się przed namiotem magika, aż w końcu zobaczył ją w szortach i tenisówkach, z włosami związanymi w kucyk. „Jakby była zwykłą dziewczyną”.

– Powiedział jej, że będzie przychodził każdego wieczora tylko dla niej i że jeśli się z nim nie wybierze na spacer, przez resztę życia będzie się zastanawiał, czy była prawdziwa.

– To brzmi jak cudze słowa. Tata tak nie mówił.

Nie, to zupełnie nie brzmi jak słowa taty, którego znała Enola, ale to był ten, po którym zostało tylko wspomnienie, że opowiadał historie o ogromnej rybie, która na raz połknęła małego chłopca. Mama się z nim umówiła. Zabrał ją do portu i poniżej doków. Sam tam chodzę, kiedy jest odpływ i powietrze jest słodkie od zapachu oceanu i dźwięku łódek kołyszających się na kotwicach. Przyprowadzić tutaj dziewczynę, oprzeć się o pale i obejmować ją ramionami to rytuał przejścia wszystkich chłopców z Napawset. Mama uwielbiała takie rzeczy: odwieczne niezmiennie rytuały. Sama była przyzwyczajona do mieszkania w przyczepach, samochodach kempingowych i pokojach hotelowych. Tata miał nadzieję, że pokusa, aby mieć dom, będzie silna.

– Obiecał mamie dom – mówię Enoli.

– Cóż, mógł chociaż o niego dbać.

Wzruszam ramionami i wysączam ostatnie krople kawy.

– Może kiedy odeszła, nie miał już powodów, aby to robić.

Enola się krzywi. Nie musi tego mówić: my powinniśmy byli być dla niego wystarczającym powodem. Przeciąga się i kręci głową.

– Schrzaniłeś sprawę z Alice.

– Wiem.

Kręci kubkiem.

– Ale ona ci wybaczy. Potrzebuje tylko trochę czasu.

– Myślisz? – Podczas kolacji Alice wyglądała na nieugiętą i zniesmaczoną. Trudno jest pozbyć się obrzydzenia.

Enola wzrusza ramionami.

– Jasne. Jeśli tylko będziesz tego chciał. Nie możesz jednak wziąć pieniędzy od Franka.

– Nie mam innego wyboru.

– Masz, ty po prostu nie lubisz dokonywać wyborów. Kiedyś wybór koszuli zabierał ci czterdzieści minut.

– Dom to nie koszula.

– No właśnie. Możesz po prostu zabrać się ze mną i Doyle'em, zapomnieć

o domu i dać Alice szansę ochłonać.

– Tego właśnie nie mogę, okej?

– Jasne – mówi. – Jak chcesz. Och, przeglądałam tę twoją księgę.

– Powiedz, że nie wyrwałeś więcej stron.

Wywraca oczyma.

– Założę się, że nie wiesz, co masz.

Właściwie nie wiem.

– Wiem, że jest stara. Przynajmniej z końca osiemnastego wieku. Opisuje cyrk, niezupełnie cyrk, bo w tym czasie w Ameryce nie było jeszcze cyrków. Miała wielu właścicieli, nie wiem ilu. Duża jej część jest zniszczona.

– To dziennik właściciela cyrku. Thom pozwolił mi zobaczyć jego księgę. Wszyscy dyrektorzy cyrków i lunaparków takie mają. Zapisuje się tam wszystko, co dzieje się w cyrku, kto przychodzi, kto odchodzi, co kto robi, gdzie się podróżuje, daty i wszystko. Księga nie należy do jednej osoby, ale do przedsięwzięcia. Dziennik Thoma wcześniej należał do jego ojca. Ma całą skrzynię ksiąg, które sięgają aż do lat sześćdziesiątych. Jego ojciec kupił ten cyrk od poprzedniego właściciela, który przeszedł na emeryturę w Sarasocie. Taki dziennik pozwala być na bieżąco z ważnymi sprawami.

– Tak mi się wydawało, że to swego rodzaju historia wędrownej trupy.

– To raczej biblia rodzinna. Ale twoja – trąca księgę – jest dziwna. To nie powinno przypominać pamiętnika. U Thoma nie ma też takich rysunków.

– Jest stara, pewnie nie było jeszcze reguł prowadzenia takich dzienników.

Stuka palcami, dwoma naraz, jak robił to tata, mały i wskazujący, środkowy i serdeczny.

– Możliwe. Niemniej jednak nie powinieneś mieć tej księgi. To, jak jest zniszczona z tyłu, wskazuje na to, że przeszła przez powódź lub coś podobnego. Może dlatego nie jest ani przy rodzinie, ani przy cyrku.

– Co masz na myśli?

– Takie księgi nie opuszczają rodziny właściciela lub cyrku, jeśli przechodzą z rąk do rąk. To informacje do użytku wewnętrznego, historia. Cenna. Jeśli była powódź lub wybuchł pożar, może ktoś zostawił ją umyślnie. – Przygryza usta i słyszę niewypowiedziane słowa. Właściciel księgi uciekł w popłochu lub zginął.

– W pewien sposób ta księga jest z rodziną. Są w niej zapisane krewne mamy.

– Po prostu dziwne jest to, że ją masz. Powinieneś odesłać ją do tego gościa. Wiem jednak, że tego nie zrobisz. Powinieneś też zapomnieć o tym domu i wyjechać, ale tego też nie zrobisz. – Ręka jej drga w dziwnym, rwanym geście, ni to machnięcie, ni to uderzenie. – Dlaczego rozmowy z tobą zawsze kończą się tak samo, czyli moim wkurzeniem? Idę po Doyle'a. Musimy się zameldować w pracy. I – dodaje z korytarza – ty musisz porozmawiać z Alice.

Doyle siedzi ze skrzyżowanymi nogami na łóżku w pokoju Enoli i medytuje. Macki na jego szyi naprężają się z każdym oddechem. Enola wypowiada jego imię i jego oczy się otwierają.

– Cześć, Mały Ptaszku. Słyszałem, że rozmawiacie, więc chciałem... Powinniście rozmawiać częściej, tak? Dobrze, jak ludzie rozmawiają. Zwłaszcza bracia i siostry – mówi, jakby wypowiadał jakieś doniosłe prawdy.

– No, jasne – odpowiada Enola. – Thom pewnie chciałby, żebyśmy do niego zajrzeli. Powinniśmy jechać.

– Jasne. Trzeba mieć pracę na oku – mówi i się przeciąga, jakby chciał się podrapać. – Powinniśmy porozmawiać z Thomem o twoim bracie, tak?

Enola przytakuje.

– Mam różne opcje przed sobą. Poradzę sobie – mówię. Sanders-Beecher sprawdziło referencje, to dobry sygnał. I praca na pół etatu u Franka może mnie uwiązać – jeśli tylko Alice mi wybaczy.

– Jak chcesz – mówi.

Widząc Enolę i Doyle'a w jej pokoju, uświadamiam sobie, jaki jest mały, dziecięcy. Enola szuka czegoś pod łóżkiem. Skóra i kości w dżinsach i brudnej spódnicy w perską łezkę. Nigdy nie mogłem zrozumieć kobiet, które jednocześnie chodzą w spódnicy i w spodniach. Enola wsuwa stopę do buta przez zdeptany zapiętek. Gapię się na jej gołą stopę. Podkurcza palce – stary nawyk, mający ukryć drobną deformację w postaci fałdki między palcami.

– Kiedy wróciacie?

– Nie jestem pewna. Wpadnij, jeśli będziesz miał ochotę stąd wybyć. – Rozgląda się po pokoju. – Nie mam pojęcia, jak tu wytrzymujesz. – Nie patrząc, wskazuje na dużą dziurę w ścianie i mówi do Doyle'a: – Ja to zrobiłam. – Zaczęła drążyć tę dziurę po śmierci taty.

– Naprawdę? – marszczy czoło, co zaburza rysunek tatuażu w tym miejscu.

– Lubiłam drapać coś twardego, wiesz? Jak byłam wściekła, dłubałam to dwudziestopięciocentówką. – Pozwoliłem jej skłamać. Enola zwykła zjadać kawałki tynku. Kiedy wracałem późno do domu i zaglądałem do niej, patrzyłem, jak wydlubywała ścianę najmniejszym palcem i zlizywała proszek. Sprawy miały się aż tak źle. Najwyraźniej.

– Przywieźć ci zeppole? – pyta Enola, kiedy jesteśmy z powrotem w salonie.

– Co?

– Słodkości z wesołego miasteczka. Kiedyś je lubiłeś. Przyjedź. Dzień będzie słaby, a jak George się nudzi, to może podzielić się z nami swoim ziołem. Grubas ma dobry towar. Chcesz?

– Nie, dzięki.

– Jak chcesz, ale przyjedź i tak, okej? – Enola ciągnie mocno drzwi, zapierając

się jedną stopą o ścianę, aby się otwarły.

– Myślisz, że Thom porozmawiałby ze mną o swojej księdze?

Doyle obejmuje Enolę w talii. Może to kwestia światła, ale wygląda na to, że jakby Enola stanęła bokiem, toby po prostu zniknęła. Niedobrze z nią.

– Przestań z tą księgą – mówi. – Wiem, że chciałbyś, żeby o coś w tym chodziło, ale może my po prostu jesteśmy smutni. Może mama była tak smutna, że nie mogła tego znieść. Nie musi być nic więcej. Bycie takim nieszczęśliwym zdecydowanie wystarczy.

Po tych słowach odchodzi. Doyle patrzy na mnie przez ramię, kiedy idą do samochodu. Przez chwilę wydaje mi się, że coś chce mi powiedzieć, ale on tylko kładzie dłoń na jej biodrze i odchodzą razem. Kiedy odjeżdżają, wychyla się przez okno i krzyczy:

– Gościu, po prostu przyjeźdź.

Dwa kroki od mojego biurka rozlega się trzask, moja lewa kostka zapada się, a kolano ugina.

Cholera. Krzyczę i upadam. Podłoga nie wytrzymuje i połowa mojej nogi zostaje pochłonięta przez rozwalające się deski, wykręcona i sponiewierana. Upadam, tłukąc głową o podłogę. Szybki przebłysk wspomnień: mama całująca guza na mojej głowie po tym, jak uderzyłem się o kant stolika kawowego. Jestem na tyle blisko kanapy, że mogę przycisnąć do niej ramiona, aby wydobyć się z dziury. Ten ruch sprawia, że dostaję dodatkową porcję drzazg. Wołam Enolę i Doyle'a, ale ich już nie ma. Moja łydka jest odrapana, kostka krwawi i jest skręcona. W powietrzu unosi się tuman kurzu. Papiery z mojego biurka opadają jak liście. Może mógłbym po prostu tak poleżeć? Tylko przez chwilę. Spoglądam w dziurę. Wyrwa jest całkiem spora. Myślałem, że będzie w kształcie stopy, ale jest po prostu nieregularna.

Niepokojące jest to, że z dziury wydobywa się dźwięk przypominający szum fal. Zaglądam do dziury raz jeszcze. Czy to piasek? To może być piasek. Nie powinno tam być piasku. Przywieram brzuchem do podłogi i zaglądam w dół. To nie może być piasek. Wkładam głowę w ciemność, z tym że nie jest to ciemność zupełna – skądś wsącza się światło.

Dzwonię do Alice z nadzieją, że mój ból wzbudzi współczucie.

– Proszę, nie rozłączaj się.

– Powiedz mi, czemu nie powinnam.

– Ponieważ właśnie załamała się pode mną podłoga i pewnie skręciłem nogę w kostce. Jestem unieruchomiony przy kanapie i bardzo cię przepraszam.

Słyszę, jak zamyka szufladę biurka, i przypominam sobie, że układa długopisy kolorami.

– Ale udało ci się dotrzeć do telefonu.

– Stał na podłodze.

– Dobrze – mówi.

I w końcu dowiaduję się, jak brzmi długie, zbolące westchnięcie.

Jeśli liczyłem na delikatność, to Alice, która otwiera drzwi, jest jej zupełnie pozbawiona. Pomaga usiąść mi na kanapie, podciągając mnie pod ramionami równie sprawnie jak pielęgniarka z ostrego dyżuru.

– Przykro mi – mówię.

– Tak, wiem. – Przed wyjściem zarzuca sobie torbę na ramię. – Zabiorę też książki.

– Powiedziałaś, że to będzie źle wyglądało, jeśli ty je odniesiesz. Obiecuję, że to zrobię. Daj mi tylko choć dzień.

Przygryza dolną wargę i choć jest zła, wygląda to uroczo i przyciąga moją uwagę do pieprzyka, który ma między ustami a podbródkiem.

– Co się dzieje, Simonie? Mam wrażenie, że ciebie tu nie ma.

Mówię jej, że chodzi o Enolę.

– Jak zawsze – wzdycha.

– Ona cię lubi – mówię. – Uważa, że twoje towarzystwo dobrze mi robi.

Opiera się o drzwi. Choć tutaj stoi, jest nieobecna duchem.

– Byłoby miło, gdyby i twoje tak na mnie wpływało.

– Ja naprawdę chcę stąd kiedyś wyjechać – zapewniam ją. – Nie chcę brać pieniędzy.

– Dobrze. Trzymaj nogę uniesioną – radzi i już jest za drzwiami.

Unoszę się na rękach i patrzę, jak odchodzi. Jest przy samochodzie, kiedy woła.

– Przejdzie mi, kiedyś.

Zastanawiam się, czy jest to możliwe, żeby ona rozmawiała z Enolą.

Jeśli Enola ma rację i klątwa nie istnieje, jeśli jesteśmy po prostu smutną rodziną niezdolną do życia z powodu jakiegoś defektu psychicznego i jeśli właśnie dlatego się topimy, to moja siostra właśnie powiedziała mi, że nie jestem w stanie nic dla niej zrobić. Nie ma takiej możliwości.

Koło biurka znajduje się kolorowy wydruk broszury, fragment z *Przewodnika po rozrywkach dla wymagającego dżentelmena* H.W. Calvina – przewodnik po klubach, tajnych barach za prohibicji i burdelach, reklama z czasów, kiedy Celine Duvel zajmowała się burleską, zanim została syreną w Cirque Marveau. Staranny szkic pokazuje, że Celine jest jedną z nas: ciemne włosy, jasna skóra, oczy jak oczy Enoli.

Otwieram księgę i odkrywam kolejny pokrecony sekret: więcej wyrwanych kart. Enola wyrwała każdy jeden szkic przedstawiający karty tarota. Kłamała mi prosto w oczy. Kto tak traktuje książki? Kto tak niszczy sztukę? Oczywiście moja siostra, która z uporem niszczy pewne rzeczy, odmawiając wyjaśnień. Powinienem był skserować księgę, nie powinienem był zostawiać jej nigdzie w pobliżu Enoli, nie po

tym, jak zniszczyła pierwszą stronę. Nie pomyślałem. Może jesteśmy po prostu smutni, powiedziała, jakby była przesiąknięta smutkiem.

Zawsze kobiety. Ofiary utonięcia tworzą rzekę papieru na moim biurku. Nie wspomina się nigdzie o żadnym synu. Kochankowie, pogrążeni w żalu mężowie, ojcowie – jest ich pełno, ale nie ma choćby jednego syna. Ani brata. Jestem tylko ja. Jestem anomalią. Podczas tego wszystkiego moja siostra stale przetasowuje karty i niszczy moją księgę.

Co ją doprowadziło do takiego stanu?

Dzwoni telefon. To człowiek, który przysłał mi książkę, której nie powinienem mieć, której on też nie powinien mieć, chyba że wydarzyło się coś strasznego. Nie ma wątpliwości; to nie przypadek, że kobiety toną dwudziestego czwartego lipca, zbyt wiele ich jest. Podnoszę słuchawkę.

– Simon? Dawno cię nie słyszałem. Znalazłeś coś przydatnego w *Zakłęciach ochronnych*?

– Prawdopodobnie. To lektura wymagająca czasu i skupienia.

Mruczy ze zrozumieniem.

– Wiem. Podejrzewam, że dlatego nie mogę jej sprzedać. Piękny tom, ale nie do przebrnięcia. To była jednak najlepsza rzecz, którą miałem pod ręką. Pamiętam, co napisałem, ale możesz ją zatrzymać, jeśli chcesz, jeśli jest pomocna.

Być może to ból w nodze odwraca skutecznie moją uwagę, ale nagle fragmenty tego, co wyczytałem w *Zakłęciach ochronnych*, łączą się z czymś, co powiedziała Enola.

– Martinie, wydaje mi się, że coś zrozumiałem. Coś bardzo złego przydarzyło się ludziom, którzy mieli tę księgę, powódź lub jakiś straszny wypadek. – Przesuwam palec po zrujnowanej przez wodę stronie. – Coś wystarczająco złego, żeby mogło zainfekować... Czy tak się mówi? Zainfekować przedmiot lub kogoś, kto przetrwał. Myślę, że ta księga przetrwała coś strasznego i jest przez to naznaczona. Myślę, że moja rodzina też. I właśnie to nas zabija.

Chwila ciszy.

– Zastanawiałem się. Z książkami wiąże się pewne niebezpieczeństwo. Tekst często nosi znamiona nieomyślności. Bardzo łatwo komuś takiemu jak ty czy ja zagubić się w nim, uwierzyć w pewne idee, jeżeli nie sprawdzi się ich należycie. Myślę, że obojgu się nam to przytrafiło.

– Spędziłem dwanaście lat w informacji bibliotecznej, nie robiąc nic innego, jak tylko sprawdzając fakty. Mam nekrologi – mojej matki, mojej babci, jej babci. Doszedłem aż do 1816 roku. Dysponuję faktami i wiarygodnymi tekstami, chociaż na tym etapie dla mojego dobra – dla dobra mojej siostry – uważam, że zasłużyłem sobie, żeby móc trochę się podomyślać.

W tle słyszę kobiecy głos. To wielokrotnie wspomniana Marie. Churchwarry

mówi jej, że zaraz przyjdzie. W jego głosie słychać ciepło, które świadczy o tym, że jego dom, jego sklep i on sam jest pełen jej obecności. Alice zostawiła koło drzwi niewielki ślad z piasku, który opadł z jej sandała, ale to wszystko.

– Przykro mi – mówi Churchwarry. – Myślę, że spodziewałem się, że wyniknie z tego coś bardziej radosnego. W przeszłości, kiedy zdarzało mi się podarować książkę nieznannej osobie, zawsze było to pozytywne doświadczenie i nawet zyskałem nowego klienta czy dwóch. W tym przypadku spodziewałem się szczęśliwego zrzędzenia opatrności, a wydaje mi się, że otwarłem puszkę Pandory.

Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że zaraziłem go smutkiem – człowieka naprawdę miłego, który nie wiedział nic o tonących kobietach ani o tragedii, jaką było urodzić się jako Watson.

– Moja rodzina jest trochę mroczna – przyznaję. – Ale nawet w puszcze Pandory była nadzieja.

Chociaż Burlington w New Jersey było tętniącym życiem miasteczkiem, idealnym, aby uzupełnić zapasy, trupa Peabody'ego nie spodziewała się wielkich zysków.

– Przyjaciele – mruzczał pod nosem Peabody podczas pisania. – Do bólu uczciwi podatnicy i abstynenci. Trudny gatunek ludzi dla wędrownych artystów. – Amos pytająco uniósł brew. – Kwakrzy, mój chłopcze. Doskonali do prowadzenia interesów, ale prywatnie raczej sobie nie folgują. Ilość wypitego alkoholu wpływa na łatwość sięgania do sakiewki. Zobaczysz, że będziecie mieli z madame mniej pracy niż zwykle. Może spodoba ci się wolne, kto wie? Spędź trochę czasu z syreną, dobrze?

W swojej księdze obok nazwy „Burlington” Peabody zapisała: „Procesy czarownic przed wojną. Trzeba zaopiekować się Amosem”.

Słowa Peabody'ego się sprawdziły. Po raz pierwszy od wielu miesięcy Amos miał więcej wolnego czasu. Nadal była praca do wykonania, zapasy do kupienia, konie do podkucia, przypalone szalwią tkaniny do wymienienia – wszystko to można było dostać w Burlington. Amosowi podobało się w miasteczku. Przy High Street zobaczył ciekawą mozaikę budynków: niektóre ceglane i ze spiczastymi dachami jak w New Castle, inne drewniane, przypominające stodoły. Był tam również budynek straży pożarnej z wieżą niemal kościelną. Ludzie na ulicach byli różnorodni. Czarni chodzili tu swobodnie, Amos wypatrzył nawet jednego, który pracował w piekarni. Wędrując, zaczął wyobrażać sobie mały domek, może z cegły, z kominem i łóżkiem, które nie trzęsło się podczas jazdy – miejsce, które mógłby z kimś dzielić. Pomagał Meixelowi nosić worki z paszą – z kieszeni wystawała mu biała wstążka, którą miał dla Evangeline – kiedy madame Ryżkowa chwyciła go za ucho i wykręciła boleśnie.

– Chodź – warknęła.

Amos okrył się rumieńcem, ponieważ Meixel zaczął się śmiać. Wróżbitka zaciągnęła go do wozu z taką siłą, że rozdarł sobie spodnie o wystający gwóźdź. Kiedy Ryżkowa go strofowała, dotykał kciukiem postrzępionych nitek, porównując ich miękkość do miękkości włosów Evangeline.

Im bardziej zła stawała się Ryżkowa, tym trudniej było zrozumieć, o co jej chodzi. Przechodziła na inny język, w którym głoski brzmiały jak rzucone kamienie. Wiedział, że chodziło jej o Evangeline.

Ryżkowa machała w jego kierunku kartami, obrzydzenie wyraźnie malowało się na jej twarzy. To było za wiele: widzieć Evangeline i nie dotknąć jej, nie porozmawiać z nią. Wiedział, że stali się nieostrożni, i podejrzewał, że ktoś

zobaczył ich pocałunek. Ryżkowa wiedziała. Na jej skórze wystąpiły czerwone plamy. Zaczął się bać o siebie i o nią – ciała taki stan na pewno nie służy. Ujął jej dłoń, brązowe palce zamknęły się wokół kart i trzymających je pokrzywionych palców. Pod wpływem jego dotyku głos Ryżkowej stał się szeptem. Amos czuł, że ludzie z portretów się przyglądają i błagają, aby posłuchał. Spojrzał jej w oczy. Zobaczył, że są zmęczone i smutne. Nauczył się wiele od Evangeline: uśmiech nie zawsze oznaczał radość, płacz mógł sygnalizować zarówno smutek, jak i szczęście, a kobietę najłatwiej można było pocieszyć, przytulając ją. Objął więc Ryżkową, położył głowę na jej piersi w miejscu, gdzie kobiety trzymają swoje dzieci. Płakała nad nim, jej słowa zaklinały go: *Mój synu. Mój synu, mój synu, mój synu*. Mówiła o zmartwieniu, o tym, że nie zniesie żadnej straty. Wiedziała, że Evangeline była tym stworzeniem – Rusałką. Jeśli jest dobrym chłopcem, mądrym chłopcem, za którego go brała, posłucha jej. *Mój synu, mój synu*. Powiedziała mu, że jego kłamstwa niewiele znaczą, ale musi być bezpieczny. Może mu wybaczyć wszystko, jeśli tylko pozostanie żywy. *Mój synu*. Zobaczyła go w swoich kartach, wiedziała, że go znajdzie, nadała mu imię przeznaczone dla syna, krwi z jej krwi, kości z jej kości. Uspokoiła się w końcu i wzięła twarz Amosa w dłonie.

– Musisz ją zostawić. Jedna z nich ukradła mi mojego własnego ojca. Potwór. Ona cię zabije.

Kiedy się zmarszczył, zamknęła oczy, aby nie widzieć jego odmowy.

– Będziesz się uśmiechał, śmiał. Mój Amosie, twoja dusza jest tak dobra, że ona jej pragnie, ale jeśli z nią zostaniesz, utopi cię w rzece. Potem znajdzie sobie następnego, jakbyś nigdy nie istniał. Jeśli z nią nie zerwiesz, zabije cię. Ona już zabijała i zabije znowu. Widzę to. – Jej ręce były naznaczone tą nienazwaną siłą, która pozwalała jej dotykać kart i widzieć, co miało się stać. – Twoja karta – wychrypiała – to Wieża. Widziałam to już dawno temu. Dziewczyna ją na ciebie sprowadzi. W tym samym odczytaniu jest Diabeł. Nie odwrócony, tak jak lubisz. Cały czas wykładam dla ciebie te same karty. Nigdy się nie zmieniają. Ona, ta dziewczyna, jest pośrodku. – Wzięła karty do ręki i ich wytarte brzegi zawołały do niej. Wcisnęła Amosowi do ręki Królową Mieczy obróconą tak, że jej spojrzenie go przeszło. Kobieta – Evangeline – przynosząca stratę.

Potrząsnął głową z niedowierzaniem. Ryżkowa nie widziała, jak przerażona była Evangeline tej nocy, kiedy wyłoniła się z lasu, ani nie znała jej rozpacz, którą czuł Amos, przytulając ją. Ryżkowa zmarszczyła czoło. Wyciągnęła z talii kolejną kartę bez patrzenia. Diabeł, nieodwrócony, kpina na jego twarzy. Nie zatrzymując się, wyciągnęła ostatnią kartę. Szkielet na koniu. Śmierć.

– To właśnie zobaczyłam. Następnie zjawiała się dziewczyna. Możemy stąd odejść – powiedziała, dotykając jego ręki. – Możemy pojechać do mojej córki. Zabiorę cię do niej. To piękna kobieta. A do tego kompletna.

Pot pokrył Amosa na samą myśl o tym, że miałby odejść od Evangeline. Wyrwał karty Ryżkowej, czując potępiające spojrzenie jej namalowanych krewnych. Nawet ta ładna dziewczyna patrzyła na niego z niechęcią. Przetasował karty i pozwolił palcom dotykać ich, aż poczuł zimne mrowienie. Wyciągnął kartę, pokazując swojej mentorce namalowaną na niej szeroką, pogodną twarz. Słońce.

– Szczęście. Światło! – wrzasnęła Ryżkowa. – On mówi do mnie o szczęściu. Ja ci mówię, że dziewczyna doprowadzi cię do końca. A ty mi mówisz o szczęściu.

Amos ponownie zaczął szukać, aż poczuł, że karty do niego przemawiają. Arcykapłan – potężna postać, która rządzi sojuszami ze swojego tronu ustawionego między dwiema kolumnami. Małżeństwo.

– Bzdura – prychnęła Ryżkowa. – Nie mów nawet takich rzeczy. Istoty bez duszy nie mogą brać ślubu.

Amos w skupieniu kontynuował przeglądanie talii, wyciągając kartę po karcie i odmalowując życie, które widział dla siebie, życie, o którym ośmielił się zamarzyć – w małym domku z Evangeline u boku. Koło Fortuny, Dziesiątka Denarów, As Kielichów, Kochankowie, Dwójka Kielichów. Razem mówiły o małżeństwie, o miłości tak hojnej, że spływała na wszystkich wokół niczym woda. Ostatni obraz był dla Ryżkowej ciosem: mężczyzna i kobieta, dłonie złożone wokół kielicha, ślubujący sobie wierność. Skrzywiła się i wymierzyła w Amosa poskręcany palec.

– Widzisz to, co chcesz. Naznaczasz karty swoją nadzieją. Odczytujesz nie przyszłość, lecz swoje pragnienia. – Jej upierścieniona ręka o odstających kciukach zgarnęła całą talię. Końce jej pozółkłych paznokci poruszały kartami. Wiele czasu upłynęło, odkąd Amos po raz pierwszy zobaczył karty za sprawą Ryżkowej tańczące jak motyle – magia wprawiająca jednocześnie w zachwyt i przerażenie. Kiedy karty się ułożyły, Ryżkowa przykryła je dłońmi i przycisnęła tak, że aż palce jej zbieleły. Zamknęła oczy, zmarszczyła twarz, trzykrotnie wypuściła powietrze ustami i zaczęła mrużyć nad talią. Chwiała się niczym płomień świecy.

Coś między nimi pękło: więź, o której nie wiedział, że była delikatna.

Rozłożyła karty na skrzynce, powódź kolorów na wyblakłym drewnie. Co niesamowite, cztery z nich były obrócone spodem do góry. Amos wpatrzył się w rozłożone przed nim obrazki: Wieża, Trójka Mieczy, Śmierć, Diabeł.

– Tak jak poprzednio. Widzisz? Zniszczy cię jak kropla drążąca skałę, wysie krew – powiedziała cichym, zbolałym głosem. Powtórzyła rytuał. Dziesiątka Mieczy, postać płacząca z przerażenia, a nad jej głową miecze. Dziesiątka Mieczy, leżące twarzą w dół nad rzeką ciało przeszyte ostrzami mieczy. Wieża. Diabeł. Zanim zdążyła zebrać karty po raz trzeci, Amos złapał ją za ręce. Potrząsnął głową.

– Za każdym razem jest tak samo – powiedziała.

Było mu przykro, że tak bardzo się niepokoiła, ale prosiła go o coś

niemożliwego. Trzymał dłonie Ryzkowej i myślał o smukłych palcach Evangeline. Nie znał żadnego sposobu na przeprosiny, ale chciał zrobić, co było w jego mocy. Miał nadzieję, że z czasem obie kobiety przyzwyczają się do siebie. Miała nadzieję, co było pewnie głupie, ale on zawsze kochał Głupca. Amos przeniósł środek ciężkości na kolana, jego kości naciskały na deski wozu. Puścił ręce Ryzkowej i powoli pochylił się do przodu, przywierając klatką piersiową do ud, aż jego czoło dotknęło zniszczonych, brązowych butów madame. Uległość, być może. Przebaczenie, miał nadzieję. Błagał. Pozostał w bezruchu, z głową u jej stóp, aż nakazała mu wstać, szarpiąc go za kołnierz.

– Tego od ciebie nie chcę. Jesteś moim synem, nie sługą. Nie psem. – Uśmiechnęła się i po raz kolejny była tą czułą kobietą, z którą tak często miał do czynienia. – Proszę. Wybaczam ci. Ale musisz ją zostawić. – Jego palce na podłodze zeszywniały.

W ciągu lat spędzonych z trupą Peabody’ego Amos sporo urósł i osiągnął słuszny wzrost. W tym momencie bardzo tego żałował, ponieważ niczego nie pragnął bardziej, niż stanąć prosto przed tą kobietą, jednakże niski sufit zmusił go do zgarbienia się, kiedy wstał. Potrząsnął głową w odmowie, ale zgięte ramiona osłabiły wymowność gestu. Kiedy zeskoczył z wozu na trawę, było za późno, żeby przybrać odpowiednią postawę.

Odszedł w poszukiwaniu Evangeline. Jak pies, pomyślał. Zastał ją podczas przygotowań do popołudniowego pokazu: unosiła się na wodzie z rozpuszczonymi włosami, jej suknia opływała ją niczym lilia wodna. Kiedy podszedł, podciągnęła się o krawędź zbiornika.

– Dlaczego płaczesz?

Ryzkowa nie miała siły, żeby iść za Amosem. Jej gniew zniknął tak szybko, jak się pojawił, zostawiając ją z dojmującym uczuciem pustki. Rozłożyła karty ponownie, wyczekując jakiejś zmiany. Peabody był bezużyteczny, interesowały go tylko pieniądze. Chłopiec widział tylko piękno. Obróciła karty. W każdym rozdaniu widziała twarz swojego ojca, unoszącą się w strumieniu, a obok dryfował Amos. Rozkładała karty ciągle od nowa, aż jej palce nie mogły znieść więcej ich dotyku.

Nie mogła zostać. To, że widziała śmierć swojego ojca, wypaliło w niej piętno, sprawiło, że stała się twardą kobietą, kobietą, która rozstała się ze swoją córką, ponieważ wiedziała, że przylgnąć do kogoś zbyt mocno znaczy go udusić. Jednak Amos znalazł drogę do jej serca. Czuła, że zostało jej mało życia, śmierć syna załamałaby ją całkowicie. Zamknęła drzwi wozu i poczekała na nastanie nocy, aż głosy, które słychać było najdłużej – Meliny, Susanny i Meixela – ucichły. Ściągnęła chustkę z głowy i włożyła do niej swoje rzeczy: listy od braci, obrazki ze ściany, monety, mosiężne wahadełko na jedwabnej tasiemce, które służyło do znajdowania wody i odczytywania losów. Włosy urosły jej długie, białe i szorstkie

niczym koński ogon, niepodobne do czarnych i miękkich włosów Jeleny. Wiedziała, że jeśli przejrzałaby się w lustrze, zobaczyłaby obcą osobę.

Obozowisko spowiła cisza. Tylko Benno się jeszcze nie położył i ćwiczył koło ogniska. Był tak skoncentrowany, że nic nie wskazywało na to, że ją zauważył. Cicho podeszła do platformy, na której znajdował się zbiornik Evangeline. Amos był tam z całą pewnością, nie byłby w stanie się oprzeć, tak był oczarowany.

Znalazła go śpiącego, okrytego zniszczonym kocem, jego ramiona obejmowały dziewczynę. We śnie chustka się mu rozwiązała i wysunęły się spod niej włosy, przypominając Ryzkowej o tym dzikim dziecku, które stanęło na jej drodze. Chciała go pocałować w czoło, pogłaskać go po policzku, ale to by go obudziło. Albo dziewczynę. Nie miała najmniejszej ochoty patrzeć temu stworzeniu w oczy po raz kolejny. Wyszepiała słowa pożegnania i wymówiła jego imię.

Wróciła do swojego wozu po raz ostatni, aby zabrać swój dobytek. Zapaliła łojową świecę, prawie ogarek, i przeciągnęła dłonią po szkatułce z kartami, które powiedziały jej tak wiele. Jeśliby je ze sobą zabrała, nic by po niej nie zostało Amosowi, a ona chciała, żeby ją pamiętał, kochał, jeśli tylko mógł, nawet odrobinę. Otworzyła wieko, spojrzała na karty, które narysowała tak starannie i była tak dumna z ich kolorów.

Przyłożyła rękę do papieru, wyczuwając w nim Amosa, i wyszepiała modlitwę za niego. Wypowiedziała słowa, które mogły być przeznaczone dla jej ojca: „Zachowaj go od złego. Daj mu dom. Odpędź do niego Rusałkę, niech utonie w smutku tak głębokim, że jej krew zadrży. Niech woda pochłonie tę krew i pogrzebie ją i całą jej linię. Niech nie zwabi żadnego innego mężczyzny. Zachowaj go od złego”.

Ryzkowa była przyzwyczajona do tarota i jego wielowarstwowych znaczeń, interpretacji i odwróconych znaczeń oraz tego, że karta mogła nieść znaczenie, które przeczyło namalowanemu na niej obrazkowi. Przyzwyczajona do swego milczącego pomocnika, zapomniała, że język sam w sobie był tak subtelny i śliski jak jej karty, a słowa niosły w sobie ukryte ziarna, które rozkwitały pod wpływem intencji mówiącego. Pragnienie bezpieczeństwa nic nie znaczyło, jeśli jego siłą napędową była żądza mordu. Choć mówiła o miłości i opiece, z jej słów płynęły niczym krople krwi zgroza, żal i gniew. Każde słowo, wypowiedziane przez jej język, związało się z papierem małą cząstką jej duszy, nasączając karty nie miłością, lecz klątwą, którą strach wypalił mocno i głęboko. W sercu talii Głupiec zamknął oczy.

Ryzkowa opuściła wieczko szkatułki.

Węzeł na jej chustce z łatwością pozwolił ją przerobić na worek wygodny do niesienia na ramieniu. Ryzkowa zdmuchnęła świecę i zeszła z wozu. Przeszła przez obozowisko powoli i ostrożnie, żeby nie pobrzękiwać niesionymi monetami.

Benno patrzył za nią, kiedy mijała jego wóz. Nigdy nie mogła go zrozumieć: w jednej chwili się śmiał, w drugiej był poważny. Ale czuwał nad Amosem jak rodzony brat. Był silny, jak jej bracia, ale też opiekuńczy, jak oni nigdy nie byli. Skinęła mu. Akrobata skłonił się lekko.

– Masz bystry wzrok, tak?

– Zawsze, madame.

– Dobrze. Zrobisz z niego użytek. Uważaj na nią. Zadbaj o jego bezpieczeństwo.

Na twarzy Benna odmalował się zamęt, ale Ryżkowa nie powiedziała nic więcej i poszła dalej. Wkrótce usłyszała miękkie uderzenie jego dłoni o ziemię, kiedy wrócił do ćwiczeń. Wyszła z obozowiska i zniknęła w ciemnych ulicach Burlington.

Frank stoi na schodach przed domem, czekając, aż go wpuszczę. Przyszedł uzgodnić szczegóły dotyczące pieniędzy. Mokasyny, szorty khaki, lekko postrzępiona koszulka polo, niezobowiązujący strój dopasowany do pory dnia i temperamentu. Kiedy zapytałem, czy możemy to przełożyć, powiedział:

– Powinniśmy zająć się tym od razu. Nic nie wskazuje na to, żebyśmy mogli się ociągać.

Wpuszczam go do środka, opierając się o framugę. Moja kostka wygląda bardziej groteskowo niż wczoraj, to tylko zwichnięcie, ale jednak bolesne.

Spojrzenie Franka natychmiast przykuwa dziura.

– Jezu, Simonie, co się stało?

– Dom mnie zaatakował. – Mam guza w miejscu, gdzie uderzyłem głową o podłogę. Jeśli go dotknę, czuję mrowienie w całej czaszce, kiedy zamykam oczy, widzę pulsującą szachownicę. Frank coś mówi, ale słyszę go jakby z daleka.

– Na to wygląda – mówi, obchodząc wyrwę i zaglądając w nią. Kuca i wkłada w nią rękę. – Cholera. – Nie pamiętam, czy kiedykolwiek wcześniej słyszałem, żeby Frank przeklinał, brzmi to dziwnie. Wiem, że powinniśmy porozmawiać o pieniądzach, ale jest coś jeszcze.

– Czy moja matka wiedziała o tych zasłonach i portretach, które masz w stodole? Czy kiedykolwiek ich dotykała? – Coś, co wyzwala klątwę, może być trudne do zidentyfikowania, ale, kiedy się to coś znajdzie, istnieje szansa jej zdjęcia. Nie można zatrzymać smutku. Smutek przesypuje się przez palce.

Frank nie odpowiada. Zaczyna w różnych miejscach opukiwać i obstukiwać podłogę. Mamrocze coś pod nosem.

– Co się tutaj stało? Z zewnątrz jest źle, wiedzieliśmy o tym, ale wewnątrz? – Staje ostrożnie, sprawdzając deski. – Wszystko jest spróchniałe.

– To tylko podłoga. Czy mama dała ci karty w stodole?

– Tylko podłoga? Jest niedobrze. Niedobrze. – Zaciska zęby niczym buldog. Obchodzi pozostałą część pokoju, wzdłuż ścian, stukając i nasłuchując. Zatrzymuje się przed moim biurkiem, ostrożnie omijając dziurę, patrzy na księgę, swobodnie przegląda papiery.

– Byłbym wdzięczny, gdybyś tego nie dotykał, to wszystko jest bardzo stare – mówię. – Delikatne.

– Delikatne. – Słowo niczym uderzenie. – Podłogi już nie ma. Nie ma, Simon. Czy ty nic tu nie robiłeś? Dlaczego nie poprosiłeś o pomoc?

– Poprosiłem.

Jego dłoń na zmianę zaciska się i rozluźnia.

– Wróć za chwilę – mówi. – Nie dotykaj niczego, na miłość boską, po prostu nie dotykaj.

Trzaska drzwiami. Tynk się sypie, tworząc chmurę pyłu. Dojście do biurka jest niczym sztuczka z zachowywaniem równowagi, kiedy opadam na krzesło, mam wrażenie, że raczej tu na dłuższą chwilę zostanę. Twarz mnie swędzi, pocieram ją mocno. Brak snu daje się we znaki. Następne półtorej godziny spędzam na stronach poświęconych genealogii. Katerina Ryżkowa wyszła za Benna Koeniga. Tego z księgi. Jeśli czegoś nauczyłem się podczas moich poszukiwań, to tego, że moja rodzina stanowiła raczej wyjątek od reguły: artyści cyrkowi pobierają się między sobą. Koenigowie mieli córkę, Gretę. Jednak na niej ślad się urywa, żadnych wzmianek po 1824 roku. Właściwie Koenigowie jakby zapadli się pod ziemię. Wysłałam e-mail do biblioteki w Shoreham z prośbą, czy Raina nie mogłaby znaleźć aktu małżeństwa lub aktu zgonu Grety Koenig. Raina ma słabość do genealogii, ponieważ jej rodzina jest jedną z najstarszych na Wschodnim Wybrzeżu. Pod wpływem impulsu proszę ją, żeby poszukała Grety również pod nazwiskiem Ryżkowa. Cyrkownicy są zabawni, jeśli chodzi o nazwiska: jeśli Ryżkowa była większą atrakcją niż Koenig, możliwe, że Greta występowała pod nazwiskiem matki.

Wracam do księgi. Nie ma prawie wątpliwości, że portrety należały do wróżbitki Ryżkowej, nie ma jednak dowodu zakupu zasłon, pojawiają się jedynie na rysunkach i w notatkach dotyczących klatki Dzikiego Chłopca. Nic nie wskazuje na to, jak i dlaczego cokolwiek z tych rzeczy znalazło się w posiadaniu Franka, nie wiadomo też, co spowodowało tak znaczne zniszczenie księgi. Coś mi umyka, po części przez Enolę. Usunęła wszystkie karty. *Doktryna* powinna odświeżyć moją pamięć na tyle, żebym przypomniał sobie, które karty występowały w księdze. Ale ilustracje w tej książce są inne, bardziej płaskie, mniej złowrogie, są w odbiorze niczym witraże, a karty, zniszczone przez moją siostrę, przypominały roztrzaskane lustro.

Enola i Doyle zjawili się bliżej świtu niż zmierzchu. Słyszałem, jak szeptał do niej w ten sposób, który sprawia, że wszystko jeszcze lepiej słyhać.

– W porządku z nim, Mały Ptaszku. To był po prostu zwariowany dzień. Prześpij się trochę, okej?

Kiedy się obudziłem, już ich nie było. Enola zostawiła mi wiadomość, w której

nalegała, żebym odwiedził ich w pracy. Thom Rose chce ze mną porozmawiać.

Frank podjeżdża swoją przerdzewiałą ciężarówką z platformą. Zanim zdążyłem do niego przykuśtykać, rozstawił kozły do piłowania drewna na kępach morskiej trawy, która pełni funkcję trawnika. Kiedy się zbliżam, słyszę potok przekleństw. Frank milknie na mój widok. Robi to z widocznym trudem.

– Załatam dziurę, żeby nie straszyla.

– Dzięki – mówię. – Może to zabrzmi dziwnie, ale czy w twojej rodzinie byli jacyś Rosjanie? Portrety w twojej...

– Przestań. Po prostu przestań – mówi, podnosząc kawałek sklejki. – Jesteś jak pies, który dorwał się do cholernejszej kości. Nic nie wiem o tych rzeczach, po prostu mam je od zawsze.

Proponuję, że mu pomogę. Rzuca spojrzenie na moją kostkę. Kuśtykam z powrotem do domu, a on zostaje na zewnątrz, ku mojemu zadowoleniu zresztą. Widzę, jak kopie kozioł i znów przeklina, następnie obchodzi samochód, zbierając narzędzia i odkładając je na miejsce. Zatrzymuje się, aby spojrzeć na dom, jakby chciał oszacować jego przechył. Nie mogę nic poradzić na to, że widzę w nim Alice, jak przechyla głowę, kiedy patrzy na coś, co jest wysoko na półce. Jeśli nie wezmę pieniędzy od Franka, może uda mi się ją odzyskać, ale wtedy będę musiał pożegnać się z domem i wszystkim, co w nim jest – ze śmiechem mamy oraz jedynym miejscem na świecie, gdzie mogę sobie wyobrazić mojego ojca. Gdzie miałbym się udać? Do Alice? Do Savannah, gdzie są wielkopańskie domy i rzeki porośnięte rzeszą wodną?

Frank schodzi na kolana i z twarzą tuż przy ziemi ogląda fundamenty. Nie potrzeba poziomnicy – wewnątrz domu nie pozostawia żadnych wątpliwości: żadne drzwi nie wiszą prosto, żadne okno się nie otwiera, wszystkie stoły są pochyłe. Jeśli nic się nie zrobi, dom przepadnie. Jest spróchniały na wskroś.

Powinienem był pojechać do cyrku z Enolą. Powinienem ją teraz oglądać.

Frank wchodzi do domu jak do siebie. Kładzie ręce po obu stronach drzwi, tak jak robił to tata, co wydaje mi się świętokradcze.

– Jak do tego dopuściłeś? – warczy.

– Jest w złym stanie od dłuższego czasu. Tata też o niego nie dbał.

Frank kładzie sobie rękę na karku i ciągnie za włosy wystające spod kapelusza.

– Myślałem, że próbujesz jakoś utrzymać to miejsce, ale to? To są problemy z konstrukcją. Nic nie zrobiłeś. – Zaczyna rozwódzić się o wspornikach i fundamentach. Robi się coraz bardziej czerwony, aż przypomina kolorem dojrzałą śliwkę. – Zadzwoiłem do miasta. Przysyłają inspektora.

Czuję guz na mojej głowie.

– Co zrobiłeś? Wiesz, co teraz będzie.

Kiwa głową.

– To możliwe.

Dom zostanie uznany za nienadający się do mieszkania w nim i będę musiał się wyprowadzić.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Nie masz pieniędzy. Pożyczasz ode mnie i muszę się pospieszyć, inaczej ją stracimy. Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo ją zaniedbałeś. Każdy dzień, kiedy nic nie zrobię, będzie przybliżał ją do zaważenia się. – Ją, jakby dom był kobietą. Ogląda pokój, wyrzucenia na ścianach, odstające deski. – Tu jest niebezpiecznie – mówi, ale nie patrzy na mnie.

Jego oczy są mokre. Dobry Boże, czy on płacze?

– Nie biorę od ciebie pieniędzy. Coś wymyślę.

– Chcę, żebyś się stąd wyniósł – mówi głuchym, spokojnym głosem.

– Słucham?

– Słyszałeś. Jeśli Enola i ten chłopak, Doyle, będą potrzebowali, możemy ich przenocować przez kilka dni. – Pocięra czoło. Płacze, naprawdę płacze. – Ale chcę, żebyście się wszyscy wynieśli. Nikt tu nie zostaje. Tu nie jest bezpiecznie.

– Wydaje ci się, że masz prawo?

Te słowa powinny spowodować ciszę lub przeprosiny. Nic z tych rzeczy.

– Mam prawo. – Drapie się po plamistej skórze szyi. – Mam prawo – powtarza. Jego spojrzenie pada na sufit, wędruje do kuchni i na podłogę. – To jest w takim samym stopniu mój dom, jak i twój. Kupiłem go dla Pauliny.

Jakby z dna morskiego pytam:

– Co?

– Kupiłem ten dom dla twojej matki.

To nieprawda. Czemu miałby kłamać? Tata obiecał mamie dom, ten dom. Dlatego nigdy stąd nie wyjechałem, nigdy go nie sprzedałem. To był jego list miłosny.

– Dlaczego?

Siada na kanapie, w miejscu, gdzie Enola wyskubała jej ramię.

– Kochałem ją. – Wyznanie szczere, okropne, jakbym ponownie dowiedział się o jej śmierci. Frank przyciska nasady dłoni do oczu.

– Co?

– Kochałem ją. Nie pamiętasz, bo byłeś za mały, ale Paulina była taka, taka piękna.

– Zamknij się.

Oczywiście, że pamiętam.

– Tu nie ma nic do zrozumienia. Ja po prostu – kaszle. – Ja pierwszy ją spotkałem.

– Co to ma do rzeczy? – Nie poznaję własnego głosu.

– Przeprowadziłem go, żeby ją poznał. Gdybym wiedział, gdybym wiedział. – Śmieje się gorzko. – Tej nocy, kiedy poznałem Paulinę, wróżyła mi z kart i z ręki. Trzymała moją dłoń.

Drobne palce mamy trzymały tę kanciastą łapę, tę dłoń cieśli – jej palce, które czochrały moje włosy – jej palce dotykały jego linii życia.

– Przestań.

– Może nie wiesz, bo jesteś taki spokojny, ale kiedy kobieta bierze cię za rękę i patrzy ci w oczy, coś się w tobie zmienia. Przeprowadziłem ze sobą Dana, bo musiałem pokazać swojemu przyjacielowi kobietę, z którą zamierzałem być.

Moja stopa pulsuje, wysyłając fale bólu do mojej nogi. Nic nie mogę na to poradzić.

– Powiedziałem jej, żeby przyszła się ze mną zobaczyć, że wstaję wcześniej i że można mnie znaleźć w dokach w porcie. Przyszła rano. Również następnego dnia. Cały czas przychodziła, nawet po tym, jak Dan ją zobaczył. Nawet po tym, jak powiedział mi, że ją kocha. Nie powinienem był go przeprowadzać. Nie masz pojęcia, jakie to uczucie, kiedy stoisz w tłumie i przyglądasz się kobiecie, którą kochasz, która patrzy na twój najlepszego przyjaciela, który się w niej zakochuje. – Mówi do podłogi, do swoich stóp, niezdolny spojrzeć mi w oczy.

– Czy ona wiedziała?

– Że ją kochałem? – Pociera swoje szczęki buldoga, na których widnieją smutne plamy. – Tak.

– Tata kupił jej ten dom. Obiecał go jej.

– Dziadek zostawił mi pieniądze. Paulina chciała gdzieś osiąść. Może nie chciała mnie wtedy, ale to mogłem jej dać. Więc dałem mu pieniądze.

– Przyjął je.

– Nie chciałem go stracić. Pojechałby za nią wszędzie. Taka była, taki miała wpływ na mężczyzn.

Pamiętam mojego ojca obsługującego składany grill, mama i Leah siedziały na leżakach. Frank opowiadał historię o dzieciakach, które utknęły na mieliźnie. Czy ktoś zauważyłby, gdyby zbyt długo patrzył na mamę?

– Nie. Nie kupuje się domu przyjacielowi.

– Nie – zgodził się Frank.

Jest druga połowa tej opowieści i Frank wyjawia mi ją, jakby był pijany. Porankom w dokach towarzyszyły pocałunki, przelotny dotyk – wszystko to miało się skończyć. Faktycznie, kiedyś przestali.

– Po jakimś czasie – mówi. Miło z jego strony, że nie jest zbyt dosłowny. – Ona kochała twój tatę, wiem, że tak. Też go kochałem. Zacząłem się spotykać z Leah, która kształciła się, by zostać nauczycielką. Później się z nią ożeniłem.

Wszyscy czworo pozostali przyjaciółmi. W pewnym tego słowa znaczeniu.

– Spałeś z moją matką.

– Jeśli chcesz, żebym przeprosił, nie masz na co liczyć. Nie jest mi z tego powodu przykro. – Wstaje, aby dotknąć pęknięć na ścianach. Zatrzymuje się przed zdjęciem, na którym mała Enola jest w wodzie w ramionach mamy. – Ja zrobiłem to zdjęcie. – Opowiada o tym, że było to pod koniec czerwca, kiedy woda robi się ciepła, ale nie ma jeszcze meduz. – Paulina bała się, żeby Enola się nie poparzyła, więc kazała mi wejść najpierw, tak na wszelki wypadek. Nie jest mi przykro, że was znam.

– Nie baw się w mojego ojca. – Widzę, że się krzywi. – Spałeś z nią.

– Tak.

– Jak długo to trwało? Jak długo pieprzyłeś żonę swojego przyjaciela?

– Nie mów o niej w ten sposób. – Deski podłogi trzeszczą.

– Zanim się urodziłem? Później? Po Enoli? Jak długo? Miesiące? Lata?

– Jakiś czas – mówi cicho.

– Czy ja? – oboje wiemy, o co mi chodzi. Czy jestem jego.

– Nie.

– Enola?

– Też nie.

– Daty – mówię. – Potrzebuję znać cholerne daty. – Muszę być pewien.

– Przystaliśmy, kiedy Dan zaczął mówić o dzieciach. Nie spotykaliśmy się od roku, kiedy Paulina zaszła w ciążę z tobą. To nie ja. Nie mogłem... – Jego policzki drgają, jakby powstrzymywał się, żeby się nie skrzywić. – Ciężko było mi czasem nawet patrzeć na nią, wystarczająco ciężko było musieć ją z kimś dzielić, a do tego ona jeszcze chciała mieć jego dzieci. Ale nie mogłem. Po prostu nie mogłem. Kiedy miałaś około dwóch lat, zaczęliśmy ponownie. Przez kolejne dwa lata z przerwami. A później chciała mieć drugie dziecko, dziewczynkę. Myślę, że zobaczyła Alice i się zakochała. Odcięła mnie, powiedziała, że ma dość. Nie spaliśmy ze sobą od półtora roku, kiedy zaszła w ciążę.

Nowa okropność: przez cały czas, kiedy pragnął mojej matki, miał swoją żonę i wspólnie mieli Alice. Cichą, idealną Alice. Wychowywali nas razem – czy chodziło o to, żeby zająć czymś Leah? Czy byliśmy po to, żeby odwrócić jej uwagę? Serce mnie boli. Z mojego powodu, z powodu Leah. Frank znowu siada i wykonuje gest, jakby chciał mnie dotknąć, ale się zatrzymuje.

– Daty – powtarzam.

– Nie znam ich – niemal krzyczy. – Nie zapisywałem tego. To nie jest coś... nigdy nie sądziłem, że będę musiał się z tego tłumaczyć przed jej synem – mówi. – Jesteś jego. Do diabła, nawet obgryzasz paznokcie, tak jak on. Nigdy nie było co do tego wątpliwości. Twoja mama nigdy by do tego nie dopuściła. Nieważne, jak bardzo czasami bym chciał, żebyś był moim synem.

Zrywam się. Moja kostka protestuje, ale jest to bez znaczenia. Bolą mnie zęby, bolą mnie żyły.

– Nie kłam, nie w tych sprawach.

– Nigdy nie kłamałem, po prostu nigdy o tym nie mówiłem.

– Czy mama wiedziała, że dałeś mu te pieniądze? – Nie odpowiada. – Wiedziała?

– Tak – mówi po dłuższym czasie. – To było to, co mogłem jej dać. A teraz zostało z tego gówno, Simon.

– Ile mu dałeś? – Patrzy na mnie pustym wzrokiem. – Ile kosztował dom? – Wszyscy byliśmy rodziną. Frank, który miał na spółkę z tatą łódź, żeglował z mężczyzną, z którego żoną sypiał. Jadałem przy jego stole. Całowałem i kochałem jego córkę.

– Dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

We Franku nie ma potrzeby przeprosin i to ze wszystkiego jest najbardziej odrażające.

– Ile lat to trwało? Jak długo byliście razem?

– Pięć lat z przerwami – mówi.

Pięć lat. Tysiąc osiemset dwadzieścia sześć dni.

– Jeśli spojrzeć na to logicznie, to wychodzi pięćdziesiąt tysięcy dolarów za rok sypiania z moją matką. Jak myślisz, ile razy w roku? – Frank zaciska szczękę, grdyka aż mu chodzi. Nadal ani śladu żalu. – Raz w miesiącu daje jakieś cztery tysiące z okładem. Raz w tygodniu to z grubsza tysiąc dolarów. Czyli moja matka była dla ciebie warta tysiąc dolarów tygodniowo. To jakbyś utrzymywał drugą rodzinę na boku, tylko dla rżnięcia. – Uderza pięścią w ścianę, która znika w dziurze wielkości jabłka. Wyciąga rękę, chowa ją w drugiej dłoni, a po chwili zaczyna przyglądać się ścianie. Dotyka ją dookoła, mruczając pod nosem przeprosiny dla domu, dla mojej matki.

– Czy tata wiedział?

– My mu nie powiedzieliśmy.

To wystarczająca odpowiedź.

– Czyli wiedział.

– Każdego ranka patrzyłem, jak pływała. Nawet później – mówi, nie patrząc na mnie. Nie może. – W ten sposób twój tata się domyślił. To było ponad rok po narodzinach Enoli. Spotkaliśmy się na schodach: on schodził, a ja wchodziłem. Mijając mnie, zapytał, czy Leah wie. Odparłem, że nie ma nic, co powinna by wiedzieć. Wtedy to była prawda, nie byliśmy ze sobą od kilku ładnych lat. Następną rzeczą, której dowiedziałem się od Pauliny, było to, że Dan planował wyprowadzić się z wami wszystkimi w głąb stanu.

Daleko od wszystkich miejsc, gdzie człowiek zajmujący się łodziami mógłby znaleźć pracę.

– Kochałem ją – mówi Frank cicho. – Każdego dnia, nawet kiedy wiedziałem już, że to nie będzie trwać. Kochałem Paulinę. Przestaliśmy, ponieważ ją kochałem, twojego ojca również. A później ona odeszła. – Zrywa kapelusz z głowy i mnie go w rękach. – Jeśli wyniesiesz się z domu na trochę, mogę go naprawić. Zadzwońię po Pete’a i zaczniemy pracować, ale nie jest tu bezpiecznie. Może ci się coś stać. Ciebie też kochałem, ciebie i Enolę. To by mnie zabiło, gdyby Dan mi was wszystkich zabrał.

Wyobrażam sobie swoje życie od nowa. Wyobrażam sobie to, o czym czasem marzyłem. Frank byłby moim ojcem. Rodzina po drugiej stronie ulicy to byłiby obcy ludzie, którzy czasem przez pomyłkę dostawali by naszą pocztę. Widywalibyśmy ich od czasu do czasu podczas wyciągania łódki z garażu. Ale gdzie byłaby Alice? Nie byłoby jej.

Mama umarła. Tata sprzedał łódkę. Zacząłem widywać Franka rzadziej, tylko wtedy, kiedy byliśmy z Alice na plaży lub kiedy Leah nas pilnowała. Myślałem, że to przez smutek tata odsunął się od Franka, ale to było coś znacznie gorszego. Matka utonęła, a on odciął się od swojego najlepszego przyjaciela. To logiczne.

– Twoje pieniądze nigdy niczego nie naprawiły. Zawsze tylko niszczyły. Zniszczyły nas. Dom diabli wzięli, ponieważ tata nigdy w nim nawet palcem nie ruszył. Ani razu. Nie zainwestował w niego ani centa. Nie obchodziło go, czy ten dom runie, ponieważ kupiłeś go, żeby być blisko mojej matki. To symbol miłości innego mężczyzny do jego żony. Tata zdawał sobie z tego sprawę. Pewnie kiedy siedział przy kuchennym stole, modlił się o to, żeby dom się zawalił. Jego też zabiłeś. Po prostu trwało to dłużej.

– Simonie – prosi.

– Nie, nie waż się wypowiadać mojego imienia. – Nie mogę dłużej być w tym miejscu, które pachnie lakierem, trocinami i klejem stolarskim jak Frank.

Idę do samochodu, pobiegłbym, ale noga mi na to nie pozwala. Frank idzie za mną. Mówi coś, ale nie słyszę go za drzwiami samochodu. Nic mnie to nie obchodzi. Ledwo czuję swoje dłonie na kierownicy. Zaciskam je i rozluźniam przez chwilę, aby przywrócić krążenie w palcach, stres może powodować zarówno zwężenie, jak i rozszerzenie naczyń krwionośnych – dowiedziałem się tego, pomagając pewnemu uczniowi przy pisaniu pracy – w tym wypadku jest to zwężenie. Frank jest przy samochodzie. Jest załamany, ale dla mnie niewystarczająco. Otwieram okno. Kładzie dłonie na dachu auta, zaczepiając kciuki w środku, wpraszając się.

– Przepraszam – mówi. – Nie masz pojęcia, jak bardzo bym chciał, żebyś był moim synem.

– Nigdy nie zachodziłeś do nas po tym, jak tata umarł – stwierdzam. – Musieliśmy zawsze przychodzić do ciebie. – Wstydzę się, ponieważ mogłem go

pokochać mimo wszystko, gdyby tylko chciał.

– To było dla mnie za dużo. Twój tata i dom, no i była jeszcze Leah i Alice – mówi.

Jakoś wcześniej one go nie powstrzymywały. Nie, Alice i Leah były ważne dopiero wtedy, kiedy ja i Enola staliśmy się trudni do kochania, nie tak wygodni jak rodzina, którą już miał.

Czuję nieodzowną pokusę. Czuję, że się uśmiecham, i wiem, że wyglądam jak wariat. Cofam samochód, paląc gumy. Frank stoi na podjeździe, zasłaniając się rękoma, jakby był nagi.

Tak, Alice będzie na mnie wściekła, ale i tak już jest. Wychylam się przez okno i krzyczę:

– Przeleciałem twoją córkę, a teraz idź i napraw mój dom.

O świcie Amos obudził się z nogami obolałymi od snów o pogoni. Evangeline leżała obok niego – miękka i ciepła od snu. Spojrzał w kierunku wozu z zaokrąglonym dachem, który należał do madame Ryzkowej, i poczuł niepokój. Raz widział człowieka, który umarł nagle, podnosząc skrzynię – jego twarz poszarzała jak pancerz żuka, zanim wydał niemy okrzyk i upadł bez życia. Poprzedniego wieczora twarz Ryzkowej miała taki właśnie kolor. Jej ostrzeżenia i groźby były nietrafione, ale bardzo się o niego troszczyła, co było na tyle rzadkie, że nie należało tego lekceważyć.

Wygramolił się z postania powoli, aby nie zbudzić Evangeline, i poszedł czekać na Ryzkową na schodach jej wozu. Ona zawsze wiedziała, kiedy się zbliżał, i droczyła się z nim:

– Czuję zapach twoich nieumytych rąk.

Zaczynał wachać swoje dłonie, a ona uśmiechała się i mówiła:

– Sądzisz, że nie potrafię wyczuć swego? Wiem, kiedy mnie szukasz.

Amos czekał, dopóki niecierpliwość nie nakazała mu zapukać. Żadnej reakcji. Nacisnął klamkę i przekonał się, że drzwi są zamknięte. Poczuł w piersi coś twardego. Ryzkowa nie żyła i to on ją zabił. Pobiegł do wozu Benna i walił w drzwi tak mocno, że odpryski żółtej farby przykleiły mu się do ręki. Akrobata w narzuconej niedbale koszuli uchylił drzwi. Za nim można było dojrzeć czyjś cień na materacu. Benno zszedł z wozu.

– O co chodzi? – zapytał, przecierając zaspaną twarz.

Amos zaciągnął go pod wóz Ryzkowej. Szarpnął za klamkę, żeby pokazać, że drzwi są zamknięte i nikt nie otwiera.

– Jest jeszcze wcześniej. Ledwo dnieje.

Amos uderzył dłonią w drzwi, aż zawiasy zaskrzypiały. Wewnątrz nie było słyhać żadnego ruchu, ale Amos nie przestawał tłuc, patrząc zdesperowanym wzrokiem na Benna.

– Przestań. Nie możesz pracować z pokaleczonymi dłońmi. – Benno złapał Amosa za ramiona i mocno przytrzymał, dopóki chłopak się w końcu nie uspokoił.

– Pomogę ci. Poczekaj tutaj.

Benno pobiegł, aby powrócić po krótkiej chwili z niewielką skórzaną sakiewką. Poleciał Amosowi, by się odsunął, i wyjął z niej kilka mosiężnych pręcików. Amos przyglądał się, jak Benno delikatnie popchnął drzwi.

– Tam, skąd pochodzę, konieczne jest, aby mężczyzna opanował umiejętności obce uczciwym ludziom. Od czasu do czasu okazują się one przydatne. – Przyłożył

oko do szpary między drzwiami a framugą i zaczął manipulować pręcikami wzdłuż krawędzi, poruszając nimi na boki.

Benno był złodziejem, przynajmniej kiedyś. Choć podróżowali razem od lat, Amos nie wiedział o nim wiele oprócz tego, że chętnie się uśmiechał i miło było przebywać w jego towarzystwie. Benno zgiął jeden z pręcików, dopasowując go do drzwi. Nagle wraz z błyskawicznym ruchem jego nadgarstka drzwi ustąpiły.

– Robię to tylko dla ciebie. – Włożył wytrych z powrotem do sakiewki. – Wybacz, że nie zostanę, ale wzywają mnie pewne sprawy – powiedział i poszedł pośpiesznie do swojego wozu z sakiewką zatknietą za pasek.

Amos wszedł do środka i stanął osłupiały. Wnętrze zostało ogołoczone. Na ścianach widniały słabe zarysy portretów, które tam wisały. Ryżkowej ani śladu.

Chwiejnym krokiem zszedł z wozu i pobiegł w kierunku miasteczka. Burlington. Musiała tam pójść, w pobliżu nie było nic innego, a z pewnością nie poszłaby sama nad rzekę. Ugryzł się w język i smak krwi nasilił jego niepokój. Droga do miasteczka znajdowała się niedaleko za wozem Peabody’ego, widział dym z porannych palenisk lecący ku niebu i pobiegł ku niemu, minął kowala, rzeźnika i dalsze ulice. Sprzedawcy nie otworzyli jeszcze sklepów, zajazd nadal pograżony był w ciemnościach, ulice świeciły pustką, jeśli nie liczyć na wpeł zagłodzonego kundla wężącego w poszukiwaniu odpadków. Głębokie koleiny na drodze uniemożliwiały odnalezienie śladów Ryżkowej. Jakby madame rozplynęła się w powietrzu. W brzuchu Amosa odezwał się ból gorszy od głodu. Wrócił do obozowiska, do wozu Peabody’ego.

Peabody odsunął zasuwę i wyjrzał, mrużąc oczy. Bez kapelusza czubek jego głowy połyskiwał na różowo w świetle poranka. Wymruczał przeprosiny, przełożył coś na bocznym stoliku, zanim złapał za kapelusz.

– Co cię napadło? Nikt przy zdrowych zmysłach nie jest na nogach o tej porze.

Amos wskazał w kierunku pustego wozu Ryżkowej, ale Peabody nawet nie chciał o tym słyszeć.

– Wiem, co się dzieje w moje trupie. Pokłóciłeś się z madame Ryżkową. – Parsknął. – To osoba o sporym temperamencie. Jestem pewien, że nie jest to nic, czego odpoczynek i nowe miasteczko nie są w stanie naprawić. – Jego uśmiech przerodził się w ziewnięcie.

Amos złapał Peabody’ego za rękaw koszuli i wyciągnął go z wozu, nie zważając na jego protesty. Zza różnych drzwi wychyliły się głowy Meixela, Nata i Susanny. Evangeline się obudziła. Benno stanął na swoich schodach, a za nim pojawiła się Melina, pocierając zaspane oczy. Zanim Amos i Peabody doszli do wozu, zebrała się im publiczność. Amos otworzył drzwi, ukazując puste wnętrze. Twarz Peabody’ego poszarzała.

– Mój drogi Amosie, jestem ci winien przeprosiny. I po prostu... – Nie

znajdował słów. – Do cholery. Zrobiła to. Nie, to nie jest w porządku. Ach, Amosie, przykro mi. – Zdjął kapelusz, przytknął go do piersi i odszedł do swojego wozu zmieszany. Amos nie miał ochoty za nim iść. Usiadł na schodach Ryżkowej, zwieszając nogi i węsząc – w powietrzu wyczuwał nutę starych kwiatów, zapach jego nauczycielki. Przyglądał się każdemu zagłębieniu na stopniach, po których wchodziła przez niezliczoną ilość lat, dotykał śladów pozostawionych przez obcasy jej butów.

Pierwszy podszedł do niego Meixel. Szorstko klepnął go po plecach i zajął się rozpalaniem ogniska. Siłacz Nat skłonił głowę, a Melina ścisnęła kolano Amosa. Ich dotyk nie przynosił pociechy, był raczej jak pożegnalne upominki.

Benno dotknął ramienia Amosa.

– Nie będę udawał, że rozumiem, dlaczego odeszła, ale wiem, że to nie dlatego, że o ciebie nie dbała.

Amos się wzdrygnął.

Evangeline czekała, wiedząc, że Amos w końcu do niej przyjdzie. Dowiedziała się, że pokłóciła się z Ryżkową, że była przyczyną jej odejścia. Zastanawiała się, czy wszystko, czego dotknie, musi się zepsuć i umrzeć. Jestem morderczynią.

Mieli wyruszyć tego dnia wzdłuż brzegów Rancocas, ale tak się nie stało. Amos nie wiedział, czy to z nadziei, że Ryżkowa wróci, czy aby okazać swój szacunek.

– Jeden dzień wcześniej czy później nie robi różnicy tym, którzy nas jeszcze nie znają – powiedział Peabody.

Amos siedział w jej wozie, dotykając palcami miejsc, w których wisiały portrety i tkaniny, wypatrując miejsc przypalonych szafliwą. Kopnął wypełniony słomą worek, który służył Ryżkowej za materac, i rzucił się na niego, tylko po to, aby uderzyć głową o ostry kant. Schowana pod brzegiem jej pośłania leżała szkatułka Ryżkowej. Zostawiła mu karty.

Uniósł wieko i pomarańczowe rewery uśmiechnęły się do niego. Przyłożył je do piersi, czując ich gładkość, czując w ich papierze Ryżkową, śmiejącą się, droczącą się i napominającą, całującą go w policzki, kiedy zrobił coś dobrze. Uczącą. Jego serce równocześnie pękło i się zagoiło – wiedział, że nie zginie.

Włożył karty za koszulę i poszedł szukać Peabody'ego.

Peabody siedział nad księgą, rysując grube czarne linie w poprzek długich kolumn cyfr i nazwisk. Tuż nad spodem strony zaczął szkic, być może wozu, za wcześnie, żeby to stwierdzić. Widząc Amosa, odchrząknął.

– Przyjmij moje przeprosiny – powiedział. – To straszne. Doniosłe i straszne, ale nie z twojej winy. Niedawno rozmawiałem z tą kobietą. – Nakreślił piórem w powietrzu zawijas. – Nie było to przyjemne. Wynagrodzę ci to jakoś, obiecuję.

Amos objął mężczyznę rękoma i się do niego przytulił.

Peabody zakaszłał.

– Tak, cóż. Dokładnie tak.

Amos wyjął talię z za koszuli, zręcznie zaczął ją przeszukiwać.

Wykładając jedną na drugą, pokazał Peabody’emu Kielichy, czyli komunikację, Paziów jako wielką podróż, Arcykapłankę jako Ryżkową i że muszą ją znaleźć, Głupca jako siebie i to, że odeszła z jego winy.

Otwartość znikła z twarzy Peabody’ego. Siedział na swoim stołeczku, każde z przeżytych przez niego lat było widoczne jak na dłoni, i uśmiechał się z żalem.

– Kochany chłopcze, nie mam zielonego pojęcia, co próbujesz mi powiedzieć.

Amos wydał z siebie nienaturalny charkot. Wyszukał Pustelnika i pokazał go Peabody’emu, przyciskając go do jego aksamitnej kamizelki.

– Przepraszam – powiedział mężczyzna tak cicho jak nigdy. – Niezwykłe mi przykro, ale nie mam pojęcia, o co ci chodzi.

Odłożył pióro, zamknął kałamarz i złożył rękę na swoim wystającym brzuchu.

– Mogę spróbować – obiecał łagodnie. – Ale jestem stary i to mi zajmie trochę czasu. – Widząc zdenerwowanie Amosa, dodał: – Przecież dobrze sobie radzimy, nieprawdaż?

Amos zaczął płakać. Peabody poklepał go po plecach, ale jego zabiegi nie przynosiły spodziewanej pociechy. Pozwolił młodzieńcowi zwinąć się w kłębek na podłodze. Przez długie pełne bezradności chwile patrzył na niego, jak się cały trząsał.

– Może jeszcze wróci. Poczekamy jeszcze tę noc i uporządkujemy sprawę. Jeśli nie wróci, cóż, będziemy musieli się przystosować do nowej sytuacji.

Spojrzał na swoją księgę. Odejście Ryżkowej zmniejszy ich zarobek. Nie mógł sobie pozwolić na trzymanie kogoś, kto na siebie nie zarabiał, obojętnie jak bardzo go lubił. Podrapał się po brodzie. Amos musi być przydatny, trzeba będzie mu wymyślić nowe zajęcie. Tak, Ryżkowa odeszła, ale jeśli traci się pieniądze, można też je zyskać. Zadumał się nad swoim szkicem.

– Wiesz, Amosie, że kiedyś byłem uczniem Phillipa Astleya? Kiedy było mnie mniej, jeździłem konno. W Londynie, choć jestem pewien, że ta nazwa nic dla ciebie nie znaczy. Godnie się prezentowałem. Astley był cudownym człowiekiem. Miał silny głos. W moich lepszych momentach staram się na nim wzorować. Nauczył mnie, jak zeskakiwać z siodła, stać na nim, jak balansować filiżanką ze spodeczkiem na czubkach palców podczas galopu dookoła areny. Z pewnością był to świetny czas w moim życiu. – Przerwał, aby zapisać kilka linijek. – Ale nie można jeździć konno w nieskończoność. Pewna humorzasta klacz zrzuciła mnie z grzbietu. Nazywała się Najwspanialsza Rosie, choć była raczej kąśliwa. Zrzuciła mnie na środku areny na oczach całego Londynu i kopnęła w żołądek i w plecy, tak że wołyżerka była dla mnie skończona. Mogłem umrzeć, ale się wylizałem. Statek zawiózł mnie na drugą stronę oceanu, do miejsca, gdzie nie widzieli nikogo takiego

jak Astley ani nawet takiego jak ja. Kłamstwem byłoby powiedzieć, że nie brakuje mi jazdy, ale pod wieloma względami jest też lepiej. Tutaj ja mogę być Astleyem, a nie jedynie jego nikłym cieniem. Rozumiesz, mój chłopcze? Przystosowałem się. Tobie też się uda.

Kiedy Amos się uspokoił, Peabody pomógł mu wstać. Wygładził jego koszule, wyjął źdźbła słomy z włosów i strzepnął pył z ramion. Przyjrzał się chłopcu od stóp do głów, zauważając brudne plamy na jego koszuli i przetarcia na spodniach – z pewnością nie był to dzentelmen, ale też nie prezentował się najgorzej. Uśmiechnął się do Amosa tak szeroko, że aż uniosły mu się wąsy.

– No już, młody panie. Puder lub peruka mogłyby poprawić twój wygląd, ale nie da się zrobić jedwabiu z lnu. Wydaje mi się, że potrzebujesz pocieszenia, którego mogą dostarczyć jedynie przedstawicielki płci pięknej. Idź do swojej damy. Zawsze uważałem, że smutek rozstania najlepiej uleczyć powitaniem, rzucić się w wir romansu! – Peabody otworzył drzwi i delikatnie wypchnął Amosa, patrząc, jak chłopak się oddalał.

Niemym wróżbita był atrakcją tylko w parze, pozbawiony partnera nastęcał problemów. Bez Ryżkowej rachunki nie będą się zgadzać, Peabody stracił nie jednego członka trupy, ale dwóch. Zanim czegoś nie wymyślą, mogą z powrotem zawiesić kotary na klatce Dzikusa, ale ta myśl nie była miła Peabody'emu. Nie wiedział, kiedy nadszedł ten moment, w którym zaczął uważać Amosa za swojego drugiego syna, ale tak właśnie było. Wrócił pamięcią do swoich czasów u Astleya i tego, że to nie plecy bolały go najbardziej, i po raz pierwszy w swoim życiu Hermelius Peabody poczuł się stary.

Evangeline czekała w wozie małego konika.

– Czyli to prawda. Ryżkowa odeszła – powiedziała, kiedy wspiął się do środka.

Musiała płakać wcześniej, bo zobaczył, że miała zaczerwienione oczy i plamy na policzkach. Kiedy chciała go przytulić, wyrwał się i sięgnął po karty.

– Przynajmniej ci je zostawiła – powiedziała.

Amos nie słuchał, był niewiarygodnie zmęczony słuchaniem, chciał mówić. Przeszukując talie, pokazywał Evangeline kartę po karcie, z obrazów tworzył wypowiedź. Głupiec przewijał się cały czas, Arcykapłanka, później mroczniejsze karty. Amos ułożył je przed nią, mozaikę swego życia, swoje myśli i bardziej niż zwykle swoje lęki. Evangeline próbowała nadażyć, wymawiając jego myśli, zobaczywszy je, ale Amos poruszał się z szaleńczą prędkością. Karty migały, zsuwały się i rozmazywały, aż w końcu zwolnił trochę i zaczął powtarzać sekwencję kart, znaną Evangeline. Podczas lekcji używał dwóch kart – jednej dla siebie, drugiej dla niej. Teraz posługiwał się tylko swoją – Głupcem. Zaczął zestawiać ją z inną – samotnym, starym wędrowcem, czyli Pustelnikiem. Nie, nie chodziło o Peabody'ego – jakże złożony był ich język – podczas lekcji używał tej

karty, aby zapytać: „Czy jesteśmy sami?”. Teraz była to wariacja tego pytania. Evangeline zrozumiała: „Czy jestem sam?”.

Amos powtarzał: Czy jestem sam? Czy jestem sam?

Położyła swoje dłonie na jego plecach i przytknęła usta do jego czoła.

– Jestem tu – powiedziała. Powtórzyła te słowa, ale on nie słyszał. Poszukała swojej karty, Królowej Mieczy, i kolejnej, żeby je zestawić – tej, co do której umówili się, że oznacza dom, miejsce, gdzie mieszkali. Szóstka Kielichów. Dzieci bawiące się przed swoim domem. Położyła je na deskach wozu, przytykając do jego kart w odpowiedzi.

Czy jestem sam?

Jestem tu.

Czy jestem sam?

Jestem twoim domem.

Na parkingu przed cyrkiem dopasowuję fragmenty układanki. Mój tata kochał mamę, tak mi powiedział. Pokochał ją od pierwszego wejrzenia. Enola nie jest chora, ma się dobrze, a my nie umieramy.

Z tym że to nieprawda.

Czerwono-białe markizy cyrku Rose'a rozpościerają się obok ceglanego klocka, w którym mieści się straż pożarna Napawset. Są karuzele, gry zręcznościowe, gabinet śmiechu z ruchomą podłogą i lustrami, różne pokazy i moja siostra. Zaparkowałem przy podartym banerze informującym, że jest to 45. Doroczny Festyn Strażacki. Enola i ja przychodziliśmy tu jako dzieci. Wydałem dużo pieniędzy, usiłując wygrać dla Enoli złotą rybkę, która nie przeżyła nawet jednej nocy. Teraz całe to miejsce należy do niej – do niej i Doyle'a.

Kuśtykam przez środek, czyli połączenie wydeptanej trawy, wzdłuż których stoją budki, stoiska ze smażonym jedzeniem i migoczącymi światłami, w poszukiwaniu miejsca, gdzie wróżą z kart. Ktoś zapowiada coś przez megafon. Większość stanowiska z grami jest obsadzona przez nastolatków, ale może to być również szczególnie typ bardzo chudych osób o zapadniętych i poznaczonych trądzikiem policzkach. W powietrzu unosi się ciężki zapach gotowanej kukurydzy i waty cukrowej. Z głośników dudnią popowe piosenki. To dom Enoli. Wokół mrowi się od spoconych twarzy, dzieci biegają rodzicom między nogami, prawie czuję, jak ojciec łapie za kołnierz mojej koszuli, żeby powstrzymać mnie przed próbą wygrania żywej żaby. Idę niepewnie i powłóczę nogą z opuchniętą kostką, ból ma metaliczny posmak. Nad wszystkim góruje karuzela łańcuchowa – klasyczny model z siedzeniami w kształcie samolotów i szczytem ozdobionym lusterkami, odbijającymi światło słoneczne. Pamiętam, jak tata zapinał Enolę na podobnym siedzeniu. Pamiętam, że leciałem obok niego, przyglądając się, jak pęd przyklejał mu włosy do czoła. Nawet wtedy się nie uśmiechnął – był zbyt zajęty wypatrywaniem ducha mamy w miejscu, gdzie się poznali. Następnego roku poszliśmy z Enolą sami. Z karuzeli dobiega śmiech, kiedy łańcuchy się napinają i samolociki zaczynają się wznosić, odchylając się zgodnie z działaniem siły odśrodkowej. Kuśtykam na koniec kolejki, z wysokości powinienem łatwiej móc

znaleźć Enolę. Ledwo się mieszczę na siedzisku, kolana mam prawie przy twarzy, ale potem się zaczyna. Wznoszę się spiralnym ruchem na zewnątrz i widzę domy w naszym mieście. Pewnie w niejednym sąsiad uwodzi żonę sąsiada i jeszcze podstępnie ją topi. W najwyższym punkcie widzę zatokę Sound ponad dachami, wśród których jest również mój – poprawka, to znaczy Franka. Woda jest mętna, nie gładka jak szklana tafla ani wzburzona i napierająca jak w książkach. Jest szara, spokojna i martwa. Nienawidzę tego nienawiścią twardą jak muszla. Utopiła się w byle jakiej wodzie.

Poruszam stopą, zginam kostkę i ból, który się pojawia, jest jedynie odległym echem poprzedniego. Wesołe miasteczko przypomina tekturową makietę z pokoju dziecięcego. Tu budka z różową lemoniadą. Tam koło fortuny. Wszyscy grają, choć wiadomo, że jest ustawione. Głosy się rozplývają: krzyki, śmiechy, płacz bez powodu. W końcu dostrzegam z tyłu fioletowy namiot, przed którym stoi kolejka. Tak, ten jest jej.

Kiedy lądujemy na ziemi, sprawy mają się inaczej. To nie jest wspaniały cyrk, ale mogę z nim uciec.

Potrzebuję Enoli. Zostały trzy dni, a ja jej potrzebuję.

Obok mnie przechodzi ogromny gość w hawajskiej koszuli, na plecach zwisa mu cienki warkoczyk niczym ogon oposa, idzie w kierunku pasiastego namiotu, podnosi jego połą i wchodzi. To musi być Grubas George, ten od zioła. Rozglądam się za Doyle'em, ale nie ma go nigdzie w pobliżu.

Idę do małego fioletowego namiotu, mijając strzelnicę i stoisko ze smażonym na głębokim oleju chrustem, frytkami i ciasteczkami zeppole – z każdej smaźalnicy unosi się inny oleisty zapach. Na tyłach wesołego miasteczka stoi zipper – obracający się pas transmisyjny, który posyła swoich pasażerów w obracających się dokoła własnej osi kapsułach w niebo. Wziąłem na to Enolę, kiedy była za mała: wypadła z zapięcia i nieźle się potłukła. Całymi tygodniami miała purpurowy guz wielkości gęsiego jaja.

Przed „Zatop dziwaka” stała krótka kolejka ludzi, czekających na rzut piłeczką. Dziwakiem jest chudy gość w brudnym podkoszulku, który wrzeszczy, że rzucam jak baba. Za jego stanowiskiem znajduje się namiot Enoli. Fioletowy welur i dywetyna, ozdobione ręcznie namalowanymi złotymi księżycami i gwiazdkami. W rogu namiotu stoi potykacz, na którym namalowana jest ręka unosząca się nad kryształową kulą oraz podpis gotykami „Madame Esmeralda”.

Esmeralda. Doprawdy.

Wnętrze oświetlone jest lampką, na którą narzucono czerwony jedwabny szal. Przy stoliku udrapowanym materiałem w perską łezkę siedzi Enola – uosobienie dziecięcego wyobrażenia o wróżbitce: na głowie ma purpurową chustkę, w uszach wielkie złote koła. Ma dwie nastoletnie klientki z identycznymi kucykami – jeden

blond, drugi brązowy. Przy Enoli stoi Doyle – jego wytatuowane ręce migają nad stolikiem. Kiedy podnoszę zasłonę, do środka wpada światło i dziewczyny się obracają. Doyle się krzywi. Enola rzuca mi nieprzyjemne spojrzenie mocno umalowanych czarną kredką oczu. Warczy na mnie z silnym obcym akcentem:

– Wynocha! Esmeralda poprosi cię za chwilę.

– Enola, ja...

– Ty. Wynocha. Już. – Uderza dłonią w stół.

Doyle podnosi się z krzesła, aby mnie wyprosić.

– Pięć minut, okej? Wyluzuj. – Opuszcza za mną kotarę.

Po jego odejściu uchylam ją odrobinę, tak aby tylko zerknąć, i patrzę na Enolę, która kiwa się na swoim krześle, mówiąc niskim głosem do dziewczyn z kucykami, które trzymają się blisko siebie.

– Chcecie zapytać o miłość, tak? – pyta Enola. Blondynka zaczyna mówić, ale zostaje uciszona przez gest ręki mojej siostry. – Nie minie, skarbie. Skah-bie. Powiedz to Malowanemu Mężczyźnie – mówi. – Z nim twoje tajemnice są bezpieczne. Z nim tajemnice są bezpieczne. Wyłumaczę ci. Przyszłość ma dwoje drzwi, tak? Jedne, aby je otworzyć, drugie, aby je zamknąć. Malowany Mężczyzna je zamyka. – Dotyka paznokciem przyssawki na ramieniu Doyle'a, a następnie swojej piersi. – Esmeralda otwiera.

To bujdy, ale w jej oczach jest coś. Są inne, nie orzechowe jak mamy, czarniejsze – jakby kogoś innego. Blondynka nachyla się i szepcze Doyle'owi do ucha, jej kucyk muska jego ramię, macka spotyka się z macką. Doyle kiwa głową i kładzie swoją dłoń na dłoni Enoli. Jest w tym coś niepokojącego, coś, co przypomina mi o zdaniu: „Dzikus awansowany na ucznia wróżbitki”. Patrzę nie na Enolę, ale na madame Ryzkową zmieszaną z mamą, które rozbrzmiewają niczym echo w ciele mojej siostry.

Oczy Enoli się wywracają, stale przygarbione plecy prostują się na moment. Coś miga, szybki ruch i odgłos rozkładanych kart. Enola ułożyła idealny celtycki krzyż. Rozpoznaję rozkład z *Doktryny*. Dziesięć kart. Dwie w środku ułożone na krzyż, jedna nad nimi, jedna pod nimi, jedna na lewo, jedna na prawo i kolejne cztery karty szybko rozłożone w rzędzie z boku powyżej. Widzę karty. Są inne niż w *Doktrynie*, ale zwyczajne. Talia Waite'a: z subtelnymi obrazkami, które nawet ja znam. Dziewczyny nachylają się na krzesłach, ich kucyki zwisają niczym wahadła. Kiedy Enola wyklada ostatnią kartę, jej głowa gwałtownie przechyla się do tyłu, jakby ktoś jej skręcił kark. Idealnie zgrany z nią w czasie Doyle stuka ją w plecy, więc otwiera oczy i nachyla się nad kartami.

– Tak, tak – mówi. – Obie kochacie jednego mężczyznę. Tak. Zawsze tego samego. – Śmieje się, w innych ustach ten śmiech brzmiałby erotycznie, ale w przypadku Enoli sprawia raczej krwiożercze wrażenie. – Ta – palcem wskazuje

blondynkę. – To ona to wszystko napędza. Zawsze się za nią uganiają. – Brązowy kucyk unosi się w górę i w dół. – Ten chłopak lubi silne dziewczyny. Widzicie tu? Miecze. Lubi decyzje, konfrontacje. – Macha ręką i w tym geście jest jakieś szaleństwo. – Ty – patrzy na dziewczynę o brązowych włosach. – Zawsze czekasz na resztki, tak? Zawsze gorsza. – Cichy, pozbawiony wesołości chichot dziewczyn. – Widzicie kielichy? – kontynuuje Enola. – Woda. W tym miejscu oznaczają zmianę, płynność. Komunikację. Ty z nim rozmawiasz, tak? Ona nie mówi.

Dziewczyny tłoczą się jak kury po ziarno, przyglądając się kartom. Nagle głos Enoli się urywa i jej szczęki się rozluźniają. Patrzy ponad głowami dziewczyn, poza obręb namiotu i jeszcze dalej. Jej dłonie poruszają się niczym niewidome ptaki podążające ze wzorem migracji. Nowy układ rozłożony na starym, sześć nowych kart na sześciu starych. Obraca je i odzywa się tym razem bez śladu akcentu, nie patrząc na karty. Oderwany od jej ciała głos. Widzę Śmierć, Diabła i Wieżę, i serce przeszyte trzema ostrzami.

– Poniesiesz straty. Śmierć powstaje z głębin. Bezpłodność. Puste pola. Nie będzie dzieci.

W namiocie słychać brzęczenie, wstrząsa mną dreszcz. Dziewczyny kręcą się na krzesłach. Jedna drży. Jedwabny materiał porusza się na stole i Enola łapie jedną z dziewczyn za nadgarstek.

– Wokół ciebie będą umierać wszyscy, których kochasz. Matka, ojciec i cała linia. – Enola wypluwa słowa i Doyle zrywa się z krzesła, słychać trzask jakby iskry, kiedy chwyta Enolę i zaczyna nią potrząsać. Ona jednak mówi dalej: – Twoje nazwisko umrze wraz z tobą i nigdy nie padnie z niczyich ust. To jak kropla drążąca skałę: będziesz niszczyć, dopóki nic nie zostanie.

Doyle ściska jej ramiona, ale jest już po wszystkim.

Kropla drąży kamień.

Ciemnowłosa dziewczyna oswobadza rękę koleżanki z uścisku Enoli. Szarpnięcie szyją i Enola powraca. Jest trupio blada, niemal przezroczysta. Jej spojrzenie biegnie do mojej kryjówki, nasze spojrzenia się spotykają – paraliżujące uczucie.

– Zła karta – mówi z akcentem. – Zdarza się czasem. Wiele duchów chodzi po tych ziemiach. – Dotyka chustki na głowie, wsuwa pod materiał nieposłuszne pasmo włosów i rzuca mi złe spojrzenie. – Wynoś się.

Zasłaniam szczelnie kotarę, w środku mojej czaszki kielkuje głęboki ból. Doyle wysuwa głowę, która, wystając z tkaniny namiotu, przypomina myśliwskie trofeum. Śmieje się nerwowo i konspiracyjnie:

– Bracie, musisz dać jej trochę miejsca.

– Co?

– Wyszedłeś w kartach. Jesteś za blisko. Daj jej jakieś – urywa. – Tak, daj jej

z pięć minut.

– Dobrze mi tu.

– Nie, koleś – mówi, kręcąc powoli głową. – Naprawdę źle, że tu stoisz. Ja jestem kryty.

– Jestem jej bratem. Pozwól mi...

– Dokładnie o tym mówię – jesteś za blisko. Przez ciebie robi się mętnie. – Wykręca twarz. – Pozwól jej to skończyć, okej? – Zza kotary pojawia się jego ręka, poklepuje mnie po ramieniu. – Zobacz się z Thomem. Powiedzieliśmy mu o tobie i chce się z tobą zobaczyć. Naprawdę, idź. Daj nam pięć, dziesięć minut. Okej? Jest w dużym kamperze z namalowanymi ptakami. – Jego ręka znika, aby pojawić się ponownie z kilkoma zmiętymi dolarami. Wciska mi pieniądze i delikatnie mnie popycha. – Zjedz coś.

Kiedy odchodzę, kulejąc, pyta, co mi się stało.

– Dziura – odpowiadam.

– Hej! – woła za mną. – Jeśli odchyliš mocniej prawą rękę, to odciążysz kostkę, tak? Przekątne. Myśl o przekątnych.

Wcale nie zamierzam tego robić, ale kiedy idę w kierunku zapachu smażonego jedzenia, orientuję się, że odchyłam prawą rękę mocniej.

Z twarzą Enoli było coś nie tak, kiedy na mnie patrzyła. To, jak jej głowa opadła do tyłu, jakby tego nie kontrolowała, nie oszukiwała, i ten głos. Coś jest bardzo nie w porządku. Groźba utonięcia staje się realna. Muszę z nią porozmawiać i muszę też porozmawiać z Thomem Rose'em.

Kamper jest tam, gdzie powiedział Doyle, na tyłach za karuzelami – ogromny i oklejony sylwetkami lecących kaczek. Opieram się o niego, aby odciążyć kostkę, i pukam. Otwiera drobny, łysy człowiek. Ma na sobie koszulę w kratę, szorty i sandały. Wokół ust widzę głębokie zmarszczki. Mruży oczy jak ktoś, kto całe życie spędza w drodze i często jedzie pod słońce. Nie wiem, czego się spodziewałem po właścicielu cyrku, ale ten wygląda jak czyjś wujek.

– Thom Rose?

– A kto pyta? – mruży oczy i zanosi się na to, że zaraz zatrzaśnie mi drzwi przed nosem. Nagle się uśmiecha i otwiera drzwi na oścież. – Jesteś Simon Watson, prawda? Czy ktoś ci już powiedział, że wyglądasz dokładnie jak twoja siostra?

Wnętrze jest pełne książek i papierów, które wyglądają jak sterty paragonów i rachunków, łóżko jest nieposłane, ale małe kuchnia jest nieskazitelnie czysta.

– Siadaj, siadaj. – Wskazuje na krzesło przy stole, które wyciąga się ze ściany. – Enola mówiła, że szukasz pracy.

– No, tak.

– Mówi, że jesteś pływakiem. – Otwiera puszkę z napojem, nalewa sobie szklanekę i proponuje mi też. – Dużo o tobie rozmawialiśmy. Mówiła, że potrafisz

wstrzymać oddech na dziesięć minut.

– Mniej więcej.

Przez chwilę tylko pije i się zastanawia. Pożółkły palec stuka o stół, jakby czegoś szukał: długopisu lub papierosa.

– Minęło trochę czasu, odkąd mieliśmy jakiegoś dobrego atletę, ale pływanie i wstrzymywanie oddechu w wykonaniu mężczyzny nie jest intratne. Nie mówię, że nie możemy tego robić, ale zawsze były to jednak kobiety. Syreny. Wystarczyło włożyć ładną dziewczynę w skąpe bikini, mnóstwo włosów, można sobie było zerknąć.

– Wiem. – Moja mama robiła striptiz w cyrku. – Enola mówiła, że możesz być zainteresowany, ale powiedziałem jej, że to może nie wyjść.

– Och nie. Ja jestem zainteresowany. Po prostu potrzebuję chwili, żeby wpaść na to, jak to rozwiązać. Dobre dziecko z twojej siostry. Jeśli będzie szczęśliwsza, mając cię przy sobie, a mnie nie będzie to kosztować, to nie widzę przeszkód. Minęło naprawdę dużo czasu, odkąd mieliśmy pływaka. Są oczywiście te dziewczyny z Weeki Wachee na Florydzie, ale to nie to samo. Nie potrzebujesz żadnej rury z powietrzem, prawda?

– Nie, sir.

Może mógłbym jednak spróbować, zobaczyć, jak wygląda życie w drodze.

– Dobrze. Tak jest lepiej, bardziej przejrzyste. Moglibyśmy wymyślić od nowa numer z wpadaniem do wody. Ten dzieciak gra mi na nerwach. Każdy dzieciak zatrudniony do tego numeru jest wkurzający. – Po chwili dodaje: – Najlepszą syrenę widziałem jako kilkulatek. Była wspaniała. – Nakreśla jej sylwetkę rękoma. – I do tego skakała do wody. Ty skaczesz?

Nie wiem. Może, ale w tym momencie nie umiem skakać. Mówię mu, jak jest.

– Szkoda. To dopiero byłoby coś – mówi. – Ona wskakiwała do szklanego zbiornika, nie rozlewała przy tym ani kropli, i zostawała pod wodą tak długo, że myślałeś, że albo nie żyje, albo wyrosły jej skrzela. Biały kostium kąpielowy, zbudowana jak rzeźba na okręcie. – Gwiżdże. – Moi starzy nie pozwalali mi mieć zdjęć dziewczyn. Verona Bonn była lepsza niż jakakolwiek pin-up.

Udaje mi się nie zareagować.

– Wydaje mi się, że o niej słyszałem. Wiesz, co się z nią stało?

– Związała się z poskramiaczem lwów, tak myślę. Zaszła w ciążę. To szybko eliminowało syrenę z zawodu.

Verona się zakochała, urodziła moją matkę i utonęła. Niewiele różni się to od historii mamy lub innej kobiety w mojej rodzinie. Każda z nich zostawiła po sobie dziecko, moja mama nawet dwoje dzieci.

– To może zabrzmieć dziwnie, ale Enola wspominała, że pokazałeś jej niektóre ze swoich dzienników. Jakiś czas temu ktoś przysłał mi manuskrypt, który kiedyś

należał do wędrownej trupy. Bardzo chciałbym móc go z czymś porównać.

Thom odsuwa się na krześle. Otwartość znika z jego twarzy i zaczyna bawić się pustą popielniczką.

– Takich rzeczy nie pokazuje się nikomu spoza rodziny – mówi.

Czyli Enola to rodzina.

– Oczywiście. Rozumiem. Nie chciałem cię urazić.

Wracamy do swobodnej rozmowy o tym, co mógłbym robić, zanim wymyślimy mój występ. Obsługa karuzeli, zwykła harówka. Chcę wrócić do Enoli.

Jestem już przy drzwiach, kiedy Thom pyta:

– Nie jesteś przypadkiem synem Pauliny Tennen, prawda?

Zatrzymuję się.

– Czemu?

– Ach, tak myślałem. Twoja siostra powiedziała, że jej mama pracowała w cyrku, ale nic ponadto. Ty i twoja siostra tak bardzo ją przypominacie, że jest to aż niewiarygodne. Spotkałem ją dawno temu, kiedy jeszcze mój ojciec wszystkim zarządzał. Pracowała wtedy z magikiem. Wydawała się bardzo miła. I ładna. Trudno zapomnieć taką twarz. Powiedziałeś, że ktoś przysłał ci dziennik cyrku?

Kiwam głową.

– To dziwne. Chyba że chodzi o jakąś trupę, w której pracowała twoja mama. Nie chodzi o Lareille, prawda? – Potrząsam głową. – Tak myślałem. Z tego, co wiem, Michel nadal wszystko ciągnie. – Drapie się po karku. – Wiesz, dlaczego dostałeś tę księgę?

– Ta osoba myślała, że być może należała ona do kogoś z mojej rodziny.

Przygryza wargę, ukazując poplamione tytoniem zęby.

– Księgi są przy cyrku. Jeśli jakaś wędruje gdzieś luzem, to znaczy, że przedsięwzięcie poszło na dno.

Poplamione przez wodę karty nadają jego słowom niezamierzoną dosłowność. Jeśli trupa rozpadła się przez powódź, może to też tłumaczyć zniknięcie Koenigów.

– Jest dość stara – mówię. – Pełna rysunków. Wiele z nich przedstawia karty tarota.

Thom Rose się uśmiecha.

– Niech zgadnę. Twoja siostra nie chce ci nic o nich powiedzieć.

Wkładam ręce głęboko do kieszeni.

– Jakbyś zgadł.

Śmieje się sucho.

– Tak, ona trzyma język za zębami. Przykro mi, ale nie masz ze mną szczęścia. W ogóle nie znam się na kartach, wiem tylko tyle, że twoja siostra umie z nimi postępować. Jeśli ona jest zadowolona, to Elektryczny Chłopak jest zadowolony, a z tego dzieciaka jest żyła złota. – Otwiera drzwi, żeby mnie wypuścić. – Powiedz

siostrze, że wymyślę sposób, żeby cię zatrudnić.

Kuśtykając z powrotem do namiotu Enoli, zastanawiam się, co by Thom powiedział, gdybym mu wyjawiał, że Verona była moją babcią i że ona i moja matka utonęły. Jednak trzymanie języka za zębami jest naszą cechą rodzinną.

Mam już wejść do namiotu, kiedy wychodzą z niego dziewczyny z identycznymi kucykami, aby zniknąć w morzu ludzi w kolorowych koszulach i z oparzeniami słonecznymi.

– Co się stało? – pytam, podnosząc poły namiotu.

Enola szybko obraca się ku mnie.

– Co, do diabła, sobie wyobrażasz, żeby się wpychać na odczytywanie kart? Nie przychodzę do ciebie do pracy, żeby ci coś schrzanić. A, ty nie masz pracy. I co ci się stało w nogę?

– Problemy z podłogą – wchodzę do środka.

Panuje tam zaduch, w powietrzu unosi się nikły zapach goździkowych papierosów. Doyle siedzi na ziemi w pozycji lotosu i obraca w dłoni świecąca się żarówkę. Jediną oznaką jego niepokoju jest delikatne ściągnięcie brwi, które napina macki na jego policzkach. Enola wyciąga torbę spod stołu i wydobywa z niej ociekające tłuszczem i cukrem zeppole. Wpycha je sobie do ust w całości, przez co wygląda jak wiewiórka. Kiedy jest w połowie, pyta:

– Myślałam, że nie przyjdiesz. Czemu tu jesteś?

– Nieźle nastraszyłaś te dziewczyny. I o co chodzi z tym akcentem? – pytam dla odmiany ja.

– Przestań odpowiadać pytaniem na pytanie – mówi, pocierając dłonią kark. – Cholernie gorąco, będę musiała popływać. Akcent jest od jakiegoś czasu częścią przedstawienia.

– A on? – wskazuję na Doyle'a.

– Dopiero to dogrywamy – mówi.

– Jest z tego więcej kasy – wtrąca Doyle.

– Dodaje tajemniczości.

– A to, co powiedziałaś dziewczynom? To też dodaje tajemniczości?

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. – Cisza pełna zdenerwowania.

– Frank uprawiał seks z mamą. – Żarówka przestaje się kręcić.

– Cholera – mówi Enola.

Mówię jej wszystko, co opowiedział mi Frank: o tym, jak się spotkali, ile czasu byli razem. O domu. Enola robi paznokciem zagłębienia na brzegu karty. Wisielec, odwrócona figura zwisająca z krzyża na wyciągniętej nodze, niemal jak święty Piotr. Te karty nie są wiotkie, jak te, które trzyma w kieszeni spódnicy – są sztywne i na rewersach mają lilijki.

– Ale gówno. To rozpieprza ciebie i Alice. Cholera, czekaj. Ona nie jest naszą

siostrą, prawda?

– Nie. Boże, nie – mówię. – Mama go odcięła.

– Cóż, przynajmniej jedną rzecz zrobiła dobrze. – Enola krzywi się i maleńka kropla potu spływa spod jej wargi.

– Mały Ptaszku – odzywa się Doyle.

– Daj mi chwilę, żebym to sobie przyswoiła – mruczy Enola.

– Wyrzucił nas z domu – mówię.

– Więc przyłącz się do nas. Rozmawiałeś z Thomem?

Kładzie stopy na stole. Są bose i pokryte kurzem. Do środka wpada promyk światła.

– Wynocha! – krzyczy. – Esmeralda jest zajęta.

Kotara opada z powrotem. Doyle zrywa się na nogi i biegnie za klientem. Jego klapki znikają pod tkaniną namiotu. Ponownie sami patrzymy na siebie intensywnie.

– Chrzanić to – mówi Enola, obgryzając skórkę przy kciuku, karta niemal dotyka jej ust. – Wiedziałam, że Frank ma świra na punkcie tego domu, ale nie wiedziałam czemu. A niech to. Ohyda. – Jest niespokojna. Odkłada Wisielca i bierze do ręki całą talię. Wachluje się nią, przetasowuje i przekłada. – Naprawdę mi przykro z powodu Alice. To komplikuje sprawy. Powiesz jej?

Nawet się nad tym nie zastanawiałem. Żadne z nas nie potrzebuje tej traumy. Ostatnio widziała mnie posiniaczonego w zrujnowanym domu. Gdybym jej powiedział, nie płakałaby, to nie w jej stylu, ale czy nie zatrzasnęłyby mi drzwi przed nosem? Zdecydowanie tak.

Czy jeszcze kiedyś spojrzełaby mi w oczy?

– Nie wiem, czy to ja powinienem jej o tym mówić. Mam kilka spraw do przemyślenia.

– Tak. Cholera. Gdzie się zatrzymasz? Zaprosiłabym cię do nas, ale i tak jesteśmy ściśnięci. – Wzruszyła ramionami.

– Macie jakieś swoje miejsce? – A to nowina.

– Doyle i ja mamy przyczepę mieszkalną, ciągnie ją jego samochód. Czasami jeździmy tak za Thomem.

– Och.

Przetasowuje karty w powietrzu, tworząc łuk opadający z jednej dłoni do drugiej.

– Musi być ciężko z jego sprzętem w samochodzie, żarówki się ciągle tłuką.

Enola, nieobecna duchem, kreśli linię w powietrzu.

– Jeździmy w karawanie. Pewnie możemy coś dla ciebie skombinować.

Nie spodziewałem się tego, że ma coś, co da się nazwać domem. Nie ona – oni są przecież parą. Zawsze wyobrażałem sobie Enolę samotną, tymczasem ona nie ma problemu z tym, żeby być w związku. Wymieniają się kartami, jakby rozmawiali. Ja

nie mam takiego języka, choć w bibliotece wszystko mieliśmy posegregowane. Jak by to było? 400 to język, 300 socjologia, 900 historia. Aby określić Enolę i Doyle'a, należałoby chyba posłużyć się numerem 200, pod którym zgromadzono książki dotyczące religii.

– Hej. Wszystko gra? – pyta.

– Odkryłem coś dziwnego. Mama umarła dwudziestego czwartego lipca, tak jak jej matka. W dodatku Thom widział występ naszej babci, co jest dziwne, ale to nawet nie początek. – Mówię zbyt szybko, ale nie dbam o to. – Przejrzałem księgę, którą przysłał mi Churchwarry, i jeszcze inne książki i stertę artykułów, które znaleźliśmy z Alice. Wykazy zgonów i gazety sprzed wielu, wielu lat. Cofałem się w czasie, aż znalazłem nazwiska ludzi występujących w księdze. Umierają dwudziestego czwartego lipca – wszystkie kobiety, krewne mamy. Wszystkie toną, i to dwudziestego czwartego lipca.

Enola zamiera.

– A więc o to chodzi. Myślisz, że wszyscy utoniemy, prawda? – Potrząsa głową. – To pokręcone. Słyszysz, co chcesz usłyszeć, a interesują cię dziwactwa. Siedziałeś sam w tym domu zdecydowanie za długo. – Spogląda w dół, na swoje dłonie, na karty. – Myślisz, że jesteśmy tacy jak ona.

– Nie – mówię z nadzieją, że uwierzy mi choć przez sekundę.

– Jesteś najgorszym kłamcą świata. – Krzesło Enoli nachyla się i trzeszczy. – Ona po prostu była smutna, tak? Niewiarygodnie smutna. Mówiłam ci, że ta książka jest pochrzaniona. Zapomnij o niej. Spakuj się, wróć tutaj i znajdziemy ci jakieś miejsce na noc. Wyprowadź się z tego domu, do cholery. Jeśli Frank chce, nich go sobie weźmie – jest pełen duchów i niedługo runie. – Ścisną moją dłoń, aż nasze kłykcie ocierają się o siebie. – Przepraszam, że zostawiłam cię samego na tak długo. Naprawdę mi przykro. Spakuj się. Wróć tu. Ale bez tej księgi.

Wygląda tak poważnie, jakbym to ja miał problem, jakby chwilę wcześniej nie wystraszyła na śmierć dwóch nastolatek.

– O co chodzi z twoimi kartami?

– O nic – odpowiada za szybko. – To się czasem zdarza, jak ktoś zaburza dywinację. Zakłóca wibracje, mąci je. A jeśli już o tym mowa, muszę oczyścić powietrze.

– Przejrzałem księgę. Widziałem, co zrobiłaś.

– Co takiego zrobiłam?

– Zniszczyłaś ją. Wydarłaś wszystkie szkice kart tarota i chcę wiedzieć czemu.

– Nie będę się z tobą kłócić. – Poprawia sobie chustkę i wyciera rozmazaną czarną kredką spod oczu.

Nie jestem pewien, czy wyszło to na lepsze. Patrzymy na siebie.

Doyle wkrada się do namiotu, patrzy to na mnie, to na Enolę, aż w końcu

podchodzi do niej.

– Koleś, musisz odpuścić.

Jego ramiona wyglądają, jakby ośmiornica obejmowała jej ramiona, jakby mogła ją udusić. Enola położyła rękę na jego łokciu i ten prosty gest dobitniej niż jakiegokolwiek jego przedstawienia, przejechane kilometry i deklaracje słowne świadczy o tym, że ona go kocha. Mają wspólny dom, wspólne życie – beze mnie.

– Jasne – mówię.

– Spakuj się i przyjedź do nas. Obiecujesz? Uciekaj od Franka – nalega Enola.

– Zawsze możesz spać w samochodzie. Ja tak robiłem, to nie problem – dodaje Doyle.

Na zmianę oboje mówią, że znajdzie się dla mnie nowe miejsce i że wszystko będzie dobrze. Ale kiedy patrzę na Enolę, widzę w niej cień strachu: może okłamywać samą siebie, może okłamywać Doyle'a, ale słyszała, co powiedziałem. Jest przerażona.

– Będę później – mówię i wychodzę z namiotu. Muszę wymyślić, co mam zrobić z Alice. Muszę zadzwonić do Churchwarry'ego.

Wróźbitka zaginęła. Możliwe, że nie żyje. Rekonfiguracja wymaga dodatkowego postoju w Burlington.

Peabody po odejściu madame Ryżkowej miał głębokie poczucie winy. Sytuację pogarszał fakt, że Amosa zdruzgotała utrata mentorki.

Nie chciał opuścić wozu Ryżkowej, więc stał się on jego domem. Nie chciał spędzać czasu z Peabodym, który przyodziął się we współczucie jak w jedną ze swoich kamizelek. Najgorzej było ze snem. Sny Amosa przepełniały wizje Ryżkowej i jej kart. Zrezygnowawszy z poszukiwań, wyruszyli z Burlington i spędzili dzień na pustej drodze pełnej błota, kamieni i kolein. W nocy Amos przytulił się do Evangeline. Rankiem przeniosła cały swój dobytek do jego wozu. Kiedy Amos nie znajdował ukojenia w ramionach Evangeline, skupiał się na ledwo wyczuwalnej woni palonej szałwii i wyobrażał sobie, jak Ryżkowa wyklóca się z Peabodym o pieniądze lub rozmawia o hafcie krzyżykowym z Susanną. Z czasem zaczął rozumieć namalowane na Trójce Mieczy przebite serce – Ryżkowa złamała jego. Coraz więcej czasu spędzał z Cukrowym Kąskiem zadowolony, że może przebywać w towarzystwie istoty, której obojętne było, czy mówi, czy pracuje lub czy jest pogrążony w żałobie. Dla Cukrowego Kąska liczyły się jedynie dwie rzeczy: dostatek jedzenia i dotyk życzliwej dłoni. To Amos bardzo dobrze rozumiał. Pewnego wieczora przyszedł do Kąska z pękiem dzikich cebulek i zobaczył, że Benno stoi obok niej i drapie ją po pysku. Zaskoczony zachwiał się na progu wozu, ale Benno go złapał.

– Przepraszam, nie chciałem cię przestraszyć. Miałem nadzieję, że cię tu spotkam. Jest coś, co mi bardzo ciąży, coś, co powinienem był ci powiedzieć – szeptał, a jego oczy błyszczały w ciemności.

Cukrowy Kąsek parsknęła i zaczęła nerwowo uderzać kopytem. Amos dał jej cebulki i przykucnął przy Bennie, przekrzywiając głowę pytająco.

– Widziałem coś, co nie było przeznaczone dla moich oczu. Evangeline. Zanim madame Ryżkowa odeszła, widziałem, że się posprzeczały. Wówczas to zlekceważyłem, ale kiedy Ryżkowa zniknęła, zacząłem się zastanawiać.

Amos aż się wzdrygnął.

– Mówię to z troski, ponieważ zawsze byłeś dla mnie miły. Nigdy się nie zastanawiałeś, skąd Evangeline do nas przyszła? Ona mnie niepokoi. Znasz mnie, wyjawilem ci, kim byłem kiedyś. Myślę, że mi ufasz. Czy to samo możesz powiedzieć o niej? – Położył dłoń na ramieniu Amosa.

Amos poczuł przypływ goryczy. Splunął na słomę.

Benno ruszył do wyjścia, przystanął jednak na progu.

– Myślę, że czasem trudno zadbać o siebie samego – powiedział w zamyśleniu. – Zwracamy się do przyjaciół, aby robili to za nas. Ale być może się myłę. Chciałem cię tylko przestrzec i samolubnie uspokoić swoje myśli. To właśnie zrobiłem. Proszę cię tylko, żebyś się zastanowił, dlaczego ona wybrała sobie taki a nie inny rodzaj przedstawienia. – Potarł kciukiem skaleczone palce lewej ręki. – I czemu Ryżkowa miałaby odejść? – Po tych słowach zeskoczył z wozu i zostawił Amosa jego myślom.

Minęła godzina, zanim Amos poczuł się na siłach, żeby wyjść z wozu.

Peabody dał mu trochę czasu na to, by doszedł do siebie. I Amos w dwóch kolejnych miasteczkach, które odwiedzili, nie robił nic poza oporządzaniem zwierząt. Wreszcie Peabody wziął go na stronę.

– Pracuj, Amosie. – Posadził go przy stole i zmierzwił mu włosy, które nieobwiązane chustką zaczęły się kołtunić. – Bezczytność jest twoim wrogiem i nigdy nikomu nie napełniła sakiewki. – Widząc zdziwioną minę Amosa, wyjaśnił: – Pieniądze potrafią zmieniać czyjś wygląd. Coś ci znajdziemy. Przedsięwzięcie, drogi chłopcze. Nic tak nie podnosi na duchu jak nowe przedsięwzięcie. – Pod rondem kapelusza oczy Peabody'ego były zmęczone.

Amos wiedział, co nastąpi. Powróciła klatka Dzikiego Chłopca. Evangeline stała u jego boku, kiedy odsłonięto aksamitne kotary. Znała Amosa jedynie jako wróżbitę i Amos wolał, aby tak pozostało.

Peabody dotknął jego ramienia dłonią w rękawiczce.

– Tylko dopóty, dopóki nie wymyślimy dla ciebie nowego przedstawienia.

– Czy naprawdę nie ma nic innego? – zapytała Evangeline.

– W moim przedstawieniu nie ma miejsca dla dwóch osób. – Peabody kaszlnął.

– Amos był najlepszym znanym mi Dzikim Chłopcem. Wspaniałym. To dla ciebie bardzo pouczające zobaczyć go w roli, w której jest niezrównany. Naprawdę coś.

Desperacja sprawiła, że powrót Dzikiego Chłopca wypadł przerażająco. Kobiety krzyczały i mdlały częściej niż przedtem, członkowie trupy zaczęli unikać Amosa. Pieniądze się pojawiły, zgodnie z obietnicą Peabody'ego, choć nie w takiej ilości jak kiedyś.

– Zniknęła radość – powiedział Peabody po zakończeniu nie całkiem udanego przedstawienia. – Wykonanie, mój zacny kolego, nie było takie, jak być powinno.

Trudno zaprzeczyć. Znikanie było jedynym elementem, który wypadł jako tako. Amos pozwolił swojemu ciału, by wsłuchało się w oddech świata i rozpułnęło – na tych kilka cennych chwil ból go opuścił. Powrócił jednak później w ciemności, kiedy Amos przytulał Evangeline i myślał o słowach Benna.

W Wellstone widzowie obrzucili Amosa zgniłymi owocami. Ledwie sobie poszli, w klatce zjawił się Peabody. Amos wciągnął koszulę przez głowę, żeby

zakryć swoją nagość. To, co kiedyś było dla niego przyjemne – dotyk zimnych metalowych prętów i słomy na skórze – teraz go drażniło. Tęsknił za pracą wróżbity. Tęsknił za językiem, którym porozumiewał się z nauczycielką, i za spojrzeniami klientów pełnymi strachu i podziwu. Smutny Peabody usiadł na podłodze, nie zważał na trociny, które przyczepiły się do jego ubrania.

– Też mi jej brakuje. Zostawiła po sobie pustkę. – Postukał się dłonią po piersi w okolicy serca. – Madame Ryżkowa miała znakomitą prezencję. Mimo to – westchnął, wskazując na sufit klatki – musimy iść do przodu.

Amos się skrzywił, ale przytaknął. Peabody zawsze był tak pełen energii, że wyglądał, jakby lada moment miał wybuchnąć, podczas gdy Amos wciąż kurczył się w środku. Przyłożył teraz policzek do ramienia Peabody’ego i wyszedł z wozu przez ukryte w podłodze drzwiczki jak wtedy, kiedy był dzieckiem.

Tej nocy zanurzył twarz we włosach Evangeline, a ona go przytulała, choć wiedziała, że to ona była powodem odejścia Ryżkowej, tak jak wiedziała, że zabiła swoją babcię.

Brzuch Evangeline zaczął się zaokrąglać. Nie rozmawiali o tym dopóty, dopóki się dało.

– Musisz mnie nauczyć – powiedziała do Amosa, kiedy jechali na południe.

W jednej ręce Amos trzymał lejce konia ciągnącego ich wóz, drugą gładził jej szyję. Kiedy to powiedziała, bacznie na nią spojrzął.

– Czytać tarota – wyjaśniła. – Stanowilibyśmy zgraną parę.

Koło najechało na kamień i wóz skręcił w krzaki. Większość dróg była w fatalnym stanie. Tylko kilkoma bardziej uczęszczanymi szlakami w okolicach Nowego Jorku i Filadelfii podróżowało się komfortowo. Odkąd brzuch Evangeline zaczął rosnąć, Amos starał się omijać każdy korzeń i każdy kamień. Potrząsnął głową. Ryżkowa żyła w kartach, został w nich jej ostatni dotyk, którego Amos nie miał serca oczyścić. Za każdym razem, kiedy ich dotykał, czuł przebłyski jej humoru, dotknięcie jej krzywych kciuków na swojej dłoni. Te karty były zbyt osobiste, aby z nimi pracować, zbyt mu drogie.

– Nie mogę patrzeć, jak odgrywasz dzikusa. – Evangeline posunęła się i zaczęła przeglądać talię, która leżała między nimi na siedzeniu. – To nie jesteś ty. Może byłeś nim jako chłopiec, teraz nie jesteś. To jak oglądanie twojej śmierci – powiedziała, pokazując mu kartę z mężczyzną przebitym mieczami. – Mnie to też zabija.

Amos znów skupił wzrok na drodze. Myślał o tym, co zamierzał jej powiedzieć: że marzył, by z nią odejść, że chciał wybudować dla nich dom. Mieliby tam kury, może nawet psa. Miał też obawy: skoro pojawiła się pewnego dnia, któregoś innego może zniknąć. Czy nie najlepsze jest dla nich życie stale w drodze? Wielokrotnie myślał o słowach Benna, ale nie wspominał o nich Evangeline. Nie mógł

wypytywać jej o przeszłość, skoro sam nie znał swojej.

Tymczasem ona zebrała karty i uderzyła nimi Amosa w nogę, by skłonić go do odpowiedzi. Amos pociągnął plecione skórzane lejce ku sobie, aby zatrzymać konia, i przejrzał talię. Żółte drzwi jadącego przed nimi wozu Benna zniknęły za drzewami. Przez chwilę chciał zestawić wybraną kartę z inną, coś mu jednak powiedziało, że ta jedna wystarczy. Wcisnął do ręki Evangeline Siłę.

Evangeline zastanawiała się przez chwilę, zanim powiedziała:

– Niedługo przestanę pływać. Niewielu znajdzie się chętnych do oglądania syreny z Atlantydy i jej wielkiego brzucha.

Ścisnął ją za rękę, w której trzymała kartę, ogrzewając ją swoim ciepłem.

– Peabody powiedział mniej więcej to samo: muszę sobie znaleźć inne zajęcie na czas połogu, inaczej mój kontrakt się skończy.

Amos przełknął ślinę. Peabody nie mógł sobie pozwolić na to, żeby stracić dwa źródła dochodu w jednym sezonie, kiedy dodatkowo miała się pojawić kolejna gęba do wyżywienia. Amos strzelił z bata. Koń parsknął i po chwili ruszył.

– Byłoby miło pracować w sposób, który nie będzie cię ranił – powiedziała łagodnie. – Myślę, że nie tęskniłbyś za piskami ani za wścibskimi spojrzeniami, ani za owadami, ani za deszczem. – Przesunęła palcem po ugryzieniu komara na jego nadgarstku, wzbudzając przemożną potrzebę podrapania się. – Wcześniej wyglądałeś dobrze. Byłeś świetnym młodzieńcem, którego znów chciałabym zobaczyć.

Usłyszał tęsknotę w jej głosie. Przypomniał sobie, że niektóre kobiety wzdychały podczas wróżenia z kart, a Ryzkowa mawiała, że to dźwięk łamiącego się ducha.

– Jestem przekonana, że mi się to spodoba. Przyznaję, mam już trochę dość wody. Ona mnie niszczy, tak jak rzeka swoje brzegi.

Przytaknął, lecz sposepniał. Język kart był wieloznaczny i to stanowiło ich słabość. Dając Evangeline Siłę, chciał jej powiedzieć, że jest z nim bezpieczna. Wytrzymaj, a wszystko się ułoży. Z czasem on nauczy się być pogodniejszy i lepiej się o nią troszczyć. Ale ponieważ Evangeline czuła się niepewnie, doszukała się w tej karcie znaczenia, które miała ona tylko dla nich. Przypomniało się jej, jak ukląkł przed nią, kładąc głowę w jej dłoniach – lew ulegający damie.

Wóz podskoczył, Evangeline zsunęła się na krawędź siedzenia. Amos złapał ją i przyciągnął do siebie. Wtuliła się w jego ramię. Po jakimś czasie zamknęła oczy, zobaczył wtedy delikatne niebieskie żyłki na jej powiekach. Nauczył ją tarota, nawet po to tylko, by ją przy sobie zatrzymać. W niedalekiej przyszłości musi nauczyć Evangeline tych samych umiejętności, które pozwoliły mu ją zdobyć. Ceną za to okazała się utrata więzi z Ryzkową. Poczuli się tak, jakby pod żebrami tworzył mu się supeł. Bał się tego dnia, kiedy, siedząc w wozie Ryzkowej, nauczy Evangeline

kłamać za pomocą kart.

– Czy znalazłeś już coś o rodzinie Franka McAvoya?

– Simonie, czy to ty? Gdzie jesteś? Słyszę coś, co przypomina odgłosy z pola bitwy.

– Na parkingu przed wesołym miasteczkiem.

– Och.

– Czy udało ci się cokolwiek znaleźć?

– Próbowałem wytropić kolejną osobę – tarocistkę Ryżkową. Według mnie Frank prawdopodobnie jest z nią spokrewniony. Te portrety z książki, które ma Frank, prawie na pewno należały do niej. Ona miała córkę, która wyszła za mąż za artystę z tej trupy. Nie udało mi się dowiedzieć niczego o ich dzieciach. Jeżeli ty zaczniesz szukać od dnia dzisiejszego wstecz, a ja od przeszłości ku teraźniejszości, myślę, że spotkamy się w pół drogi.

Grupa chłopaków pokrzykuje, wychodząc z wesołego miasteczka na parking. Zasłaniam ucho. Chociaż część dźwięków wydawanych przez karuzele nadal do mnie dociera, udaje mi się usłyszeć przerywany oddech Churchwarry’ego.

– Nie działałem za wiele. Jeden z klientów zabrał większość mojego czasu. Musiałem znaleźć książkę na urodziny jego matki *Green Jade for Laughter*. Jeden egzemplarz namierzyłem w stanie Waszyngton. Niestety, ma go biblioteka, która nie chciała się z nim rozstać. – W tle słychać szuranie kapciami i szczekanie psa. Churchwarry krzyczy: – Spokój, Sheila! – Potem podejmuje przerwany wątek. – Cóż, teraz z pewnością są lepiej dofinansowani. Potwornie dużo czasu mi to zajęło.

Obok mnie przechodzi mężczyzna z małym chłopcem lepiącym się od waty cukrowej, a do tego wrzeszczącym wniebogłosy. Wskakuję do samochodu w nadziei, że tam będzie ciszej. Cóż, niewiele lepiej, ale jeśli zamknę okna, da się coś usłyszeć, choć jest strasznie gorąco i pot spływa mi po policzku.

– Kończy mi się czas.

– Nie wydaje ci się, że angażujesz się za bardzo? – pyta.

– Chodzi o moją siostrę.

Churchwarry odchrząkuje.

– Zwróciłem uwagę na godziny i częstotliwość twoich telefonów... No i...

zastanawiam się, czy... Wybacz, nie znalazłem delikatnego sposobu, więc zapytam wprost. Czy nadal jesteś zatrudniony w bibliotece?

Milczę.

– Nie chcę cię obrażać – ciągnie Churchwarry – sam miewam okresy przestoju. Długie godziny bez pracy i problemy finansowe sprawiają, że dziwne rzeczy przychodzą człowiekowi do głowy.

Zasycha mi w ustach.

– Właśnie widziałem, jak moja siostra wpadła w trans i przestraszyła dwie nastolatki. Skazała je na życie w biedzie i bezpłodności oraz na rychłą śmierć. Również przed chwilą proponowano mi pracę w roli jednej z cyrkowych atrakcji, więc mam się doskonale, dziękuję.

Churchwarry kaszle. Pewnie zakrztusił się herbatą.

– Ja...

– Jestem pływakiem, potrafię długo wstrzymać oddech. – Czuję się zupełnie inaczej, mówiąc to jemu, a nie Rose'owi. – Podobnie jak moja matka i siostra, i wszystkie kobiety ze strony mojej matki. Dziesięć minut bez oddychania.

– Dziesięć minut?

– Dziesięć minut. Stąd wiem, że coś jest nie tak, Churchwarry. My w ogóle nie powinniśmy tonąć, a z pewnością nie wszyscy.

Kilka razy chrząka, zanim w końcu udaje mu się zapytać:

– Czy źle zrobiłem, że wysłałem ci księgę?

– Nie. Jest jednak coś innego, coś, co nie daje mi spokoju. Właśnie rozmawiałem z właścicielem wesołego miasteczka, który powiedział mi, że jeśli ta księga znalazła się na aukcji, to znaczy, że albo przedsięwzięcie splajtowało, albo umarli wszyscy członkowie tej rodziny. Niektórzy ludzie z tej księgi, choćby Koenig i jego rodzina, nie pojawiają się nigdzie po 1824 roku.

Na chwilę zalega cisza, Churchwarry się zastanawia. Czekam, odklejając rękę, która przywarła do plastikowego pokrycia siedzenia.

– Nie jestem pewien, czy powinienem cię zachęcać... – mówi, choć ton jego głosu wskazuje na to, że nadal się zastanawia. – Księga jest bardzo uszkodzona i jeśli Koenigowie byli członkami trupy...

Czuję satysfakcję, bo on myśli tak samo jak ja.

– Według mnie to musiała być powódź. Wszystko się od tego zaczęło.

– Być może. Rok 1824 może nam posłużyć za punkt wyjścia. Naprawdę myślisz, że powódź może być przyczyną tego wszystkiego?

– Nie wiem. Moja siostra jest przekonana, że nie powinienem mieć tej księgi. Chciałem zapytać ją o karty tarota, które były w niej namalowane, ale ona wyrwała wszystkie szkice.

– Naprawdę? To ciekawe. Symbole mogą mieć moc wyzwalać pewnych

rzeczy... – urywa.

Zatykam ucho palcem i wytyżam słuch. Okazuje się jednak, że zamilkł nie Churchwarry, lecz mój telefon. Chyba go wyłączyli. Przypominam sobie, że w kwietniu sporo wydałem na naprawę okna, przez co nie zapłaciłem rachunku telefonicznego. Naprawione okno w domu, który lada chwila może runąć z klifu. Do tego domu muszę jednak wrócić, żeby zadzwonić do Churchwarry'ego.

Podczas zjazdu ze stromej Buck Harbor Road samochód przez kilka sekund zawisa w powietrzu. Kiedy Enola uczyła się jeździć, uszkodziła tutaj rurę wydechową. Wjeżdżam na podjazd. Ciężarówka Franka nadal tam stoi, rzucając ogromny cień. Mógłbym ją staranować. Zaciągam hamulec ręczny, wyłączam silnik, ale nie wysiadam. Frank jest w domu, dostrzegam jego surowy profil przez jedno z okien. Czekam. Sprężyna z fotela kłuje mnie w plecy, o czymś mi przypomina. Trójka Mieczy, serce przebite trzema ostrzami. Ósemka Mieczy – mężczyzna pchnięty w plecy i przebity na wylot. Nie pamiętam wszystkich kart z książki, a przez moją siostrę nigdy już tego nie sprawdzę, ale jestem niemal pewien, że przynajmniej niektóre z nich pojawiły się w niedawnym rozdaniu Enoli. Wszystko się miesza. Moja matka miotała się między ojcem a Frankiem. Frank ma rzeczy pojawiające się na stronach książki, która zawiera opis fragmentu mojej historii rodzinnej. Enola i Doyle, wykładając karty, dzielą losy, które zlewają się jak atrament spływający po mokrej stronie na zniszczonym końcu książki.

Stukanie w szybę. Małe, różowe paznokcie na piegowatych palcach. Alice.

– Co zaszło między moim tatą a tobą?

Kosmyki włosów wymknęły się z jej warkocza i sprawiają, że wyglądała intrygująco, niemal jakby płonęła. Jest piękna, kiedy się złości.

– Prosiłam cię, żebyś go zostawił w spokoju. Dlatego nie chciałam, żebyś brał od niego pieniądze. Siedzi tam od kilku godzin i powiedział, że nie wyjdzie, dopóki z tobą nie porozmawia. Co mu powiedziałaś? – Mówi wysokim tonem, w którym słyhać napięcie.

Ja nic nie powiedziałem, to on cały czas mówił. Nieprawda. Powiedziałem mu, że przeleciałem jego córkę – najmniejsze ze wszystkich przewinień, o których mówiliśmy. To była jedyna słuszna rzecz, jaką zrobiłem w życiu. A teraz wiem, że nigdy jej tego nie powiem.

Alice krzyżuje ręce na brzuchu.

– Chyba mu nie powiedziałaś, co? Nie powiedziałaś mu, że z tobą spałam.

Spoglądam na drugą stronę ulicy. Leah stoi w oknie. Nasze spojrzenia się spotykają. Leah znika, gwałtownie opada żaluzja. Alice interpretuje moje milczenie jako potwierdzenie.

– Powiedziałaś? Jezu! Dlaczego? To nie ty powinieneś mu o tym mówić. – Jest zdenerwowana i zmartwiona. – Idź z nim porozmawiać – prosi trochę łagodniej. –

Naprawię to później, po prostu wyciągnij go z tego domu. Ma wysokie ciśnienie. Takie nerwy nie są dla niego dobre.

Alice wie o jego wysokim ciśnieniu, podwyższonym cholesterolu i o każdym stawie bolącym z powodu artretyzmu. Nigdy nie wiedziałem takich rzeczy o swoim ojcu.

– Nie wezmę pieniędzy od twojego ojca. Powiedziałem mu to.

– Co?

– Nie chcę ich. Masz rację, Frank jest zbyt pochłonięty sprawami mojej rodziny. Pieniądze pogorszyłyby sytuację, a tego nie chcę. Odpuszczam ten dom. – Nie zdawałem sobie z tego sprawy, dopóki nie powiedziałem tego na głos. – Proszę, nie bądź już na mnie zła.

– Nie chcę być zła, ale ty cały czas coś wymyślasz.

Odsuwa się trochę od samochodu, żeby móc otworzyć drzwi. Wsiadam, a ona pyta:

– Gdzie zamierzasz się podziać?

– Nie wiem. Może pojedę z Enolą? Jej szef jest w porządku. Wysłałem zgłoszenie w sprawie tej posady w Savannah, wiem, że sprawdzili moje referencje. Liz potrafi każdemu wmówić dosłownie wszystko, więc mam jakieś szanse.

– Och...

Wolałbym usłyszeć coś więcej.

– Lepiej z nogą? – Spogląda na moją spuchniętą kostkę.

– „Lepiej” to dużo powiedziane.

Alice się śmieje. Nigdy nie słyszałem tyle goryczy w jej śmiechu.

– Proszę, wyciągnij go stamtąd, zanim zrobi sobie krzywdę, dobrze? – Opiera się o samochód, szorty w kolorze khaki podjeżdżają w górę jej ud.

– Czy Frank jest dobrym ojcem?

– Słucham? – Ściąga brwi, aż piegi między nimi zlewają się w jedną ciemną plamkę.

Powtarzam.

– Tak, jest dobrym ojcem – odpowiada. – Upartym, ale dobrym.

– Kiedy byłaś mała i obtarłaś sobie kolano, czy przyklejał ci plaster?

To ja bandażowałem nogi Enoli, wyciągałem z nich drzazgi. Nasz tata tego nie robił. Mam blizny na łydkach, kolanach i rękach, których mój ojciec nigdy nie widział ani nie dotykał.

– Jasne. – Alice przenosi ciężar ciała na jedną nogę, co u kobiety wygląda zaczepnie. – Wyciągnij go po prostu. Nie chce wyjść i mama jest przerażona. Cokolwiek zaszło między wami, ani mama, ani ja nie mamy z tym nic wspólnego.

– Przychodził na rozdanie świadectw, tak?

– Tak.

Teraz wygląda, jakby miała się rozpłakać. Zastanawiam się, czy ja w ogóle ją znam.

– Tak, bywa upierdliwy i uparty, i trochę nawiedzony, ale pomagał mi sprzedawać ciasteczka, kiedy byłam harcerką. Zabierał mnie do cyrku. Wiesz, byłeś przy tym.

Byłem przy niej, przyglądałem się, pragnąłem, żeby mnie też zabrano. Należać do rodziny McAvoyów było niespełnionym marzeniem mojego dzieciństwa.

Alice znów spogląda na dom.

– Nie wiem, co on zrobił, że jesteś taki wkurzony, ale to nie ma znaczenia. Nie chce ze mną rozmawiać i to jest niepokojące. Wyrzuć go ze swojego domu. Proszę, nie bądź teraz złośliwy wobec mnie, bo tego nie zniosę. – Na jej twarzy pojawia się rumieniec. Z zadartym nosem, małymi ustami i kwadratową szczęką Alice stanowi idealne połączenie Franka i Leah. Moje pytania doprowadziły ją do łez.

Dotykam jej dłoni, nie wrywa się.

– Przepraszam. Nie mogę obiecać, że nie będzie próbował naprawić domu, ale przysięgam, że to nie z mojego powodu.

– Dobrze.

– Przepraszam – powtarzam.

– Wiem. – Ścisną moją dłoń szybko i puszcza ją. Wystarczy.

I tak muszę wejść do środka. Frank jest w moim domu z moimi książkami. Wyciągnę go stamtąd dla niej i tylko dla niej.

Alice idzie za mną. Zatrzymuję ją przy drzwiach.

– Nie powinnaś wchodzić do środka.

– Nie mów mu nic okropnego – prosi.

Czuję leciutkie ukłucie zazdrości: chcę, żeby mnie też tak broniła. Alice jest taką osobą, która zbudzi człowieka w środku nocy, aby wyrwać go z męczącego koszmaru. Nie zwracałyby uwagi na mój poranny wygląd. Nauczyłyby się kochać moją siostrę, ponieważ ja ją kocham. Za to wszystko jestem w stanie porozmawiać z Frankiem.

– Szczerze mówiąc, pewnie będzie na odwrót. Do tego w środku jest niebezpiecznie.

– Co on zrobił? – pyta cicho.

Jeśli jej powiem, jej opinia o mnie może się poprawić. Ale równie dobrze może ją to załamać.

– On nie zasługuje na ciebie.

Alice patrzy na swój dom. Jej matka znowu wygląda przez okno.

– Możliwe. Tylko że to ja decyduję, kto na mnie zasługuje.

Drzwi frontowe się zacięły. Muszę je kopnąć, żeby się otworzyły. Bezmyślnie przenoszę ciężar ciała na lewą nogę. Alice łapie mnie za ramię i przytrzymuje,

dopóki nie odzyskuję równowagi. Jej skóra jest ciepła, delikatna. Niemal czuję miejsca, w których przecięły ją ostre brzegi kart książek, dotykam nierównej krawędzi złamanego paznokcia. Po chwili zostaję sam. Alice wróciła do swojego domu, do Leah.

Frank siedzi przy moim biurku, na którym leży otwarta księga na zrobionej naprędce podpórcie.

– Jesteś z powrotem. Dobrze. Myślałem... – Potrząsa głową. – Nie wiem, co myślałem. Ale jest coś, co powinieneś zobaczyć. – Zrywa się z mojego krzesła.

Zamykam księgę.

– Idź do domu, Frank, Alice się martwi.

Marszczy brwi.

– Nie mówmy o Alice.

– Dlaczego tutaj jesteś?

– Muszę ci coś pokazać. – Przepycha się obok mnie do drzwi. Schodzi po schodkach werandy i kieruje się w stronę klifu. Alice i Leah zaniepokojone patrzą za nim z ganku.

Powłócząc nogą, która jest niczym kotwica, usiłuję za nim nadążyć. Kiedy go doganiam, stoi już na skraju klifu.

– Patrz. – Wskazuje na brzeg.

– Co, do diabła?

– Właśnie – mówi. – Chciałem, żebyś ochłonął, żebyśmy obaj ochłonęli. Powiedzieliśmy pewne rzeczy, których nie należało mówić. – Zagrzebuje czubek mokasy na w piasku. – Zamierzałem popływać łódką, ale z klifu zobaczyłem to. Cholerne stwory. I wtedy sobie przypomniałem.

Nie setki, lecz tysiące gładkich brązowych skrzyploczy leżały na brzegu i pokrywały całą zatokę Sound niczym kostka brukowa. Jest jeszcze gorzej niż we wspomnieniu Enoli, to prawdziwa inwazja. Skrzyplocze tak się nie zachowują. Tu chodzi o coś innego.

– Boje.

– Cholerne stwory – powtarza.

Boje podryfowały na wschód w kierunku elektrowni.

– Skrzyplocze ciągną boje w głąb oceanu. – Ruszam ku schodom.

Frank chwyta mnie za kołnierz.

– Nie uciekaj. Kiedy cię nie było, przejrzałem twoje książki. – Krzywi się na widok mojej reakcji. – Spałeś z Alice. Jestem pewien, że przekroczyliśmy wszystkie granice.

– *Touche*. – Rozebrałbym jego dom od dachu po piwnicę, jeżeli byłby cień nadziei, że znajdę choć jeden włos mamy.

– Widziałem te imiona i daty, część twoich zapisków. Nie zrozumiałem

wszystkiego, ale czegoś się jednak domyśliłem. Martwisz się o Enolę. Myślisz, że jest taka jak wasza mama. Myślisz, że Enola umrze.

– Nie wiem. – To, co mi rano powiedział, udowodniło mi, że wiem znacznie mniej, niż sądziłem. – Ale się martwię.

Frank wciąga powietrze i wypuszcza je powoli.

– Enola różni się od Pauliny, mówię ci. Pod wieloma względami jest miłsza, pod wieloma zwyczajniejsza. Sam nie wiem... Widziałem tę listę, a potem to tutaj... Kilka dni przed śmiercią Pauliny skrzypłocze też się tak wyroiły. Tysiące. Po tym jak odeszła, nadszedł czerwony przypływ i wybił wszystko; kraby, skrzypłocze, ryby, ślimaki. Wszyścusięńko. Cała zatoka wyglądała jak pokryta rdzą. Nigdy więcej nie widziałem tylu skrzypłoczy naraz, aż do tej pory.

Czyli dlatego Frank zbiera skrzypłocze, dlatego suszy ich pancerze i wiesza je na ganku. I dlatego, być może nieświadomie, nauczył miłości do nich swoją córkę.

– Dlaczego mi to mówisz?

– Szukasz wzorów, prawda? Tak wynikało z twoich notatek. Nie wiem, czy to tworzy wzór, ale było wystarczająco dziwne, by zapaść mi w pamięć. Znów zobaczyłem tyle skrzypłoczy i zrobiło mi się niedobrze.

Spojrzeliliśmy w dół na kłębiącą się masę.

– Jeśli chodzi o Alice... – Czuję, że powinienem coś powiedzieć.

– Ona podejmuje własne decyzje – mamrocze Frank pod nosem.

– Ona się o ciebie martwi. Wracaj do domu.

– Okej – przytakuje. – Dobrze, dobrze – powtarza to słowo, dopóki sam w nie nie uwierzy, i wraca do czekających na niego kobiet.

Powinienem był zapewnić go, że nic nie powiedziałem Alice i że nie mam takiego zamiaru, ale nadal chcę, żeby cierpiał.

Na plaży są ludzie z innych domów na klifie. Wśród nich Eleni Trakos, którą rozpoznaję po stalowoszarym koku i po skórze zupełnie zbrązowiełej od dziesiątków lat opalania się toples. Są z nią jej wnuki, Takis i ten drugi. Obok niej Gerry Lutz, który mieszka w górze ulicy, Vic i mieszkańcy ślepej uliczki, Sharon, rodzina Pinettich. Gromadzą się, jakby to było miejsce popełnienia przestępstwa, szepczą, rozmawiają. Eleni i jej wnuki stoją tuż nad wodą. Jedno z dzieci podnosi skrzypłocza za odwłok i macha nim: ciało skorupiaka wygina się, jego odsłonięte tylne segmenty szukają oparcia i drgają za każdym wymachem. Patrząc na Eleni, Gerry'ego, Vica i Maggie Simmsów, Terry'ego, Sharon i ludzi ze ślepej uliczki. Pamiętam ich wszystkich ubranych na czarno, w garniturach lub sukienkach z dopasowanymi żakietami. Eleni miała tylko pierścionki, żadnego naszyjnika. Strój pogrzebowy. Podczas pochówku mamy tata stał między Frankiem a Gerrym. Frank również ją opłakiwał. Leah stała ze mną i Enolą. Włożyła mi za duży garnitur ze zbiórki w kościele prezbiteriańskim. Enola miała na sobie sukienkę po Alice. John

Stedbeck podchodzi do skały, na której Enola kiedyś obtarła sobie nogi. Zdenerwowany i chudy krzyczy do telefonu, zginając się i prostując, wyciągając rękę w poszukiwaniu zasięgu. Pożyczyłem od niego garnitur na pogrzeb taty. Szary garnitur ojca był na mnie za szeroki w ramionach i miał za krótkie nogawki. Do trumny ubrano go w czarny.

Faye i Sharon robią zdjęcia, Faye kuca, choć jej kolana zginają się z trudem. Z okazji obu pogrzebów przynieśli ciasta owocowe. Ted Melnick przydźwigał kosz pomarańczy i wręczył mi je, zapewniając o swoim współczuciu. Gerry i jego żona dali nam lazanie, które Enola pożarła w całości, gdy tylko dom opustoszał. Eleni ofiarowała bakławę.

– Słodycz w smutku – powiedziała.

Choć jedzenie niemal nas przysypało i choć wszyscy ci ludzie ściskali nas i zachęcali, żebyśmy jedli, niczego nie spróbowaliśmy, dopóki sobie nie poszli.

W powietrzu unosi się chrobotanie i stukanie skrzyploczy. Są niczym żywa fala wypełniająca na brzeg. A na plaży czekają uczestnicy pogrzebu.

Z domu dzwonię do Churchwarry’ego. Nikt nie odbiera. Obok klawiatury leżą *Legendy i wiersze Bałtów*, książka, którą muszę zwrócić. Dlaczego mama nabiła mi głowę opowieściami o podwodnych królach i kobietach, które tańcem zwabiają mężczyzn do strumieni? Włączam komputer. W poczcie czeka krótki e-mail od Anne Landry z Archiwum Sanders-Beecher. Nadal rozmawiają z kandydatami i chcieliby wyznaczyć termin rozmowy telefonicznej, który byłby dla mnie dogodny. Jest kwestia mojej przeprowadzki, ponieważ nie dysponują funduszami na ten cel. Informuję ją, że zadzwonię po południu dwudziestego piątego.

Wśród spamu znajduję także wiadomość od Rainy. Znalazła Gretę Koenig, a raczej Gretę Ryżkową. Moje przecucie się sprawdziło, tyle że nie nosiła ona nazwiska matki zbyt długo. Jej matka prawdopodobnie ponownie wyszła za mąż i wtedy Greta przyjęła nazwisko ojczyma – Victora Mullinsa z Nowego Orleanu. W 1826 roku. Nazwisko Mullins wpisane w wyszukiwarce daje mnóstwo wyników. Ale dlaczego kolejne małżeństwo? Katerina Ryżkowa owdowiała. Przeglądam księgę, dotykając jej zniszczonych kart. Blisko środka, tuż przed zmianą pisma, widnieje delikatny szkic – wygląda to na prototyp parowców, które pływały niegdyś w górę i w dół rzek w całym kraju.

Podnoszę głowę i widzę, że u McAvoyów nadal świeci się światło, Frank i Leah siedzą na kanapie w salonie. Zawsze tak było. Myślałem, że to Leah się nam przyglądała, ale tak naprawdę to ja obserwowałem ich cały czas, bo bardzo chciałem do nich należeć.

Zaczynam poszukiwania. Poszukiwania powodzi między 1824 a 1826 rokiem, która mogłaby pochłonąć trupę wędrownych artystów lub pływający cyrk. Takiej powodzi, która mogła zabić tyle osób, których cierpienie nasyciłoby wszystkie

ocalałe przedmioty. Wiem w głębi serca, że to marna kwerenda. Działanie pod wpływem impulsu nie idzie w parze z rzetelnymi badaniami. Ale ta księga mnie znalazła, co wydaje się jeszcze bardziej niemożliwe.

Mijają godziny. Wreszcie sukces. W 1825 roku wylała rzeka Missisipi i zalała Nowy Orlean. Katarina Ryzkowa wyszła ponownie za mąż w Nowym Orleanie. Czas i miejsce się zgadzają.

Kątem oka dostrzegam niewielki szkic na stronie obok parowca. Widziałem go wcześniej, ale nie wydał mi się istotny – po prostu kolejne gryzmoły kogoś, kto lubił rysować, zastanawiając się nad różnymi sprawami. W rogu strony obok notki o przytłaczającym upale i silnej mgle widnieje podobizna skrzyplocza.

Zamykam księgę i opuszczam dom tak szybko, jak tylko pozwala mi ból kostki. Muszę wejść do wody, aby uporządkować myśli. Idę naprawdę powoli. Dwa ostatnie stopnie schodów zmyło morze, ale ktoś zainstalował drabinkę basenową, więc udaje mi się jakoś stoczyć na piasek.

Skrzyplocze chodzą mi po stopach i po sobie nawzajem. Jest przypływ, który przykrył część tych czających się tutaj stworzeń. Wydaje mi się, że się rozstępują, robiąc dla mnie przejście, kiedy kuśtykam do wody.

Trzy głębokie oddechy. Wdech i wydech, wdech i wydech, wdech i wydech. Ostatni wdech głęboko do środka, aby rozszerzyć żebra, rozciągnąć każdy mięsień i wypełnić przestrzeń powietrzem. Zanurzam się w czarną, niosącą ulgę wodę. Pod powierzchnią i niżej kwitnie życie, nad nią rozpościera się niebo – między tymi dwoma błękitami jestem tylko ja. Płynę w ciemność.

Na chwilę otwieram usta, aby poczuć słony smak.

Mam do czynienia z czymś w rodzaju samosprawdzającej się przepowiedni. Mama wiedziała, że jej matka utonęła. Moja babcia musiała wiedzieć to samo. Zapewne bały się jak każdy członek rodziny Latających Wallendów, który zaczyna chodzić po rozpiętym między słupami drucie, mając świadomość, dla ilu jego krewnych skończyło się to śmiercią. W pewnym momencie drut staje się przekleństwem. Myśl daje początek tragedii. *Zaklęcia ochronne*, grube tomiszczce przysłane przez Churchwarry'ego, za źródło klątwy uznaje napisane słowo, intencję wyrażoną w języku. Ogony skrzyploczy uderzają o pancerze, przywołując w moich myślach rysunki Peabody'ego. Również ten przedstawiający łódkę, po którym opis zniszczeń dokonanych przez powódź pojawia się tak szybko, jakby sam rysunek ją spowodował. Mój brzuch kurczy się od zimnego prądu. Na tabliczkach z klątwami zapisywano imiona ludzi, przeciw którym klątwy były wymierzone, czasem coś więcej. Nazwać rzecz to ją wyróżnić – nasycić mocą lub popchnąć ku zagładzie. Bess Visser. Amos. Evangeline. Tabliczki ukrywano, zakopywano, by nikt ich nie odkrył, zanim klątwa zadziała. Odkrytą tabliczkę można było rozbić i tym samym zniszczyć klątwę. Księga nie została przy trupie. Ukryła się dzięki

powodzi, znalazła sobie miejsce u ludzi zainteresowanych starociami, u ludzi, którzy nigdy nie odważyliby się zniszczyć tak interesującego fragmentu historii. Aż dotarła do mnie.

Czas przerwać działanie klątwy.

Wypuszczam powietrze i opadam na piaszczyste dno. Dotykam stopami gładkich pancerzy żywych skamielin, które są tak śliskie, że wystrzeliwiają spode mnie. Po raz pierwszy od wielu dni czuję, że mam ochotę się uśmiechnąć. Wychodzę z wody, drżąc. Świta.

Wiem, co mam zrobić.

Peabody był zachwycony tym, że Evangeline chciała się nauczyć przepowiadania przyszłości – to pozwalało mu wykazać się twórczo i rozwiązywało problem zatrudnienia Amosa. Spędzał dni i noce na szkicowaniu, przeszukiwaniu kufrów i konfiskowaniu kawałków tkanin i ozdób z innych wozów – wymyślne żelazne okucie z drzwi Meliny, zapomniany przez Susannę kawałek muślinu, puszka ze srebrnym pyłem, która została Natowi z czasów, kiedy był kowalem... Wszystko to zostało zabrane ukradkiem, pożyczone, wymuszone lub wyblągane. Ponownie urządził wóz Ryżkowej, jak sam uważał, w najwspanialszym stylu. Z zewnątrz wóz pomalowano na niebiesko, żółto i biało, nie szczędząc zawijasów ani lilijek. U wejścia powieszono draperię. Wnętrze pomalowano na kolor jasnoniebieski, typowy dla materiału na spódnice. Peabody namalował na ścianach gwiazdy i różę wiatrów, dostarczył również poduszki ze swojego wozu. Skończył z zadowoleniem i stwierdził, że udało mu się przekształcić wóz Ryżkowej w coś, co z powodzeniem mogło uchodzić za replikę wystawnego francuskiego salonu. Zmiany odnotował w księdze. Pojedynczą linią przekreślił *Mme. Ryżkowa, svc. Occult* i pod spodem zapisał *M. & Mme. Les Ferez, svc. Oracular*. Evangeline została Uczennicą Wróżbity, obok imienia Amosa Dziki Chłopiec został wydrapany litościwą ręką i zastąpiony przez Wróżbitę. Niewielkie zmiany, które oznaczały całe nowe życie dla Amosa i Evangeline. Dla celów kronikarskich od tego momentu nazywali się Etienne i Cécile Les Ferez.

– Moda na Rosjan minęła – wyjaśnił Peabody, przyniósłszy Amosowi kufer z kostiumami. – *Les vêtements* – powiedział i położył kufer z łomotem na ziemi, co spowodowało pojawienie się tumanów kurzu. – Pomyśl tylko, Amosie, że przez cały ten czas spałeś na czymś, co zapewni ci wspaniałą przyszłość. Oto stroje z mojej ostatniej wizyty na Kontynencie. – Ponieważ ani Amos, ani Evangeline nie zrozumieli, co miał na myśli, wyjaśnił: – Francja, drogie dzieci. – Potrząsnął noszącą ślady upływu czasu kwiecistą apaszką. – *La France*. Najwyższe osiągnięcie cywilizacji, mody i sztuki!

Amos wzdragał się przed przyjęciem kufra wypełnionego sztywnym białym materiałem, koronkami i falbanami. Peabody odchrząknął.

– Zmiany nie są łatwe, ale albo to, albo *déshabillé*. A rozumiem, że nie pasuje ci bycie dzikusiem. – Przyłożył pelisę do powiększającego się brzucha Evangeline. – Dobrze zakrywa, dobrze – mruczał pod nosem. – Francuzi są... Jak by to ująć? Niezwykłe uprzejmi dla kobiet spodziewających się potomka.

Obszerna szata dla przedstawicielki francuskiej bohemy sprawiała, że kiedy

Evangeline siedziała, jej stan był niezauważalny, a siedziała przez zdecydowaną większość czasu. Dzięki swojemu nowemu zajęciu odkryła, że ciąża jest taką niedogodnością, jakiej się spodziewała. Sporadyczne bóle i nagłe ataki nudności nie dawały się jej bardzo we znaki, polubiła nawet niektóre zmiany, które przyniosło jej wrózenie z kart.

Peabody opowiadał długo o arystokratycznym wyglądzie, wymyślnych fryzurach, perukach i pudrze.

– Wszy – chichotał. – Zaroi się od wszy.

Evangeline podjęła się układania włosów Amosa w ciężkie loki, ponieważ Peabody twierdził, że taka była moda we Francji. Każdego wieczora dzieliła jego włosy na pasma za pomocą gęstego drewnianego grzebienia, każde pasmo zwiјаła i związywała kawałkiem szmatki. Ćwiczyła wtedy swój akcent, układając usta w dzióbek. Pod koniec tych zajęć bolały ją mięśnie twarzy, a głowa Amosa przypominała dmuchawiec. Na początku Amos zdawał się zawstydzony tymi poczynaniami. Po tygodniu Evangeline zauważyła, że czekał z utęsknieniem na te ciche chwile i prostą przyjemność, jaką dawało mu czesanie włosów. Ona siadała na skrzyni, on na podłodze ze skrzyżowanymi nogami. Czuł ciepło obejmujących go ud i w pełni się jej oddawał. Evangeline zwróciła uwagę, że oddech Amosa stawał się wolniejszy z każdym ruchem grzebienia. Dobrze było troszczyć się o siebie nawzajem.

Podczas pierwszej prezentacji Evangeline i Amosa w ich nowych strojach Peabody nie posiadał się z radości.

– Elegancja, moje skarby. Staniecie się perłą w koronie naszego przedsięwzięcia. *Monsieur et madame* Les Ferez. Nauczymy niemyte pospólstwo, co to znaczy wysmakowanie, pokażemy im nie tylko ich przyszłość, lecz także światowy styl.

Trzeba było jeszcze nauczyć Evangeline kart. Szybko się uczyła, o ile Amos nie tracił cierpliwości. Musiał przecież posługiwać się pantomimą i ukierunkowywać jej pytania tak, aby mógł na nie odpowiedzieć. Podczas prezentowania układów, pozycji i znaczeń kart zdarzało się, że zaczynał mówić o sprawach bardziej przyziemnych, choć nie uprzedzał jej o zakończeniu lekcji. Evangeline podejrzewała, że nie mówi jej wszystkiego. Zauważyła, że chowa pewne karty, kiedy pojawiały się w układzie. Mignięcie brązowej skóry, błysk koloru – ciężko było zauważyć, co właściwie zrobił. Chował oczywiście ciemne karty – Wieżę, Diabła, Śmierć, poza tym Miecze i najczęściej Kielichy. Miał przed nią tajemnice. Nie mogła się na to skarżyć, bo sama ukrywała swoją przeszłość. Ponieważ nie obdarzał jej pełnym zaufaniem, Evangeline czuła się upoważniona do tego, by mieć własne życie. Wczesnym rankiem, kiedy jeszcze spał, chodziła popływać. Choć nie tęskniła za swoim przedstawieniem ani za gapiami, brakowało jej wody. Podczas gdy Amos śnił o suszącym się tytoniu i króliczych norach, wymykała się z jego

objąć, aby zamienić je na objęcia wody. Zdejmowała ciężkie ubrania Cécile Les Ferez i na powrót stawała się osobą, którą była zawsze. Nurkowała, przecinając szuwały, opadała na dno, aby skosztować słodkiego, ziemnego smaku świeżej wody. Jeśli znajdowali się blisko oceanu i rzeki były słone, unosiła się na plecach, przyglądając się zmienionej linii swojego brzucha i temu, jak woda go obmywa. Jeśli na niebie był jeszcze księżyc, wypatrywała srebrnego migotania łusek i podążała za rybami. Kiedy nowe życie rozkwitało w jej wnętrzu, znajdowała w wodzie potrzebne jej zapewnienie, że gdzieś przynajmniej częściowo przynależy. W rzece z pływami u wybrzeży Wirginii napotkała na dnie szczególne żyjątko. Wzięła je do ręki, aby przyjrzeć się dokładniej pełnym wdzięku krzywiznom jego pancerza, spiczastemu odwłokowi i pajęczym nóżkom, którymi żyjątko kopało w powietrzu, kiedy trzymała je w dłoni. Cud tylko dla mnie, pomyślała. Dziecko w jej brzuchu się roześmiało.

Amos i Evangeline wypróbowali swoje nowe wcielenia w miasteczku Tanner's Ferry, w którym zatrzymali się w drodze do Charlotte w Karolinie Północnej.

– Znakomite damy i wspaniali panowie. – Głos Peabody'ego unosił się nad tłumem. – Na specjalne życzenie sprowadzeni zza morza, z eleganckich salonów Paryża, doradcy rodzin królewskich – powiedział, wymachując dłonią. – Szanowni państwo, oto przed wami ci, którzy przepowiadają losy i przyszłość, *Monsieur et Madame Les Ferez!*

Amos i Evangeline stali na schodach swojego wozu, sztywni od mnóstwa halek i koronek. Tłum przyglądał się im z zachwytem i nieco podejrzliwie. Tanner's Ferry było przyczółkiem wielkiego świata, okoliczni farmerzy przyjeżdżali tu, aby sprzedać lub wysłać dalej swoje towary. Domy były małe, łatwe do zbudowania i rozebrania, gdyby miasteczko musiało zniknąć i wtopić się w las z powodu jakiejś kolejnej zawieruchy. Kobiety były przede wszystkim żonami i córkami tutejszych kupców. Zachwycony wyraz ich twarzy wystarczył, aby Amos wiedział, co ich czeka. Dziewczęta były pod wrażeniem kostiumów, ponieważ nigdy nie widziały takiego zbytku. Amos to rozumiał. Będą zawalieni pracą.

– Doradcy wszystkich francuskich domów – kontynuował Peabody z wyraźną przyjemnością. – Ich wizje prowadziły możnych i wielkich. Drodzy przyjaciele, daję wam luksus i przywilej skorzystania z ich kart i nacieszenia nimi oczu.

Spojrzenie Peabody'ego odzyskało blask. Był w znakomitej formie, wymawiając swoje furkoczące „r” i żywo gestykułując. Amos spojrzał na Evangeline. Ciężki bawet zasłaniał jej brzuch. W strojnej szacie, z włosami skręconymi i ułożonymi w wymyślną fryzurę nie była już syreną ani podobną do ptaka istotą, która wyłoniła się z lasu. Była wykwinną kobietą z rodzaju tych, które piszczały i mdlały na widok Dzikiego Chłopca. To była kobieta, która czesała jego włosy, poprawiała jego koronki i uczyniła z niego mężczyznę, którego nikt nie podejrzewał o to, że był

zawodowym dzikusem. Z niewytłumaczalnych powodów zatęsknił za tamtą Evangeline.

– Nie wydaje ci się dziwne – szepnęła Evangeline – że Peabody’emu nie jest gorzej bez Ryżkowej? Podróżowała z nim całymi latami, a on wygląda kwitnąco.

Słuchając Peabody’ego, Amos zaczął myśleć jak ona. Powinien się cieszyć, że Peabody jest zadowolony, ale zamiast tego myślał o wykrzywionych kciukach Ryżkowej i o tym, jak zwykła ogrzewać cegły w ognisku, aby złagodzić ich ból. Ścisnął dłoń Evangeline, układając z ich splecionych palców koszycek.

– Jest tak nami zachwycony, że można by pomyśleć, że miał udział w zniknięciu Ryżkowej. Straszne słowa, wiem. Jednak wcale by mnie to nie zdziwiło.

Od południa do późnego wieczora przejęte młode kobiety i podekscytowani młodzi mężczyźni pytali o miłość, bogactwo i nadzieję. Amos słuchał Evangeline czarującej ich wystudiowanym głosem, który, jak sądził, brzmiał z francuska. Nie potrafił się skupić na ani jednym rozkładzie. Wokół niego coś się ruszało, coś zmieniało i wpędzało go w niepokój. Skupił się na tarocie. Wcześniej wyciągnął z talii i poukrywał w rękawach karty, których Evangeline nie powinna widzieć.

Po ciężkiej przeprawie przez błotniste drogi trupa, wciąż zmierzająca do Charlotte, zatrzymała się niedaleko Catawba. Amos ćwiczył z Evangeline sześciorzędowy rozkład, wykorzystując wcześniej nieużyte karty. Pod koniec rozkładania czwartego rzędu Amos wyciągnął rękę, aby zabrać właśnie odwróconą kartę. Evangeline chwyciła kartę i jego palce.

– Dlaczego je przede mną chowasz? – zapytała. – Jak mam się dobrze nauczyć, skoro nalegasz, żeby usunąć wszystkie bardziej interesujące karty? – Widziała, że coś go niepokoi, i chciała być delikatna, ale Amos zaczerwienił się i wbił wzrok w podłogę. – Proszę – powiedziała.

Odwrócił dłoń i pokazał kartę. Diabeł.

Amos nie wiedział, że jego tajemnice wywołują u niej swoisty niepokój, ani tego, że kiedy Evangeline przykłada brzuch do jego pleców, ma czarne myśli. Zastanawiał się, czy gniew, jaki Ryżkowa do niego czuła, żyje w kartach, koślawiąc i wypaczając jego słowa. Spojrzał na swoją rękę trzymaną przez Evangeline. Własna dłoń wydała mu się brudną łapą.

Odłożył karty, którymi pracowali, i przybrał poważny wyraz twarzy. Pokazał Evangeline Arcykapłankę – Ryżkową. Wykładał, tasował i obracał karty, opowiadając o zmartwieniu Ryżkowej i o swojej obawie, że nasaczyła nim karty. Położył kartę przedstawiającą jego samego, Głupca, na dłoni Evangeline, aby jej pokazać, że pragnie jej bronić przed tym, czego obawiała się Ryżkowa.

– To jest Diabeł? – Wzięła kartę z ręki Amosa i uzupełniła sześciorzędowe rozdanie, nad którym pracowali. Diabeł wypadł na ostatnim miejscu w czwartym

rzędzie. Trudno o mniej pomyślną pozycję. Wygięte w dół usta Evangeline powiedziały mu, że wiedziała. – Była kiedyś kobieta, która wierzyła, że jestem opętana przez Diabła – powiedziała. – Kobieta, którą kochałam, wierzyła, że Diabła można przepędzić drewnianą łyżką. – Jej śmiech był cichy i pozbawiony wesołości. – Ktoś, kogo można pokonać łyżką, nie jest wart tego, żeby się go bać. Nie musisz nic ukrywać. – Nie powiedziała, co się stało z łyżką ani z osobą, która po nią sięgnęła.

Amos skinął głową, choć w duchu się z nią nie zgodził.

W środku nocy zbudziło ich walenie do drzwi. Amos uchylił je i zobaczył Benna. W chwiejnym świetle lampki oliwnej akrobata był nie do poznania. Jego zazwyczaj spokojną twarz przeorała groza, blizna mocniej ściągała mu usta.

– Weź Evangeline – powiedział. – Proszę. – Ponieważ Amos się nie ruszył, mówił dalej. – Rzeka. Zepsuła się, umarła. Wszystko umarło. Twoja kobieta, ona się w niej kąpie, kiedy ty śpisz.

Amos zamrugał, słysząc te słowa. Evangeline wymykała się, a on tego nie słyszał. Benno jednak zawsze był czujny.

– Nie powiem nic więcej, to by cię tylko zdenerwowało. Proszę, sprowadź swoją kobietę.

Zaspana Evangeline zjawiła się za plecami Amosa.

– Cicho, już idę.

Poszli za migoczącym światełkiem lampki Benna przez zarośla i tatarak, który rósł nad wodą. Amos trzymał Evangeline za rękę blisko siebie, patrząc, jak stawia kroki, ponieważ światło lampki Benna co chwila nikło na wietrze. Jak niewiele o niej wiedział! Dotarli na brzeg rzeki. Lampka przestała migotać.

– Widziałem, jak pływałaś w tej rzece – powiedział Benno. – Wiesz coś o tym?

W nocnym powietrzu unosiła się woń rozkładu utrudniająca oddychanie. Evangeline pływała w tej wodzie rano, napawając się jej słodyczą. Lampka rzucała światło na miejsce, gdzie woda stykała się z brzegiem. Brzeg połyskiwał, powietrze było gęste od much. Na brzegu rzeki piętrzyły się martwe i zdychające ryby, na próżno walczące o oddech. Ich oczy były pokryte bielmem niczym złowrogie opale. Evangeline zakryła nos i usta, żeby nie czuć smrodu.

– Albo to. Czy kiedykolwiek widziałaś coś podobnego? – Benno przykucnął, aby podnieść coś z ziemi. Ciemnobrązowe, podobne do kamienia stworzenie o skórzastym pancerzu i ogonie jak witka. Wierciło się w jego rękę, chybcząc się na strony. – Paskudny jak diabeł, nie?

Poczuła szarpnięcie w żołądku. Niemal takie samo stworzenie, tylko mniejsze i niebudzące takiego niepokoju, znalazła w słonej rzece w Wirginii.

– Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałam – powiedziała.

Amos ją objął, a ona zaczęła się zastanawiać, czy wyczuwa zimno, które

zakorzeniło się w jej kościach, czy wyczuwa jej kłamstwo.

– Oczywiście, że nie – powiedział Benno z powagą i smutkiem. – Ale teraz one są wzdłuż całego brzegu. Widzisz je? Jak demony z wody. Ty tu pływasz. Widziałem cię nie dalej niż dzisiaj rano – powiedział, upuszczając dziwne stworzenie na piasek. Setki jemu podobnych zalegały na brzegu, zakopane pod zdychającymi rybami, ukryte między kamieniami.

– Woda była czysta, kiedy pływałam – odparła.

Benno taksował Evangeline wzrokiem. Grymas na jego twarzy przeobraził się w promienny uśmiech.

– Oczywiście. Co niby miałabyś zrobić? Myślałem, że może coś widziałaś, to wszystko. Przykro mi, że was obudziłem. – Spojrzał na rzekę. – Niemniej na pewno musimy opuścić to miejsce.

Amos patrzył na zdychające ryby rzucające się na piasku. Nie znał powodu, dla którego tyle ryb miałooby wyskoczyć nagle z wody, wiedział tylko, że to znak. Szaleńczy wysiłek skrzeli pod łuską i nierówne bicie gasnących serc głęboko go poruszyły. Złe rzeczy czekały na nich w Charlotte, rzeczy, które mogły zatruć rzekę. Musieli wyjechać, ale nie był pewien, czy jazda do Charlotte nie jest jazdą ku ciemności. Nabrał też pewności, że coś się zmieniło między Evangeline a Benna i musiał chronić ją przed mężczyzną, który niegdyś był jego przyjacielem. Pomyślał o Dziesiątce Mieczy – mężczyźnie ugodzonym mieczami.

Benno nazwał skorupiaka diabłem. Evangeline zrozumiała, że sama to na siebie sprowadziła. Ścisnęła dłoń Amosa, czując miękką skórę na jego palcach. To ona zatruła rzekę. Pomyślała o kartach ukrytych przez Amosa i jej sekretnym pływaniu, i o tym, że tajemnice mogą ich zadusić, aż będą dyszeć jak leżące na piasku ryby. Niosła w sobie śmierć i zatruwała wszystko, czego dotknęła.

—

Jestem morderczynią.

23 lipca

23

– Wiem, że to trochę dziwna prośba, ale cokolwiek ci się uda ustalić, spotka się z moją wdzięcznością.

Słyszę, że Liz Reed waha się przez chwilę, ale jest wytrawną bibliotekarką i niemal przyjaciółką.

– Próbowałem sam to sprawdzić, tylko że nie mam już dostępu do systemu Grainger. Janice kazała mnie usunąć – tłumaczę.

– Kupferman cię zablokowała?

– Olałem dwutygodniowy okres wypowiedzenia i przetrzymałem pewne materiały trochę za długo.

Liz nie zawodzi.

– Mimo wszystko to niegrzeczne z jej strony. Czego potrzebujesz?

– Chcę coś sprawdzić. Chodzi o wypadek statku rzecznego. A właściwie czegoś w rodzaju pływającego cyrku. Chodzi o rok 1825, Nowy Orlean, powódź na rzece Missisipi. Potrzebuję nazwy statku, cyrku, nazwisk ocalałych. Wszystkiego, co uda ci się znaleźć.

– To podejrzenie konkretne. Jest ku temu jakiś konkretny powód?

– Próbuję zrobić wrażenie na potencjalnym pracodawcy – mówię.

– Sanders-Beecher robi ci testy?

– Coś w tym stylu.

– Masz plan awaryjny?

– Mogę przez jakiś czas podróżować z siostrą. Och, jeśli coś znajdziesz, zadzwoń, proszę, do mnie do domu. Moja komórka nie działa.

Chcę jej podziękować, kiedy pyta:

– Czy coś się stało Alice McAvoy?

– Nie, dlaczego?

– Rozmawiałam z nią wczoraj i brzmiała strasznie. Jesteście blisko ze sobą, czy mówiła ci, że coś się dzieje?

– Nic o tym nie wiem – mówię. Głupio się czuję, kłamiąc. Ponownie jej dziękuję, rozłączam się, skreślam Liz Reed z listy i idę dalej. Raina z Shoreham, później Elisabeth Booker z Center to dwie z pięciu osób, którym pomagałem kiedyś

w szukaniu książek, z którymi siedziałem razem na konferencjach, narzekałem na budżet i opłakiwałem nieuchronny koniec katalogu kartkowego. Kiedy do nich dzwonię, słyszę ulgę, że tym razem nie pytam o pracę. To umacnia w nich wiarę, że nadal istnieje zapotrzebowanie na ludzi takich jak my. Po godzinie mam małą armię ludzi szukających Peabodych, potomków wnuczki madame Ryzkowej, Grety Mullins. Tennen, Bonn, Duvel, Trammel, Petrova, Visser – w końcu moja dziwaczna rodzina nie jest taka trudna do wytropienia. Nawet w morzu nazwisk tonące syreny mają siłę przebicia. Wkrótce będę miał więcej wiadomości, ale teraz muszę zrobić coś z tym, że Alice brzmiała okropnie w rozmowie z Liz, ponieważ jestem tego bardzo prawdopodobną przyczyną. U Franka światła się świecą. Nikt nie zgasił ich na noc. W końcu postacie z kanapy zniknęły, najpierw Leah, dużo później Frank. Po części mam nadzieję, że naprawdę złamała jego serce. Nikt nie wszedł do domu ani z niego nie wyszedł, choć jest przedpołudnie. Możliwe, że Alice jest z nimi w środku. Gdy dotknęła mnie wczoraj przy samochodzie, wyczułem w jej dotyku zmęczenie i smutek.

Próbuję zadzwonić do Churchwarry’ego, na linii są jednak poważne zakłócenia. Księga leży otwarta, jej grzbiet jest wygięty – nikt, kto ma szacunek do papieru, nie powinien robić czegoś takiego. Nie jest to Biblia Gutenberga, mimo to zasługuje na szacunek. Złożona przez intrologatora, zszyta i sklejona. Deska, skóra, papier nakłuty, aby lepiej chłonał atrament, pokreślony przez pióro, stalówkę, nawet paznokcie. Choć wydaje się niemożliwe, aby odnaleźć własną przeszłość w czymś, co właściwie jest ręcznie pisanym dziennikiem, stanowi on w pewnym sensie odpowiedź na pytanie, które zawsze chciałem w życiu zadać. Księga przechodziła z rąk do rąk, z ojca na syna, aż się zgubiła i ponownie odnalazła na aukcji, na której kupił ją Churchwarry. Utonięcia w mojej rodzinie przechodziły bez echa przez całe pokolenia. Czy to dlatego, że podróżowaliśmy, że nasze ślady się zacierały? Podczas pierwszych godzin, które spędziliśmy z Enolą pod wodą, wstrzymując oddech, wiedzieliśmy, że jesteśmy inni. Tonienie mamy we krwi. Nasza matka wiedziała, że była inna. Dotarła do informacji o Bess Visser i wiedziała, że nie tylko jej matka utonęła. Czy dotykając tej przeklętej przeszłości, przeczuwała swój koniec, czy czuła, że utonie jak jej krewne?

Aby odczytać klątwę, należy zniszczyć jej źródło. Zamierzam unicestwić naszą historię, wszystkie dowody na to, że ja i Enola jesteśmy potomkami czegoś niezwykłego. Księga jest jedyną pamiątką po rodzinie, której nigdy nie poznam – po niemowie, syrenach i wróżbitach – część mnie zniknie, kiedy ją zniszczę. Zapis jest niekompletny. Na jej kartach brakuje Celine Duvel i Verony Bonn. Również imię mojej matki powinno zostać tutaj zapisane. Nie ma tu całych pokoleń tonących kobiet i zaginionych wróżbitek. Ta fragmentaryczna opowieść, ten obciążony klątwą przedmiot, to tylko część naszej historii, zaledwie jej początek. Ale to mapa.

Przepisuję wszystko, co jestem w stanie przepisać, strona po stronie, całymi godzinami, aż łapie mnie skurcz w ręce. Rozluźniam ją na chwilę, po czym zaczynam od nowa. Imiona, daty, miejsca, urywki, które Peabody uznał za zabawne: „Głupia ta owca, która wilkowi wierzy”. Odwiedzane przez trupę miasta: Nowy Jork, Filadelfia, New Castle, Burlington, Tanner’s Ferry, Charlotte. Visser, Ryżkowa, Koenig i ci, przy których imionach nie było nazwisk – nieznanego pochodzenia. Jakiegokolwiek moje wątpliwości, które mogłoby wzbudzić przepisywanie tych informacji, zostają uśmierzone przez to, co przeczytałem w *Zaklęciach ochronnych*. Słowa same w sobie nie zawierają klątwy, musi stać za nimi wola. Między moim kciukiem a palcem wskazującym pęka pęcherz – kropla limfy spływa na papier, rozmazując słowo. Mogę zniszczyć klątwę, ale chcę zachować historię.

Na podjazd zajeżdża samochód, po chwili słychać dobrze mi znane walenie do drzwi.

– Otwarte.

Wchodzi Enola, za nią Doyle niczym zjawa.

– Powiedziałaś, że masz wrócić do nas. Gdzie, u diabła, się podziewałaś? Próbowałam się do ciebie dodzwonić, od razu włącza się poczta głosowa.

– Odłączyli mnie. Uważaj na podłogę. – Wskazuję na dziurę.

– Czy to było tu wcześniej? Co się stało, do cholery?

– Wyrwa – mówi Doyle, szczerząc się.

Enola obchodzi salon, bacznie przygląda się podłodze i ścianom.

– Myślałam, że nie chcesz tu wracać. Uzgodniliśmy to. Thom mówi, że może cię przyjąć, kiedy będziesz gotowy. – Zatrzymuje się przy zdjęciu, na którym jest z mamą, a które zrobił Frank. – Nie możesz tutaj być. Zabieraj swoje rzeczy i chodź z nami na trochę. Będzie fajnie.

– Mały Ptaszku, co ci da dzień różnicy? – wtrąca się Doyle. – Twój brat może do nas dojechać. – Do mnie zaś mówi: – Jedziemy do Croton na kawałek sierpnia. Na część jesieni zjeżdżamy do Atlantic City, stamtąd jeszcze dalej na południe. – Opiera plecy o drzwi, a stopę o framugę, zdarte obcasysk wskazują, że to jego ulubiona pozycja.

Enola posyła mu groźne spojrzenie.

– Pojadę z wami – obiecuję. – W Savannah mają ofertę pracy, którą rozważam. Po prostu muszę się wcześniej o coś zatroszczyć.

– Simonie, jeśli znów chodzi o tę książkę, to się musi skończyć. Straszysz mnie. Jeśli chodzi o Franka i mamę, odpuść. Ona nie żyje, a on nie może zrobić nic, żeby to odwrócić. – Jakby na zawołanie słyszę, że Frank zapala silnik w ciężarówce. Wyjeżdża z podjazdu i kieruje się na marinę, do baru, gdzie chodzą pić smutni mężczyźni, którzy pieprzyli się z żonami swoich przyjaciół.

– Myślę, że powinniśmy zrobić ostatnie ognisko, zanim wyjedziemy. – Pomysł jest tak spontaniczny i naturalny, że niemal genialny. – Pamiętasz, jak byliśmy mali i gotowaliśmy na zewnątrz?

– Nie – mówi Enola.

Doyle opuścił swoją pozycję przy drzwiach i masuje jej ramiona.

– Było super. Kukurydza i hot dogi, burgery, nawet homary. Tata i Frank robili ognisko, pozwalali nam piec pianki. – Oczywiście chodziło o mnie i Alice. Nawet wtedy mieliśmy swoje wspólne i równoległe życia. Patrzyliśmy razem, jak płatki zwęglonego cukru i skrobi kukurydzianej ulatują w niebo. – Mam ochotę na ostatnie ognisko. Chcę mieć jedno dobre wspomnienie stąd. Zasługujemy na nie.

– Jakby ognisko mogło nam je załatwić – mówi.

Wyobrażam sobie Alice po drugiej stronie tego ogniska, Alice, która stała na moim ganku, wściekła, Alice, która czekała w restauracji, aż skończę rozmawiać z Enolą, Alice na randce ze mną, Alice beze mnie.

– Czy nie było mnie tu za każdym razem, kiedy dzwoniłaś? Czy nie odbierałem telefonu zawsze? Czy nie odbierałem nawet wtedy, kiedy dzwoniłaś o trzeciej nad ranem i żądałaś, żebym gdzieś pojechał i zajął się tobą? Czy nie byłem zawsze dla ciebie? Niosłem cię, kiedy poraniłaś się do krwi. Troszczyłem się o ciebie i czekałem na twój powrót. Nie rozumiesz, że dlatego właśnie zostałem? Myślałem, że wrócisz, ale to nigdy nie nastąpiło.

Enola nie została porzucona, ale ja tak. Mam prawo ją winić.

– Chcę zapalić ostatnie ognisko.

Odepchnęła Doyle'a i rzuciła się na kanapę. Podłoga zatrzeszczała. Wstrzymaliśmy oddech niepewni, czy wytrzyma. Udało się. Mam Enolę. Jest na mnie wściekła, prawie płacze i myśli o wszystkim, co może mi wykrzyczeć, ale ja mam. Patrzy na Doyle'a i na mnie.

– Potem z nami pojedziesz?

– Potem z wami pojadę. Dobra.

– Fajnie, fajnie – mruczy Doyle.

– Świetnie. Dzięki – mówię. Wstaję i wypróbuję kostkę. Nadal boli, na szczęście mniej niż wczoraj. – Chcę, żeby było idealne. Chcę, żebyś mi pomógł coś przynieść – zwracam się do Doyle'a.

Doyle i ja stoimy przed warsztatem Franka. Enola jest w środku z żoną Franka, ponieważ nie chciała brać udziału w przygotowaniach. Zagląda do Leah, żeby zobaczyć, jak się trzyma, i aby odwrócić jej uwagę. Kiedy weszła do środka, ja i Doyle poszliśmy pod warsztat. Podtrzymał mnie, kiedy się zachwiałem. Nie ma zastrzeżeń co do tego, co mamy zrobić.

– Rozumiem, koleś. Gość rozwalił twoją rodzinę, więc chcesz spalić kilka jego rzeczy. Absolutnie to rozumiem. W porządku.

Niespodzianka. Drzwi do warsztatu są zamknięte na dużą zardzewiałą kłódkę. Oczywiście. Czemu myślałem, że będzie otwarte?

– Potrzebuję nożyc do metalu – mamroczę.

Doyle przekrzywia głowę, zarzuca rękę za kark i strzela stawami ramienia.

– Nie – mówi. – Damy sobie radę. Zajmę się tym. Daj mi moment.

Znika na kilka minut, zostawiając mnie sam na sam z zawrotami głowy. Wraca po chwili z pustymi rękoma.

– Samochód – mówi w ramach wyjaśnienia. Najwyraźniej nie wyglądam, jakbym rozumiał, ponieważ dodaje: – Spinacz – i wyciąga srebrny spinacz z kieszeni szerokich szortów. – Zawsze mam kilka.

Zanim odpowiem, Doyle odgina spinacz, prostuje jedną jego część, a z drugiej robi spory haczyk. Najwyraźniej ma wprawę. Kuca obok zamka i zaczyna delikatnie wprowadzać prostą końcówkę spinacza do środka. Wysuwa przy tym koniec języka. Dotyka kłódki, jakby chciał wyczuć ruch. Nagle gwałtownie przekręca nadgarstek i zamek puszcza. Doyle okręca sobie spinacz na palcu i wkłada z powrotem do kieszeni.

– Nie robiłem tego od dłuższego czasu, trudno to jednak zapamiętać.

– Doyle, dlaczego wiesz, jak się to robi?

Wzrusza ramionami.

– W dzieciństwie kręciły mnie takie rzeczy. Chciałem zobaczyć, gdzie mogę się dostać. Zawsze zapominałem kluczy. Pomyślałem, że to będzie dobry pomysł i już nie będę musiał o nich pamiętać. – Otwiera drzwi.

– Kradłeś kiedykolwiek drobne z automatów telefonicznych?

Mruga i uśmiecha się szeroko, co sprawia, że wygląda czarująco.

– Niby czemu miałbym to robić?

Choć wydaje się to niemożliwe, moja siostra znalazła swój ideał.

Warsztat Franka jest zaśmiecony pustymi butelkami po piwie. Sporo ich przybyło od mojej ostatniej wizyty.

– Ja wezmę portrety, ty zajmij się kotarami.

Wpakowaliśmy wszystko na szkielet łódki, którą budował Frank. Trzeba się tego pozbyć, ponieważ wszystko, co przedstawiono w księdze, jest przesiąknięte tragedią. Te przedmioty same mnie znalazły, podobnie jak księga. Poruszam się powoli i niezgrabnie. Doyle radzi sobie z kotarami z gracją akrobaty, podskakując i ciągnąc, zarzuca je sobie na ramię.

– Straszysz Enolę – mówi, wrzucając zwój tkaniny na łódkę.

– Nie celowo.

– No, wiem. Ale po prostu nic już z tego nie rozumiem. Trochę się o nią martwię, jasne? Mówiła, jakbyście byli naprawdę blisko. Myślałem, że jeśli tu przyjdzie i się z tobą zobaczy, to się jej poprawi, ale nie jesteście aż tak zżyci

i z tobą też nie jest za dobrze. Tylko się jej pogarsza.

– Pogarsza? – Układam obrazy jeden na drugim, brodata twarz na brodatej twarzy, poważne i nieco słowiańskie.

– Widziałeś – mówi. – Ona nie robi takich rzeczy, nie dzieciakom. Czasem drażni się z ludźmi, którzy ewidentnie są dupkami, ale nigdy nie zrobiła czegoś takiego dzieciom. Nigdy wcześniej nie słyszałem, żeby tak mówiła.

Mówię mu, żeby się nie martwił, ponieważ tylko tyle mogę dla niego zrobić. Nie jestem pewien, czy udałoby mi się wyjaśnić, jak spalenie kilku przedmiotów może polepszyć sytuację. Sam nie wiem, czy nie jest to tylko płonna nadzieja.

– Weźmy to wszystko na plażę. Enola może tego nie pamiętać, ale uwielbia ogniska. Dobrze robią duszy.

Doyle znosi rzeczy na plażę. Układamy je na lekkim wzniesieniu, aby uniemożliwić skrzypłoczom wspięcie się na nie. Patrzymy w dół na chroboczącą masę.

– Nie martw się – mówi. – Znajdę jakieś drewno i coś na rozpałkę. Zobaczą, co mi się uda z tego zrobić. A ty idź po Enolę.

– Dzięki.

– Pospiesz się, w powietrzu pachnie burzą. – Nachyla się nad grodzia i wyciąga wyrzucone przez morze drewno, które tkwiło między deskami i palami. Elektryczny Chłopak potrafi nie tylko żonglować żarówkami, ale też otwierać zamki i wyczuwać pioruny. Wzbiera we mnie śmiech.

Enola jest przeszczęśliwa, kiedy przybywam z odsieczą. Frank opowiedział żonie wszystko, poczynawszy od tego, jak mama wróżyła mu z dłoni, skończywszy na tym, jak przynosiła mu kawę każdego ranka. No i oczywiście wspomniał o domu.

Kiedy Leah otworzyła drzwi, poszarzała na twarzy na mój widok i myślałem przez chwilę, że zwymiotuje. Mnie również zebrało się na mdłości.

– Przepraszam.

– Za co? Nic nie zrobiłeś.

– W porządku u ciebie? – pytam, bo chyba powinienem.

Śmieje się głośno.

– Poradzę sobie. Mogłabym odebrać mu wszystko, wiesz. Mogłabym wykopać go z domu. Ale w tym momencie, w tym momencie chcę się przekonać, w jakim stanie będą jego plecy po tygodniu spania w warsztacie. Później... Sama nie wiem. Nikt nie kocha tak jak ktoś, kto jest skruszony. – Uśmiecha się, ale jej spojrzenie jest harde. – Zobaczymy.

Przez chwilę wyobrażam sobie proste plecy Alice przy mieleniu kawy i Franka zwiniętego na dnie łódki w warsztacie. Za plecami Leah pojawia się moja siostra i zostawiamy Leah samą.

– Spędziła noc i poranek, pijąc wino. I nie mam na myśli jednej butelki. Wypiła

całe ich wino. Dziwię się, że jeszcze żyje.

– Frank jej chyba trochę w tym pomógł, cały warsztat zawalony butelkami. Czy jest tam Alice?

– Nie.

– To dobrze.

– To jest do kitu – mówi łagodnie Enola. – Kochałam ich. Nie mów, że nigdy nie chciałeś być ich dzieckiem, choćby tylko trochę.

– Jasne – potwierdzam. – Co jakiś czas. Nie dało się tego uniknąć. Z drugiej strony, gdyby nie Frank, może nie byłoby nam aż tak źle. Leah sobie poradzi.

– Jest twarda. Znalazłeś, czego szukałeś?

Przytakuję.

– Doyle otworzył zamek wytrychem ze spinacza. Wiesz, że twój chłopak jest złodziejem?

– Każdy z nas musi kimś być – odpowiada.

Zapadł zmierzch i wygląda na to, że Doyle miał rację, chmury burzowe nadciągają z zachodu. Musimy się brać do dzieła. Mówię Enoli, że spotkamy się na plaży, bo muszę podejść jeszcze po coś do domu. Schodzenie po drabince na plażę z księgą i płynem do zapalniczek nie jest łatwe. Łatwiej byłoby wszystko zrzucić, ale wtedy skrzyplocze natychmiast oblażyłyby księgę. Zmoczyłyby ją i przez to nie dałaby się łatwo spalić. A może po prostu chcę mieć ją przy sobie jeszcze przez chwilę, ten ostatni kawałek naszej wspólnej historii. Kiedy znajdziesz książkę, którą pokochasz, zawsze będziesz pamiętał uczucie, jakie w tobie wywoływała, jej wagę i to, jak leżała w twojej dłoni. Mój kciuk zna dotyk skóry na okładce tej księgi, suchy pył próchna, które zakradło się do jej grzbietu, każdą stronę, na której kryją się tajemnice lub rysunki Peabody’ego. Bibliotekarz pamięta konkretny zapach kleju i kurzu, a jeśli miał szczęście – ja miałem – to i pergaminu, delikatniejszy niż miazgi drzewnej czy bawełnianej. Moglibyśmy zakopać się pod książkami, aż ciało i papier, atrament i krew staną się jednym. Może moje dłonie zaciskają się za mocno na grzbiecie tej księgi? Nigdy mogę już nie mieć okazji, aby trzymać egzemplarz tak stary lub taki, który by do mnie tak mocno przemawiał.

Na plaży czeka moja siostra. Nie ma jej w moich książkach, a kto wolałby słowa już napisane od tych, które dopiero mają zaistnieć? Kiedy niosłem ją z rozoranymi przez skały nogami, część jej przeniknęła do mnie. Kim bym był, gdybym nie potrafił rozstać się z tym pięknym przedmiotem kosztem osoby, której obiecałem opiekę? Powiedziałem „zawsze”. Nawet gdyby to miało być dla mnie bolesne.

Zakopuję zdrową stopę głęboko w piasku, aby złapać równowagę.

Doyle na stercie portretów i kotar ustawił wigwam z drewna wyrzuconego na plażę. Enola wtyka między deski suchą trawę. Dziękuję Doyle’owi, a on wzrusza ramionami.

– Nie wiem, czy to się zapali. Łańcuchy od kotar dałem na spód. Mam nadzieję, że odizolują wilgotny piasek.

Potrząsam butelką z płynem do zapalniczek.

– Na szczęście to nie będzie problem.

Oczy Doyle’a błyszczą. Skrzyplące mrowią się wokół nas. Enola kopie je, klnąc. Tak, pamiętam, jak wchodziłem do wody, a one się po mnie wspinały. Było to odczucie, jakby ktoś podrapał mnie tam, gdzie swędziało. Pamiętam też, że siedziała na brzegu z kolanami pod brodą, przerażona.

Sprawię, że będzie lepiej.

Oblewam drewno i kotary, wyciskając z butelki ostatnią kroplę. Opary są tak gęste, że nawet skrzyplące się odsuwają, tworząc krąg wokół nas. Wyrzynam stronę, umieszczam księgę na stosie między tkaniną a kłodami. Ta strona jest zniszczona – brązowe i niebieskie smugi nie do odczytania nie wyjawiają zapisanych na niej imion. Zwijam ją mocno i przykładam do niej zapalniczkę Enoli.

Wystarczy, że przyłożyłem płonący papier do kotar. Ściana gorąca napiera, stos staje się jaskrawym chemicznym spektaklem w technikolorze. Brwi i rzęsy zaczynają się mi tlić i padam. Enola z Doyle’em odciągają mnie za ramiona od szalejącego inferno. Unosi się odstręczający zapach – dym i zgnilizna wymieszane razem. Przypalone włoski i brzydki pachnąca sadza pokrywają moje ramiona.

– A niech to! – krzyczy Enola. Powtarza to jak mantrę. Aniechtoaniechtoaniechto. Wkrótce zaczyna się śmiać. Chemikalia się wypalają i ogień zaczyna płonąć równo, kiedy kłody zajmują się na dobre. Patrzę, jak klątwa obraca się w pył.

Skrzyplące odsuwają się od ognia, wracając do wody, Doyle i Enola siedzą na piasku koło mnie. Wygląda to jak jedno z ognisk rozpalonych przez Franka i tatę. Gdybym się nachylił w drugą stronę, dojrzałbym Alice i jej piegi oświetlane przez migoczące płomienie. Jeśli spojrziałbym na wodę, zobaczyłbym, jak mama pływa lub mnie woła. *Simonie*.

– Spaliłeś księgę – stwierdziła Enola.

Na chwilę przytknęła czoło do mojego ramienia. Ten delikatny nacisk to jej podziękowanie. Zawsze miała problemy ze słowami.

– Spaliłem wszystko. Zaplątałem się w to, bo straciłem pracę.

– Dobrze. Lepiej ci?

– Tak.

Boli mnie kostka i głowa, mam przekrwione oczy i skręcone wnętrzności, bo spaliłem bezcenną księgę i niemal sam zająłem się ogniem. Czuję się nadspodziewanie dobrze.

Patrzemy, jak płomień pożera resztki kotar, pozostawiając jedynie łańcuchy – jarzące się węże na piasku. Wiatr unosi iskry w kierunku wody. Spopielone pozostałości po zapiskach Peabody’ego. Doyle węszy. Powietrze przecina niebieska

błyskawica, rozlega się grzmot. Zaczyna padać.

Wóz najechał na kamień. Peabody spadł z krzesła, papiery rozsypały się po podłodze. Jako zarządca trupy nie powoził, aby czas podróży wykorzystywać na prowadzenie ksiąg, obmyślanie szlaków i poszczególnych przedstawień. Musiał jednak przez to znosić nieostrożną rękę Nata. Poprzedniego dnia siłacz najechał na spory korzeń, przez co atrament wylał się na jedyną poduszkę, która nie poszła na wystrój wozu Les Ferezów.

Peabody zmierzał ku wyrafinowaniu. Aby zobaczyć postęp, wystarczyło spojrzeć na Amosa – od dzikusa do mistyka i eleganta ze śliczną żoną – godna podziwu przemiana. Następnym krokiem będzie zakończenie podróży. Peabody skubał koniec mewiego pióra. Te ptaki były okropne, ale ich pióra – znakomite: twarde, a jednocześnie wystarczająco giętkie, by nimi szkicować. Stosunek dni spędzonych w poszczególnych miasteczkach do dni w drodze był przygnębiający. Brakowało mu jednak funduszy na coś choćby zbliżonego do areny, na której zaczynał swoją karierę artysty. Łodzie, zastanawiał się. Gdyby kupił łódź, mogliby pływać z miasteczka do miasteczka, przedstawienia dawać na łądzie, a nocą spać na pokładzie. Wóz znów podskoczył na jakiejś nierówności. Łódź oznaczałaby koniec problemów z nieprzejezdnymi drogami i koniec z nieuważną jazdą Nata.

Peabody wrócił do lektury. Czytał list od syna. Zachary znał szlaki, po których przemieszczał się ojciec, i wysyłał listy do miasteczek, w których trupa się zatrzymywała. W pensjonacie w Tanner's Ferry jego listy czekały od kilku miesięcy. Ten list nadszedł z Filadelfii. Lipiec 1798. Peabody się skrzywił. Gdyby wiedział, że Zachary był w Filadelfii, ominąłby New Castle choćby po to tylko, aby znów zobaczyć swojego chłopca. Mężczyznę, poprawił się w myślach. Zachary nie był chłopcem, którego uczył sztuczek. Był dorosły.

Najdroższy Ojcze,

Jestem pewien, że list ten zastanie Cię w dobrym zdrowiu w Tanner's Ferry i że w mieście kupiłeś impregnowane płótno. Pamiętam, że twój wóz zwykł przeciekać. Proszę, zadbaj o siebie. Nie jesteś już młody.

Znalazłem zatrudnienie u wspaniałego człowieka, pana Johna Billa Rickettsa, i nie mogę się oprzeć wrażeniu, że tobie również jego towarzystwo przypadłoby do gustu. To bardzo żwawy osobnik i najbardziej utalentowany jeździec, jakiego dane mi było spotkać. Ojcze, na własne oczy widziałem, że odtańczył hornpipe na grzbiecie konia. Może go znasz? Mr. Ricketts mówi, że uczył się u Jonesów w Londynie.

Chociaż wiem, że trzymałeś się z Astleyem, nasz świątek nie jest wcale taki duży.

Rozrywki, które oferuje Mr. Ricketts, są niemal nie do wyobrażenia. Ma dwie areny w Filadelfii i w Nowym Jorku z właściwym cyrkiem do wołyżerki i sceną, na której odbywają się występy między właściwymi przedstawieniami. Człowiek o nazwisku Spinacuta – milczący typ – został moim nauczycielem. Mr. Spinacuta występuje na napiętej linie. W tym, co robi, dorównuje swoimi umiejętnościami Mr. Rickettsowi. Ojciec, widziałem, jak na linie odtoczył szkocki reel z koszykiem przywiązany do stóp!

Jestem zatrudniony w jednym z przerywników, w scenie komicznej, która wymaga ode mnie robienia fikołków podczas bycia zawiązanym w worku po mące. Nie jestem jeszcze tak dobry jak mój nauczyciel. Jeśli tylko nie połamię sobie rąk, jestem pewien, że będę coraz lepszy.

Mr. Ricketts świetnie nadaje się również do tego, aby uczyć się od niego zarządzania. Jestem święcie przekonany, że Tobie brakuje jedynie odpowiedniego rozmachu i własnej areny. Myślę również, że Mr. Ricketts mógłby sporo skorzystać z twojej wiedzy. Jest elokwentny, ale nie jest ani w połowie tak dobrym mówcą jak ty. Chociaż jest pewny siebie i uzdolniony, gdyby przydarzył mu się upadek, jego przedsięwzięcie by nie przetrwało. Słusznie postąpiłeś, zostawiając występy innym, skoro masz talent do zarządzania.

Nie mogę powiedzieć, że zasmuciło mnie odejście madame Ryzkowej. Choć jestem pewien, że musisz być niepokieszony z powodu utraty jej zarobku, muszę przyznać, że była ona przerażająca. Choć zabrzmiało głupio, jestem przekonany, że zabiła małą żabkę, którą kiedyś trzymałem. Nie opłakuj straty madame Ryzkowej.

Kończę ten list, ponieważ Mr. Spinacuta przypomina, że czas na próbę – niekończące się próby. Będę pod tym adresem aż do jesieni, kiedy przeniesiemy się do Nowego Jorku, do drugiej areny Mr. Rickettsa. Wynajmę pokój w pensjonacie Larstena ze względu na miłe wspomnienia naszego wspólnego pobytu.

—

Bądź zdrów, Ojciec.

Twój kochający syn

Zachary

Peabody ostrożnie włożył list do wewnętrznej kieszeni marynarki. Tęsknił za synem, ale czuł ukłucie zazdrości. Gdyby nie upadł u Astleya, mógłby być kimś takim jak Ricketts. Zwracając baczną uwagę na telepanie wozu, zanurzył pióro w atramencie i zaczął szkicować: najpierw krzywizna, kilka wypukłości, następnie linia prosta. Minęła chwila, zanim sobie uświadomił, że było to stworzenie, które Benno wyciągnął z martwej rzeki. Mógłby z łatwością nazwać je Diabłem Morskim i pokazywać za pieniądze. Zastanawiał się nad tym przez chwilę, ale porzucił tę

myśl. Wciąż towarzyszył mu obraz ryb zdychających na brzegu rzeki. Niepokojąca sprawa.

Podmuchał na szkic, aby atrament szybciej wysechł. Świat się zmieniał. Na szczęście on doskonale sobie radził z wymyślaniem wszystkiego od nowa. Nowy potencjał, myślał. Nowości czynią nas na powrót młodymi. Pomysł z Les Ferezami naprawdę się udał. Znalazł puste miejsce i zaczął szkicować wymyślny pojazd wodny, pełen pomieszczeń i scen, elegancki, ale równocześnie dość lekki, aby unosić się na płytkiej rzece.

Podczas gdy Peabody szkicował i snuł marzenia, wozy toczyły się po krętej drodze wzdłuż Catawba. Osie jęczały i ugiwały się, drzwi wozów pęczniały i zacinały się – niespotykana wilgoć spadła na karawanę, przemieszczającą się na oślepie we mgle.

O burzach nad Napawset nie da się powiedzieć wiele. Nigdy nie są małe, zawsze są niebezpieczne i spektakl, jaki mogłyby stanowić dla duszy, przesłania lęk przed śmiercią przez zatopienie lub pod zwalonym drzewem.

Klnąc i stękając, wspięliśmy się po schodach smagani strugami deszczu. Woda bije w klif, miażdżąc trawę i spływając na plażę. Enola ciągnie mnie za rękę, Doyle biegnie za nami.

– Świetna sprawa, gościu. Świetna – kracze.

Taka ulewa oznacza, że Hull Road jest zalana, zakręt przy szkole lada moment stanie się nieprzejezdny i każdy, kto nie opuścił jeszcze portu, jest w nim uwięziony. Jeśli nawet podjąłby próbę wyjechania stąd, zostanie zatrzymany przez skupisko samochodów na Main Street. Wbiegamy do domu.

– Możemy tutaj przeczekać – mówię.

Enola znika w kuchni.

– Gdzie trzymasz świece sztormowe?

– W szafce nad lodówką. – Moje słowa giną w głośnym pomruku. Doyle i ja patrzymy do góry. Enola wygląda z kuchni. Ciemny owal na suficie w salonie wystaje niczym ciężowy brzuch, ściekają z niego krople wody.

– Cholera – jęczy Enola.

Sekundę później potok deszczówki uderzył o podłogę z taką siłą, że wszyscy podskoczyliśmy. Zaraz potem rozpoczął się taniec z garnkami, rondlami, miskami, wiadrami od mopa – wszystkie od tak dawna nieużywane, że zapomniałem o ich istnieniu. Opróżnialiśmy te, które zdążyły się zapełnić, i z obawą oczekiwaliśmy nowych przecieków. Trwało to jakąś godzinę, aż skóra na naszych dłoniach się pomarszczyła, a włosy stały się zupełnie mokre. W końcu Enola spojrzała na mnie.

– Nie możemy tu zostać. Sufit zaraz zleci nam na głowę. Simonie, czas się zbierać.

W przeszłości mogłem pójść do McAvoyów i poprosić, żeby przenocowali mnie na kanapie, teraz to wykluczone. Pojechałbym do biblioteki, ale nie mam już kluczy. Znalezienie pokoju w porcie nie wchodzi w rachubę.

– Wracajmy do Rose'a – proponuje Doyle, dotykając ramienia Enoli, która

szarpie się, jakby coś ją ukłuło.

Potrząsa głową.

– Nie dojedziemy, jeśli Hull zalało.

Dach zaczyna trzeszczeć nie na żarty.

– Zabieraj swoje rzeczy i wsiadaj do samochodu – decyduję. – Wiem, dokąd możemy pojechać.

Mam przynajmniej taką nadzieję.

Doyle i Enola wychodzą. Łapię notes i książki ukradzione z biblioteki, szukam w szafie torby na to wszystko. Nadal wisi w niej płaszcz mamy. Pamiętam, jak wpatrywałem się w jego ciemnobrązową wełnę, kiedy ona zapinała mi sztywny czerwony kombinezon. Płakałem, było mi za gorąco i za ciasno, kolor mi się nie podobał – wolałem niebieski. Mama wyciągnęła wtedy z kieszeni zmięty kawałek papierowego ręcznika i niedelikatnie wytarła mi nos. Wcisnęła na moją głowę drapiącą czapkę. „Nie możemy dopuścić do tego, żebyś zamarznął. Jeśli będziesz płakał, przymarzną ci powieki”. Niemal pamiętam jej twarz. Płaszcz ojca wisi obok, pierś w pierś.

Zamykam drzwi i słyszę za sobą głośnie plaśnięcie. Nie patrz – to wszystko nie zniknie. Teraz musimy wyjechać.

Enola i Doyle czekają w samochodzie. Moja siostra włożyła ciemnobłękową bluzę z kapturem, ręce wbiła w kieszenie. Doyle siedzi z tyłu, obok niego leży torba. Pytam, co w niej jest.

– Moje rzeczy, żarówki. Nie mogę wyjść z wprawy.

– Dokąd jedziemy? – pyta Enola.

– Do Alice.

Oboje gwiżdżą.

– Myślisz, że Frank jej powiedział?

– Nie wiem. Mam nadzieję, że nie.

Droga do Woodland Heights jest trudna i męcząca. Ulice są zawałone gałęziami, przez okno nie da się dojrzeć niczego oprócz deszczu. Milczymy. Wreszcie stajemy przed mieszkaniem Alice.

– Możemy się przespać w samochodzie – proponuje Enola. Patrzy na światła w mieszkaniach, na zadbane balkoniki, szklane drzwi. Nie potrafię sobie wyobrazić, jakie uczucia to w niej budzi.

– Jeśli pójdziecie ze mną, są większe szanse, że mnie wpuści. – Alice może mnie odprawić, jeśli pomyśli, że coś kombinuję. Czy ja coś kombinuję? Nie wyrzuci trzech osób w taką pogodę.

Nie otwiera, kiedy naciskam dzwonek. Czekamy kilka minut, deszcz nasącza nasze ubrania. Doyle kiwa się na piętach, macki na jego skórze wyglądają, jakby się wiły.

– Nie ma jej – wzdycha Enola.

– Może nie otwiera, no bo wiecie... – Doyle wzrusza ramionami. – Dziwny gość z tatuażami dzwoniący w środku nocy. Nie mam nic przeciwko siedzeniu w samochodzie. Jestem do tego przyzwyczajony.

– Ona nie jest taka – protestuje Enola.

– Poczekajcie, po prostu poczekajcie. – Pukam, tym razem używając całego przedramienia. Dźwięk odsuwanej zasuwki, otwieranego zamka.

Alice uchyla drzwi. Zapuchnięte oczy, czerwony nos, twarz cała w plamach od płaczu. Frank powiedział jej wszystko. Przykro mi i żałuję, że do niej przyjechaliśmy. Najgorsze jest to, że ona wygląda ładnie, nawet kiedy płacze.

– Simon? Co ty tutaj robisz?

Opowiadam jej o tym, że dach przecieka i że nie mamy się gdzie podziać. Otwiera drzwi szerzej, ukazując znoszony niebieski szlafrok, piżamę i okropne szare skarpetki z dziurą na palcu. Patrzy na Enolę i Doyle'a. Doyle wykręca sobie palce. Enola wydusza z siebie słowa powitania.

– Zrobię kawę – decyduje Alice.

– Nie musisz.

– Muszę coś zrobić. Zrobię kawę. Taka jestem.

Wchodzimy. Alice prosi, żebyśmy ściągnęli buty. Zrzucamy je na kupę, podeszwa do podeszwy, piasek zmieszany z cyrkowym kurzem. Czy ściągnąłem je podczas mojej ostatniej wizyty? Mimo że byłem u Alice wiele razy, nie pamiętam jej mieszkania – pamiętam tylko ją: opartą o blat, opadającą na łóżko. I to, że jest chyba jedyną osobą na świecie, która wygląda dobrze oświetlona światłem z lodówki.

Doyle i Enola pakują się na przeładowaną poduszkami sofę, przytulając się do siebie brązowe ptaki. Mieszkanie w odcieniach brązu i brzoskwini sprawia, że stają się mniej wyraziści. Siadam na fotelu obok.

– Miłe mieszkanie – chwali Enola.

– Niezłe – zgadza się Doyle.

– Jeśli lubi się takie rzeczy.

– Nie jestem dobry w płaceniu czynszu.

– Ani ja.

– Lubię dom na kółkach.

– Tak – zgadza się Enola. – Ja też.

Wraca Alice z trzema kubkami kawy na białej tacy. Jej ramiona są zgarbione, jakby została złamana. Stawia tacę na stoliku, siada na brzoskwiniowym krześle i podwija pod siebie nogi.

– Możecie tutaj przeczekać, aż drogi staną się przejezdne, ale nie możecie zostać na noc – wyjaśnia. – Potrzebuję dziś trochę przestrzeni, okej? Nie przez ciebie,

Simonie.

– Rozmawiałaś ze swoim tatą? – pytam.

– Pieprzyć go – przeklina. Wpatruje się w jakiś niewidzialny punkt nad moim ramieniem. – Jest jak rana, która nie przestaje krwawić. Teraz, kiedy to wszystko wyszło na jaw, nie chce się zamknąć. Przez wszystkie te lata siedział cicho, teraz musi powiedzieć nam wszystko. Samolubny drań. – Głos się jej łamie. Alice pociąga nosem, przełyka ślinę. – Dlaczego, do diabła, ludzie nie mogą zrozumieć, że są takie rzeczy, o których się nie mówi? Zachowuje się je dla siebie, aby nie ranić innych tak bardzo. Poczucie winy ma być karą!

Dobiega do mnie ciche szuranie – Enola znów tasuje karty. Doyle małymi łydkami pije kawę. Trzyma kubek tak, jakby to była najdelikatniejsza porcelana.

– Przykro mi – szepczę.

– Nie, to mnie jest przykro. Przykro mi, że mój ojciec rozpieprzył twoją rodzinę i moją też. – Jej podbródek zaczyna się marszczyć, pojawiają się na nim małe zagłębienia.

– Hej. – Tylko na tyle mnie stać, bo ciężko jest mi znaleźć odpowiednie słowa.

Wpatruję się w swoją kawę, a raczej w nienadające się do picia błoto. Doyle'owi udało się pochłonąć cały kubek. Nie chcemy sprawić Alice przykrości i nie wypić tego, czym nas poczęstowała.

– Przyniosłem książki, które pożyczyłem. – Wyciągam je i przesuwam po blacie stolika w stronę jej krzesła. – Przepraszam, że narobiłem ci kłopotów.

– Och, nic nie szkodzi. Kupferman to idiotka. Dostała świra na punkcie niszczenia materiałów i kazała Marci przekładać książki na półkach przez trzy tygodnie, ponieważ przyłapała ją na picciu coli poza pokojem socjalnym.

– Nie.

– Naprawdę. – Alice pociąga nosem i pociera końcówki włosów między palcami.

Przypominam sobie, jak wysysałem słoną wodę z jej warkoczy.

– Dlaczego je wzięłaś?

– Jedną z nich czytała mi mama. – Wzruszam ramionami. – Nigdy nie kochałaś czegoś tak bardzo, że zaczęło ci się wydawać, że jest twoje?

– Dobrze mieć coś swojego. Zatrzymaj je. – Zamyka oczy i obejmuje ramionami kolana.

Zaczynam się zastanawiać, czy naprawdę rozmawiamy o książkach. Alice pociąga nosem, milczy. Cisza rozkwita. Enola łapie moje spojrzenie. Powinniśmy iść. Odstawiam kubek.

– Dam wam swoje klucze od biblioteki – mówi Alice niespodziewanie.

– Proszę?

Pociera oczy i wstaje.

– Nie możecie wrócić do domu z wielu powodów. Pożyczę ci klucze. Idźcie się

przespać do biblioteki. – Wychodzi do sypialni. Tam wisi mobil z pancerzem skrzyplóca. Alice nie ma pojęcia, czemu tak lubi tego skorupiaka, chyba że to również Frank jej powiedział.

– Jest pijana – stwierdza Enola.

– To możliwe – mówię. – Ma usprawiedliwienie.

Alice wraca, opierając się o ścianę. Tak, jest wstawiona. To dobrze dla ciebie, Alice. Że też sam o tym nie pomyślałem.

– Miałam ci coś powiedzieć. Co to było? – Macha kluczami w moim kierunku i rzuca mi je. – Kod jest taki sam. Kupferman mówi, że go zmieni. Jeszcze się do tego nie zabrała.

– Dzięki.

Zbieramy się. Burza nadal szaleje, deszcz stuka o okna i drzwi.

– Och. Och. – Alice szczypie się w koniuszek nosa. Mówi bardzo szybko: – Dzwoniła Liz Reed z North Isle. Powiedziała, że próbowała się z tobą skontaktować, ale masz wyłączony telefon. – Bierze oddech. – Potwierdziła wypadek, którego szukasz. Wysłała ci na pocztę. Jak, do cholery, brzmiała ta nazwa? Coś dziwnego. Peabody & Sons. Morskie Rozrywki. – Wykrzywia się. – Czy ta nazwa ci się z czymś kojarzy?

– Tak, oj, tak.

– A niech to. Liz Reed. Uruchomiłeś swoje znajomości. Powiedziała też, że Raina znalazła dla ciebie coś o Mullinsach.

– Naprawdę?

– Tak. Ostatnim znanym potomkiem jest jakiś gość ze Środkowego Zachodu. Churchwarry. – Słyszę ją, jakby była w innym pokoju. – Zaraz. To ten gość, prawda?

– No – odpowiadam.

Churchwarry to Ryżkow. W jednym momencie tysiące myśli rodzą się i umierają. Może Alice coś źle zrozumiała – jest zmęczona, zagubiona. Muszę porozmawiać z Rainą, żeby się upewnić. Nie wiem, co się dzieje w następnych sekundach. Dlaczego Enola i Doyle stoją w deszczu przy samochodzie? Czemu stoję z Alice sam na progu jej mieszkania? Alice pochyla się i włosy opadają jej na czoło. Odgarnia je.

– Przepraszam. Przepraszam, że nie pozwoliłam ci zostać. Jestem naprawdę brzydka w tym momencie, trochę pijana i potrzebuję posiedzieć w samotności. Patrzę na ciebie i...

– I widzisz moją matkę.

– To minie. Potrzebuję czasu. Gniew musi się ulotnić.

– To nie twoja wina. Wszystko przeze mnie.

Ludzie często wypowiadają podobne słowa tylko po to, aby kogoś pocieszyć, ale

w tym wypadku mówię prawdę. Gdyby nie ja, jej ojciec nigdy by jej tego nie powiedział.

– W porządku. Rano i tak wyglądam okropnie.

Alice uśmiecha się słabo.

– Nieprawda. Znam każdą z twoich twarzy. Wrzuć klucze do skrzynki na książki, kiedy będziecie wychodzić, dobrze? Poproszę Marci, żeby mnie jutro wpuściła.

Mógłbym się po prostu nachylić – przelotny pocałunek, nic wielkiego – ale to byłoby nie w porządku. Alice przeciera twarz, dotykam jej ręki. Niespodziewanie zaczynamy się przytulać. Ona jest w środku, ja na zewnątrz, mimo to jest nam dobrze. Powinniśmy tak trwać, bardzo bym tego chciał. Mógłbym coś powiedzieć, ale jej policzek leży na moim ramieniu i czuję, że jej ciało drży, bo ona znów płacze. Jej usta ocierają się o moją szyję, delikatnie i niezręcznie. Po chwili Alice się odsuwa.

– W porządku – mruczy.

– W porządku.

Patrzy, jak idę do samochodu w strugach deszczu. Widzę ją nawet przez szybę zalaną wodą. Stoi w drzwiach, dopóki nie odjedziemy.

– A niech mnie – szepcze Enola. – Alice McAvoy jest w tobie zakochana.

Mam nadzieję. Jedziemy bocznymi uliczkami, omijając kałuże i powalone gałęzie.

– Zatrzymaj się i daj mi poprowadzić – prosi Enola, kładąc dłoń na moim ramieniu.

– Nie.

Hemlock Lane jest zalana, na trawnikach przed domkami letniskowymi mógłby powstać port. Ostry skręt w lewo i wjeżdżamy na wzgórze drogą w kierunku klasztoru, gdzie bracia wnoszą modły – takie, jakie się wznosi podczas sztormu. Churchwarry jest potomkiem Ryżkowej. Księża znalazła nie mnie, ale jego, z kolei on dotarł do mnie.

– Musiał wiedzieć.

– Musiał wiedzieć co? – wtrąca się Enola.

– Nic.

– Gość od książki?

– No. Jest spokrewniony z osobą, której karty wydarłaś z księgi.

– Gówna prawda – protestuje Enola bez przekonania.

Nie mam siły na wyjaśnienia. Sądziłem, że na końcu tych poszukiwań dotrzemy do Franka, że to jego rodzina przekazywała sobie z pokolenia na pokolenie portrety Ryżkowej i że moja matka, dając mu karty, miała poczucie jakiejś poetyckiej symetrii. Nic nie jest takie proste.

– Może miałaś rację. Może on faktycznie czegoś ode mnie chce. Niech umrę,

jeśli wiem czego.

Droga wiję się serpentynami – ukłon w kierunku Roberta Mosesa. Torba Doyle’a ślizga się po siedzeniu i obija o drzwi.

– Może chciał po prostu was poznać. – Doyle włącza się do dialogu. – Macie w sobie coś takiego, co przyciąga ludzi.

Zerkam na niego w lusterku wstecznym.

– Co masz na myśli?

– Słyszałem o was wcześniej, zanim zjawiłem się w cyrku Rose’a. Przez jakiś czas nie wiedziałem, że to chodzi o was. Później Enola coś powiedziała, zobaczyłem, jak pływasz, i zaskoczyło. Wasza mama omotała waszego tatę i pana McAvoya. – Doyle wymawia nazwisko Franka z dziwnym szacunkiem. Kaszle. – No i ja. Enola mnie wybebeszyła, wiesz? Thom jest w niej niemal zakochany. Po prostu macie w sobie coś.

Enola uderza dłonią w siedzenie i piszczy:

– Wybebeszyłam cię?

– Co dokładnie słyszałeś i od kogo? – pytam.

Doyle kładzie ramię na oparciu tylnego siedzenia i zaczyna bębnić w nie palcami. Każde uderzenie krzesze małą iskrę.

– Pracowałem przez jakiś czas w wesołym miasteczku, które podróżowało po obu Karolinach. Był tam pewien skoczek, naprawdę fajny. Dave. Trzymaliśmy się razem. Lubił opowiadać stare cyrkowe historie. Opowiedział mi też o rodzinie, której członkowie twierdzili, że są syrenami, ponieważ mogli wytrzymać pod wodą całą wieczność. W końcu jednak wszyscy tonęli. – Wzrusza ramionami. – W jego ustach brzmiało to tak, jakbyście byli przynajmniej Latającymi Wallendami czy coś. Długa historia, tragedia. Ciężka sprawa.

– Dlaczego, do cholery, nic mi nie powiedziałaś? – klnie Enola. – Nie wydaje ci się, że powinieneś?

Światła samochodu padają na coś przebiegającego drogę. Coś dużego. Nie ma pobocza, na które mógłbym zjechać: z jednej strony dolina, z drugiej wzgórze. Naciskam na hamulec. Błysk źrenic. Sarna. Koła blokują się i buksują. Cholera. Woda. Jedziemy w tył, ślizgając się. Mocno obracam kierownicę. Enola piszczy. Doyle klnie. Pas wrzyna mi się w brzuch. Kręcimy się i kręcimy, patrząc na deszcz i jaskrawe światła miasta. Głośny chrzęst z tyłu samochodu, coś wypada Enoli z ręki. Jej karty lądują na desce rozdzielczej, na podłodze, wirują w powietrzu. Koła odzyskują przyczepność, hamulce zaskakują, stajemy ze zgrzytem opon.

Dyszenie. Przekleństwa. Szepty:

– Wszystko dobrze? Nic się nie stało? Cholera. W porządku. Wszystko w porządku. Jesteśmy cali.

Pozwalam, aby samochód delikatnie toczył się przez całą drogę ze wzgórze. Na

drodze nie ma nikogo, nawet sarny. Zatrzymujemy się, kiedy pojawia się pobocze. Tylne siedzenie jest całe w potłuczonych żarówkach Doyle'a. Zmiotliśmy je na kupkę, a Enola zbierała swoje karty. Coś przylgnęło do przedniej szyby od wewnątrz, przykleiło się mocno. Winna jest woda, która dostała się do środka. Karta. Odklejam ją paznokciem kciuka. Ciemne tło, być może nawet czarne – trudno powiedzieć. Wysoka budowla. Błyskawica. Znam tę kartę. Jest zdecydowanie bardziej zużyta, ale to dokładnie ten sam obrazek, który widziałem w księdze. Nie jest to talia marsylska. Nie jest to talia Waite'a. Przesuwam palcem po rysunku skał.

– Oddaj mi to – warczy Enola i wrywa mi z ręki Wieżę.

Miasteczko Charlotte spowijał gryzący dym z palącego się mchu i spróchniałego drewna. Chociaż miało się stać miejscem, w którym kwitną handel i przemysł, było właściwie wioską usytuowaną między dwiema ulicami – Tryon i Trade. Na ich skrzyżowaniu wzniesiono ratusz – imponującą budowlę ustawioną na ośmiu ceglanych słupach o wysokości trzech metrów. Poniżej rozciągał się targ otoczony niskim kamiennym murem. Mieszkańcy byli uparci, udało się im przetrwać wojnę, ale o niej nie zapomnieli.

– Buraki – mówił o nich Peabody. Ponieważ spodziewał się kosmopolitycznego miasta, był bardzo zawiedziony rozmiarami i niereprezentacyjnym wyglądem Charlotte. – Serce przemysłu – mówił. – Najlepsze umysły Południa pochodzą z Charlotte – dodawał. – I tak wylądowaliśmy w dziurze zabitej dechami. Zapamiętaj moje słowa, Amosie, nie należy dawać wiary wieściom zasłyszonym w tawernach w New Castle. Powinniśmy byli pojechać do Charlestonu. Taka strata czasu – mamrotał, uderzając rękawiczką w deski swojego wozu.

– Musimy wykorzystać to najlepiej, jak się da – zwrócił się do członków swojej trupy przy porannym ognisku. – Kultura stanowi balsam dla duszy. To miasteczko, moi przyjaciele – powiedział, wygładzając płaszcz – to miasteczko dramatycznie potrzebuje zastrzyku kultury, który my możemy mu dać. – Obwieścił, że Amos i Evangeline mają być wcieleniem wykształcenia oraz wyrafinowania. – Moje dzieci, jesteście światłem świata. Bądźcie pewni, jeśli noga się wam powinie, to miasteczko tego nie dostrzeże.

Amos i Evangeline, prześladowani przez wspomnienie zdychających ryb, woleli pozostać w swoim wozie, niż zamieszkać w miasteczku, ale Peabody nie chciał nawet o tym słyszeć. *Monsieur et Madame* Les Ferez mieli zatrzymać się w pokojach nad zajazdem prowadzonym przez kapitana Cooka i jego żonę. Mieli jeść posiłki w swoich przebraniach i żyć na wysokiej stopie – tak jak to rozumiał Peabody. Zadanie zostało dobrze wykonane. Gdziekolwiek się zjawili – w sklepie z kapeluszami, u krawca czy w zajeździe – towarzyszyły im zaciekawione spojrzenia. Pod koniec dnia, kiedy zamknęli za sobą drzwi wynajętego pokoju, odetchnęli z ulgą. Kapitan Cook i jego żona przebywali akurat z wizytą w Charlestonie. Zajazd zostawili pod opieką Louisy Tyghe, jej syna i udręczonej pomocy kuchennej. Pani Tyghe pukała do nich zdecydowanie za często, a jej syn deptał Amosowi po piętach, ponieważ nigdy nie widział mężczyzny, który miałby tak upięte włosy.

– Doskonale się państwem tutaj zaopiekujemy – powiedziała pani Tyghe,

wygładzając swój nakrochmalony czerwony fartuch. – W łóżku, które znajduje się w tym pokoju, spał sam Waszyngton. Tak bardzo mu się u nas podobało, że podarował nam swój puder do włosów. Gdyby był pan w potrzebie, oferujemy panu przywilej skorzystania z pudru tego wielkiego człowieka.

Pomysł, aby używać czyjegoś pudru, wydał się Amosowi niesmaczny. Evangeline nie straciła przytomności umysłu, zaczerwieniła się z wdziękiem i podziękowała pani Tyghe, zanim zamknęła drzwi tuż przed jej nosem. Wreszcie zostali sami. Amos zaczął bardzo starannie masować bolące plecy Evangeline. Później ona rozpoczęła rytuał czesania i układania jego włosów. W końcu ułożyli się na materacu wycieńczeni duszącą uprzejmością mieszkańców miasteczka, która dziwnie do nich nie pasowała. Ona zasnęła szybko, on długo leżał z otwartymi oczami. W ciszy przyłożył ucho do jej brzucha i słuchał.

Deszcze zaczęły się podczas drugiej nocy ich pobytu w miasteczku.

Nad środkiem Charlotte osiadła drobna mgiełka. Peabody zarządził zbudowanie sceny, ale ziemia zamieniła się w błoto i podest zatonął pod własnym ciężarem. Dłonie i stopy Benna grzęzły w gliniastej czerwonej ziemi. Piłeczki wypadały Melinie z rąk. Połykanie ognia w tych warunkach okazało się niemożliwe. Cukrowy Kąsek i lama odmówiły wyjścia z wozu, więc Nat był zmuszony wynieść klaczkę na rękach. Mimo to tłumy ustawiły się przed wozem *Monsieur et Madame Les Ferez*. Wieści o przyjeździe trupy rozeszły się szybko i ściągnęły ludzi z całego hrabstwa Mecklenburg – ludzi, którzy z chęcią rozstawali się ze swoimi pieniędzmi po to, by przez moment gapić się na te wszystkie dziwy. W kolejce czekali ekspedienci, młode kobiety mdlały. No i dzieci – nigdy nie widzieli tylu dzieci naraz. Małe dziewczynki błagały, żeby dotknąć ubrania Evangeline, lub ciągnęły ją za włosy. Chłopcy byli nią zafascynowani. Nie mogli się również przestać wpatrywać w Amosa: jego falbaniasty strój tak bardzo różnił się od zwykłego męskiego ubrania. Młodzi kochankowie, stare panny, starcy – wszyscy chcieli zajrzeć w nieznanne. Przyszła również pani Tyghe i wystrój wozu zaparł jej dech.

– Och – wyszeptała. – Śmiem twierdzić, że muszą być państwo przyzwyczajeni do lepszych rzeczy niż te, które można spotkać w Charlotte.

Amos ukrył uśmiech. Pani Tyghe nie powiedziałaaby tego, gdyby zobaczyła klatkę Dzikiego Chłopca.

Wykończeni po ciężkim dniu pracy padli na łóżko bez słowa.

Podczas ich trzeciej nocy w Charlotte nastąpiło oberwanie chmury. Deszcz przyniósł błoto ze wzgórz i sadzę z dachów, skąpał miasteczko w rdzawej powodzi jego własnych odpadów. Benno i Melina nie wystawili nosa ze swoich wozów. Meixel został ze zwierzętami. Rzeka zaczęła wzbierać, zalewając Sugar i Brirar Creek i otaczając Charlotte. Jednak Peabody naciskał, żeby Les Ferezowie pracowali. Niesamowite miejsce – tak mu powiedziano. Straty należy odrabiać. Jeśli

ludzie chcą wydać pieniądze na wróżby, trzeba im to umożliwić.

Amos rozkładał karty, aż obtarł sobie palce. Evangeline mówiła, dopóki nie ochrypła. Kiedy jej głos zawiódł, Amos starał się zabawić klientów efektownym tasowaniem kart. Schował karty, których Evangeline nie powinna widzieć, zwłaszcza po tym, co się stało z rzeką. No i teraz, skoro zaczęło padać. Czwartego dnia pobytu Evangeline obudził ostry ból. Wydała bezgłośny krzyk.

Ponieważ nie wyszli ze swojego pokoju, po porannym posiłku Peabody zmusił panią Tyghe, żeby po nich poszła. Wołała ich i pukała do drzwi, aż rozbolała ją ręka. W końcu na progu zjawił się Amos. Miał potargane i nastroszone włosy, niekompletny strój i dyszał. Pani Tyghe aż krzyknęła na jego widok. Amos zasłonił sobą wejście i zaczął szukać karty. Po kilku nieudanych próbach porozumienia poddał się i wpuścił panią Tyghe. Zasłony były zaciągnięte, zawartość kufrów rozrzucona: buty, półbuty, szczotki, grzebienie. W samym sercu tego chaosu na wielkim dębowym łożu, na którym spał sam Waszyngton, Evangeline trzymała się za swój napęczniały brzuch. Pani Tyghe urodziła kilkoro dzieci – zarówno żywych, jak i martwych. Bez problemu zrozumiała zatem, o co chodzi.

– Monsieur, pańskie dziecko nadchodzi. Nie wypada, aby pan tu był. Poślę chłopca po doktora.

Mimo nalegań gospodyni Amosa nie dało się wyprosić. Siedział na podłodze obok łóżka. Kiedy sięgnął po dłoń Evangeline, ta odtrąciła jego rękę. W ciszy między skurczami słuchali nasilającego się deszczu. Burza stawała się coraz potężniejsza. Na szczęście dźwięk lejącej się wody uspokajał Evangeline, ponieważ przypominał jej o istnieniu świata zewnętrznego.

Poinformowany o zbliżających się narodzinach Peabody strzelił obcasami i zarządził, aby cała trupa poszła to uczyć w Mason's Tavern, którą jednak zamknięto z powodu podtopienia piwniczki. Zajął więc salon zajazdu Cooków, który był położony wyżej. Bielone ściany i szerokie brązowe belki sufitu sprawiały, że było to przytulne schronienie dla wędrownych artystów. Piwo lało się strumieniami, kompania pozajmowała krzesła i poduszki i przyglądała się przez okno, jak ulice zamieniają się najpierw w płynne błoto, a następnie w potoki. Czekali.

Dziecko Evangeline nie spieszyło się na spotkanie dnia.

Posłano po doktora. Syn pani Tyghe udał się w wędrowkę w dół rzeki w stronę Waxhaws, gdzie mieszkał lekarz. Dotarłszy na miejsce, zastał doktora układającego przed domem worki z piasku. Żona doktora wylewała przez okno miednice rzecznej wody. Chłopiec przekazał wiadomość.

– Synu, kobiety radziły sobie przy porodzie przez długie lata bez pomocy mężczyzn – powiedział doktor, ścierając deszcz z czoła. – Z workami z piaskiem sprawa ma się jednak inaczej. Domy potrzebują męskiej ręki. Lepiej nam pomóż.

Rzeka cały czas wzbierała. W południe beczki z Mason's Tavern przepłynęły pod oknami Cooków. Na podłodze zaczęła chlupać woda. Trupa zatkała drzwi szmatami, workami z piaskiem i stołami, aby nie dopuścić do zalania. Peabody położył się na kanapie, względnie bezpieczny, i z niepokojem obserwował deszcz. Benno z Meliną balansowali na krzesłach. Melina zapytała Benna, czy nie pójdzie sprawdzić, jak się ma Amos.

– Wydaje mi się, że nie byłbym mile widziany – odparł. – I co miałbym zrobić?
– Kołysząc się na stopach, łypał na wzbierającą wodę.

Późnym popołudniem Oren Mapother, syn kapelusznika, zginął w odmętach. Prąd zaniósł zwłoki piętnaście kilometrów w dół rzeki w kierunku Pineville. Zbliżał się wieczór. Evangeline opadła bezwładnie na materac, cała pokryta potem o metaliczno-słonym zapachu. Pogryzła sobie wargi do krwi. Amos wczłogał się do łóżka i gładził ją po policzkach. Poruszała bezgłośnie ustami, chcąc mu podziękować. Skurcze skręcały jej ciało. W zmartwieniu czaiła się samotność, która sprawiła, że zagryzł zęby. Jeśli Evangeline umrze razem z dzieckiem, czy będzie potrafił żyć? Jeśli umrze, zostawiając go z dzieckiem, czy będzie umiał je wychować? Może będzie miało jej oczy? Może będzie nieme? Czy będzie umiał kochać dziecko, które ją zabiło?

Nocą zginęło całe bydło na farmie Stavishów. Przestraszone krowy i świnie skupiły się w rogu obory. Pod naporem wody i tyłu zwierząt budowla się zawaliła, miażdżąc większość z nich. Kilka ocalałych jałówek spływało w dół Sugar Creek. Wyglądały dziwnie, starając się ze wszystkich sił utrzymać łby nad wodą. W strumieniu unosiły się również zwłoki Eustace'a Wildera, pijaka, który poprzedniego dnia przycisnął usta do dłoni Evangeline. Zszedł ze swojego ganku, aby nakrzyczeć na burzę, ale się przewrócił. Łysina z tyłu jego głowy lśniła w świetle księżyca, kiedy rzeka zaczęła płynąć po niej jak po kolejnym kamieniu. Runął kościół prezbiteriański i ławy zatrzymały się na ścianie ratusza, piętrząc się niczym zapałki. Egzemplarze Pisma Świętego zapełniły ulice Charlotte. Drugiego dnia porodu Evangeline nie chciała nic jeść ani pić. Melina poszła na górę z chlebem, ale odesłano ją z powrotem. Pomoc kuchenna, obawiając się wyczerpania suchej mąki, zaczęła racjonować herbatniki. Trupa przeniosła się na stoły. Peabody rozciągnął się na barze.

Amos rozkładał karty na łóżku obok Evangeline. To, co odczytywał, nie przynosiło pociechy, ale nie mógł się oprzeć powabowi właściwie rozłożonych kart. Zaczął wybierać te z Arkanów Wielkich, których pragnął. Kartę, która kojarzyła mu się ze szczęściem, położył koło jej ucha, a tę, która przywodziła mu na myśl dom – u jej stóp. Otoczył ją nadzieją – każda karta stanowiła życzenie. Myślał o swoim życiu, zanim ją poznał, o życiu w lesie i bieganii.

W nocy burza ustała, Catawba cofnęła się równie szybko, jak wylała. Ostatnia

błyskawica zwiastowała narodziny dziewczynki – małej, mrugającej oczami i cichej. Amos spojrział na noworodka o pomarszczonej czerwonej twarzyczce i puszkę na głowie równie czarnym jak włosy Evangeline. Duże, dzikie oczy dziewczynki spojrzały prosto w jego oczy. Poczuł wtedy, że jego serce uspokaja się i zwalnia, zrównując swój rytm z rytmem nowo narodzonego serduszka. Skóra na czubku jej główki pulsowała, Amos dostrzegał w tym cud życia i dowód niezwyklej kruchości tej małej istotki. Gdyby Evangeline nie spała, mogłaby zobaczyć, jak Amos się rozplątał zatopiony w spojrzeniu ich nienazwanego jeszcze dziecka. Po raz pierwszy w życiu rozplątał się z radości w dosłownym tego słowa znaczeniu.

Członkowie trupy zbudzili się w izbie zajazdu. Krzesła, które niedawno unosiły się na wodzie, opadły z powrotem na podłogę. Benno zszedł ze swojego miejsca tuż pod krokwią. Peabody postawił obute stopy na deskach nasiąkniętych wodą. Z pomocą Meixela pani Tyghe usunęła szmaty, worki z piaskiem i podtrzymujące je stoły.

Evangeline zeszła powoli, aby nie obudzić dziecka, które niosła na rękę. Za nią podążał Amos. Głowy obróciły się jedna po drugiej. Amos wziął noworodka od matki i podał Peabody'emu. Dziewczynka ziewnęła pod delikatnym dotykiem jego rąk. Spod końcówek wąsów wychynał uśmiech. Peabody nie trzymał żadnego noworodka od czasu narodzin swojego syna.

– Śliczna malutka – przemówił słodko. – Jest idealna, drogie dzieci. Wspólnie stworzyliście ideał. – Spojrzął na Amosa. – Możemy?

Amos przytaknął i Peabody podniósł dziecko na wyciągniętych rękach. Wszystkie oczy zwróciły się ku wiercącej się dziewczynce.

– Przyjaciele, dzieci, zacni towarzysze. Doznajemy czegoś niezmiernego. W ostatnim czasie doświadczyliśmy straty, ale bogowie pobłogosławili nas dzieckiem naszych dzieci, córką tej trupy, jakiej jeszcze świat nie widział. Najwspanialszy przyjaciele, spoczywa na nas doniosły obowiązek nadania temu dziecku imienia.

Amos spojrzął na córkę i pomyślał o nocy, kiedy stał na pniu, a Ryzkowa powiedziała mu, kim będzie. Czuł, że jego serce jest zmęczone.

– Ruth – Meixel rozpoczął wymienianie imion.

Twarze skupiły się wokół dziecka.

– Dorcas – powiedziała Susanna, myśląc o swojej ukochanej ciotce.

– Veronique.

– Mariah – zaproponował Nat.

– Danielle.

– Lucinda.

Padały przeróżne imiona, dopóki pani Tyghe nie wyszła z kuchni i nie powiedziała:

– Bess.

Dziecko wydało przeszywający pisk.

– Moja matka nazywała się Bess.

– Wygląda na to, że osesek sam dokonał wyboru – zawyrokował Peabody, oddając dziewczynkę jej matce. – Zatem Bess. Bardzo dobrze, ponieważ powinniśmy podziękować tej zacnej kobiecie, która pozwoliła nam tutaj przebywać. – Posłał pani Tyghe olśniewający uśmiech.

Ciepło nowego początku zagościło w sercach. Z wątlą nadzieją powitali nowy dzień. Pani Tyghe zaczęła zajmować się sprawami zajazdu. Ostre i zimne światło wpadło do środka, kiedy wreszcie otworzyli drzwi zewnętrzne. Trochę wody wlało się za próg.

Charlotte zostało zmyte z powierzchni ziemi.

– Boże w niebiosach – wyszeptał Peabody.

Nie było już krawców ani kowali. Młyn leżał w ruinie. Ratusz runął. Drzewa, niczym pijani ludzie, zalegały wzgórze i brzegi rzeki. Cegły wystawały z kałuż. Tu szylid z tawerny, tam drewniany konik na wpół utopiony w błocie. Wszystko, co się ostało, pokrywał rdzawy szlam. Wśród ruin miasteczka dostrzeżono te same dziwne skorupiaki co w zatrutej rzece. Martwe pajęczce odnóża sterczące w powietrzu, spiczaste odwłoki wystające z błota niczym kolce. Choć miasteczko leżało daleko na wschodzie, w powietrzu unosił się zapach soli z oceanu.

Charlotte przestało istnieć. Przetrwał jedynie zajazd Cooków. Pani Tyghe zacisnęła pięści na fartuchu.

– Czy mój syn...

Pomoc kuchenna wzięła ją w ramiona i poklepywała po plecach, czekając, żeby odzyskała panowanie nad sobą. Pani Tyghe podniosła głowę, cała jej uprzejmość ustąpiła miejsca dzikiej furii.

– Wy go zabiliście – syknęła. – Wy go zabiliście, to tak oczywiste jak to, że tu stoicie. Nigdy nie spotkałam tak przeklętych ludzi. Ty to na nas sprowadziłaś – skinęła na Evangeline. – Przyjeżdżasz tutaj i mówisz, że przepowiadasz przyszłość. Przyszłość zna tylko Bóg! Kładziesz się w moim łóżku i wywołujesz powódź. Zabrałaś mi syna! – krzyknęła i zwróciła się do Amosa: – Ty diable, zabieraj się stąd ze swoim dzieckiem. Wynoś się stąd albo znajdę tych, którzy przeżyli, i naśle ich na was z bronią. Wynocha!

Na obrzeżach dawnego miasteczka Charlotte, na wzgórzu za Sugar Creek, stacionowały wozy trupy – zupełnie mokre, ale sprawne. Lama i świnia utonęły, natomiast konie były suche i bezpieczne. Zebrali się w pośpiechu. Peabody zapewniał, że czas i pokonana odległość będą doskonałym remedium na ich nieszczęścia, choć sam z trudem w to wierzył. Ruszyli, zanim słońce stanęło w zenicie.

– Na północ – poinformował Peabody. – Mam dość południa. Zatem Filadelfia! Filadelfia nas ugości.

Evangeline obserwowała skutki powodzi i dziwny spokój swojego dziecka. Wiedziała, że Peabody się myli, i w duchu przyznała rację pani Thyge. Nigdy wcześniej nie było dwóch tak przeklętych istnień.

Uciekaliśmy przed deszczem, biegnąc wzdłuż ścian biblioteki. Niebieskie światło alarmowe padało na nas i rozmywało nasze kształty: Doyle – skóra i tatuaże, Enola – kości i wygłodniałe spojrzenie. Nie odezwała się do niego od tego dramatycznego momentu w samochodzie.

Wkładam klucze Alice do zamka i przekręcam je z satysfakcjonującym chrzęstem. Alarm zaczyna piszczeć, kiedy otwieram drzwi. Znajduję klawiaturę i wklepuję kod, który moja ręka pamięta, podobnie jak sposób trzymania pióra lub obracania strony w książce. Powietrze jest przesycone piżmowym zapachem papieru, kurzu i rozpachy, charakterystycznej tylko dla tego miejsca. Chcę włączyć światło.

– Ja się tym zajmę – mówi Doyle.

Podchodzi do biurka w wypożyczalni i dotyka lampki. Jedna po drugiej świetlówki zaczynają mrugać z przekonującym sykiem i oświetlają książki na zielono. To niesamowite, ale skończywszy, Doyle po prostu strzepuje ręce, jakby zrobił coś najbardziej zwykłego, na przykład zawiązał sznurowadła. Enola idzie przodem, widać, że przenika ją dreszcz.

– Mały Ptaszku! – woła za nią Doyle.

W odpowiedzi pokazuje mu środkowy palec i znika na schodach prowadzących na górę. Doyle chce iść za nią, ale łapie go za łokieć.

– Nie. Lepiej ją zostaw.

Enola potrafi obrażać się bez wysiłku na całe dni. Kiedyś przestała się do mnie odzywać, ponieważ po pracy w Pump House przyprowadziłem do domu Lizę Tamsen. Nawrzeszczała na mnie, że Liza śmierdzi starym olejem do smażenia. Nie odzywała się przez tydzień, zanim zdobyła się na wyznanie, że siostra Lizy włożyła jej do szafki świerszcze, którym robili sekcję na biologii. Łypała na mnie, jakby uważała, że powinienem wiedzieć, czego się dopuściłem. Dobrze rozumiem natomiast, na czym polega wina Doyle'a.

– Co wiesz o waszej rodzinie? Opowiedz mi wszystko.

– W sumie tyle, ile powiedziałem.

Wzrusza ramionami i szuka, gdzie mógłby usiąść. Opiera stopy o jeden z foteli

w dziale periodyków i jakieś gazety spadają ze świstem.

– Dave, mój przyjaciel, zbierał opowieści z życia cyrku, żeby mieć o czym mówić. Miał świra na punkcie wypadków. Pewnie nie wiesz, że w Tennessee zlinczowali słoń, co?

Nie. Nie wiedziałem. Wiatr zaczyna dobijać się do okien. Światła drgają.

– Tak, ten słoń zerwał się i kogoś zabił... Stratował czy udusił, nie pamiętam. Mieszkańcy miasta postanowili go uśpić, tylko nie wiedzieli jak. Ściągnęli dźwig, żeby go powiesić. Nieważne. Dave opowiadał o wypadkach kolejowych, pożarach, ludziach skręcających sobie kark na linach i trapezach. Czasami zastanawiam się, czy nie czekał, aż porażę się prądem na śmierć. Powiedziałem mu w każdym razie, że to tak nie działa.

Doyle nie wnika, jak to właściwie działa.

– Kiedyś byliśmy w okolicach Atlanty. Upał niewiarygodny, a my cały dzień rozstawialiśmy namioty. Chyba powiedziałem, że moglibyśmy mieć zbiornik z wodą do pokazu zatapiania, i to naprowadziło go na temat syren. Powiedział, że są takie kobiety, które co jakiś czas pojawiają się w jakiejś trupie i potrafią wstrzymać oddech obłędnie długo, a pływają tak, jakby przynajmniej w połowie były rybami. Trudno określić, od kiedy istnieją. Pochodzą z jednej rodziny i wszystkie wyglądają tak samo: czarne włosy, ciała tak chude, że można je złamać. Każdy chętnie je przyjmuje do swojego show, ponieważ taka kobieta przynosi kupę kasy. Ludzie widzą niemożliwe, naprawdę niemożliwe. – Doyle patrzy na mnie. – Niemożliwość spotyka niemożliwość.

Cały czas czekam na jakiś haczyk, bo w jego opowieściach zawsze jest haczyk.

– One umierają w dziwnych okolicznościach. No – wyjaśnił Doyle. – Toną. Prawie żadna z nich nie dożywa trzydziestki.

– Spytałeś Dave’a, skąd o nich wiedział?

– Nie. On miał swoje sposoby wyszukiwania tych historii. Myślę, że większość z nich była wyssana z palca. Tonące syreny?

– Teraz wiesz, że mówił prawdę.

– Wstrzymywanie oddechu? Widziałem, jak pływasz. – Krzywi się, ukazując lekko wystający ząb. – Co było dalej? Kilka lat później pracowałem dla Rose’a. Kiedy pierwszy raz pokazałem się z Enolą, przysięgam, że Thom niemal zesrał się w gacie. Zapytał, czy wiem, kogo przyprowadziłem. Powiedziałem mu, że to najlepsza tarocistka, jaką w życiu widziałem. Thom cały czas pytał, czy ona pływa. „Wiem tylko, że zajmuje się kartami” – stwierdziłem. Niewiele później opowiedział mi prawie dokładnie tę samą historię, którą usłyszałem od Dave’a.

– Wiesz, że one utonęły? – Z rozmysłem nie mówię „my toniemy”.

Na chwilę zapada cisza. Doyle kiwa głową.

– Enola nie pływa. Ona odczytuje przyszłość z kart.

Nie pokazała mu. Nic mu nie powiedziała o lekcjach wstrzymywania oddechu, o godzinach, które spędziłem, ucząc ją unoszenia się na brzuchu. Tego, jak najpierw wypchnąć całe powietrze, a później napełnić brzuch, jak nurkować i wsłuchiwać się w wodę. Ani o tym, jak udawaliśmy, że mama jest w głębinach. „Jest tam za skałami, zbiera mięczaki na kamieniach, zjada przegrzebki z zatoki. Czuje, jak wstrzymujesz oddech”. Czarny kostium Enoli sprawiał, że wyglądała jak foczka, mała selkie, która ufała mi, gdy zanurzałem jej głowę pod wodę. Zaufanie zniknęło – ona ma tajemnice przede mną i przed Doyle’em.

– Martwię się o nią.

– Czemu spaliliśmy te rzeczy? Nie chodziło o Franka, prawda?

– Nie.

Kroki Enoli na schodach. Może tym razem nie obraziła się na długo.

– Prawdziwa lodownia. Potrzebuję jakiegoś koca czy czegoś takiego. – Ciasno obejmuje się ramionami, jej bluza jest przemoczona.

Księgozbiór wielorybiczny trzymamy w zimnie, to najlepsze dla książek.

– Zawsze jest tu jakiś zapomniany płaszcz czy sweter. Na dole, za działem dziecięcym.

– Ja pójdę – proponuje Doyle. Idzie ku schodom, dotykając każdego gniazdka i każdej wtyczki komputerowej na swojej drodze.

– Czy on się tak naładowuje?

– Nie wiem – mówi Enola. Zwija się na krześle obok mnie. – Mówi, że to przyjemne.

– Dziwny gość.

– Jest w porządku.

– Nie powiedziałaś mu, że umiesz wstrzymywać oddech.

– Czemu miałabym powiedzieć? – Patrzy w dół. Jej czerwone tenisówki są zupełnie mokre. Zsuwa je, wzdryga się i siada na stopach.

– Czy ktoś ci kiedyś mówił coś o naszej rodzinie? Jeśli Doyle wie, to również tobie ktoś musiał opowiedzieć te historie. Thom Rose od razu wiedział, kim jestem, nie musiałem go o nic pytać. Mówił ci coś?

– Nie. – Niewielkie drgnięcie górnej wargi.

– Co ci powiedział?

– Zapytał, czy pływam. Tak samo jak pytał ciebie. Powiedziałam mu, że mama pracowała w cyrku. Tyle. – Wyjmuje karty z kieszeni i zaczyna je rozkładać na poręczu krzesła. Szybkie rozdanie sześciu kart i od nowa. Jej palce poruszają się jak odnóża kraba.

– Thom by ci powiedział.

Szybko sześć kart, zebranie ich i od nowa.

– Powiedziałam Thomowi, że wróżę z kart, nie pływam. To samo powiedziałam

Doyle'owi. Powiedziałam, że jeśli będzie mnie naciskał, odejdę, a Doyle razem ze mną. – Odwraca karty. Tasuje, przekłada i od nowa. – Doyle też by oszedł. Nikt nie chce go stracić. Jest wyjątkowy – mówi. – Nie wiedziałam, że o nas wie. – Karty pocierane jedna o drugą, włókno o włókno, drobna wymiana molekularna. Papier tak stary oznacza, że karty przeniknęły się nawzajem, stały się jednym ciałem, jednym umysłem. – Powinien był mi powiedzieć.

– On nie wie, że pływasz.

Karty przestają się ruszać.

– Nie, to ty pływasz. – Enola wraca do tasowania. – To nie w porządku, wiesz, być z kimś i powiedzieć mu, że prawdopodobnie umrzesz bardzo młodo i nie ma co liczyć na wspólne doczekanie starości. Każdego ranka po przebudzeniu oboje zastanawialibyście się, czy ten dzień będzie ostatni. To powinno sprawiać, że życie staje się cenniejsze, ale tak nie jest. To sprawia, że z każdą sekundą życie staje się coraz smutniejsze i nic już was nie cieszy. – Rozkłada karty i składa je ponownie na zgrabną kupkę. – Wróżę z kart. Kiedy przyłączysz się do nas – mówi łagodnie – nie powiesz Doyle'owi ani Thomowi, czego mnie nauczyłeś.

– Jesteś smutna?

– Jestem ostrożna. – Rozkłada rządę, karty idealnie balansują na podłokietniku. Głupiec, Ósemka Mieczy, Królowa Mieczy dziwnie znajoma. Karty są wyblakłe, zużyte. „Znajome” to nie jest właściwe słowo. Widziałem już te obrazki. To ręcznie namalowana talia. Może trochę trudno je rozpoznać, ponieważ widziałem je narysowane brązową kredką, ale pamiętam zadarty czubek buta Głupca i udręczony wyraz twarzy Ósemki Mieczy.

– Znalazłem płaszcz dla ciebie. – Doyle wbiega po schodach z wielką parką, która wygląda jak uszyta z worków na śmieci. Enola wkłada karty do kieszeni. Wstaje i pozwala Doyle'owi owinąć się tym okropieństwem.

– Simonie? – mówi Enola.

– Co?

– Woda wlewa się przez drzwi.

Pod gumowym obramowaniem szklanych drzwi uformowała się ciemna kałuża, czarna złowroga plama na zielonym dywanie.

– Cholera. Doyle, widziałeś tam więcej płaszczy?

– Tak.

– Leć po nie. Płaszcz, swetry, cokolwiek znajdziesz.

Do biblioteki prowadzą cztery wejścia: główne, dwie drogi pożarowe i służbowe. Dwa wejścia znajdują się na poziomie piwnicy. W dziale rzeczy znalezionych jest tylko kilka okryć. Ledwo wystarczą do uszczelnienia jednych drzwi. Doyle niesie je wszystkie na ramieniu i przypomina chodzący wieszak.

– Pozostałe rzeczy to torby, torebki i parasole.

Na dole zgromadzone są książki dla dzieci i gazety oraz starsze lokalne dokumenty. W schowku trzymamy książki, z których nie korzysta nikt oprócz osób piszących jakieś prace zaliczeniowe i mnie. Dół zostanie zalany szybko, nie ma sensu próbować go uratować, skoro spłynie tutaj woda z góry. To będzie katastrofa. Wszystko na dolnych półkach zostanie zniszczone. Nadal czuję na palcach dotyk tych wszystkich stron.

– Simonie?

– Drzwi frontowe. Uszczelnimy je ubraniami i pomyślimy, co dalej.

Czerwona zimowa kurtka małego chłopca, granatowa kamizelka, wełniany płaszcz cały w kociej sierści, poplamiony sweter, jaskraworóżowy kardigan – oczami wyobraźni widzę ubraną w niego panią Wallace. Wszystkie te rzeczy natychmiast nasiąkają wodą. Doyle przyciąga dwa krzesła, żeby przycisnąć nimi to prowizoryczne zabezpieczenie.

Teraz następuje bolesna część.

Dział informacji bibliotecznej zostaje poświęcony, by chronić resztę. Dolna półka aż do wyjścia pożarowego. Każda szpara w drzwiach zostaje zatkana jakąś encyklopedią, tomy piętrzą się jeden na drugim. Robimy, co możemy. Wyrrywamy strony, aby upchać je w szparach.

Odeprzeć natarcie wody, nie myśleć o książkach. I tak zostałyby zniszczone. Nie myśleć o tym, jak się czułem, kiedy pierwszy raz odkryłem Grainger. Nie myśleć o tym, że w tych książkach od początku znajdowałem odpowiedzi na nurtujące mnie pytania.

Czuję, że Enola na mnie patrzy.

– Przecież cię zwolnili. Prawdopodobnie właśnie ratujesz ich książki.

Doyle wyrzywa pobazgraną stronę.

– Ktoś i tak narysował na niej kutasy.

To nie poprawia sytuacji.

Dość szybko okazuje się, że nie mamy już nic do roboty, bo nie ma gdzie upchać papieru. Wchodzimy więc na drugie piętro.

Księgozbiór wielorybiczny jest trzymany w zimnie i warunkach niemal sterylnej czystości. W przezroczystych gablotach z pleksi wyeksponowane są rzeźbione ozdoby z kości wielorybów, harpuny i nóż do wykrawania tłuszczu z wieloryba. Na półkach znajdują się dzienniki kapitańskie, listy załogi i pasażerów. Rysunki i korespondencja leżą w skrzynkach. Wszystko bez odrobiny kurzu. Przy drzwiach wisi portret młodego Philipa Graingera – jego okrągłe druciane okulary i krótko przycięta brązowa broda sprawiają, że wygląda na kogoś zamożnego i wykształconego. Całe pomieszczenie znajduje się w zasięgu jego wzroku. Alice lubi przyklękać, kiedy przechodzi koło tego portretu. Tutaj krzesła są wygodniejsze niż w czytelni czasopism, stąd płyną pieniądze i na ten dział są przeznaczane. Woda

tu nie dotrze.

Enola zwija się na krześle. Doyle opada na fotel obok. Ona opiera głowę na jego ramieniu, wytatuowana ręka obejmuje ją jak wąż. W którymś momencie zostało mu wybaczone.

– Czy kiedyś myślałeś – pyta Enola – czy kiedyś czułeś, że woda idzie po ciebie? Po dom z pewnością. Po twoje książki.

– Tutaj jesteśmy bezpieczni – uspokajam.

Obserwuję ją. Głowa Doyle'a odchyła się w śnie spokojnym jak u dziecka. Enola patrzy w górę, pewnie szuka przecieków.

– Kiedy zacząłem rozstawiać boje, Frank powiedział mi, że w dniu twoich i moich narodzin przypływy były bardzo wysokie. Fale przelewały się nad grodzią. Wszyscy myśleli, że doki nie wytrzymają. Wytrzymały. Przypływ może też przynieść coś dobrego.

Enola naciąga kaptur na głowę i opiera podbródek na kolanach.

– Frank jest kłamcą.

Ma rację. Idę na schody, żeby zbadać sytuację. Czarna plama rozprzestrzeniła się pod encyklopediami, które przytrzymują drzwi.

Enola zasypia oparta o Doyle'a – jego macki ją obejmują – tyle samo skóry i tuszu.

Nie mam dokąd pójść. Woda zabrała mi wszystko. Sztorm wymazał z pamięci nawet przyjemność, jaką miałem z ogniska. Jedyne, co zrobiłem, to spaliłem naszą historię i zniszczyłem piękną księgę. Potem przyszedł deszcz. Coś poszło nie tak.

Wstaję. Być może książek na dole nie da się uratować, ale nie powinny odejść bez świadka. Poza tym czas najwyższy sprawdzić, co znalazła Liz Reed.

Doyle otwiera jedno oko.

– Dokąd idziesz?

– Na dół. Chcę być świadkiem tego, co nastąpi.

Lekko kiwa głową. Enola rzuca się w jego objęcia, gwałtownie wyciąga jedną rękę do przodu.

– Ona się o ciebie martwi – mówi Doyle. – Dlatego przyjechała.

– Nie musiała.

Doyle rozgląda się dokoła, światła migają. Trudno dociec, przez niego czy przez sztorm.

– Nie wiem, człowieku. Złe rzeczy się wokół ciebie dzieją. Trzymaj się z nami u Rose'a, jasne? To dobra praca i nie chcę szukać innej. – W jego głosie pobrzmiwa cień groźby. Doyle jest spokojny, jedno oko ma przymknięte, niemal śpiące. To było zadanie taty, żeby trzymać groźnych mężczyzn z daleka od Enoli. Teraz odgrodziła się płotem elektrycznym.

– Idę tylko na niższe piętro. Wrócę niedługo.

Dywan jest mokry, warstwa wody daje mu dziwnie atrakcyjny połysk, każdemu krokowi towarzyszy plaśnięcie. Kostka nadal mnie boli. Przenoszę książki, kładę je na stołach. To nie wystarczy. Oddycham z trudem, ponieważ pomieszczenie jest przepełnione stęchłym zapachem mokrego papieru. Przenoszę, co mogę, z działu dziecięcego – ratuję Thorntona Burgessa, baśnie, Pottera, opróżniam niższe szafki, wszystko, co kocham. Nie mogę patrzeć na tonące książki. Światłówki syczą i trzeszczą, zaciemniając stanowisko z maszynami do mikrofilmów. Na stołach zbyt szybko zaczyna brakować miejsca, a ja nie potrafię wybierać. Przeszukuję rzędy szafek – gazety i dzienniki na mikrofilmach, mikrofilmach i na papierze w oczekiwaniu na digitalizację – nie wiem, czego szukam, dopóki tego nie znajdę. „The Bacon” z tygodnia moich urodzin i z tygodnia urodzin Enoli. Dział dla żeglarzy z tabelami pływów i prognozą pogody. Przywiodły nas przypyły, fale bez sztormu. Winą obarczono pełnię księżyca. Po tym, jak woda wdarła się na ląd, odpływ opróżnił Sound niemal aż do Connecticut. W numerze z dnia narodzin Enoli jest zdjęcie przedstawiające mężczyznę stojącego na łasze. W tym miejscu jeszcze niedawno był port. Łodzie opadły na dno. Ryby zdechły. Setki skrzelołusków i fląder utopiły się w powietrzu. Przypyły przyniosły nas i przyniosły śmierć. Pod migoczącym niebieskim światłem światłówek szukam mamy i znajduję jej sztorm. Tydzień, w którym odeszła, zatarł się w mojej pamięci. Pozostało jedynie wspomnienie jedzenia jajek i patrzenia, jak odchodzi, ale wydarzyło się coś więcej – szkwał, czerwony przypył, plaża pełna skrzyploczy.

Idę do mojego biurka, to znaczy do biurka, które jeszcze parę tygodni temu było moje. Nadal tu stoi, tylko zaszły na nim zmiany. Zabrano narzędzia do naprawy książek, lampkę biurkową zastąpiła światłówka – zatarto ślady po mnie. Został jednak komputer. Włącza się z niepokojącym błyskiem. Udaje mi się zalogować do poczty. Choć podczas takiej nawałnicy nie powinno się używać sprzętów elektronicznych, czas jest na wagę złota.

Jest dwudziesty trzeci lipca i ulga, którą przyniosło mi ognisko, dawno zniknęła.

E-mail od Liz jest doskonały: zawiera szczegółowy opis wypadku, do którego doszło podczas powodzi w Nowym Orleanie w 1825 roku – cały pływający cyrk pochłonięty przez Missisipi po wielu dniach nieustającego deszczu. Znalazła te informacje w „Louisiana State Gazette”. Większość artystów i zwierząt poszła na dno razem z łodzią. Pośród pięciu ocalałych znalazły się Katerina Ryżkowa i jej córka, Greta. Ojciec dziecka zginął w odmętach. Właściciela łodzi, Zachary’ego Peabody’ego, zabrano do szpitala. Później rozpoczął długą i niesławną karierę właściciela tancbudy. Tak przypuszczałem. Liz zakończyła e-mail prawdziwą perełką: „Archiwum Sanders-Beecher próbuje się z tobą skontaktować. Twój telefon nie działa. Zajmij się tym. Myślę, że chyba masz pracę”.

Następny jest e-mail od Rainy. Mniej elokwentny niż ten od Liz, zawiera listę

imion opatrzonych skrótami. Greta Mullins śl. Jonathan Parsons. Troje dzieci: Jonathan Parsons Jr., Newton Parsons, Theresa Parsons. Jonathan Jr. zmarł w dzieciństwie. Newton nigdy się nie ożenił. W przeciwieństwie do Theresy Parsons. Czytam następną linijkę. Niepewnie naciskam przycisk „drukuj”. Sekundę później z drukarki dobiega trzask. Patrząc na ekran. Theresa Mullins śl. Lawrence Churchwarry. Jedno dziecko. Martin. Mogę dopowiedzieć resztę. Martin Churchwarry pędził niczym niewyróżniające się życie sprzedawcy książek, aż pewnego dnia natknął się na fascynujący egzemplarz. Martin Churchwarry jest potomkiem madame Ryżkowej. Raina jest lakoniczna, lecz dokładna do granic nieomyślności. Ekran miga i gaśnie. Czuję się dziwnie, mam pustkę w piersi. Martin Churchwarry znalazł księgę i znalazł mnie. To Ryżkow. Czy dlatego cały czas się z nim kontaktuję? Co powstrzymało mnie przed odłożeniem słuchawki? Nie, przecież to ja do niego zadzwoniłem. To ja. On przysłał mi księgę, ale to ja do niego wydzwaniam, przyciągam go do siebie.

Idę na górę po notatki. Enola śpi z głową na kolanach Doyle’a rozciągnięta na dwóch krzesłach. Zabieram torbę, Doyle unosi brew.

– Notatki – mówię.

On nie odpowiada.

Dzwonię z biurka Alice, ponieważ jej krzesło jest bardziej miękkie, znajduje się dalej od księgozbioru wielorybniczego niż moje, a poza tym pachnie nią: solą i cytryną. Jej szuflada jest pełna fioletowych długopisów z lekko obgryzionymi skuwkami. Słuchawka ma jej zapach. Doyle stoi na schodach, wyciągając szyję i obserwując mnie.

Nie tracę czasu na powitania.

– Ty jesteś Ryżkow.

– Simon? Próbowałem się do ciebie dodzwonić! Gdzie byłeś?

– Moje telefony nie działają. Jesteś Ryżkow. Wiedziałeś o tym? Karty z księgi należały do twojej rodziny.

Pokasłuje.

– Przepraszam, co powiedziałeś?

– Muszę wiedzieć, czemu przysłałeś mi tę księgę – naciskam. – To ważne.

– Powiedziałem ci przecież. Było w niej coś innego, cudownego, coś, co powstrzymywało mnie przed sprzedażem jej. Powiedziałeś „Ryżkow”? Naprawdę?

– Biblioteki chętnie by ją przyjęły. Może nawet muzeum cyrku. Zawsze jest zapotrzebowanie na coś tak starego, trzeba tylko wiedzieć, gdzie się zgłosić. Jesteś sprzedawcą książek, twoja praca na tym polega.

Wzdycha.

– Muzeum cyrku w Sarasocie mogłoby być tym zainteresowane, to prawda. Ale czy nigdy nie czułeś się związany z książką? Moja żona ma egzemplarz *Wyspy*

skarbów. Poplamiony, sponiewierany, brakuje w nim stron, mimo to ona nie chce się za nic w świecie z nim rozstać. To jest jej książka. – Słyszę szuranie krzesła, kiedy Churchwarry siada. – Wziąłem udział w tej aukcji z powodu *Moby’ego Dicka*, ale ta książka zwróciła moją uwagę i chciałem przyjrzeć się jej dokładniej. Okropnie przepłaciłem, musiałem jednak mieć pewność, że będzie moja. Bazowałem tylko na przypuszczeniach, bo nikomu nie wolno było się przyjrzeć książkom przed złożeniem ofert. Pomyślałem, że ta książka może być moja. Tak jak *Wyspa skarbów* jest Marie. Niestety, w momencie, w którym jej dotknąłem, wiedziałem, że nie jest moja. Wiedziałem też, że nie jest na sprzedaż, nie przez Churchwarry & Son. Potrafię to wyjaśnić jedynie tak: błagała, aby ją oddać. Chwilę ją u siebie trzymałem, przeglądałem w poszukiwaniu wskazówek, komu ją wysłać. I wtedy zobaczyłem imię i nazwisko: Verona Bonn.

– Moja babcia... Martinie, to twoja książka. Twoja praprababka była wróżbitką w wędrownym trupie cyrkowej, nazywała się madame Ryżkowa.

– Jesteś zupełnie pewien? – Kaszle przez chwilę nie z powodu choroby czy wieku, po prostu chce pozbierać myśli. – Nadzwyczajne – mówi w końcu. – Prawdopodobieństwo jest tak nikłe...

– Nie sądzę, aby to był przypadek. Myślę, że książka nas szukała.

– Cudownie – wzdycha, niemal pijany z radości. Już mnie nie słucha, pogrążony we własnych myślach. – Pomyśleć tylko, ile czasu spędziłem, usiłując zdobyć różne książki... To niesamowite: książka, która postarała się, by trafić do mnie. Zupełnie fantastycznie – mruży. – Chciałbym ponownie ją zobaczyć. Czy zechciałbyś mi ją odesłać? Albo lepiej, przywieź ją. Powinniśmy się poznać. Jakby coś nas ku sobie ciągnęło, prawda?

– Nie mogę. Spaliłem ją.

– Co zrobiłeś? – Za moimi plecami drzwi ewakuacyjne miarowo uderzają o encyklopedie.

– Co to było?

– Woda zalewa bibliotekę – wyjaśniam.

Churchwarry wydaje jęk przerażenia i pyta, czy jestem bezpieczny.

– Na jakiś czas. Zniszczyłem książkę i wszystko, co było w posiadaniu Franka. Myślałem, że mi się uda, że to będzie jak rozbicie tabliczek, na których zapisano klątwę. Egzorcyzmy ogniem. I wtedy rozpętał się sztorm. Martinie, coś jest bardzo nie w porządku. Martwię się.

– Myślisz, że coś przeoczyłeś?

Woda napiera. Najwyższy czas poświęcić kolejny tom encyklopedii.

– Muszę się rozłączyć. Chciałem, żebyś to wiedział. Powinieneś wiedzieć, kim byli twoi przodkowie. Muszę zablokować drzwi. – Spoglądam w stronę miejsca, w którym śpi Enola. Doyle czuwa i wciąż bacznie mi się przygląda.

– Simonie – mówi Churchwarry z drżeniem, którego wcześniej nie słyszałem. –
Proszę, bądź ostrożny.

W jego słowach brzmi coś niezwykle rzadkiego: troska i obietnica nowych
możliwości.

Trupa Peabody'ego opuściła Charlotte z prędkością niewidzianą od czasów, kiedy pewien pastor zagroził im wytarzaniem w smole i pierzu. Ruszyli na północny wschód. Nie rozbijali obozowiska tak długo, jak się tylko dało, nocami zatrzymywali się tuż przy drodze, daleko od miasteczek. Najwyżej wysyłali Nata i Benna po zapasy. Podróżowali w ten sposób, aż dotarli do Atlantyku. „Przerwa regeneracyjna” – powiedział Peabody. Wszyscy wiedzieli, o co chodzi: zatopienie wioski wystraszyło ich nie na żarty.

Po narodzinach Bess figura Evangeline zmieniła kształt. Żebra zaczęły jej wystawać i wydawało się, że Bess wraz z mlekiem wysysa z niej życie. Evangeline i Amos prawie nie rozmawiali ze sobą od czasów Charlotte. Karty stały się jedynie narzędziem pracy. Peabody jako jedyny okazywał radość. Kładł ciasno owiniętą w becik Bess na swoim wystającym brzuchu, nie szczędząc jej w zachwycie słodkich słówek.

– Mała gwiazdeczka, słodka Bess. Co z ciebie zrobimy? Będziesz piękną syreną jak twoja mama? Czy małą Cyganką jak twój tata? Myślę, kochanie, że będziesz jeszcze bardziej urocza.

Gdyby Amos nie był tak pochłonięty stanem Evangeline, dostrzegłby błysk chciwości w oku Peabody'ego. A Evangeline marniała. Amos, sznurując jej gorset, ciągle widział, że fiszbiny nie przylegają do szczupłego ciała, nieważne, jak mocno ciągnął tasiemki.

– Powiem Peabody'emu, że znów chciałabym pływać – powiedziała pewnego ranka, kiedy się ubierali.

Amos drgnął i aż zerwał tasiemkę. Westchnęła i zaczęła szukać zapasowej.

– Albo to, albo zostanę żywym szkieletem. Moje wodne przedstawienie zawsze przynosiło pieniądze. Musimy być praktyczni, dziecko potrzebuje różnych rzeczy.

Mała Bess spała w kufrze owinięta w jedną z kotar po Dzikim Chłopcu. Bess, której narodziny zmiotły z powierzchni ziemi całe miasteczko.

Amos zgodził się, choć go to dotknęło. Jeśli jednak Evangeline woli pływać, nie będzie jej powstrzymywał.

– Spokojnie – wyjaśniła. – Nadal będę głosem twoich kart. Nie dopuszczę, żebyś wrócił do klatki. Chociaż – dodała – chciałabym, żebyśmy pomyśleli o czymś innym.

Amos zachował swoje zmartwienia dla siebie. Po tym wszystkim, do czego doszło, niepokoiła go sama istota wodnego przedstawienia Evangeline. Nie uszło jego uwadze, że Susanna przestała w ogóle się do niej odzywać, a Melina ledwo się

z nią witała. Benno zaczął się krzywić na jej widok. Raz Amos chciał się nawet na niego rzucić, lecz Evangeline powstrzymała go, położywszy dłoń na jego piersi.

– Przestań – powiedziała cicho. – On się boi. Jeśli nie będzie miał czego, przejdzie mu. – Śpiąca w jej ramionach Bess zapłakała. Evangeline spojrzała na Benna. – Znałam już takich ludzi jak ty. – Zabiłam kobietę taką jak ty. Benno odszedł, ale aż się wzdrygnął – poczuła to.

Od czasu powodzi Evangeline prawie nie spała. W świetle świecy patrzyła, jak pierś Amosa wznosi się i opada, wsłuchiwała się w senne posapywanie swojego dziecka i zastanawiała się, jakie jeszcze nieszczęścia na nich sprowadzi. Nigdy nie było kogoś tak przekłętego. Spędzała godziny nad tarotem, zadając pytania i doszukując się znaczeń. „Co z nami będzie? Co będzie z nią?” Zaczęła się rysować przerażająca prawidłowość. Karty mówiły o starych krzywdach, o tym, co sprawiło, że uciekła, i co zdarzyło się od tego czasu. Śmierć jej matki, zabójstwo babci Visser, zniknięcie Ryzkowej, smutek Amosa, pomór ryb i zatruta rzeka, zniszczenie Charlotte. Kiedy Ryzkowa skonfrontowała się z nią, czuła się pewnie, silna dzięki uczuciu Amosa i żadna swojej porcji szczęścia – podobnie jak wtedy, kiedy spotykała się z Willem Abenem nad rzeką Hudson. Ryzkowa miała rację. Przed pojawieniem się Evangeline w życiu Amosa nie było zmartwień. Od dnia, w którym się poznali, na jego twarzy pojawiały się bruzdy wyrzeźbione przez smutek. Dotykała swojej talii, a wówczas groza przeszłości i przyszłości stawała jej przed oczami. Amos nie powinien tego wiedzieć.

W drugim tygodniu tych potajemnych dywinacji Evangeline zapytała Amosa, czy mogłaby nie dotykać kart podczas ich wspólnych seansów. Amos zmarszczył brwi, ale się zgodził. Karty doprowadziły ją do tego, że poszła porozmawiać z Peabodym o powrocie do wodnego przedstawienia. Peabody był zachwycony. Dodatkowa wypłata z łatwością zostanie pokryta przez panów, których takie widowisko zawsze przyciąga. Zbiornik naprawiono, polakierowano i pobielono. Peabody zachęcał Evangeline, aby na próby zabierała Bess.

– Nie mamy pojęcia, kim nasza prześwietna gwiazdeczka zostanie w przyszłości. – Nabrał zwyczaju łaskotania dziecka w brzuch, gdy opowiadał podobne rzeczy. Bess przyglądała mu się swoimi żółtymi i nieruchomymi jak u królika oczami. – Trzeba poszerzać jej horyzonty: nauczyć ją kart, wody, wyginania się, żonglowania. Wszystkiego, czego zdoła.

Amos jakoś zniósł remont zbiornika syreny. Przyglądał się pracy z wozu Les Ferezów, nie pomagał jednak w żaden sposób. Obwinał siebie o strach, który Evangeline czuła przed kartami. Rozumiał jej przerażenie, ale nie zamierzał dopuścić do szkolenia swojej córki. Zwłaszcza że według jego intuicji jej narodziny spowodowały powódź, a karty mówiły mu o wodzie, która nadejdzie. Charlotte zostało w ich głowach niczym choroba.

Minęły trzy miesiące. Peabody utrzymywał kurs na Filadelfię i Nowy Jork, aby spotkać się z synem. Pewnego wieczora, kiedy mieli zacząć występy w Millerstone, Evangeline przysłała wziąć Bess od Amosa.

– Chodź do mnie, mała rybko. Najwyższy czas, żeby nauczyć cię pływać. – Musnęła dłonią czarne włoski na głowie córeczki.

Amos schował Bess pod swój długi płaszcz i trzymał ją poza zasięgiem rąk Evangeline. Strach sprawił, że jego mięśnie się napięły.

– Peabody zechce, żeby Bess pracowała. Wiesz o tym tak dobrze jak ja. Jeśli zaczniemy teraz, nie będzie się bała wody, tak jak ja kiedyś. Mogę sprawić, że będzie to dla niej bezpieczne.

Amos włożył córeczkę pod koszulę i przycisnął jeszcze mocniej do siebie. Malutka zacisnęła piąstkę na koronce. Potrząsnął głową, w duszy przeklinając, że nie może sięgnąć po karty.

– Miną całe lata, zanim Bess nauczy się czytać tarota – Evangeline próbowała apelować do jego rozsądku. – Zresztą kto powierzyłby swoje tajemnice dziecku? Większość klientów nie chciałaby nawet, żeby dziecko dotykało kart.

Nie musiała mówić więcej. Nie chciała, żeby Bess przebywała w pobliżu kart. Nie będzie mógł rozmawiać z własną córką.

Amos przytrzymał dziecko jedną ręką, opierając je o ścianę wozu. Wyciągnął karty ze szkatułki i położył z impetem na stoliku. Cały się przy tym trząsnął. Chciał powiedzieć, że się nie zgadza, że ma obawy po tym, co stało się z rzeką, i po Charlotte. Rozłożył karty na stoliku, każda do niego śpiewała.

Evangeline sięgnęła po karty. Ten ruch sprawił, że spadły na podłogę, co zburzyło układ Amosa. Zastąpił je inny, mówiący o przemocy, zamordowanej kobiecie, wielkich powodziach, smutku – w samym środku była ona – Królowa Mieczy – i on – Głupiec. Evangeline pochyliła się, żeby zebrać karty, ale ją powstrzymał. Przyglądał się ich ułożeniu i warstwom znaczeń. Bess piszczała, ale on tylko przygarnął ją mocniej. Chronił Evangeline przed obawami Ryzkowej i przyszłością, którą odczytała dla niego. Karty na podłodze mówiły jednak o czymś innym – chronił siebie samego.

Evangeline miała przed nim tajemnice.

Tak krucha dziewczyna, którą spotkał, kiedyś zabiła. Zobaczył to w rozkładzie Mieczy i w tym, jak Śmierć nakryła Sąd Ostateczny. Morderstwo było grzechem, który silnie obciążał. Za każdym razem, gdy Evangeline szukała pocieszenia, jej niespokojny duch ściągał na nią nieszczęścia. Na jej twarzy nie było zdziwienia. Amos pomyślał o wszystkich kartach, które ukrywał – nie musiał tego robić. Przypomniał sobie czerwony ślad na jej ramieniu, kiedy pierwszy raz zobaczył je obnażone. Zapadł mu w pamięć, palce aż go świerzbiły, aby dotykiem złagodzić ból.

– Proszę – błagała.

Odsunął od niej Bess, a wtedy Evangeline przycisnęła usta do jego czoła.

– Nie chciałam jej zabić – powiedziała. – Gdybym mogła, cofnęłabym to.

Amos zamknął oczy, lecz nie puścił dziecka. Evangeline wyszła z wozu. Sporo czasu trwała cisza, później Bess zaczęła płakać.

Resztę dnia Amos spędził na rozmyślaniach, dotykając palcami łóżka, które dzielił z Evangeline, wyczuwając ślad pozostawiony przez jej ciało. Ona zawsze spała zwinięta w kłębek – nawyk z czasów, gdy sypiała w zbiorniku. Bess wierciła się i rzucała jak jej matka. Dobrze, że nie była niema jak on. Myślał o tym, że Evangeline cechowało zdecydowanie – chciała pływać i znalazła Peabody’ego. Martwa kobieta, którą pokazały karty, to jej ofiara.

On nie był taki. Odkąd spotkał Peabody’ego, jego życie przestało do niego należeć. Imię, które nosił, nie było jego – jego imię zostało w domku gdzieś poza granicami pamięci. Okrył Bess i ułożył ją wygodnie w kufrze. Zareagowała na to płaczem, szybko poczerwieniała na buźce. Mogliby zacząć od nowa – bez kart i bez Peabody’ego – w małym domku w Burlington, gdzieś, gdzie mogliby wieść życie na osobności. Powiedziałyby Evangeline, że nie wierzy Ryżkowej lub że spróbuje się nauczyć nie wierzyć. Pokochał Evangeline z powodu tego siniaka, pokochał ją, ponieważ potrzebowała opieki. Ona pozwoliła mu o siebie dbać, wybrała go, dbała o niego, uczyła się od niego i nie pozwalała mu wrócić do klatki. Wszystko to z powodu jednego siniaka.

Bess płakała tak, jak inni krwawią, jakby miała od tego umrzeć. Amos robił, co mógł: kołysał ją, poklepywał, w końcu poprosił o pomoc Susannę. Kontorsjonistka pohnęta małą i zawołała Melinę, żeby pomasowała poruszany szlochom brzusek. Nat wydał policzki i dał Bess słodko pachnący korzeń do ssania. Nic nie pomogło. Zawodziła tak bardzo, aż zaczęła się krztusić. Potrzebowała matki.

Amos czekał.

Nadszedł wieczór. Evangeline nie wróciła.

Poszła w stronę oceanu. Minęła miejsce, gdzie drzewa się przerzedzają, bo zastępują je trawy. Później trawy zastąpił piasek, który był niczym uśmiech zachęcający do wejścia do wody. Pływanie i rozciąganie ciała przynosiło jej spokój, lecz nie tym razem. Oddychała głębiej niż przed urodzeniem dziecka, które zmieniło ją w niespodziewany sposób. Trupa się jej bała. Umiała to znieść. Brak zaufania ze strony Amosa ugodził ją głęboko. Jej ciało zyskało nowy kształt po porodzie, ale zmieniło się również dla niego: wcięcie między szyją a ramieniem stało się oparciem dla jego głowy, aby mogła mocniej przylgnąć do jego ciała, jej kręgosłup nieco zmienił kształt, serce dopasowało rytm do rytmu jego serca i biło wolniej. Mogli odejść. Ona mogła odejść i zabrać go ze sobą.

Woda pachniała raczej solą niż słodkawym, rozkładającym się torfem. Znała ten

zapach z rzeki. Zanurkowała i poczuła na sobie tak dobrze znany ciężar – niepokojące, niejasne wspomnienie bycia topioną przez babcię Visser. W wodzie Evangeline stawała się głucha na płacz Bess.

Postawiła stopy na dnie. Pod jedną wyczuła jakiś niewielki kształt, jakby kamień, który wpasował się pod podbicie. Coś ostrego ukłuło ją w kostkę. Czy to ugryzienie? Podniosła stopę i została ukłuta wiele razy. Strumień powietrza uciekł z jej ust. Woda miała słony smak.

Na zimnym dnie w mętnej wodzie nie widziała odnóży ani ogonów stworów, które przeszukiwały fałdy jej sukienki, wspinały się po jej stopach i łydkach, czepiając się pończoch. Czuła spokój, którego nie zaznała od małości. Kiedy babcia trzymała jej głowę pod wodą, bicia jej serca nie przyspieszył niepokój. Przyspieszyło je poczucie, że jest tak, jak być powinno. Brzeg jej sukienki został zakopany w piasku przez poruszające się szybko odnóża skorupiaka. *Och, przecież to jest moje miejsce.*

Kiedy wyszła z wody, zaczęła odbierać życie babciom i synom, zatrąła rzekę, zmyła miasteczko z powierzchni ziemi. W wodzie była sobą, w wodzie nikogo nie krzywdziła. Evangeline pozwoliła obleźć się tym stworzeniom, aż pokryły ją zupełnie niczym żywy płaszcz. Opancerzone ciała roiły się na niej. Kiedy ich waga stała się tak duża, że nie mogła ich udźwignąć, usiadła. Na powierzchni między falami pękały pęcherzyki powietrza. Siedzieć też już nie mogła, więc się położyła. Odnóża i odwłoki wplątywały się w jej włosy, aż ona stała się nimi, a one nią. Jej plecy ugrzęzły głęboko w piasku. Ciężar wydusił z niej ostatni oddech. Karty miały rację we wszystkim. Wszędzie przynosiła ze sobą nieszczęście. Była morderczynią, choć wcale tego nie chciała. Pomyślała o dziewczynce, która tylko swoimi narodzinami spowodowała tyle tragedii. Amos ze swoimi mądrymi oczami i zręcznymi dłońmi będzie trzymał Bess z daleka od wody. Dzięki temu, pomyślała, moja śmierć wyjdzie wszystkim na dobre. Nagle pojawiła się potrzeba zaczerpnięcia powietrza podobna do głodu. Evangeline otworzyła usta. Napełniły się piaskiem i oceanem. Woda wpłynęła do jej wnętrza. Dziwne, pomyślała. Syrena może utonąć.

Amos nie zmrużył oka. Huśtał Bess na rękach, aż światło świtu wdarło się przez szpary w deskach wozu. Poszedł nad wodę poszukać Evangeline. Nigdzie ani śladu. Kołysał Bess, która płakała za mlekiem i matką. Szukał śladów, szukał sukienki Evangeline... Znalazł tylko te dziwne skorupiaki. Ich odwłoki zatarły na piasku ślady Evangeline.

Benno zobaczył Amosa, który się kręcił, sapał i wydawał dziwne dźwięki przypominające szczekanie. Potrzęsnał nim zdenerwowany jego zachowaniem i wyglądem.

– Co ona zrobiła? Coś ci się stało? Czy skrzywdziła dziecko?

Amos wyrwał się mu. Zmierzył Benna wzrokiem, spojrzął na znoszone buty, rozdarcie w koszuli, bliznę w kącie ust. Skrzywił się i poszedł po Peabody'ego. Nie wspomniawszy słowem o nocy otwarcia ani konieczności odjazdu, Peabody zarządził poszukiwania. Wysłał Meixela i Nata na koniach. Wzięli ze sobą latarnie, gdyby mieli nie wrócić przed zmrokiem. Melina i Benno zaczęli szukać pieszko. Amos miał zostać na plaży i czekać.

Peabody przyszedł nad ocean z dwiema poduszkami ze swojego wozu. Rzucił jedną koło Amosa i usiadł na niej. Jego kolana skrzypiały jak stare drewno.

– Poczekamy.

Patrzyli na ocean. Płacz Bess stał się przesywający. Peabody poszedł do obozu i wrócił po jakimś czasie z kubkiem koziego mleka. Zanurzył palce w ciepłym mleku i karmił Bess, pozwalając, by zsysała krople z opuszek jego palców. Późno w nocy, kiedy skrzyplące wróciły do oceanu, światło księżyca pobłyskiwało srebrem na tafli wody. Amos przyglądał mu się, aż nagle wstał i niemal wepchnął córeczkę w ramiona Peabody'ego. Nie obudziła się, więc ruszył ku wodzie. Zanurzył się. Fale otoczyły go czernią i zimnem. Muliste dno zasysało jego stopy, gdy wchodził na terytorium wcześniej należące tylko do Evangeline. Napotkał wartki prąd. Nie pomyślał o tym, aby zdjąć ubranie – Evangeline nigdy tego nie robiła – więc teraz utrudniało mu ono ruch. Dotarł do połyskującej rzeczy, którą wypatrzył z brzegu, i nogi się pod nim ugięły, a woda zalała mu podbródek. Chwycił ją, nie patrząc. Była znajoma w dotyku. Nie chciał o tym myśleć, zanim nie zdoła przyjrzeć się jej dokładnie. Dopiero blisko brzegu ośmielił się na nią spojrzeć.

Kawałek wstążki, białej wstążki do przepasania jej sukienki. Znał tę teksturę, brzegi wytarte od wchodzenia do zbiornika i wychodzenia z niego. W jego piersi coś wybuchało. Ona już nie wróci.

Evangeline była w oceanie.

– Chodź, niech zobaczę, co tam masz! – wołał Peabody z plaży.

Amos wpatrywał się we wstążkę i gładził fale tak, jak gładził sukienkę za każdym razem, kiedy Evangeline wieszała ją, żeby wyschła. Odwrócił się od brzegu i zaczął pocierać wstążkę, aż otarł sobie skórę. Ruszył ku głębinie. Peabody wrzeszczał, lecz on go nie słyszał. Nasiąknięte wodą ubranie ważyło tyle, że nie szedł po dnie, bo woda go nie unosiła. Nie zwracał uwagi na krzyki z brzegu i nie słyszał chlupnięcia. Był całkowicie zanurzony, kiedy Peabody do niego dotarł. Poczł, że coś złapało go od tyłu i ciągnie. Szarpał się, wierzgał, próbował się oswobodzić. Peabody wetknął drugą rękę pod jego ramię i z siłą, o którą nikt by go nie podejrzewał, zaciągnął Amosa na brzeg.

– Nie walcz ze mną – powiedział, dysząc, do wciąż wrywającego się Amosa. –

Utopisz nas obu. Słyszysz? Utopisz mnie, chłopcze.

Amos wreszcie się poddał. Woda spływała po nim, a on ścisnął strzęp wstążki. Pachniał solą, tak często pachniały włosy Evangeline. Peabody rzucił go na plecy.

– Nie pozwolę na to. Po prostu nie pozwolę – wydyszał. – Nie stracę was obojga naraz.

Zmuszony przez atak kaszlu Amos usiadł. Peabody klepał go po plecach, co miało pomóc w wykastaniu wody.

– Karmiłem cię, ubierałem, podzieliłem się z tobą całym swoim dobytkiem. A ty chciałbyś mnie zostawić?

Odpowiedzią był cichy płacz.

– Nigdy nie uważałem cię za głupca. Jesteś niemową, lecz nie głupcem. – Wyciągnął rękę do Amosa. Płacz nie ustawał. Amos chwycił podaną mu rękę, a Peabody zaprowadził go do Bess, którą owinął w swoją marynarkę koloru burgunda. Włosy Amosa oblepiły sól i piasek, ubrania Peabody'ego zwisały z niego jak mokry worek. Na ich widok Bess wydała pisk zachwytu. Amos patrzył na swoją córkę – małą, okrągłą, o oczach Evangeline. Jej widok sprawił mu ból. Przez chwilę żałował, że nie zabrała jej rzeka. Ta myśl szybko przyprawiła go o mdłości. Aby ją odegnać, wziął dziecko na ręce.

– Dobry chłopak – stwierdził Peabody. – Zrobimy z ciebie prawdziwego ojca.

Minęły jeszcze dwa dni, zanim trupa ruszyła w dalszą drogę. Peabody czuł przygnębienie i próbował to sobie tłumaczyć spadkiem przychodów. Nie analizował tego uczucia ani nie pukał do drzwi Amosa. Kazał, żeby jedzenie i kozie mleko zostawiano na stopniach wozu Les Ferezów, i upewniał się, że stamtąd znikają.

Amos patrzył na swoją córkę. Karmił ją. Niewiele spał.

Po upływie kilkunastu dni zdecydowano, że należy go wywabić na zewnątrz. Poszedł po niego Benno. Amos odmówił otwarcia drzwi, więc Benno uciekł się do pomocy wytrychu. Widok Amosa wprowadził go w osłupienie. Materiały, którymi wóz był kiedyś udekorowany, zostały zdarte i rzucone na podłogę. Amos przykucnął nad Bess. Włosy miał potargane, oczy zapadnięte, ramiona pokryte głębokimi zadrapaniami.

– Och – powiedział Benno. – Przepraszam, przepraszam. – Podał Amosowi rękę, lecz ten jej nie uścisnął.

Benno oparł się o ścianę i zsunął, aby usiąść na podłodze. Amos obrócił się do niego plecami.

Przez większość godziny siedzieli w milczeniu. W końcu odezwał się Benno:

– Nie pamiętasz pewnie siebie z czasów, kiedy do nas trafiłeś. Prawie cię wtedy nie widywaliśmy. A ten widok... – Machnął ręką i świsnął przez zęby. – Fft. Nic. Byłeś jak pusta szklanka. Kruchy, myślałem. Potem zacząłem widywać cię z małym

konikiem. Przypominałeś mi mojego najmłodszego brata. I byłeś dla mnie miły. Dla mnie ludzie nieczęsto są mili. Postanowiłem troszczyć się o ciebie. Kiedy Ryżkowa zaczęła cię uczyć, pomyślałem, że dobrze się stało. – Benno podrapał się po głowie i uderzył nią o ścianę. – Później zjawiała się Evangeline. – Poczul na sobie spojrzenie Amosa i aż przebiegł go dreszcz. – Ryżkowa się jej bała. Poprosiła mnie, żebym na ciebie uważał. Chronił cię. – Zaśmiał się sucho.

Amos obrócił głowę na ten dźwięk.

– Zadałem sobie pytanie, co mogło być tak przerażające, że wypędziło Ryżkową. Więc patrzyłem. I wtedy zobaczyłem, jak Evangeline się wymyka. Później umarła rzeka, a później miasteczko... Przykro mi.

Zapadła cisza. Amos wziął córeczkę w ramiona. Siedzieli tak kilka godzin, aż promienie słońca, które przeświecały w szczelinach między deskami, rozpląnęły się w nicość. Bess kaszlnęła i kichnęła.

– Dziecko – wymamrotał Benno. – Ono straciło już zbyt wiele. – Wstał i otworzył drzwi. – Tyle było kłamstw, przykro mi, że przyczyniłem się do nich. Przepraszam, przyjacielu. Odszukam dla ciebie Ryżkową. Pewnie pojechała do swojej córki, Kateriny. Znajdę ją i powiem, co się wydarzyło. Wróci. Będziecie mogli znów pracować i nauczycie tego twoją dziewczynkę. Zrobię to dla ciebie. Nie będziesz sam. – Wychodząc, zamknął za sobą drzwi. Rano już go nie było.

Czas Amosa wypełniały sekretne zajęcia. Bess ucichła, nie wydała żadnego dźwięku, odkąd wrócili z plaży tamtej nocy. Godzinami Amos siedział przed córką, próbując sobie przypomnieć, jak odczuwał głos Evangeline, kiedy przyciskał ucho do jej piersi. Próbował wydać z siebie dźwięk, z gardła wydobywał mu się jedynie nieprzyjemny charkot. Przykładał Bess do piersi w nadziei, że bicie serca pobudzi w niej chęć wydania dźwięku. Tak się nie stało. Karty leżały w szkatułce nietknięte. Były naznaczone przez wszystko, co zaszło między nim, Ryżkową a Evangeline. Będzie musiał wielokrotnie je oczyścić, trudno powiedzieć, ile razy. Wiedział, że to zniszczy ostatnią część Evangeline, która nadal w nich żyła. Jego błędem było to, że nie oczyścił kart po odejściu Ryżkowej. Chciał po prostu w jakiś sposób zatrzymać kobietę, która go wszystkiego nauczyła. Skutek był jednak taki, że jej strach przeniknął karty i przeobraził się w klątwę, która splótła się z ich losami. Pocałował Bess w czubek głowy. Nie nauczył jej tego języka.

Powróciła klatka Dzikiego Chłopca. Przyszła jesień, a oni jechali na północ w nadziei, że dotrą do Nowego Jorku przed pogorszeniem pogody. Wóz Les Ferezów przemalowano na zielono i ozdobiono groteskowymi malunkami przedstawiającymi dzikusów.

Rozbili obóz na północ od Burlington na polance pod osłoną starych dębów. Przystanek był nieprzewidziany, ale wszyscy czuli znużenie, ponieważ z powodu zmniejszenia się liczby ludzi do pracy podróż stała się znacznie bardziej uciążliwa.

Peabody poszedł do wozu Amosa. Drzwi się uchyliły i w szparze błysnęło ciemne oko.

– Drogi chłopcze, najwyższy czas, żebyś wrócił do pracy. To cię podniesie na duchu, a i dziecku zrobi się lepiej, jeżeli zobaczy cię weselszego. Twój stary numer. – Zakaszłał. – Taki jak wcześniej. Myślę, że dasz radę. – Drzwi nie otworzyły się ani trochę szerzej. Peabody przygryzł dolną wargę, zjeżyły mu się włosy na brodzie. – Kiedyś radziliśmy sobie dobrze, tylko ty i ja. Proszę, wróćmy do tego. Zaczniemy od początku.

Drzwi zatrzaśnięto mu przed nosem.

Wiele godzin później Amos wyszedł z wozu z Bess na rękę. Wychudł jak bezański pies, ubranie na nim wisiało. Przeszedł przez obozowisko obserwowany przez wszystkich. Zapukał do drzwi Peabody'ego, który otworzył od razu – w przekrzywionym kapeluszu, ale uśmiechnięty.

– Dobrze widzieć cię z powrotem, chłopcze. I do tego z naszą dziewczynką, która każdego dnia staje się coraz piękniejsza. Zupełnie jak...

Amos oddał Bess Peabody'emu. Przez długą chwilę patrzył na nią, po czym obrócił się na pięcie i odszedł. Peabody wziął Bess na ręce. Patrzył za Amosem, który minął obozowisko, wszedł w las i zniknął za drzewami. Było za późno, żeby posłać za nim Meixela. Niemowle patrzyło w niebieskie oczy Peabody'ego, zacisnęło piąstkę na końcu jego brody i zaczęło gaworzyć.

– Moja najcudowniejsza dziewczynko – powiedział najdelikatniejszym głosem, jaki mógł z siebie wydobyć. – Co my tu mamy?

W lesie Amos pozbył się butów. Jego gołe stopy powitały ziemię, palce zakopały się w igliwiu. Płaszcz rzucił na kępę wrzosów, rozstał się z podniszczoną apaszką i koszulą. Idąc, rozbierał się, aż w końcu nic nie stało między nim a naturą. Jego skóra, ukrywana przez tyle lat pod ubraniem, zbieła. Ciemnobrązowe dłonie wyglądały, jakby należały do kogoś innego.

Szedł długo, przedzierał się przez gąszcz i wspinał na niewielkie wzniesienia. Stąpił bezgłośnie po płataninie korzeni i po kamieniach. Cały czas delikatnie głaskał skrawek wstążki owinięty wokół kciuka. Zatrzymał się u podnóża trzech dość wysokich skał. Szmer wskazywał na to, że znalazł się nieopodal strumienia. Usłyszał w nim głos Evangeline. *Jesteś w domu. Ja jestem twoim domem.*

Wspinał się na te skały, szukając oparcia dla stóp, zaczepiając palce o szczeliny, aż wreszcie przycupnął na szczycie najwyższej z nich. Jego oddech stał się wolniejszy. Amos poczuł się znów jak w czasach przed poznaniem Evangeline, Ryżkowej i Peabody'ego, jak w czasach, kiedy zakradł się do domu, w którym się urodził. Słońce zachodziło, wydłużając cienie. Od skał odbiło się pohukiwanie sowy. Amos siedział. Jego cień mieszał się z cieniami drzew i zarośli czarnymi jak włosy Evangeline. Jego oddech wciąż zwalniał, aż zrównał się z tchnieniem

otaczającego go świata i stał się delikatną bryzą, niczym więcej. Łączył się z niebem i lasem, aż granice wyznaczające początek i koniec rzeczy uległy rozmyciu. Smutek zniknął. W jednym momencie młody mężczyzna siedział na skalnej półce, w następnym już go nie było.

Kilka dni później Melina znalazła ubrania Amosa i wstążkę Evangeline. Przyniosła je Peabody'emu, który natychmiast kazał je spalić. Melina powiedziała mu, że to zrobiła, ale schowała je w swoim kufrze dla Bess. Musiał pozostać przecież jakiś ślad po jej rodzicach. Każde dziecko chce wiedzieć coś o matce i ojcu.

Peabody opiekował się Bess niczym własną córką. Hołubił ją, a wychowanie jej uważał za najważniejsze osiągnięcie w swojej karierze właściciela wędrownej trupy cyrkowej. Dopilnował, żeby nauczono ją pływać. Bess w wodzie przypominała zwinną rybkę. Peabody zachwycił się tym, że malutka potrafi nadzwyczaj długo wstrzymać oddech. Wieczorami obok kolumn cyfr szkicował zbiornik na wodę. Szkło. Gdyby tylko udało im się dostać szklany... Włosy Bess, długie i czarne, przypominały włosy jej matki. Oczy pozostały dzikie jak u ojca.

Na piąte urodziny Peabody podarował jej misternie zdobioną szkatułkę z namalowanymi na wieku księciem i Żar-Ptakiem.

– Bess, moja gwiazdeczko – mówił, kiedy próbowała ją otworzyć. – Te karty są niezwykle. Należały do twojego ojca, człowieka naprawdę wyjątkowego. W nich znajduje się klucz do całego świata. Czas, żebyś zaczęła się uczyć. Mam wieści od mojego syna Zachary'ego. Nasz przyjaciel Benno znalazł ci nauczycielkę. Ma na imię Katia i jest córką mentorki twojego taty.

Delikatne paluszki Bess dotknęły pomarańczowej talii, obróciły pierwszą z brzegu kartę. Błyskawica i płomień – rozdarte niebo. Wieża.

Rano budzi nas walenie do drzwi. Udało nam się przetrwać noc. Alice stoi przed frontowymi drzwiami i stuka w szkło przedramieniem. Jest w spodniach od pizamy, ale włożyła wysokie zielone gumowce, praktyczna jak zawsze.

Enola budzi się, kiedy nią potrząsam. Poklepuje Doyle'a, żeby się ocknął.

– Chodź – mówię. – Pomóż mi usunąć płaszcze, żebym mógł wpuścić Alice.

– Ona tutaj jest? Myślałam, że mamy jej zostawić klucze.

– Pewnie chce sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Odsuwam krzesła, odrzucam płaszcze i swetry, które z mokrym plaśnięciem lądują na dywanie. Alice kołysze się na palcach. Musiało się coś stać. Otwieram drzwi.

– O Boże – wzdycha Alice. – Zalało bibliotekę? Jak bardzo?

Książki. Oczywiście, przyjechała tutaj dla książek. A ja chciałem, żeby martwiła się o mnie. Pojąłem to wtedy, kiedy się zorientowałem, że dla niej ważniejsze są książki.

– Najgorzej jest na dole. Starłem się uratować, co mogłem. Uszczelniłem tylne drzwi. Niestety, nie dało się dużo zrobić. Przykro mi. Księgozbiór wielorybiczny jest oczywiście bezpieczny.

– Oczywiście. W księgozbiórze cała nasza nadzieja. – Jej słowa są pozbawione radości. Przygląda mi się od stóp do głów. – Jesteś cały?

– Jasne.

Alice mnie obejmuje; szybki uścisk, ciepły i czuły.

– U ciebie wszystko w porządku? – dopytuję.

Bierze głęboki wdech. W szkole średniej dziewczyny urządzały zawody, która dłużej wstrzyma oddech. Alice nie oddychała tak długo, że aż zemdlała. Teraz błyskawicznie wyrzuca z siebie słowa.

– Musisz pojechać ze mną. Twój dom się wali. Jeśli chcesz coś z niego wziąć, to tylko teraz.

Mówi coś jeszcze, ale nie słyszę tego, ponieważ Enola klnie.

– Gówno, gówno, gówno.

– Jest źle? – pytam.

– Jest źle. Drogi są nadal zalane. Ojciec powiedział, żebym cię sprowadziła. Dzwonił i dzwonił, ale ja nie odbierałam. Podniosłam w końcu słuchawkę, bo pomyślałam, że to może mama. Tylko dlatego. – Szarpie kosmyk włosów. – Naprawdę jest mi przykro. Zobacz, przyjechałam ciężarówką ojca. Jedźcie za mną, poprowadzę was przejezdnymi drogami. Wszystko z domu możecie załadować do ciężarówki.

Na parkingu woda sięga nam do kostek. Pakujemy się do mojego samochodu i wolno jedziemy za Alice. Prowadzi nas niemal na środek wyspy. Port nadal musi być odcięty.

Enola cały czas klnie pod nosem.

– Macie szansę zabrać rzeczy – prycha Doyle. – To dobrze.

Jedziemy w górę Middle Country Road. Po obu stronach stoją porzucone auta – samochodowe miasto widmo. Alice skręca na północ, ku wodzie. Prowadzi nas bocznymi ulicami, wymija powalone drzewa. Dojeżdżamy do Till Road i Enola zaczyna płakać. Alice parkuje na podjeździe Franka. Zatrzymuję się tuż obok. Nie chcę patrzeć, dopóki nie wysiądę z samochodu i nie będę mógł spojrzeć temu prosto w twarz. Widzę obrys domu zwisającego z klifu i przekrzywionego jak czapka Irlandczyka. Stajemy koło niego – cztery małe postacie, niewiele większe niż lalki z papieru; dwie z nich się obejmują – między nimi aż iskrzy. Dzieci u bram naszej historii.

– Wrzućcie wszystko, co się da, na ciężarówkę i wracajmy do mnie – ponagla Alice. – Możesz zostać u mnie.

– Dzięki, obiecuję, że nie na zawsze.

– Dogadamy się. – Ściska moją dłoń. – Muszę porozmawiać z mamą. – Idzie w kierunku domu, w którym dorastała, i przez minutę nie wiem, kto ma gorzej. Później dociera to do mnie. Alice.

Enola mówi Doyle'owi, żeby poczekał przy samochodzie.

– To wykopaliska. Tylko Watsonowie.

Chociaż odpowiada: „Jasne”, brzmi to, jakby chciał powiedzieć: „Bądź ostrożna”.

Drzwi zwisają z zawiasów, dziura w salonie stała się jamą. Na ścianie między kuchnią a salonem rysuje się szeroka szczelina. Wyobraźnia podsuwa mi obraz roześmianej mamy biegnącej przez przedpokój. Idziemy wzdłuż ścian, opierając się o meble. Przypominam sobie Enolę chowającą się za kanapą. Enola widzi, że nadal kuleję, więc podaje mi ramię.

– Weź to zdjęcie – prosi, wskazując. – To, na którym jestem z mamą.

– Frank je zrobił.

– Oduść sobie – ściąga je ze ściany.

Moja dorosła siostra podaje mi swoje zdjęcie z dzieciństwa.

– Będziesz chciał je mieć.

– Ty nic nie chcesz?

Potrząsa głową.

– Nigdy cię nie prosiłam, żebyś tu zostawał, prawda? Dom się zawali, a ty powinieneś zapomnieć, że kiedykolwiek tu stał. Bądź szczęśliwy, dobrze?

W przedpokoju rozlega się ostry pisk. Sztywniejemy. Palce Enoli wbijają się w moje ramię. Dźwięk przechodzi w głębokie wycie i trzask. Zatykam sobie uszy. Za późno. Enola coś mówi, chyba: „Co jest, do cholery?”. Tynk zaczyna się na nas sypać. Wołam: „Uciekaj!”, bo podłoga się kołysze. Chowam głowę między kolana. Zasysający spazm. Rozdzierający dźwięk. Rzuca mnie najpierw na frontową ścianę, a następnie na biurko. Krzesło się przewraca. Szkło pęka. Spadają na mnie papiery i książki. Gwałtowny podmuch wdiera się od spodu. Wreszcie dźwięk zamiera i podłoga nieruchomieje. Dzwoni mi w uszach. Powietrze w pokoju zgęstniało od pyłu.

Enola wcisnęła się w róg przy kanapie, drży. Częściowo zasypały ją jakieś papiery.

– Cholera! Nic wam nie jest? Wszyscy cali? – Doyle stoi w drzwiach, z nerwów powtarza cały czas to samo.

Przez kurz i syjący się tynk z przedpokoju przebija się światło dnia. Oplecione mackami ramiona podnoszą Enolę i ciągną mnie przed dom, na pozostałość po naszym trawniku. Uścisk Doyle’a poraża prądem.

Przysiadamy na masce mojego samochodu. Zniszczenia są niewiarygodne. Cała jedna strona domu się zawaliła. Zawartość pokoju moich rodziców rozsypała się po całym klifie wraz z fragmentami kamiennych fundamentów. Najdalej zajechało łóżko: materac skrył się w trawie, zagłówek oparł o resztki grodzi. Buty taty spadły i wylądowały w wodzie. Miałem je wyrzucić, jednak nigdy się na to nie zdobyłem.

Skrzypłocze nadal są na plaży. Powinny były odejść po tym, jak spaliłem rzeczy Franka i księgę. Lub zniknąć razem ze sztormem, który zabrał mój dom. Uczucie, że coś mi umknęło, jest teraz znacznie silniejsze. Wszędzie leżą kartki papieru – jak liście lub płatki śniegu – moja rodzinna historia rzucona na wiatr. Dlaczego skrzypłocze nadal tu są?

– Czy to maszyna do pisania naszej mamy? – pyta Enola.

Zgadza się, maszyna leży oparta o sosnę wirginijską w otoczeniu jakichś książek, pewnie podręczników. Zawaliła się część komina. Narzędzia taty zasypał piasek. Przepadło. Wszystko. Enola wyciąga karty z kieszeni. W świetle dnia są brązowe i zużyte, strawione przez tłuszcz wydzielany przez gruczoły skóry Enoli, mamy i innych osób. Pachną kurzem, papierem i kobietami. Enola kładzie je obok siebie na masce samochodu. Doyle zaczyna nerwowo chodzić w tę i z powrotem.

– Odłóż to, Mały Ptaszku – prosi.

– Nie – rzuca Enola i zwraca się do mnie: – Przełóż.

– Dobrze – mówi Doyle. – Idę się przejść. Muszę się przejść.

Wymachując rękami, idzie w górę ulicy.

Dotykam kart, kart, które należały do mamy. Próbuję ją poczuć, ale nie ma tam nic oprócz miękkiego papieru, włókien dotkniętych rozkładem nie do zatrzymania. Przekładam karty. Pewna myśl zaczyna kiełkować. To niemożliwe. To nie mogą być te karty.

– Trzy kupki – nakazuje Enola.

Patrzy w skupieniu, jakby czekała na coś, co ma się stać, później zaczyna szybko tasować karty i rozkładać je na masce.

To rozkład, którego nie widziałem wcześniej – ani Krzyż, ani Sześć Rzędów – siedem kart ułożonych w literę V. Enola kaszle i zbiera karty, zanim zdążyłem je zobaczyć.

– Źle, przełóż jeszcze raz. – Tasuje i rozkłada je jeszcze szybciej. Zanim znów zgarnęła karty, udało mi się dostrzec miecze, mnóstwo mieczy i coś, co niegdyś było kobietą.

Enola ponownie przetasowuje karty. Wzdryga się.

– Jeszcze raz.

Przekładam, ona tasuje, rozkłada i składa karty po raz trzeci. Dostrzegam kartę, która niegdyś pewnie była czarna. Diabeł albo Wieża.

– Zawsze to samo – wzdycha Enola i po raz kolejny zaczyna wszystko od nowa.

Kiedy podaje mi karty do przełożenia, mówię jej, żeby przestała. Ona chwytą moją rękę i zmusza mnie do przełożenia. Kiedy znów chce zebrać karty, łapię ją za nadgarstek.

– Nie – mówię.

– Cholera.

Siedem kart ułożonych w idealną literę V. Diabeł, Wieża, Królowa Mieczy, Trójka Mieczy, Wisielec i karta zbyt zniszczona, żeby ją odczytać. Enola mówi, że to Król Mieczy. Kiedy pytam ją, co to znaczy, kręci głową i zabiera każdą kartę po kolei, po czym odkłada je do talii i chowa w kieszeni. Pada na maskę jak nieżywa.

– To są nasze karty – szepcze tak cicho, że ledwo ją słyszę.

– Co?

– To samo w kółko i w kółko. – Mocno przyciska palec wskazujący do czoła. – Pojawiają się w takich miejscach... Nie ma powodu, żeby tam były. Na przykład wróżę jakiejś kobiecie, czy będzie mieć dzieci... Trach, oto i one! Wieża. Diabeł. Śmierć. I woda. Cholera, pełno tu wody.

Robi mi się niedobrze, czuję nadciągający cień. Tak, te karty są bardzo stare. Dlaczego księga znalazła najpierw Churchwarry'ego? Ponieważ jest potomkiem Ryzkowej. To był właśnie ten element, który cały czas nam umykał: karty!

– Co Frank powiedział ci o tych kartach?

– Że należały do mamy, a wcześniej do jej mamy. Nie wiem. To było ponad sześć lat temu. Moja pamięć jest gorsza od twojej.

Satysfakcja z rozwiązania zagadki umożliwia mi wgląd, który wywołuje wyrzut dopaminy. To nie może być prawda. Zimny pot. Rysunki w księdze przedstawiały karty madame Ryżkowej, Amosa i Evangeline. Enola wydarła te rysunki, gdyż знаła je ze swojej talii, talii mamy. Księża znalazła najpierw Churchwarry’ego, bo najpierw była Ryżkowa. Następnie zaprowadziła go do potomków Amosa i Evangeline. Zebrała nas wszystkich razem, abyśmy mogli zdjąć klątwe. A ja ją spaliłem.

– Wydarłaś z księgi rysunki tych kart. Dokładnie tych samych kart. Dlaczego?

– Musiałam, wiesz?

Pytam dlaczego i nie dostaję odpowiedzi.

– Enola, odłóż te karty.

Nie patrzy na mnie.

– Nie.

– Oddaj mi je.

– Nie. – Zrywa się na równe nogi.

Enola, morze, piasek i brzeg. Jest spięta i nieustępliwa, same ścięgni, mięśnie, kości i jasny płomień – niczym u tygrysa Blake’a. Ona wie. Częściowo wierzy, że ma umrzeć.

Z komody wypadła szuflada i rozbiła się o skały. Ta, w której był zegarek taty. Tata uparcie nosił zegarek nakręcany, podczas kiedy niemal wszyscy mieli zegarki na baterie.

– Naprawię to, już to naprawiam – zapewniam ją.

– Nie ma nic do naprawiania. Tak się po prostu dzieje.

Mdłości. Mdłości. Mdłości. Kwaśny smak w ustach.

Przytulam ją. Jest za duża, żebym ją udźwignął, ale chciałbym zabrać nas oboje daleko stąd.

– Wyjedziemy. Pojadę z tobą, dokądkolwiek zechcesz. Obojętnie. Chodźmy. Dokądkolwiek. Ty, ja, Doyle i Alice.

– Bracie mój, kocham cię troszkę, choć jesteś beznadziejnym kłamcą.

– Przysięgam. – Mama pewnie usiłowała pozbyć się kart, Frank ją źle zrozumiał. Z klifu stacza się regał z książkami. Enola patrzy na wodę.

– Pięknie tu. Zupełnie o tym zapomniałam.

– Mogę zobaczyć karty?

– Nie.

– Nie wszyscy toniemy w dziwnych okolicznościach. Ja przecież żyję, a ty już nie pływasz.

Znów jej tłumaczę, że pojedziemy w każde miejsce, które wybierze. Biblioteki są przecież wszędzie. Mogę pracować wszędzie. Znowu będzie z nami dobrze, z nią i ze mną. Przyrzekam, że nie będę jej niańczył. Mówię, że mogę ją nauczyć wszystkiego, co sam wiem o książkach i byciu bibliotekarzem, co wywołuje jej śmiech.

Gdzieś, w świecie równoległym, tak się właśnie dzieje: wskakujemy do samochodu i jedziemy przed siebie, licząc mijane auta. Wyrzucamy karty do rzeki i z uśmiechem zauważam, że jest tak, jak mówiła Enola: ostrygi wyglądem przypominają falbanki na majtkach. Wynajmujemy dom, nowy, świeżo pomalowany. Zaczynamy od początku.

Gdzieś w świecie równoległym, ale nie tu.

Słyszemy huk. Najpierw pękają fundamenty pod przedpokojem, a następnie kuchenka, lodówka i szafki lecą w dół. Frank z krzykiem wybiega ze swojego domu. Dachówki toczą się po klifie. To koniec. Domu nie ma.

Przybiega do nas Doyle. Mocno obejmuje Enolę, unosi i lekko kołysze. Postawił ją na ziemi dopiero wtedy, kiedy mocno uderzyła go w bok.

Frank – jakby mniejszy i pusty – podszedł do skraju klifu. Obok niego leży jego kapelusz.

Zbliżam się do niego.

– Ona kochała ten dom – szepcze, jakby zaważyło się życie jego, nie moje.

Skrzypienie, które przechodzi w głośny trzask... Frank gwałtownie mnie popycha. Łóżko Enoli zjeżdża po połamanych deskach i zatrzymuje się gdzieś w połowie zbocza.

– To moja wina.

– Muszę wiedzieć wszystko o kartach, które dałeś mojej siostrze. Czy mama coś ci o nich powiedziała?

– Wasz tata planował, że się przeprowadzicie, wyjedziecie stąd. Powiedziałem Paulinie, że to mnie zabije. Nie wyobrażałem sobie życia bez niej. Dała mi te karty i powiedziała, żebym je zatrzymał. Należały do jej mamy i babci. Pomyślałem, że wróci, skoro powierzyła mi coś tak cennego.

Frank patrzy teraz nie na gruzy, lecz na mnie. Ma przekrwione oczy. Takie same miał po śmierci mój ojciec.

– Przekazywały sobie te karty, jakby to była biżuteria.

Czuję, że moja skóra stała się za ciasna, że zaraz eksploduję. Moja mama musiała zobaczyć w kartach swój koniec. Ten sam układ, który wychodzi teraz Enoli, a wcześniej wyszedł Veronie Bonn i wszystkim innym kobietom, od Ryżkowej począwszy. Kobiety w mojej rodzinie przekazywały sobie tę talię. Ich palce, dotykając kart, nasączały je nadzieją i strachem, strachem, który działał jak klątwa. Oczywiście nie oczyszczały kart, ponieważ za ich pośrednictwem

rozmawiały ze swoimi matkami. Rozumiem to. Przecież nie potrafiłem opuścić domu, w którym prowadziłem dziwną konwersację ze swoimi nieżyjącymi rodzicami. W księdze odnotowano, że między Ryżkową a jej uczniem nastąpił rozdźwięk, którego przyczyną była syrena. Enola powiedziała, że karty tworzą historię. Racja. Ale karty także zabijają. Należały do Ryżkowej, do Amosa i Evangeline, i tak dalej... Każde z nich zostawiało w tych kartach część siebie, każde nasycalo je lękiem, który działał jak trucizna.

Wiatr rzuca kartkę papieru na rumowisko. Jedyne papier, który naprawdę coś znaczył, nigdy nie był w moim posiadaniu – miała go Enola.

– Przykro mi – wzdycha Frank i czeka na moją reakcję.

– Przykro mi z powodu domu – mówię, choć to nieprawda.

Zostawiam go nad klifem, opłakującego dom. Słyszę, że grzebie w rumowisku, szukając śladów po mamie. Stracił ją dwukrotnie. Ja straciłem ją tylko raz.

Widzę, że Enola trzyma rękę głęboko w kieszeni. Każde przetasowanie kart sprawia, że klątwa mocniej na nią działa. Doyle patrzy na mnie nad głową Enoli. Pyta o Franka i rzuca mi zmartwione spojrzenie. On również dotykał kart – Doyle, którego moja siostra okłamuje, ponieważ się boi, ponieważ go kocha.

Do Franka podchodzi Alice, kładzie mu dłoń na ramieniu. Wiem, że nie ma na to najmniejszej ochoty, i robi mi się przykro. Ona właśnie taka jest: kochająca córka, kobieta praktyczna, osoba odpowiedzialna. Powoli prowadzi ojca w stronę domu. Tego domu, w którym kiedyś tak bardzo chciałem zamieszkać.

Pytam Enolę, czy nie porozmawiałaby z Frankiem.

– Alice nie powinna siedzieć z nim sam na sam, a Leah w twojej obecności nie będzie robić mu wymówek.

– Myślałam, że ucieszylbyś się z jego śmierci. – Enola patrzy na mnie oskarżycielsko.

– Alice by się nie ucieszyła. Teraz jest wściekła, ale szybko jej przejdzie.

Enola spogląda na Doyle'a i znowu na mnie.

– Co, do cholery, miałabym mu powiedzieć?

Doyle mierzwi jej włosy w sposób jednocześnie zaborczy i wyrażający pocieszenie. Enola przygryza dolną wargę.

– Proszę – nalegam. – Zrób to dla mnie.

– Zgoda.

Doyle zamierza iść za nią, więc mówię, żeby poczekał.

Wzrusza ramionami. Obaj śledzimy wzrokiem Enolę idącą ku Frankowi. Z każdym jej krokiem powtarzam refren: „Bądź grzeczna, bądź grzeczna. Proszę, bądź grzeczna”.

– Dużo od niej wymagasz, wiesz?

– Możliwe – odpowiadam i ruszam w stronę klifu, kuśtykając.

Doyle podąża za mną. W jego spojrzeniu znowu maluje się zmartwienie.

– Nic im nie będzie. Nic jej nie będzie – powtarza niczym zaklęcie.

Natrafiam na roztrzaskaną szafkę nocną taty: rozrzucone pisma, butelki z lekarami, klucze od zamków, których dawno nie ma. Z zachodu dobiega dźwięk sygnalizujący nadpływający prom.

– Mówiłeś, że skąd pochodzi twoja rodzina?

– Mama jest z Ohio.

„Ohio” brzmi dobrze. Brzmi jak nazwa miejsca, do którego nigdy bym się nie wybrał. Jak nazwa suchego miejsca.

– Dlaczego tutaj przyjechaliście? Co Enola ci powiedziała?

Doyle wkłada ręce głęboko do kieszeni spodni. Bierze wdech i wydaje długi syk.

– Powiedziała mi, że jesteś chory. Że możesz chcieć coś zrobić, coś takiego jak wasza mama. Pomyślałem, że nie powinna być z tym sama. No nie wiem... Słyszałem o syrenach i widziałem, na ile minut potrafisz wstrzymać oddech, ale sam już nie wiem.

– Kłamała.

Doyle milknie.

– Enola mnie nie okłamuje – stwierdza po dłuższej chwili.

– Nauczyłem Enolę wstrzymywania oddechu. Jest w tym lepsza ode mnie, przynajmniej była. Powiedz mi, co jest gorszego niż choroba brata? Dla ciebie.

Jęczy i opuszcza głowę. Gołą stopą kopie kamyk, który odbija się od stłuczonego lustra i znika wśród poruszających się pancrzy. Wytatuowane macki oplatają jego kostki i biegną wzdłuż palców stóp.

– Cholera.

– Wiesz trochę o mojej rodzinie. Opowiem ci coś jeszcze, opowiem ci o kartach, zwłaszcza o kartach.

Słońce stoi wysoko, przypomina jaskrawy pocisk unoszący się nad wodą. Opowiadam o wędrownej trupie cyrkowców, o Rosjance i talii pomarańczowych kart. O tym, że ten, kto ich dotknie, zostawia w nich część siebie. I że wszystko to razem tworzy klątwę działającą jak trucizna.

– Czasem przywiązujesz się do rzeczy, ponieważ szukasz w nich kogoś... Kogoś, kto miałby cię pokochać. Najlepsze intencje bywają zabójcze.

Enola, Frank i Alice idą do domu. Odpływ odsłonił setki skrzyploczy.

Doyle odzywa się po długiej przerwie.

– Chcesz, żebym zabrał jej karty?

– Ja powinienem je zabrać, żebyś ty nie musiał tego robić. Myślę, że kiedy znikną, wszystko będzie dobrze.

– Mogę wykraść karty z jej kieszeni – mówi cicho. – Kiedyś już to zrobiłem. Trzyma je w specjalnej szkatułce. Ją też chcesz?

– Jasne.

Patrzę na niego i dostrzegam w nim chłopca wystukującego palcami rytm wyimaginowanej melodii.

– Mogę cię o coś zapytać?

Wzrusza ramionami.

– Dlaczego ośmiornica?

Rumieni się, jego skóra pod tuszem staje się ciemniejsza.

– Mój ojciec był w marynarce. To taki stary marynarski symbol. Broni przed złem.

– Mogę zapytać o coś jeszcze?

– Elektryczność?

Kiwam głową.

Doyle wykrzywia usta.

– Lekarz powiedział mi, że mam w sobie za dużo soli i z tego powodu dobrze przewodzę prąd. Wydaje mi się, że nie miał pojęcia, o czym mówi. Pewnego dnia po prostu dotknąłem włącznika. Miała się zaświecić lampa, zaświeciłem się ja. Czy to takie ważne, żeby wiedzieć czemu?

– Kochasz moją siostrę.

– Zamierzam okraść ją dla ciebie.

Po drugiej stronie wody prom minął Middle Ground Light. Nadchodzi pora odpływu, woda ledwo oblewa skały. Doyle patrzy na mnie, mrużąc oczy. Obraca się i biegnie do domu Franka. Tuż przy drzwiach woła Enolę i wchodzi do środka.

Czekam, przyglądając się pozostałościom naszego domu. Ze ścian sypie się tynk, wszędzie unoszą się papiery. Ten dom istniał przed nami. Po naszej śmierci nie zostanie nic, żaden dom na potwierdzenie naszego istnienia. Roztopimy się w niebycie. Ale to nastąpi później, zdecydowanie później. Na pewno nie dziś.

Dokładnie teraz Doyle musi sięgać do kieszeni Enoli po karty. Może kiedy głaszcze ją po plecach, może kiedy się nad nią nachyla. Kiedy chwyci talię, będzie niemal tak, jakby złapały ją macki ośmiornicy. Czuję nadzieję. Kiedy znikną karty, klątwa zniknie wraz z nimi.

Po niecałym kwadransie Doyle biegnie ku mnie ze szkatułką w ręku. Pytam, czy Enola się zorientowała. Doyle potrząsa głową. Na jego twarzy maluje się poczucie winy.

– Będzie wkurzona – sapie. – Ale przynajmniej żywa.

– Przykro mi, że musiałeś ich dotknąć. Wracaj do Enoli.

Szkatułka o zaokrąglonych krawędziach jest mniejsza, niż przypuszczałem. Mieści się w mojej dłoni. Przez warstwy startej farby prześwituje czerwone drewno. Wieczko pokrywa wyblakły obrazek; wąsaty mężczyzna, ptak z ogonem z płomieni. *Och, pamiętam cię.* Unoszę wieczko i przez moje palce przebiega prąd. Może tak

czuje się Doyle, kiedy dotyka światła? W środku pomarańczowy papier tak spłówiały, że niemal żółty, miękki i wytarty przez dotyk wielu dłoni moich krewnych. Opuszczam wieczko.

Stawiam stopę na plaży i natychmiast oblażą ją skrzypłocze. Nie ma jak zrobić kroku, żeby na żadnego nie nadeprnąć.

Simonie.

Skorupiaki zatopiły boje, wciągnęły je głęboko pod wodę. Musiałbym chodzić godzinami, żeby je znaleźć. Ponownie spoglądam na szkatułkę. Potrzebuję piasku, kamieni, czegoś do obciążenia. Skrzypłocze robią dla mnie przejście, mam wrażenie, że znają moje zamiary. Szkatułka jest za mała, żeby pomieścić znaczną ilość kamieni. Muszę je zakopać, żeby mieć pewność, że karty znikną na zawsze. Żeby dać czas destrukcyjnym siłom zatoki.

Woda jest lodowata, wzdrygam się przy pierwszym kroku. Mimo to mam wrażenie, że szkatułka parzy niczym płomień. Na dnie leży mnóstwo skorupiaków, lawirowanie między ich szczypcami i pancerzami zdecydowanie spowalnia moje kroki. A one, zamiast się ode mnie odsuwać, napierają, ryją piasek i smagają moje pięty kolcami ogonowymi. Mógłbym pomyśleć, że mnie ponaglają. Wspinają się po nogawkach moich spodni, czepiają się niczym dzieci rodzica. Czyżby się obawiały, że mógłbym zmienić zdanie i uciec? Kiedy strzepuję jednego, pojawia się następny.

Poruszam się powoli. Skrzypłocze wspinają się coraz wyżej, obciążają mnie. Woda sięga mi do piersi, a one są już pod moją koszulą. Przyciskam szkatułkę z całych sił do siebie. Teraz. Wydech. Szybki wdech i zassanie do żołądka. Przepona do góry jak napięty bęben. Pępek do kręgosłupa. Raz. Dwa. Trzy. Szybki wdech i rozszerzanie żeber. Sztuczka polega na tym, żeby oddychać szeroko, ale nie wypuszczać powietrza. Sztuczka polega na tym, żeby oddychać, jakbyś był spragniony. Uczepione mojego ubrania skorupiaki opadają na piaszczyste dno. Jestem pod wodą.

Simonie.

Głos mojej matki unosi się w wodzie, jakby nigdy nie odeszła. Każdy krok sprawia mi ból. Glony i cała horda skrzypłoczy przesłaniają światło docierające znad wody. Kiedy patrzę w górę, dostrzegam cienkie promienie przeświecające przez mętną, słoną toń. Muszę iść dalej. Nie mogę zaryzykować, że karty zostaną wyrzucone na brzeg. Ostry odwłok kłuje mnie w bok i uderza o szkatułkę. Mijam na wpół pogrzebany w piachu rower oblepiony pąklami i szczelnie pokryty przez skorupiaki – od dawna stanowi część zatoki. Mój brzuch dygoce. Ucieka mi odrobina powietrza – czkawka. Idę.

Ostre odnóże wbite w szyję, pancerz zaplątany w moje włosy. Przeszywa mnie dreszcz. Zatrzymać się. Strzepnąć natręta. Skrzypłocz stacza się po moich plecach, objając się o inne, dopiero się wdrapujące. Jeszcze więcej uszczypnięć i zadrapań.

Drgam. Pozbyć się tego świństwa.

Simonie.

Cicho. Cicho. Mam zadanie do wykonania.

Drapanie, kłucie. Ciężar. Kolejny atak czkawki. Zrzucić z siebie te paskudne stwory. Szkatułka wysuwa mi się z dłoni i natychmiast opada na dno. Wieczko się otwiera. Karty płyną w różnych kierunkach, a sama szkatułka znika pod dziesiątkami pancerzy. Iwan Carewicz pochwycony przez szczypce. Żar-Ptak zatopiony. Czkawka. Powietrza ubywa. Schylam się, chwytam szkatułkę... Teraz nie mogę się podnieść. Skrzypłocze uczepliły się moich rękawów. Kłębią się na mojej szyi. Wieża unosi się i znika w imponujących szczypcach. Kopię na lewo i prawo. Próbuję się uwolnić od pełzającego ciężaru. Moja chora kostka ugina się pode mną. Upadam. Skrzypłocze atakują. O Boże. Tysiące odnóży, setki odwłoków. Na moim brzuchu, klatce piersiowej, na plecach. Patrzę w górę. Przez warstwę glonów i mętnej wody dostrzegam słaby snop światła.

Simonie.

Słodki głos woła mnie do domu. Mówi, że jestem dobrym synem, podobnie jak tamtego ranka. Niemal czuję skorupki jajek pod paznokciami.

Moje nogi się nie podnoszą. Moja pierś się nie unosi. Ciężar skrzypłoczy wydusza ze mnie jeszcze więcej powietrza.

Może ktoś szuka mnie na brzegu? Moje palce natrafiają na coś gładkiego. Karta. Mała, prosta rzecz. Woda i sól wytrawią tusz, wymażą rysunek. Dobrze. Spalenie byłoby za szybkie. Powolna klątwa wymaga powolnego odczyniania. Pomarańczowa farba zleje się z wodami zatoki. Każdy ślad ludzkiej obecności zmyje woda, papier zmięknie i się rozpuści. Karty zostaną oswobodzone. Tak jak my.

Ośmiornica na szczęście. To dobrze. Pojadą swoją przyczepą do Ohio. Enola będzie wyciągać rękę przez okno i beztrąsko nią machać. Jego rodzina z pewnością jest duża i serdeczna.

Uratowałem ją.

Jest kobieta o oczach mojej siostry i atramentowoczarnych długich włosach – podobna do mojej matki. Obok niej cichy mężczyzna. Później zjawiają się syreny, nurkujące królowe, wróżbitki i asystentki magików, całe morze czarnowłosych kobiet o dziwnych oczach i klatkach piersiowych, które stały się szerokie od pływania i wstrzymywania oddechu. Śmiech tych kobiet kojarzy się z brzękiem tłuczonego szkła. Przypominają mi się ręce małej dziewczynki i odrapane nogi, które bandażowałem, wystające kolana – dziewczyna, która odeszła ode mnie, bo chciała żyć.

Ach, teraz rudy warkocz wśród powodzi czarnych włosów nieszczęsnych tonących syren. Piegowate dłonie budujące zamki z piasku. Odmiana francuskich

czasowników, słodki smak u nasady szyi, łuk ramienia sięgającego do najwyższej półki w bibliotece. Życie przeżyte równoległe do mojego. Nie byłem sam. Czuję ją teraz. Nigdy nie byłem sam.

Ostatek powietrza. Woda napiera na mnie ze wszystkich stron. Tonę, ale mam wrażenie, że się unoszę – niebo po mnie sięga, wyrwa mnie z morza i połyka. Światło. Słona woda. I głos.

Jesteś w domu.

Czyjeś palce na moich nadgarstkach są gorące, niemal palą. A może to ja jestem tak wychłodzony? Rozdarcie w ciemności, dziurka przepuszczająca światło, które przenika mnie na wskroś.

Moje imię wypowiedane tysiącami głosów.

Ostre elektryczne ukłucie, lodowate, jasne.

Krztuszenie się.

Oddech.

Łagodny głos. Dwa głosy. W oddali rozmazane plamy, które się zbliżają. Plecy mnie bołą, swędzą, nie mogą się rozgrzać. Głośniej. Znowu moje imię. Dwa dźwięki, syk i bełkot. Teraz jeden głos.

Simonie.

Moje płuca wypychają wodę – mam wrażenie, że nie kaszlę, że moje wnętrzości wywracają się na zewnątrz. Suchy. Suchy. Choć raz chcę być suchy. Czyjeś ręce obejmują moje plecy, klepią mnie po ramionach, uderzają w mój kręgosłup. Chwytają mnie, trzymają. Mokre. Przemoczone.

Skóra wytarta od trzymania wędki.

Światło ponownie sączy się z góry. Najpierw tysiące kropek, potem jasny puch... Później znów kropki, brązoworóżowe. Usiane piegami ramiona Alice.

Wypływa ze mnie na piasek cała powódź. Słona woda, algi. Jako dziecko spadłem z drabinki i nie mogłem złapać tchu. Leżałem z trzepoczącą przeponą, dysząc i czekając, aż napełni się to, co jest puste. Powrót z topieli przebiega w odwrotnym porządku. To, co jest pełne, musi stać się puste, aby zrobić miejsce dla życia. Moje usta się poruszają i formują ochrypły dźwięk:

– Hej.

– Ty dupku – odpowiada Enola cicho.

Nigdy nie widziałem, żeby była aż taka zła. Uśmiecham się do niej.

Na sofie w salonie McAvoyów dotykam palcem paznokcia na kciuku Alice, choć wiem, że doprowadza ją to do szału. Paznokcie mają w sobie coś solidnego, dającego pewność: to pancerz osłaniający nasze najczulsze miejsca. Stukam w ten paznokieć, a ona się wzdryga. Mimo to mocniej mnie obejmuje, zamiast się wyrwać. Patrzę na ślady po szczypcach skrzypłoczy – czarne sińce po wewnętrznej stronie moich ramion. Nie było łatwo mnie wyciągnąć. Mógłbym opowiedzieć

Alice o jej rękach. I o tym, że spośród wszystkich kobiet wokół mnie – żywych i tych, po których został tylko szept w wodzie – ona zawsze była najważniejsza. Ale mówienie boli. Wody zatoki obtarły mi gardło.

Doyle mówi, chodząc nerwowo. Powtarza Enoli i Alice to, co mu powiedziałem. W jego ustach moje słowa brzmią jak majaczenia chorego. Patrzę na palce jego stóp zginające się na deskach podłogi i przypominam sobie smagnięcie prądu w całym ciele. Musiał mnie dotknąć, kiedy byłem jeszcze mokry.

– Mały Ptaszku, nie sądziłem, że on to robi – tłumaczy Doyle. – Przysięgam, myślałem, że spali karty. Gdybym myślał inaczej, nie zwinąłbym ich.

– To nie twoja wina – odpowiada Enola. – Zawsze taki był.

Pozwalam im mówić o mnie, jakby mnie nie było. Jestem zmęczony. Patrzę na pokój nad ramieniem Alice, nad wciąż mokrym warkoczem. Widzę w kuchni Franka, zgarbionego i roztrzęsionego. Leah krząta się, robi herbatę. Jej ruchy są celowe. Wkłada parujący kubek w drżące dłonie mojej siostry tak spokojnie, jakby cały jej świat nie runął w gruzy. Enola pewnie nie zauważyła nawet, skąd wziął się ten kubek, ale pociąga z niego długi łyk. Patrzę na Leah i dostrzegam na jej twarzy cień uśmiechu. Jakby chciała powiedzieć: „Pozwól im mówić”.

Głos Alice jest łagodny, ale silny.

– Zapracowywał się dla ciebie na śmierć. Martwił się o ciebie. Zastanawiał się, kiedy i czy w ogóle wrócisz. Dręczył się z twojego powodu przez lata.

Enola odpowiada spokojnie:

– Nie sądzisz, że o tym wiem?

Istotne pytanie zadaje Doyle:

– Cholera, co on będzie robił? Nie może pływać u Rose’a.

– Cholera – powtarza Enola.

Patrząc w oczy swojej rodzinie po tym, jak umarłem i powróciłem do żywych, czuję się głęboko zawstydzony. Wyobrażają sobie, że znów tonę, że umieram trzy razy każdej nocy w zbiorniku Thoma Rose’a. Widzę, jak zastanawiają się, co ze mną począć, czy nie trzeba mnie pilnować. Nie jestem przyzwyczajony do tego, żeby ktoś się mną zajmował. Z posiadaniem rodziny wiążą się jednak pewne zobowiązania – muszę jej pozwolić, by o mnie dbała, kiedy czuje taką potrzebę. Chyba nikt nie zauważył, że dłonie Enoli przestały drżeć, a Doyle nie rzuca jej ukradkowych spojrzeń. Zdenerwowanie mojej siostry rozpląnęło się w powietrzu, co sprawiło, że stała się bardziej podobna do tej Enoli, którą pamiętam z dzieciństwa. Dzięki temu opanowuję wstyd. Wygrałem. Oni niech się jeszcze trochę o mnie pomartwią. Są tak skupieni na mnie, że nie zauważają zmiany w atmosferze ani tej, która zaszła w nas wszystkich.

– Może on zostanie ze mną? – zastanawia się głośno Alice.

Enola pyta o to, gdzie będę pracował, co robił. Przestaję słuchać. Oczami

wyobraźni przywołuję mobil wiszący w sypialni Alice i zdjęcia, które zrobił jej tata. Nasze rodziny to kotwice, które zabezpieczają nas podczas sztormów. Dzięki nim nigdy nie przestajemy być tym, kim jesteśmy. Są jak oddech wstrzymywany pod wodą, który pozwala nam przeżyć i wypłynąć. Zarzucam kotwice, odkąd skończyłem osiemnaście lat. Wstrzymuję oddech, odkąd się urodziłem.

– Nie – protestuję. Nikt mnie nie słyszy, więc muszę powtórzyć. – Nie zostanę tu. Muszę pojechać w pewne miejsce.

Enola robi wielkie oczy, Alice puszcza moją dłoń.

Dotyk piasku – gorącego i pełnego kamieni – jest nie do zniesienia dla mężczyzny w tym wieku. Potrzeba całego życia, aby uodpornić stopę na kontakt z takim piaskiem. Uczucie samotności, które go nawiedza, jest zaskakujące. Cóż, minęło trochę czasu, odkąd podróżował bez żony. Marie dogląda sklepu pod pozorem wyświadczenia mu przysługi. Widziała, jak się martwił, więc pozwoliła mu jechać. Miło z jej strony. Nie wybrałby się w ogóle, gdyby nie jej delikatne popchnięcie i cierpliwe zachęty. Pod tym względem mu się powiodło – prawdziwa towarzyszka życia trafia się równie rzadko jak wygrany los na loterii.

Wkłada stopę do wody. Dobry Boże, lodowata. To jest właśnie północny wschód, myśli, zimny i zgorzkniały do szpiku kości.

Zastanawia się, jak w ogóle można to wytrzymać.

Zniszczone schody wiją się wzdłuż krawędzi klifu. Schodzi po nich krępy mężczyzna w czapce wędkarskiej podobny nieco do cieśli. Jego sposób poruszania się dowodzi, że jest niemłody, choć młodszy od mężczyzny na plaży. Mija gruzowisko, pozostałość po domu.

– To prywatna plaża. Czy ktoś tu pana zaprosił? – woła, zbliżając się.

– Czy mam może przyjemność z Franklinem McAvoyem?

Mężczyzna w czapce kiwa głową, choć ma zakłopotany wyraz twarzy.

– Jestem Martin Churchwarry, przyjaciel Simona Watsona. Wyrażał się o panu jak najlepiej. Wie pan może, czy on jest gdzieś w pobliżu?

Na wspomnienie o Simonie wzrok Franka McAvoya staje się zacięty.

Pod Churchwarrym uginają się kolana, szybko jednak odzyskuje równowagę.

– Czy wszystko z nim w porządku? Widzę, co stało się z domem.

– Nic mu nie jest, ale go tu nie ma. – Frank powoli potrząsa głową. – Cholerna strata. Ten dom stał tu od osiemnastego wieku i runął w jedną noc. Simon miał szczęście, że nie był w środku.

– Wielkie szczęście.

Ulga, jaką czuje Churchwarry, jest wręcz namacalna. To dziwne, że żywi tak opiekuńcze uczucia wobec kogoś, kogo nigdy nie poznał. Z niewyjaśnionych przyczyn bardzo lubi Simona.

Obaj mężczyźni zanurzają stopy w wodzie i stają obok siebie.

– Powiedział pan: Churchwarry?

– Simon o mnie wspominał? – Zdziwienie sprawia, że brwi pytającego lekko się unoszą.

– Raz czy dwa.

Frank patrzy na swojego rozmówcę: nieco niechlujnego, w wyświeconych spodniach podwiniętych do kolan, z rozczochraną stalowoszarą czupryną i nosem najwyraźniej kiedyś złamanym.

– Skąd pan zna Simona?

Churchwarry wpycha ręce do kieszeni. Pozwala, żeby wiatr napierał na jego plecy, i zastanawia się, co Simon mógł o nim powiedzieć. Decyduje się na proste wyjaśnienie.

– Nasze rodziny utrzymywały kiedyś bliski kontakt.

– Jest pan tym sprzedawcą książek, prawda? Pan mu przysłał tę książkę?

– Uważałem, że się rozerwie podczas lektury. Było w niej trochę historii jego rodziny. Pan znał jego rodziców, czyż nie?

– Tak. – Frank krzywi się na wspomnienie Dana i Pauliny.

Zabiłem ją. Jestem mordercą.

– Myśli pan, że Simon niedługo wróci?

– Wątpię. Zostawił mi do wysłania list zaadresowany do pana. Jeszcze się do tego nie zabrałem.

– List? Jak cudownie. – Churchwarry niemal potyka się, kiedy zimna fala uderza o jego golenie. Dawno temu stracił młodzieńczą zwinność ruchów.

– Przeczytałem go – stwierdza Frank.

– Oczywiście, że tak. Trudno się oprzeć pokusie otwarcia listu.

W oddali skacze skrzelołusk, rozbryzgując wodę.

– Przede wszystkim to podziękowanie za książkę i przeprosiny za jej zniszczenie. Poza tym Simon liczy na pana pomoc przy realizowaniu jakiegoś pomysłu. Nie ma to dla mnie większego sensu. I pewnie o to chodziło Simonowi. – Wzrusza ramionami, nie jest przy tym ani odrobinę speszony. – List mam w domu. Może pan tam ze mną pójść, jeśli nie przeszkadzają panu schody.

Patrzy do góry i zastanawia się, czy nie powinien uzgodnić tej wizyty z Leah. Jeszcze do niedawna nie miałyby wątpliwości, ale teraz poznaje swoją żonę od nowa. Cały ten proces niewiele się różni od chodzenia boso po skałach.

– Doskonale – zgadza się Churchwarry.

Jest coś przyjemnego w myśli, że usiądzie i porozmawia z Frankiem McAvoyem. Churchwarry dostrzega w nim coś znajomego. Patrząc na Franka, doświadcza pewnego rodzaju *déjà vu*, które szczególnie sobie upodobał.

– Na razie nie ma telefonu. Powiedział, że się do pana odezwie, kiedy gdzieś

osiądną. Jest ze swoją siostrą. – Słowa Franka brzmią gorzko.

– Och, oczywiście. Przeprowadza się. Powinienem był się domyślić po tym, jak zobaczyłem dom. – Churchwarry drapie się po karku. – To dobry pomysł, żeby zacząć wszystko od początku.

Więc siostra Simona żyje. Nie wiedział nawet, że tak bardzo się o nią niepokoił – teraz oddycha z ulgą. Czuje, że Frank mu się przygląda, bo próbuje go rozgryźć.

– Pan ma córkę, prawda? Wydaje mi się, że Simon o niej wspominał.

Frank przytakuje:

– Odeszła z nim. Alice, Simon, Enola... Wyjechali razem.

Churchwarry się uśmiecha. To pasuje, myśli. Widzi, że coś białego unosi się na fali. Za daleko, żeby sięgnąć, więc czeka, aż to coś podpłynie bliżej.

– Rodzina Simona, moja, pańska mają wspólną historię. – Nie wie, w jaki sposób powiedzieć więcej. – W pewien dziwny sposób wszyscy się znamy, panie McAvoy. Pańscy dziadkowie nazywali się Peabody.

– Zgadza się – mruczy Frank.

– Miałem nadzieję powiedzieć o tym Simonowi. Myślę, że to będzie dla niego ważne. Podejrzewam, że nazwisko Ryżkow nic panu nie mówi. Może Ryżkowa? – Pytanie spotyka się z rozczarowującą ciszą. – Zatem nieważne. To po prostu ciekawe. Nasze rodziny krążą wokół siebie od wieków. Czy zastanawiał się pan kiedyś, czemu przyciągają nas konkretni ludzie?

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałem – kłamie Frank.

Churchwarry bierze głęboki wdech i potrząsa głową. Nigdy nie mógł zrozumieć ludzi pozbawionych ciekawości. Frank McAvoy przecież buduje łodzie, musi mieć w sobie jakąś iskrę. Mały biały prostokąt podpływa bliżej. Churchwarry pochyla się, żeby lepiej widzieć. Udaje mu się go złapać. Kawałek rozmokłego papieru. W oddali widać kolejny. Churchwarry'emu trzęsie się ręka. Ostry ból przeszywa jego pierś i szybko ustępuje miejsca euforii. Oto dotyka historii. Swojej własnej.

– Co to? – pyta Frank.

– Myślę, że karta tarota.

Na karcie dostrzega fragment zupełnie rozmazanej większej całości. Niewyraźny zarys tego, co niegdyś było nogą mężczyzny. W but o zadartym nosku wbił zęby pies. Głupiec. Churchwarry patrzy na ściekający atrament, który zbiera się wokół jego kciuka. Wreszcie po rysunku nie zostaje nawet ślad.

– Cholera. To były karty Pauliny – mamrocze Frank.

Churchwarry wypatruje innych kart. Przypomina sobie, co powiedział mu Simon i co sam zapamiętał z lektury książki. „Oczywiście, chodziło o karty tarota”. Ich szkice umieszczone w księdze fascynowały go zdecydowanie bardziej, niż można by to było wytłumaczyć przyjemnością płynącą z dotykania starego papieru i atramentu. To ma sens, żeby rodzina syren zniszczyła klątwę wodą, myśli.

Zdecydowanie to ma sens większy niż użycie ognia. I jest szalenie poetyckie. Chichocze. Patrzy na mężczyznę stojącego obok i myśli o Simonie, którego nigdy nie spotkał i który nadal żyje. Churchwarry wie, że tak naprawdę nie jest ważne, czy on sam wierzy w historię z klątwą (a chciałby w nią uwierzyć). Ważne jest, że Simon w nią uwierzył. Chociaż miasteczko leży nad oceanem, wydaje się zamknięte i odizolowane od świata. Być może księga otworzyła jakieś drzwi. Niektóre księgi mają taką moc.

Patrzy, jak karta nurkuje i znika zabrana przez falę. Widzi w tym symbol rodzącej się nadziei.

Tuż przy brzegu ciemny kształt pomyka po piasku. Churchwarry dostrzega ostro zakończony odwłok. Pochyla się.

– Skrzypłocz – mówi cicho. Obraca się do Franka, potomka pierwszego autora książki, i uśmiecha się do niego. – Wspaniałe stworzenia. – Myśli o tym, jak rosną i zrzucają stary pancerz. Nowy pancerz jest za każdym razem miękkim i błyszczącym początkiem. Uśmiecha się.

– Panie McAvoy, chciałbym teraz zobaczyć list. Uważam, że później powinniśmy się napić, jeśli ma pan to w zwyczaju. Podejrzewam, że możemy zostać przyjaciółmi.

Przez setki kilometrów, nawet podczas przejazdu przez miasta, samochód jest jedynym źródłem hałasu. Jakby świat wokół nich spał. Poborcy opłat na autostradach nie robią żadnych uwag na temat stanu poobijanej żółtej przyczepy ciągniętej przez auto, które chyba tylko rdza utrzymuje w całości.

– Wygląda koszmarnie, ale silnik nadal ma dobry – twierdzi Enola.

Alice nie wie, czy ma jej wierzyć i czy ma się tym w ogóle przejmować. Gdyby samochód zepsuł się w Delaware, i tak byłoby to lepsze niż pozostanie w Napawset. Źle się czuje z tego powodu, że zostawiła matkę. Wie też doskonale, że gdyby została, byłoby gorzej. Niemożliwe. Matce było potrzebne to, żeby Alice wyjechała. „Niedobrze, żeby dziecko widziało, jak rodzic się płaszczy – powiedziała do Alice, kiedy stały na ganku. – Wyjedź na trochę. Przyjedź z wizytą dopiero wtedy, kiedy zadzwonisz i oboje z tobą porozmawiamy”. Alice zna matkę, wie, jak potrafi zawstydzić kogoś samym spojrzeniem. Ojciec będzie się płaszczył. Niemal go żałuje, ale nadal łatwiej jest jej nie myśleć o nim wcale.

Jadą w głąb stanu New Jersey. Przecięli porośnięte trzcina słone bagna. Widziała tam poławiaczy małży kucających w błocie i wiedziała, że to po raz ostatni, że będzie jej tego brakowało. Teraz patrzy na autostradę i wie, że będzie tęsknić za rytmem dawnych dni rozpoczynających się łowieniem ryb o świcie. Spogląda w lusterko wsteczne na dwóch mężczyzn śpiących na tylnym siedzeniu. Potargane włosy Simona są przyciśnięte do popękane go obicia. Śpi, jakby nadrabiał bezsenne

lata. Nie, nie jest piękny, ale jest jej. Doyle cicho chrapie. Od czasu do czasu na koniuszkach jego palców pojawia się niebieska iskra.

Enola obraca się na siedzeniu dla pasażera i szepcze do Alice.

– To jak lizanie monety.

Alice nie odpowiada, więc Enola wyjaśnia:

– Ludzie się zastanawiają, jak to jest: całować się z nim. On smakuje jak świeżo wybita moneta.

Alice milczy. Pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt kilometrów dalej Enola mówi:

– Dziękuję. – A po chwili znacznie łagodniej: – Nie mogłam do niego dotrzeć, po prostu nie mogłam.

Alice zdejmuje dłoń z kierownicy, dotyka cienkich palców Enoli i ściska je mocno, ponieważ wyjaśnianie sprawia jej trudność. Mogłaby powiedzieć tylko tyle, że są pewne rzeczy, które robi się dla kogoś, kogo zna się całe życie, a wyciągnięcie go z wody jest najmniej ważną z nich.

Zatrzymują się w Marylandzie. Jest tam sklep specjalistyczny, w którym można kupić papier o odpowiedniej gramaturze i specjalnie postrzępionych brzegach. Na takim papierze wspaniale pisze się piórem wiecznym, a jeszcze lepiej gęsim. Simon chciał też kupić skórzaną okładkę, ale na to nie starczyło im pieniędzy. Płacą gotówką – pieniędzmi Enoli, banknotami dwudziestodolarowymi schowanymi w torbie Doyle'a, stówką, którą Frank wcisnął Alice, kiedy powiedzieli, że wyjeżdżają. Sprzedawca aż wytrzeszczył oczy na widok tego stosu banknotów. Doyle z trudem uniósł zakupioną ryzę.

Nocują w tanich motelach. Simon nie śpi, pisze. Kiedy głowa zaczyna mu się kiwać, Alice pochyła się nad nim i całuje jego siniaki, ciemne ślady po jej palcach, które powstały, gdy wyciągała go z wód zatoki. Nazywa je śladami życia. Patrzy na nie i czuje wdzięczność za lata noszenia ciężkich tomów w bibliotece i wędkowania, za wszystko, co sprawiło, że ma silny chwyt. Później się przytulają, jej kręgosłup przylega do jego brzucha. Simon szepcze:

– Przepraszam, przepraszam, przepraszam.

A ona słyszy: „Dziękuję”.

Simon odtwarza księgę. Na horyzoncie pojawiają się brodate figowce charakterystyczne dla głębokiego południa. Alice zaczyna się zastanawiać, czy to kolejna obsesja. Pyta go, dlaczego to takie istotne, skoro zaczynają wszystko od początku, wszystko od nowa.

– Ja jestem tym rękopisem – odpowiada Simon.

Zaległa między nimi ciężka cisza i trwała dopóty, dopóki Alice się nie zorientowała, że Simon szkicuje czarnowłose dziecko. Rozpoznała w tym dziecku Enolę. Simon buduje swoją historię, która zaczyna się od dziejów wędrownego trupy cyrkowej. Uwzględnia w niej wszystkie zapomniane kobiety, potomków Ryzkowej

i rodzinę Peabody'ego oraz oczywiście Alice.

– Co zrobisz, jeśli nie będziesz mógł zdobyć wystarczającej ilości informacji?

– Churchwarry mi pomoże. Czasem coś zmyślimy. Spora część tego, o czym piszą historycy, to jedynie przypuszczenia. Oto mroczny sekret tej nauki. – Wzruszył ramionami. – Wypełnimy puste miejsca. One były dobre w wymyślaniu samych siebie. – Mówi o kobietach, martwych kobietach, które zaprzętały jego myśli, i o sobie samym. Teraz mówi my. Kiedyś tego nie robił.

Alice wie, że jej imię znajdzie się w księdze Simona tuż obok jego imienia. Ponieważ są rzeczy, które robi się dla ludzi znanych przez całe życie. Pozwala się im, aby ratowali nasze życie, umieszcza się ich w książkach i razem z nimi zaczyna wszystko od nowa.

Podziękowania

Na powstanie książki pracuje niewiarygodna liczba osób, poniżej chcę wymienić te najważniejsze.

Moja agentka, Michelle Brower, ogarnęła bałagan i nawet powieka jej nie drgnęła, kiedy powiedziałam, że zamierzam ręcznie oprawić manuskrypt. Zanim przekazała mi dobre wieści, poprosiła, żebym usiadła. Miała rację we wszystkim.

Moja redaktorka, Hoppe Dellon, opiekowała się moją pracą nad tą książką i łagodnie mnie mobilizowała. Ona i cały zespół St. Martin's Press byli po prostu fantastyczni.

Duża część książki powstała w bibliotekach publicznych w Comsewogue i Brooklynie. Historia cyrku jest dzika i straszna – stanowi doskonały powód, aby pracować w bibliotekach. Kiedy nie potrafiłam już wymyślać kolejnych nazw miasteczek, odwoływałam się do wiedzy towarzystw historycznych Charlotte w Karolinie Północnej, New Castle w Delaware oraz Burlington w New Jersey. Jednak to ja ponoszę winę za wszystkie błędy.

W tym miejscu powinna pojawić się długa lista imion i nazwisk, ale jest ich zbyt wiele, bym mogła wymienić wszystkie. Ta książka nie powstałaby, gdyby nie Rick Rofihe i Matt de la Peña. Stephanie Freidberg zadzwoniła do mnie w środku nocy, aby wykrzyczeć numer rozdziału. Tym samym dała mi znać, że jestem na dobrej drodze. Karen Swyler przyczyniła się do tego wszystkiego, jak tylko siostra potrafi.

Wreszcie Robert. Działasz na mnie skuteczniej niż wszystkie te filiżanki kawy.